

9786 Chr. Arch.

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

**PARYŻ**    **Nr 7/189 - 8/190**    **1963**

---



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

A. SOŁŻENICYN : **ZDARZENIE NA STACJI  
KRECZETOWKA**

Al. WAT : **KLUCZ I HAK**

B. MIEDZIŃSKI : **PAKTY WILANOWSKIE**

J. MOND : **WŁADYSŁAW GOMUŁKA**

## SPIS RZECZY

—	<i>Subskrypcja na pamiętniki W. Witosy</i> .....	3
A. Solżenicyn:	<i>Zdarzenia na stacji Kreczetowka</i> ..	5
Aleksander Wat:	<i>Klucz i hak</i> .....	55
Witold Gombrowicz:	<i>Dziennik trans-atlantyczny</i> .....	76
Tadeusz Nowakowski:	<i>Rzut oka na Niemców (I)</i> .....	86
Christian Ferber:	<i>Komendant twierdzy</i> .....	88
Milo Dor:	<i>Los Ottokara</i> .....	93

### WIERSZE

Wacław Iwanjuk:	<i>Moja epika</i> .....	98
Aleksander Wat:	<i>Przypomnienie</i> .....	105
„	* * * <i>Do I Księgi Królów, 10</i> .....	108
„		109

### NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Bogusław Miedziński:	<i>Pakły wilanowskie</i> .....	113
----------------------	--------------------------------	-----

### ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	<i>Most na Rubikonie</i> .....	134
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i> .....	144

### SĄSIEDZI

Borys Lewickij:	<i>Sytuacja na froncie ideologicznym w ZSSR</i> .....	151
-----------------	---	-----

### KRAJ

Jerzy Mond:	<i>Władysław Gomułka</i> .....	160
Zofia Hertz:	<i>Humor krajowy</i> .....	184
Aleksander Grobicki:	<i>Nowoczesna polszczyzna</i> .....	192

### KRONIKA KULTURALNA

Zbigniew A. Jordan:	<i>Wspomnienie o Kazimierzu Ajdukiewicz</i> .....	194
Stanisław Mackiewicz:	<i>Egzegeza „Pilsudskiego” Lechonia</i> .....	198
—	<i>Komunikaty:</i>	
	a) <i>Sukces polskich kompozytorów</i> .....	204
	b) <i>Z działalności „Kontynentów”</i> .....	205
	c) <i>Flet i apokalipsa AL Janty</i> ..	205
	d) <i>Biografia J. Piłsudskiego</i> ....	206

### KSIAŻKI

Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Z zeszytu lektury</i> .....	207
J. Cz.:	<i>„Ciurkiem czarnym graficznych kamieni”</i> .....	219
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i> ....	223



Redakcja, A. Kawalkowski, J. Komski, A. Korczyński, Z. Kornaszewski, J. Mackiewicz, J. Ostaszewski, M.K. Pawlikowski, K. Popiel, W. Turek, Zw. Polskich Federalistów:	<i>Listy do Redakcji</i> .....	225
---	--------------------------------	-----

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

**PARYŻ** Lipiec-sierpień - Juillet-Août 1963

**INSTYTUT**



**LITERACKI**

## WPLĄTY NA FUNDUSZ ŚP. WŁ. POBÓG-MALINOWSKIEGO

Paweł Starzeński, Buenos Aires .....	23.90 F
Romuald K. Mleczo, Warren, Mich. (USA), (wplata z „Dziennika Polskiego” w Detroit .....	23.60 „
Wpłaty zebrane przez Koło SPK nr 3 w East Brighton, Vic. (Australia) na skutek wezwania ogłoszonego przez „Tygodnik Katolicki” 23 marca rb. — £.A.46.00.00 .....	497.00 „
Barbara Rajewska, Cochabamba (Boliwia) .....	14.35 „
Leon Holzer, Melbourne, Vic. (Australia) .....	66.80 „
<b>RAZEM</b> .....	<b>625.65 „</b>
Razem z poprzednio ogłoszonymi wpłatami wpłynęło ogółem	9.199.73 F

## WPLĄTY NA FUNDUSZ KULTURY

Bezimiennie, Toronto, (Kanada) .....	11.129.00 F
Bezimiennie, Paryż .....	300.00 „
Z. Szpakowska, Buffalo, N.Y. (USA) .....	4.90 „
Bezimiennie, Cambridge, Mass. (USA) .....	4.90 „
J. P. Pietrasz, North Reading, Mass. (USA) po raz piąty .....	48.08 „
Nina Sereda, Montreal, Que. (Kanada) po raz dziesiąty .....	48.08 „
Jarosław Górski, Puerto Ordaz, (Wenezuela) .....	23.58 „
M. A. Krystyniak, Pretoria, (Afryka Płd.) po raz trzeci .....	20.00 „
K. Niewiadomski, Houston, Texas (USA) .....	48.08 „
Aleksander Kawalkowski, Paryż, po raz siódmy .....	100.00 „

DZIEKUJEMY

Zwracamy uwagę naszych Czytelników, że wobec braku miejsca *Noty Biograficzne autorów* zostały zamieszczone, a mianowicie: Aleksandra WATA na str. 75; Bogusława MIEDZIŃSKIEGO na str. 132; Jerzego MONDA na str. 184 oraz Christiana FERBERA na str. 92 zaś Milo DORA na str. 97.

Jak co roku bieżący zeszyt KULTURY jest podwójny na miesiące lipiec-sierpień 1963. Następny zeszyt ukáže się w pierwszych dniach września.

## Ogłaszamy subskrypcję na pamiętniki Wincentego Witosa pt : " MOJE WSPOMNIENIA "

*Pamiętniki* Wincentego Witosa, obejmujące około 1350 stron druku, ukážą się w BIBLIOTECE „Kultury” w tekście *integralnym*, w trzech tomach. *Pamiętniki* będą poprzedzone przedmową prof. Stanisława Kota.

Cena subskrypcyjna *trzech tomów* wynosi F 47, (lub dol. USA 10,-; dol. can 11,-; sh. 72/-)

*Termin subskrypcji upływa w dn. 31 grudnia 1963 r.*

Należności należy przekazywać gotówką, czekami bankowymi lub międzynarodowymi przekazami pocztowymi na adres:

INSTITUT LITTERAIRE,

91, av. de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.), France

lub do przedstawicieli KULTURY

Pierwszy tom *Pamiętników* będzie dostarczony subskrybentom w pierwszym kwartale 1964 r., a następne w miarę ukazywania się.

W sprzedaży *Pamiętniki* ukážą się dopiero w całości, to jest po dostarczeniu subskrybentom wszystkich trzech tomów, i cena ich będzie znacznie wyższa od subskrypcyjnej.

Nowość

TOM LXXXIX

BIBLIOTEKI « KULTURY »

SERIA "DOKUMENTY"

WITOLD JEDLICKI

## KLUB KRZYWEGO KOŁA



Str. 176

Cena 10 F (dol. 2.25; 15/-)

## Zdarzenie na stacji Kreczetowka

- Hallo, czy to kierownik ruchu?  
— No, proszę.  
— Kto tam? Czy to Djaczichin?  
— No, proszę.  
— Nie „no, proszę”, ale pytam, czy to Djaczichin?  
— Dawaj cysterny z siódmego na trzeci tor. Prędej. Tak, Djaczichin.  
— Tu mówi dyżurny pomocnik wojskowego komendanta, porucznik Zotow. Słuchajcie, co wy wyrabiacie? Dlaczego dotąd nie wyprawiliście do Lipiecka eszelonu numer sześćset siedemdziesiąt... jak, Wala?  
— Osiem.  
— Sześćset siedemdziesiąt osiem.  
— Nie ma czym ciągnąć.  
— Jak mam to rozumieć — nie ma czym?  
— Nie ma parowozu. To Warnakow? Na szóstym stoją cztery platformy z węglem. Widzisz je? Dawaj je na ten sam tor.  
— Pozwólcie, jak to nie ma parowozu, kiedy widzę stąd przez okno cztery razem?  
— To zestaw.  
— Jak to zestaw?  
— Zestaw parowozów. Z cmentarza. Do ewakuacji.  
— Dobrze, ale dwa manewrowe chodzą.  
— Towarzyszu poruczniku, manewrowych widziałem trzy, nie dwa!  
— Obok mnie stoi komendant konwoju tego eszelonu i poprawia mnie — trzy manewrowe. Dajcie jeden!  
— Tych dać nie mogę.  
— Co znaczy — nie mogę? Czy zdajecie sobie sprawę ze

znaczenia tego transportu? Nie można go przetrzymać ani minuty, a wy...

— Dawaj go na rozrzędową górkę.

— ... a wy trzymacie go już pół doby.

— Pół doby jeszcze nie minęło.

— Co tam u was: ochronka czy biuro kierownika ruchu?

Dlaczego dzieci piszczą?

— Wpakowały się tu. Towarzysze, ile razy wam trzeba mówić? Proszę opuścić ten pokój. Nic wyprawić nie mogę. Nawet wojskowe transporty stoją.

— W tym pociągu jest konserwowana krew! Dla szpitali! Zrozumcież!

— Ja rozumiem. Warnakow? Teraz odczep się, idź do pompy. Weź tu dziesiątkę.

— Słuchajcie! Jeżeli w ciągu pół godziny nie wyprawicie tego transportu, złożę raport komendantowi! Tu nie ma żartów! Będziecie za to odpowiadali!

— Wasilij Wasiljewicz, dajcie słuchawkę, ja sama...

— Oddaję wojskowemu kierownikowi ruchu.

— Nikołaj Pietrowicz? Tu Podszebiakina. Słuchaj, co się dzieje w *dépôt*? Przecież jedną suszkę (1) zremontowano.

— No, towarzyszu sierżancie, wracajcie do wagonu, a jeżeli w ciągu czterdziestu minut... To jest jeżeli do pół do siódmej was nie wyprawią, zameldujecie się u mnie.

— Rozkaz! Wolno odmeldować się?

— Idźcie.

Komendant konwoju wyprężył się energicznie, stawiając pierwszy krok, oderwał rękę od czapki i wyszedł.

Porucznik Zotow poprawił okulary nadające surowy wygląd jego dobroduszej twarzy, rzucił okiem na wojskowego kierownika ruchu Podszebiakiną, młodą dziewczynę w kolejowym mundurze, która, potrząsając jasnymi lokami, mówiła w staroświecką słuchawkę staroświeckiego telefonu, i wyszedł z jej małego pokoju do swego, również małego pomieszczenia, skąd już dalszego wyjścia nie było.

Komendatura kolejowa mieściła się w narożnym pokoju pierwszego piętra. Schodząca w tym miejscu z dachu rynna była uszkodzona. Za ścianą słychać było chlupanie grubej strugi wody, którą uderzenia wiatru rozpylały na przemian przed prawym oknem, wychodzącym na peron, i przed lewym, wychodzącym na wąskie przejście między budynkami. Po pogodnych październikowych przymrozkach wróciła wilgoć, a od wczoraj deszcz lał tak

(1) Suszkami nazywano parowozy, wyrabiane w 1925-1927 w Kolo-mnie i noszące numery serii Cy.

obficie, że można się było dziwić, skąd tyle wody zebrało się w niebie.

W zamian deszcz przywrócił na stacji porządek: nie było więcej bezładnego tłoku, nieustannych wędrowek cywilów po peronach i torach, zakłócających porządek i przeszkadzających pracy na stacji. Wszyscy schowali się przed deszczem, nikt więcej nie pełzał na czworakach pod wagonami, ani nie wspinał się na platformy, miejscowi nie cisnęli się z wiadrami gotowanych kartofli, a podróżni nie przechadzali się między pociągami jak na jarmarku, z wiszącą na ramionach i rękach bielizną, trykotażami i częściami garderoby. (Ten handel zamienny uprawiał porucznik Zotowa w wielkie zakłopotanie: nie wypadło go tolerować, ale nie można go było zakazać, bo ewakuowanym nie wydawano żywności).

Deszcz nie spędził ze stacji tylko pełniących służbę. Przez okno widać było wartownika, stojącego na przykrytej brezentem platformie; oczekiwał wodą, której nie usiłował nawet strząsać. Na trzecim torze parowóz manewrowy przesuwiał cysterny, i zwrotniczy w brezentowym płaszczu z kapturem machał mu drzewcem chorągiewki. Niewysoki wozomistrz szedł wzdłuż pociągu stojącego na drugim torze, nurkując pod każdym wagonem.

Cała stacja stała w ukośnych smugach deszczu. Niesiony chłodnym, uporczywym wiatrem, deszcz uderzał w dachy i ściany wagonów towarowych i piersi parowozów; siekł przepalone na czerwono, pogięte szkielety dwudziestu wagonów (drewniane pudła ich spaliły się gdzieś pod bombami, a ocalałe podwozia kierowano na tyły); chlustał na cztery działa dywizyjnej artylerii, stojące na otwartych platformach i, mieszając się z nadchodzącym zmrokiem, zaciągnął szary welon na zieloną tarczę semaforu i czerwone iskry, wylatujące z kominów ciepłuszek. Cały pierwszy peron skłił się pod bąblami nie zdążającej spłynąć wody, mokre szyny lśniły w mroku i nawet ciemnobrunatny nasyp mienił się kałużami nie wsiąkającej więcej wody.

Wszystko to odbywało się w ciszy, przerywanej tylko głuchym dudnieniem ziemi i słabymi dźwiękami trąbki zwrotniczego, bo parowozom zabroniono gwizdać już pierwszego dnia wojny. I tylko deszcz dzwonił w zepsutej rynnie.

Pod lewym oknem, w przejściu koło magazynu rósł mały dąb. Deszcz szarpał nim i zlewał go wodą; dziś spadły zeń ostatnie zielone liście.

Na gapienie się nie było czasu. Trzeba było zaciemnić okna papierowymi storami, zapalić światło i wziąć się do roboty. Do końca dyżuru o dziewiątej wieczorem zostało mu jeszcze sporo pracy.

Ale zamiast spuszczać stopy Zotow położył na stole komin-dancką czapkę z zielonym otokiem, której podczas dyżurów nie zdejmował nigdy, nawet w pokoju, zdjął okulary i przecierał palcami oczy, znużone przepisywaniem z jednego rejestru do drugiego szyfrowanych numerów transportów. Lecz nie znużenie przeszkodziło mu w pracy. Smutek zakradł się doń o tym wczesnym zmierzchu.

Przyczyną jego nie była żona, pozostała w odmiennym stanie, daleko, na Białorusi, pod Niemcami, ani utracona przeszłość, bo Zotow był młody i nie miał jeszcze przeszłości, ani strata majątku, bo nie posiadał nic i nigdy nawet nie chciał niczego posiadać.

Przygnębieniem, od którego chciało mu się głośno wyc, napełniał go niezrozumiały, koszmarny bieg wojny. Z komunikatów Informbiura trudno było dowiedzieć się, gdzie leży linia frontu; można się było spierać, w czyich rękach jest Charków i Kaługa. Kolejarze wiedzieli jednak dobrze, że w kierunku Tuły pociągi dochodziły tylko do Uzłowej, a za stacją Jelec najwyższej do Wierchowja. Nalety bombowców dochodziły do linii Rjazań-Woroneż; zrzucono tam po kilka bomb, które nie oszczędziły też i Kreczetowki. Pod dziesięć zaś dniami nie wiadomo skąd dwóch szalonych motocyklistów niemieckich wpadło do Kreczetowki, strzelając w biegu z automatów. Jednego z nich zabito, drugi przeleciał cało, ale na stacji wszyscy stracili głowę, i komendant specjalnego oddziału, zawiadujący zniszczeniami na wypadek ewakuacji, zdążył wysadzić w powietrze pompę. Trzeba było wezwać pociąg reparacyjny, którego załoga pracowała już od trzech dni na stacji.

Nie chodziło mu jednak o Kreczetówkę, ale o przyczynę takiego obrotu wojny. Nie tylko rewolucja nie wybuchała w całej Europie, nie tylko nie przebiliśmy się na zachód z niewielkimi stratami na przekór wszystkim kombinacjom agresorów, ale cofamy się bez przerwy. Jak długo jeszcze, jak długo? Pracując czy kładąc się wieczorem spać Zotow myślał wciąż: jak długo? W domu budził się na głos radia o szóstej, w nadziei, że wreszcie rozlegnie się zwycięski komunikat. Lecz z czarnego głośnika pełży beznadziejne słowa o „kierunku Wiaźmy”, „kierunku Wołokolamska”, budząc okropne podejrzenie: czy nie oddamy także i Moskwy? Zotow nie śmiał stawiać sobie takiego pytania ani na głos (to byłoby niebezpieczne), ani po cichu; myślał o nim wciąż i starał się nie myśleć.

To podejrzone pytanie nie było jednak jednak ostatnie. Utrata Moskwy nie stanowiła jeszcze przegranej, oddano ją przecież Napoleonowi. Ale co potem? A jeżeli do Uralu...?

Te drżące, przemykające się ukradkiem myśli były dla Wasi Zotowa przestępstwem. Były bluźnierstwem, obrazą wszechmocnego, wszechwiedzącego Ojca i Nauczyciela, który wciąż czuwa, wszystko przewidział, wszystkiemu zaradzi, nie dopuści.

Ale przejezdni kolejarze, którzy byli w Moskwie w połowie października, opowiadali potworne, trudne do pomyślenia historie o ucieczce dyrektorów fabryk i rozgrabieniu jakichś kas i składów. I milcząca udręka ogarniała znów porucznika Zotowa.

Niedawno, w drodze do Kreczetowki, Zotow spędził dwa dni w dowództwie oddziałów rezerwowych. Był tam na amatorskim wieczorze, na którym chory i blade porucznik z rozwianą czupryną czytał swe wiersze, szczere, nie ocenzone przez nikogo. Wasi zdawało się zrazu, że je zapomniał, potem jednak fragmenty ich zaczęły wypływać w jego pamięci. I teraz, gdziekolwiek się znajdował — czy w Kreczetowce, czy w pociągu, którym jechał do dowództwa węzła kolejowego, czy na wozie, na którym tłuł się do przydzielonego do stacji sielsowietu, gdzie miał szkolić wojskowo inwalidów i smarkaczy — wszędzie powtarzał w myśli, jak swoje własne, słowa bladego porucznika:

*Płoną wsie, miasta dymem zastane,  
I pytanie to niecierpliwie:  
Kiedyż wreszcie, i kiedy, i kiedy  
Zatrzymamy ich ofensywę?*

I potem było, zdaje się, coś w tym rodzaju:

*Jeśli dzieło Lenina upadnie,  
Po co miałbym żyć?*

Zotow również, od kiedy zaczęła się wojna, nie myślał o własnym ocaleniu. Jego malutkie życie było warte o tyle, o ile mogło być użyteczne Rewolucji. Wielokrotnie też starał się dostać na front, ale ugrzązł w komendzie kolejowej.

Ocaleć dla siebie — nie miało sensu; dla żony i przyszłego dziecka — to też nie wydawało mu się niezbędne; wiedział natomiast na pewno, że gdyby Niemcy doszli do Uralu, a on sam został jakimś cudem przy życiu, wówczas on, Zotow, poszedłby pieszo przez Kiachtę do Chin, do Indii, za ocean nawet, aby wstąpić do formujących się tam wojsk i z bronią w rękę wrócić do Rosji i Europy.

Tak oto, stojąc w mroku i słysząc za oknem chlupanie wody i porowy wiatru, Zotow powtarzał sobie wiersze porucznika.

Im ciemniej było w jego pokoju, tym wyraźniejsza była czerwień rozpalonych drzwiczek pieca i żółtawy snop światła, padający przez oszklone drzwi z sąsiedniego pokoju, gdzie wojsłowa kierowniczką ruchu Głównego Dowództwa Dróg i Komunikacji pracowała już przy świetle lampy.

Służbowo nie podlegała ona dyżurnemu pomocnikowi komendanta wojskowego, ale praktycznie nie mogła się bezeń obyć, bo według przepisów nie powinna była znać ani natury, ani przeznaczenia transportów, lecz tylko numery wagonów. Te ostatnie notowała i przynosiła jej ciocia Frosia, która ciężko stąpając weszła właśnie do jej pokoju.

— Ależ bo deszcz leje! — skarżyła się. — Strach, jak leje! Ale jak gdyby trochę się ściszył.

— W siedemset sześćdziesiątym piątym trzeba ponotować numery, ciociu Frosiu — powiedziała Wala Podszubiakina.

— Dobrze, ponotuję, niech tylko naprawię latarnię.

Drzwi były lekkie i nie zamykały się szczelnie, Zotow sły-szał więc ich rozmowę.

— Dobrze, że węgiel udało mi się dostać — mówiła ciocia Frosia. — Teraz niczego się już nie boję. Dzieci kartoflami jakoś przeżyję. A Daszka Mielentjewna swoich nie dokopała. Niech teraz babrze się w błocie.

— Mróz, zdaje się, chwyta. Tak pochłodziło.

— Zima będzie wczesna. Och, taka wojna i do tego jeszcze wczesna zima... A wyście ile kartofli wykopali?

Zotow westchnął i zaczął spuszczać stopy, przyciskając je ręką do szyb, aby światło nie przesączało się przez szczeliny.

W rozmowach tych było dlań coś niezrozumiałego, coś co raziło go i wywoływało uczucie samotności. Zdawało się, że otaczający go pracownicy tak samo jak on słuchali ponuro komunikatów i odchodzili od głośników z uczuciem niemego bólu. Była jednak pewna różnica: nie żyli samymi tylko nowinami z frontu, kopali kartofle, doili krowy, rąbali drzewo, kitowali okna i chwilami interesowali się tym więcej niż wypadkami wojennymi.

Głupia baba! Przywiozła węgla i teraz „niczego się nie boi”. Nawet tanków Guderiana?

Wiatr targał drzewo koło magazynu, i w oknie z tej strony dzwoniła szyba.

Zotow spuścił ostatnią storę i włączył światło. Ciepły, czy-sto zamieciony chociaż nieco pusty pokój wydał mu się teraz przytulny; poczuł się w nim lepiej, i myśli jego potoczyły się różnie.

Stół dyżurnego znajdował się po środku pokoju, pod lampą, za nim, koło pieca, stała kasa ogniotrwała. Bliżej okna stała staroświecka, dębowa kanapa na trzy osoby; na oparciu jej wyrzyta była w drzewie nazwa linii kolejowej. Na kanapie tej można było w nocy zdrzemnąć się, ale praca rzadko na to pozwalała. Dwa skromne krzesła stały nadto w pokoju. Między oknami wisiał kolorowy portret Kaganowicza w kolejowym mundurze. Dawniej wisiała również mapa kolei, ale kapitan, komendant stacji, kazał ją zdjąć; do pokoju — mówił — wchodzi różni ludzie, i gdyby wśród nich znalazł się wróg, mógłby zorientować się, jaka linia dokąd prowadzi.

— A ja pończochy wyhandlowałam — chwaliła się w sąsiednim pokoju ciocia Frosia. — Parę jedwabnych wzięłam za pięć kartoflanych placuszków. Pończochy pewnie już do końca wojny nie będzie. Powiedz mamie, żeby nie traciła czasu. Niech coś z kartofli przyrządzi i idzie do ciepłuszek. Tam z rąk wyrrywają. A Gruńka Mostrijkowa ostatnio taką paradną koszulę wyhandlowała, babską, nocną, z rozporkami w takich miejscach, że pękać ze śmiechu. Baby zebrały się u niej, patrzyły jak przymierzała i trzymały się za brzuchy. I mydła można u nich dostać, tanio. A mydła teraz nie kupisz, produkt deficytowy. Powiedz mamie, żeby nie próżnowała.

— Nie wiem, ciociu Frosiu...

— Co, pończoch ci nie trzeba?

— Bardzo nawet trzeba, ale wstyd jakoś, tak... u ewakuowanych...

— Właśnie od wykurzonych trzeba brać! Oni wiozą kupy, kostiumy, mydło, jak na jarmark. A niektórzy mają takie mordy! Pomyśl tylko, kury gotowanej żądają, niczego innego nie chcą! Są tacy — ludzie widzieli — co stówki w paczki powiązane mają, a paczek takich cały kufer. Bank ograbili, czy jak? Tylko że pieniędzy nam nie trzeba, wieźcie je sobie dalej.

— No, a twoi lokatorzy...

— Nie miesza ich z tamtymi. To biedota i bosota. Oni z Kijowa wyrwali się jak stali, wprost dziw, jak do nas trafili. Polinka urządziła się na poczcie, płaca nienajgorsza, ale na co ta płaca? Zaprowadziłam babkę do piwnicy: bierz, mówię, kartofle, bierz kiszoną kapustę, a za pokój nic się od was nie należy. Biednych mi zawsze żal, Wala, a dla bogatych — żadnej litości!

Na stole Zotowa stały dwa telefony: jeden jak u kierowniczką ruchu — staromodny, kolejowy, w żółtym drewnianym pudełku z korbą, drugi własny, polowy, połączony z gabinetem kapitana i wartą punktu aprowizacyjnego. Wartownicy punktu byli jedyną siłą zbrojną komendatury stacji, jakkolwiek głów-

nym zadaniem ich było strzeżenie produktów. Do nich należało też sprzątanie i opał. Zapasowe wiadro gruboziarnistego antracytu stało u Zotowa przy piecu: chcesz — pal, węgla jest w bród.

Telefon kolejowy zadzwonił. Przewyciężywszy przedwieczorną chwilę słabości, Zotow żwawo chwycił słuchawkę, kładąc drugą ręką czapkę na głowę, i zaczął krzyczeć w telefon. Rozmawiając z dalszymi stacjami Zotow zawsze krzyczał, bądź dlatego, że go było źle słychać, bądź z przyzwyczajenia.

Dzwoniono z Bogojawlenskiej z zapytaniem, jakie listy przewozowe w Kreczetowce już otrzymano, a jakich dotąd brakło. Listy przewozowe, zawierające szyfrowane wskazówki poprzedniej komendantury o tym, jakie transporty dokąd należy kierować, przekazywano telegraficznie. Nie dalej jak przed godziną Zotow oddał telegrafistce i otrzymał od niej kilka takich listów. Trzeba się w nich było szybko orientować, aby wiedzieć, jak grupować transporty idące w tym samym kierunku, i móc dać wskazówki wojskowemu kierownikowi ruchu, które wagony należy spinać razem. Wreszcie należało wypisać i wysłać nowe listy przewozowe, zachowując ich spięte razem odpisy.

Odłożywszy słuchawkę Zotow opadł na krzesło i, zwyczajem krótkowidzów, schylił się nisko nad papierami.

Rozmowa w sąsiednim pokoju przeszkadzała mu trochę w pracy. Stukając obcasami wszedł tam właśnie mężczyzna i rzucił na podłogę worek z żelastwem. Ciocia Frosia spytała go, czy deszcz zaczął ustawać. Mężczyzna odburknął jej coś niezrozumiałego i, jak można było wnosić, usiadł.

(Woda z zepsutej rynny lała się wprawdzie z mniejszym hałasem, ale wiatr szarpał okna coraz silniej).

— Coś ty powiedział, stary? — spytała Podszebiakina.

— Zimno się robi, mówię — odezwał się starzec silnym jeszcze basem.

— Ty przecież słyszysz, Gawriła Nikitycz — podniosła również głos ciocia Frosia.

— Słyszę — odpowiedział. — Tylko w uchu mi dzwoni.

— To jak ty wagony sprawdzasz, dziaduniu? Trzeba je przecież ostukiwać.

— Ja i tak widzę zaraz, co jest.

— Ty go, Wala, nie znasz. On nasz, z Kreczetowki. To jest Kordybajło. Na wszystkich tutejszych stacjach wozomistrze, ilu ich jest — to jego uczniowie. On już przed wojną nie pracował, dziesięć lat siedział na piecu, a teraz, patrzaj, stanął do roboty.

Ciocia Frosia zaczęła znów coś opowiadać. Zotow, któremu to gadanie przeszkadzało, chciał ją już zbesztać, gdy w sąsiednim pokoju zaczęto mówić o wczorajszym wypadku z okrążeńcami.

O wypadku tym Zotow wiedział od kolegi, również pomocnika wojskowego komendanta stacji, który miał wówczas dyżur i musiał wydawać dyspozycje w tej sprawie, ponieważ w Kreczetowce nie było komendantury etapu. Wczoraj rano mianowicie, dwa pociągi zatrzymały się obok siebie. Jeden przybył ze Szczygrów przez Ostrożkę i wioził trzydzieści wagonów ewakuowanych z okrążenia. Eskortowało je pięciu enkawudystów, którzy oczywiście nie mogli im sami dać rady. Drugi pociąg przybył z Rtiszczewa z ładunkiem mąki. Mąka znajdowała się częściowo w zaplombowanych wagonach, częściowo zaś leżała w workach na otwartych platformach. Okrążeńcy zmiarkowali od razu, o co chodzi, i rzucili się na otwarte wagony; pruli nożami worki i sypali mąkę do kociołków, a potem w worki zrobione z bluz. Z konwoju towarzyszącego pociągowi z mąką dwóch wartowników stało na torze: jeden przy parowozie, drugi na końcu pociągu. Stojący przy parowozie młodzieńki chłopiec krzyknął kilka razy, żeby nie ruszano mąki, ale nikt go nie słuchał i z ciepłuszki konwojentów nikt mu nie przyszedł na pomoc. Wartownik zdjął wówczas karabin i strzelił; tym jedynym wystrzałem trafił w głowę i zabił stojącego na wagonie okrążeńca.

Zotow przysłuchiwał się rozmowie o wczorajszym wypadku. Mówiono o nim nie tak jak trzeba, wszystko rozumiano opacznie. Zotow nie wytrzymał i poszedł wyjaśnić sprawę. Otworzył drzwi i z progu spojrzął na obecnych przez swe okrągłe okulary w prostej metalowej oprawie.

Po prawej stronie chudziutka Wala siedziała przy stole nad rejestrami i wykresami w kolorową kratkę.

Pod oknem, zasłoniętym storami z niebieskiego papieru, stała drewniana ławka, na której siedziała ciocia Frosia, niemłoda, tęga, o męskich rysach, jakie zdarza się widzieć w Rosji u kobiet przywykłych do samodzielnego rządzenia się w domu i przy pracy. Szarozielony brezentowy płaszcz, który wydawano jej na czas dyżuru, wisiał zmięty na ścianie, ciocia Frosia zaś, w mokrych butach i cywilnym, ciemnym i obszarpnym płaszczu, siedziała na ławce i oporządzała kaganek wyjęty z ręcznej, czworokątnej latarni.

Na drzwiach wejściowych czerwona kartka, jaką można było widzieć wszędzie w Kreczetowce, głosiła: „Strzeżcie się tyfusu plamistego”. Chorobliwie czerwona barwa plakatu przy-





pominała wysypkę tyfusową lub żelazne kości wagonów, spalonych podczas nalotów.

Koło drzwi, aby nie roznosić dalej mokrych śladów, siedział na podłodze, oparty o ścianę przy piecu, stary Kordubajło. Obok, rzucona tak aby nie przeszkadzać w przejściu, leżała stara skórzana torba z ciężkimi narzędziami i poplamione smarami rękawice. Stary człowiek usiadł widocznie tak jak przyszedł, nie rozbiegając się i nawet nie strząsając z siebie deszczu, bo pod jego butami i płaszczem widniały na podłodze kałuże wody. Między zgiętymi kolanami trzymał latarnię, taką samą jak ciotki Frosi. Pod płaszczem Kordubajło nosił czarny, poplamiony buszlat, przepasany szarym, brudnym pasem. Basztyk miał odrzucony na tył kudłatej jeszcze głowy, na którą nasunął głęboko prastarą czapkę kolejarza. Czapka zasłaniała mu oczy, i lampa oświetlała tylko jego siny nos i grube wargi, którymi Kordubajło ślinił właśnie skręconą z gazety, dymiącą cygarke. W jego siwej, niechlujnej brodzie zachowały się jeszcze czarne pasma.

— A co miał robić? — dowodziła Wala stukając ołówkiem. — Był na służbie, stał na warcie.

— Słusznie, słusznie — kiwnął głową starzec, i tłące się czerwono żdźbła machorki padały z jego papierosa na podłogę i na daszek latarni. — Słusznie... jeść chcą wszyscy.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — zachmurzyła się dziewczyna. — Kim są ci wszyscy?

— A chociażby my z tobą — westchnął Kordubajło.

— Ależ się z tobą trudno dogadać, dziadku! Dlaczego mają być głodni? Mają przecież swój *pajok*. Myślisz, że wiozą ich bez przydziału żywności?

— Masz rację — zgodził się starzec, i iskry z cygarki posypały mu się na kolana i poły buszlatu.

— Uwważaj, bo się spalisz, Gawriła Nikitycz! — ostrzegła ciotka Frosia.

Starzec patrzył obojętnie, jak płonące żdźbła machorki gaśły na jego mokrych, watowanych portkach, i podniósłszy z lekka głowę:

— Wam, dziewczki, nigdy nie zdarzyło się jeść rozbeftanej w wodzie surowej mąki?

— Dlaczego surowej? — zdziwiła się ciotka Frosia. — Można rozbeftać, wymiesić i spiec.

Staruch cmoknął bladymi, grubymi wargami. Słowa jego nie wychodziły z ust od razu, ale jak gdyby wlokąc się długo na szczudłach z tego miejsca, gdzie powstawały.

— Znaczący, że głodu, mileńskie, nie zaznałyście.

W tym miejscu porucznik Zotow przestał się przemieszczać i wmie-

szął się do rozmowy, przy czym wszyscy zauważyli, że „okał” (2).

— Posłuchaj, dziadku, wiesz, co to przysięga, czy nie?

Dziad rzucił na porucznika zamglone spojrzenie. Wzrostu był niewielkiego, ale miał wielkie, ciężkie buty, przesiąknięte wodą i upaprane w glinie.

— Czemu nie? — mruknął. — Ja sam pięć razy przysięgałem.

— A komu przysięgałeś? Carowi Mikołaszce?

Dziad potrząsnął głową.

— Sięgaj dalej.

— Co? Jeszcze Aleksandrowi Trzeciemu?

Dziad cmoknął jak gdyby zakłopotany i palił dalej.

— No, a teraz się przysięga ludowi. Różnica jest?

Popiół spadł znów na kolano starego.

— A mąka do kogo należała? Czy nie do ludu? — niecierpliwiła się Wala, odrzucając wesoło loki. — I dla kogo ją wieźli? Może dla Niemców?

— Prawda — mówił ustępliwie stary. — Ale i chłopcy też swoi byli, nie Niemcy.

I zgasił resztę okurka o daszek latarni.

— Ależ tępa głowa! — irytował się Zotow. — Zrozum, czym jest porządek państwowy. Jeżeli każdy będzie brał, co mu się podoba, wezmę ja, weźmiesz ty, to jak wygramy wojnę?

— I po co nożami worki pruć? — oburzała się Wala. — Po jakimu to? I to mają być nasi?

— Widać były zaszyte — bąknął Kordubajło i utarł ręką nos.

— Niszczyć tak głupio! — gorszyła się ciotka Frosia. — Żeby sypało się na wszystkie strony? Na tor? Ile worków napruli, ile mąki rozsypali, towarzyszu poruczniku! Ile dzieci można tym było wyżywić!

— Prawda — powiedział staruch. — W otwartych wagonach i przy takiej pogodzie pewnie i reszta zamokła.

— Ech, co tu z nim mówić! — zawołał Zotow, niezadowolony z siebie, że dał się wciągnąć w tę paskudną i aż nazbyt jasną rozmowę. — Nie hałasujcie tu! Przeszkadzacie pracować!

Ciotka Frosia oczyściła tymczasem knot, zapaliła kaganek i wstawiła go do latarni. Potem podniosła się i zdjęła swój sztywny od wody płaszcz.

— Zatemperuj mi, Wala, ten ołówek. Pójdę spisywać wagony w siedemset sześćdziesiątym piątym.

Zotow wrócił do swego pokoju.

(2) Wymowa podkreślająca literę „o”.

Wczorajsza historia mogła skończyć się gorzej. Okrążęcy, gdy zabito ich towarzysza, porzucili mąkę i z rykiem rzucili się na młodego wartownika. Wyrwali mu z rąk karabin — zdaje się nawet, że oddał go bez oporu — i zaczęli go bić. Byliby go rozszarpali, gdyby dowódca konwoju nie nadbiegł w ostatniej chwili i udając, że aresztuje wartownika, nie wyprowadził go z tłumu.

Każda komendantura starała się ewakuowanych z okrążenia wysłać niezwłocznie dalej. Zeszłej nocy Zotow przyjął taki eszelon — numer 245413 — jadący z Pawelca do Arczedy i wyprowadził go jak najprędzej w dalszą drogę. Pociąg stał w Kreczetowce dwadzieścia minut; okrążęcy spali i nie wychodzili z wagonów. W większej liczbie są ludem strasznym, niebezpiecznym. Nie stanowią jednostek wojskowych, nie mają broni, ale są wczorajszą armią. Są to ci sami chłopcy, którzy w lipcu stali pod Bobrujskiem, w sierpniu pod Kijowem i we wrześniu pod Orłem.

Zotow tracił przed nimi odwagę. Doznawał zapewne tego samego uczucia, z jakim młody wartownik oddał im karabin, nie broniąc się. Wstydził się swoich funkcji tyłowego komendanta. Zazdrościł im i gotów był nawet wziąć na siebie część ich przewinień, w zamian za poczucie, że ma za sobą boje, obstrzaly, przeprawy.

Jego koledzy z kursów i wszyscy przyjaciele byli na froncie.

A on — tu.

Tym wytrwalej powinien pracować! Nie tylko nie zatawiać zaległości koledze obejmującemu po nim dyżur, ale zdążyć załatwić także inne sprawy! Pracować wydajnie i gorliwie właśnie teraz, gdy zbliżały się jego dwudzieste czwarte urodziny, jego ulubione święto, radosne na przekór przyrodzie, a tym razem pełne żrącego smutku.

Prócz zajęć bieżących Zotow miał od tygodnia do załatwienia sprawę, której początek przypadł był na jego dyżur: podczas nalotu na stację bomby niemieckie spadły na transport towarów wojskowych, wśród których znajdowała się też żywność. Gdyby towary uległy zniszczeniu całkowicie, wszystko by się na tym skończyło. Na szczęście część towarów ocalała. Od Zotowa zadano teraz w czterech egzemplarzach szczegółowego wykazu obejmującego: towary całkowicie niezdatne do użytku (które miały być skreślone z kont odbiorców i zastąpione innymi), towary uszkodzone w czterdziestu do osiemdziesięciu procentach (o zużytkowaniu ich miała nastąpić osobna decyzja), towary uszkodzone w dziesięciu do czterdziestu procentów (które miały być ekspediowane dalej do adresatów z odpowiednim protokołem,

lub częściową zamianą) i wreszcie towary nieuszkodzone. Sprawa gmatwała się przez to, że ocalałe towary, zabezpieczone obecnie w składzie kolejowym, nie zostały tam przeniesione od razu a ponieważ po stacji włóczyły się osoby postronne, nie można było wykluczyć przypuszczenia częściowej kradzieży. Nadto ustalenie stopnia uszkodzenia w procentach wymagało ekspertyzy (rzeczoznawcy przyjeżdżali w tym celu z Miczurinska i Woroneża) i ciągłego przenoszenia skrzyń z miejsca na miejsce, do czego brakło tragarzy.

Byle dureń potrafi zbombardować, ale niech by spróbował rozwikłać taką sprawę!

Zresztą Zotow sam lubił dokładną robotę; opracował już część dotyczących tej sprawy materiałów, chciał się nią zająć dziś jeszcze, a za tydzień spodziewał się zakończyć wszystko.

Ale i to należało do zwykłej rutyny. Zotow upatrywał sobie inne zadanie. Był człowiekiem z wyższym wykształceniem, systematycznym z upodobania, pracował w komendanturze i zdobył tam wiele użytecznego doświadczenia. Widział teraz jasno wady przepisów mobilizacyjnych, jakie zastał wybuch wojny, i luki w organizacji nadzoru nad transportami wojskowymi; widział również wiele istotnych i mniejszych ulepszeń, mogących usprawnić pracę wojskowych komendantur. Czy spisanie tych spostrzeżeń, opracowanie ich i złożenie w formie raportu Narcomatowi Obrony nie było jego obowiązkiem? Jeżeli praca jego nie zostanie wyzyskana w ciągu wojny obecnej, tym większą wartość będzie miała dla następnej.

Oto dla jakich zadań powinien teraz znaleźć czas i siły! (Chociaż, gdyby zdradził się ze swym projektem przed kapitanem lub w komendanturze węzła, naraziłby się na śmiech. Ale to są ludzie ograniczeni).

A teraz trzeba się prędko wziąć do listów przewozowych! Zotow zatarł ręce o krótkich, grubych palcach, wziął chemiczny ołówek i wyraźnym, owalnym pismem, zaglądając wciąż do książeczki z szyfrem, zaczął wypisywać na kilku formularzach wielocyfrowe, nieraz nawet ułamkowe numery pociągów, ładunków i wagonów. W robocie tej, jak w celowaniu z działa, nie wolno było robić błędów. W skupieniu Zotow marszczył czoło i wydymał dolną wargę.

W tym miejscu Podszebiakina zastukała w oszklone drzwi.

— Czy można, Wasilj Wasiljewicz? — I nie czekając odpowiedzi weszła z aktami w rękę.

Zasadniczo nie wolno jej było tu wchodzić. Sprawy do omówienia należało załatwiać na progu lub w jej pokoju, ale Zotow często już dyżurował jednocześnie z Wałą, i uprzejmość

nie pozwalała zakazać jej wchodzić do jego pokoju. Zamknął więc tylko książeczkę szyfrową i niby przypadkiem położył arkusz czystego papieru na kolumny cyfr.

— Wasilij Wasiljewicz, ja coś poplątałam! Popatrzcie... — Wolne krzesło stało daleko, i Wala oparła się o brzeg stołu, podsuwając porucznikowi wykaz pełen nierównych, krzywo pisanych cyfr. — W pociągu numer czterysta czterdzieści sześć był taki wagon: pięćdziesiąt siedem osiemset trzydzieści jeden. Dokąd go wysłać?

— Zaraz powiem. — Zotow wyciągnął szufladę, zastanawiał się chwilę, którą z trzech teczek wziąć, otworzył ją (ale tak, aby Wala nie mogła do niej zajrzeć) i znalazł od razu:

— Pięćdziesiąt siedem osiemset trzydzieści jeden — do Paczemy.

— Aha — powiedziała Wala i zanotowała „Pacz”. Ale nie wyszła. Oparta nadal o stół ssała ołówki i patrzyła w swój wykaz.

— „Cz” napisałaś niewyraźnie — strofował ją Zotow. — Weźmiesz je potem za „w” i wyślesz wagon do Pawelca.

— Nie zdaje mi się — spokojnie odpowiedziała Wala. — Nie czepiajcie się mnie, Wasilij Wasiljewicz.

I spod loków rzuciła nań spojrzenie.

Ale „cz” poprawiła.

— I jeszcze cooś... — przeciągała biorąc do ust ołówki. Jej bujne, niemal lniane, loki spadły jej na oczy, ale Wala nie odrzucała ich; były świeżo umyte i zapewne mięciutkie. Zotow pomyślał, że przyjemnie byłoby dotknąć ich ręką. — Ot co... platforma numer jeden zero pięć sto dziesięć.

— Mała platforma?

— Nie, duża.

— Nie myślę.

— Czemu?

— Jednej cyfry brak.

— I co teraz robić? — Wala odrzuciła loki. Rzęsy jej były równie jasne jak włosy.

— Szukać! Trzeba bardziej uważać, Wala. Pociąg ten sam?

— Aha.

W na pół otwartej teczce Zotow przeglądał numery. Wala tymczasem patrzyła na porucznika, na jego śmiesznie odstające uszy, kartoflowaty nos i bladoniebieskie, niemal szare oczy, widoczne przez szkła okularów. Ten Wasilij Wasiljewicz był w pracy zawzięty, ale nie zły; najwięcej podobał się jej przez to, że był uprzejmy bez poufałości.

Ech! — rozgniewał się Zotow. — Różgą bić cię trzeba! Nie zero, ale dwa zera pięć. Gdzie ty masz głowę, kobieto?

— Dwa zera! — zdziwiła się Wala i dopisała brakującą cyfrę.

— Dziesięcioletnią szkołę skończyłaś, jak ci nie wstyd?

— Dajcie pokój, Wasilij Wasiljewicz. Szkoła nie ma tu nic do rzeczy. I dokąd z tą platformą?

— Do Kirsanowa.

— Aha — zapisała Wala.

Ale i tym razem nie wyszła. Wciąż w tej samej pozycji, pochylona obok niego, bawiła się drzazgą odszczepioną od blatu stołu; odchyłała ją palcem, ale drzazga wracała do poprzedniego położenia.

Spojrzenie mężczyzny przesliznęło się po jej dziewczęcych piersiach, niewidocznych zazwyczaj pod grubą kurtką kolejarską, a których wypukłość uwidatniała się teraz przez nachylenie.

— Nie długo już dyżur się skończy — powiedziała wydmając świeże, bladoróżowe wargi.

— Trzeba jeszcze przedtem popracować — zachmurzył się Zotow i przestał patrzeć na dziewczynę.

— Pójdziecie znów do waszej babki... Tak?

— A dokąd mam iść?

— Nie odwiedzacie nikogo...

— Ładny czas znaleźliście do odwiedzin!

— I co was trzyma u tej babki? Nawet porządnego łóżka tam nie ma. Śpicie na skrzyni.

— Skąd ty to wiesz?

— Ludzie wiedzą i opowiadają.

— Nie czas teraz, Waleczka, w łózkach się wylegiwać. Zwłaszcza mnie. I bez tego wstyd mi, że nie jestem na froncie.

— Co wy mówicie? Czy nie pracujecie? Czego się tu wstydzicie? Pewnie się jeszcze nasiedzicie w okopach. Kto wie, czy z nich żywi wyjdziecie... Dopóki można, trzeba żyć po ludzku.

Zotow zdjął czapkę i zaczął rozcierać czoło (czapkę miał trochę za małą, ale innej na składzie nie było).

Wala tymczasem rysowała ołówkiem na swoim rejestrze ostrą pętlę, podobną do ptasiego pazura.

— Dlaczego wyprowadziliście się od Awdiejewów? Tam przecież było lepiej.

Zotow spuścił oczy i poczerwieniał.

— Wyprowadziłem się i tyle.

(Czyżby od Awdiejewów plotki rozeszły się po całej osadzie?)

Wala rysowała dalej swój pazur.

Oboje przez chwilę milczeli.

Wala rzuciła z ukosa spojrzenie na jego okrągłą głowę. Bez okularów było w niej coś dziecinnego; rzadkie włosy zwijały się gdzieśgdzie w kędziory podobne do znaków zapytania.

— I do kina nigdy nie chodziecie. Pewnie macie ciekawe książki. Dalibyście i mnie coś do czytania.

Zotow drgnął. Rumieniec nie schodził mu z twarzy.

— Skąd wiesz, że mam książki?

— Tak przypuszczam.

— Nie mam książek, zostały w domu.

— Może po prostu nie chcecie ich pożyczyc.

— Mówię, że nie mam. I co bym z nimi robił? Żołnierzowi wolno mieć tylko swój worek i nic więcej.

— No to weźcie od nas coś do czytania.

— A wy macie dużo książek?

— Stoi tam ich cała półka.

— A jakie?

— Jakie?... „Wielki piec”... „Książ Sierebrianyj”... i inne.

— Przeczytaliście wszystkie?

— Niektóre. — Wala nagle podniosła głowę, rzuciła jasne spojrzenie i jednym tchem powiedziała: — Wasilij Wasiljewicz! Przeprowadźcie się do nas. Pokój Wowkowa teraz wolny — będzie dla was. Piec tam grzeje, ciepło. Mama będzie wam gotowała. Po co macie mieszkać u babki?

Patrzyli na siebie, zachowując swą nieprzejrzystość.

Wala widziała, jak porucznik zawahał się i gotów był zaraz się zgodzić. I dlaczego nie miałby się zgodzić? Wojskowi mówią zawsze, że są kawalerami, on jeden był żonaty. Wojskowi rozkwaterowani byli wszyscy w dobrych rodzinach, gdzie było im ciepło, i gdzie o nich dbano. Wala chciałyby, aby w ich domu, skąd ojciec i brat poszli na wojnę, mieszkał też jakiś mężczyzna. Późnym wieczorem, przez zaciemnione i błotniste ulice wracaliby razem z dyżurów (musiałby prowadzić ją pod rękę); potem razem siadaliby wesoło do obiadu, żartując i opowiadając sobie różne historie...

Wasia Zotow spojrział trochę wystraszony na dziewczynę tak otwarcie wołającą go do siebie, do swego domu. Wala była tylko o trzy lata młodsza od niego i mówiła mu „wy” nie z racji różnicy wieku, lecz jedynie przez szacunek dla jego szlifów porucznika. Zrozumiał od razu, że między nim i Walą rzecz nie skończyłaby się na ciepłym mieszkaniu i smacznych obiadach, przyrządzanych z jego przydziału żywności. Poczł żywy niepokój i jednocześnie pokusę pogłaskania jasných włosów Wali.

Ale było to — wykluczone.

Zotow sięgnął ręką do kołnierza z czerwonymi kubikami na zielonych wyłogach, który zresztą wcale go nie uwierał, i poprawił na nosie okulary.

— Nie, Wala, nigdzie się nie przeprowadzę. I w ogóle robota czeka, a myśmy się tu tak zagadali.

I włożył na głowę zieloną czapkę, nadającą jego bezbronnej twarzy z zadartym nosem wygląd niemal surowy.

Dziewczyna rzuciła nań nieufne spojrzenie i powiedziała przeciągając:

— Niech i tak będzie, Wasilij Wasiljewicz.

Potem westchnęła i ruchem niemłodej kobiety, jak gdyby z trudem, wyprostowała się i wyszła, wlokąc rejestry w zwisającej ręce.

Zotow, zmieszany, mrugał oczami. Gdyby wróciła i okazała więcej decyzji, byłby być może ustąpił.

Ale Wala nie wracała.

Wasia nie potrafiłby nikomu wytłumaczyć, dlaczego mieszkał w źle ogrzewanej, brudnej chacie u staruszki z trzema wnucami i spał na krótkiej, niewygodnej skrzyni. W wielkim, brutalnym tłoku mężczyzn z czterdziestego pierwszego roku wystawił się kilkakrotnie na pośmiewisko zwierając się na głos, że kocha żonę i, mając do niej całkowite zaufanie, zostanie jej wierny do końca wojny. Przyjaciele, morowe chłopcy, ryczeli ze śmiechu, klepali go po ramieniu i radzili nie tracić głowy. Zotow powstrzymywał się teraz od wyznań, ale tęsknił do żony, zwłaszcza gdy budząc się nocą myślał, co się z nią może dziać na dalekiej Białorusi, pod Niemcami, w odmiennym stanie.

Wali odmówił wszakże nie z powodu żony, lecz z powodu Poliny...

I nawet nie z powodu Poliny, a z powodu...

Polina, krótko ostrzyżona kijowianka, brunetka z matową cerą, była tą samą dziewczyną, która mieszkała u ciotki Frosi i pracowała na poczcie. Wasia chodził tam w wolnych chwilach czytać gazety, które roznoszono do domów z opóźnieniem. Na poczcie można je było dostać wcześniej, wszystkie razem. Poczta oczywiście nie jest czytelnią, ale Polina rozumiała go i kładła mu wszystkie gazety na koniec kontuaru, gdzie Zotow przeglądał je stojąc i marznąc. Podobnie jak dla Zotowa, wojna nie była dla Poliny nieodwracalnym toczeniem się koła wypadków, była jej życiem, jej przyszłością. Aby tę przyszłość odgadnąć, tak samo nerwowo otwierała gazety, szukając w nich okruczeństw pozwalających zrozumieć bieg wojny. Często czytali razem, zwracając sobie niecierpliwie uwagę na ważniejsze wiadomości. Gazety zastępowały im listy z domu, których nie otrzymywali. Po-

lina zagłębiała się w opisy walki podawane w komunikatach, starając się odgadnąć, czy nie tam właśnie znajduje się jej mąż. Za radą Zotowa czytała nawet, marszcząc czoło, artykuły o taktyce czołgów i piechoty, drukowane w „Czerwonej Gwieździe”. Artykuły Erenburga Wasia czytał jej sam wzruszonym głosem. Niektóre z nich Polina pozwalała mu wycinać z niedoreczonych egzemplarzy.

Polinę, jej dziecko i matkę Zotow polubił tak, jak się lubi tylko w niedoli. Synkowi jej przynosił cukier ze swego przydziału. Czytając z nią razem gazety nie odważał się dotknąć palcem jej białej ręki: powstrzymywała go nie tyle myśl o jej mężu i o swojej żonie, ile łączące ich uczucie świętej żalości.

Polina stała się dlań najbliższym człowiekiem w Kreczetowce i w ogóle na całym obszarze po tej stronie frontu; była głosem jego sumienia i jego wierności. Czy mógłby więc przeprowadzić się do Wali? Co pomyślałaby o nim Polina?

Ale i bez Poliny, czy mógłby szukać pocieszenia u jakiejś kobiety w chwili, gdy mogło runąć wszystko, co kochał?

Niezręcznie byłoby mu również przyznać się Wali i kolegom oficerom do swej wieczornej lektury, Zotow woził bowiem w plecaku książkę, wziętą po drodze w zamieszaniu z jakiejś biblioteki.

Była to gruba książka w granatowej okładce — pierwszy tom „Kapitału”, wydrukowany na szorstkim, żółtawym papierze lat trzydziestych.

Przez pięć studenckich lat Zotow marzył o przeczytaniu tej świętej księgi, wypożyczał ją wielokrotnie z biblioteki swego instytutu, próbował zrobić z niej wyciąg, przetrzymywał ją przez cały semestr i nawet rok, ale nie starczyło mu czasu, zzeranego przez zebrania, obowiązkową pracę społeczną i egzaminy. Gdy w końcu roku szkolnego należało zwrócić wypożyczone książki, odnosił Marksa do biblioteki nie skończywszy nawet pierwszej strony konspektu. Podczas kursu ekonomii politycznej, w chwili najstosowniejszej do czytania „Kapitału”, profesor przestrzegał go przed tą lekturą — „utoniecie w niej”, mówił — radząc studiować pilniej podręcznik Lapidusa i skrypty z wykładów. Istotnie też na nic więcej czasu nie było.

Teraz dopiero, jesienią czterdziestego pierwszego roku, wśród alarmów i pożarów, Wasia Zotow znalazł w swej prowincjonalnej dziurze czas na czytanie „Kapitału”. Lekturze tej poświęcał godziny wolne od służby, od szkolenia rekrutów i zadań zleconych przez rejonowy komitet partii. W mieszkaniu Awdiejewów, w saloniku zastawionym filodendronami i aloesami, Zotow siadał przy kulawym stoliku i przy lampie naftowej

(siła motoru Diesla poruszającego generator nie wystarczała na dostarczenie prądu całemu osiedlu), wygładzając ręką zmięte strony, czytał każdy ustęp trzy razy: za pierwszym chwycił ogólny sens, za drugim podkreślał ważniejsze wyrazy, za trzecim streszczał i starał się uporządkować całość w pamięci. Im gorsze były wiadomości z frontu, z tym większym uporem zagłębiał się w swą granatową księgę. Był przekonany, że opanowawszy chociażby pierwszy tom „Kapitału” i uporządkowawszy go w pamięci stanie się bezkonkurencyjnym, nieuchwytnym dla przeciwników, niezwykłym dysputantem w sporach ideologicznych.

Ale wolnych wieczorów miał mało i spisał dopiero kilka stron konspektu, gdy Antonina Iwanowna przeszkodziła mu w dalszej pracy.

Antonina Iwanowna była również lokatorką Awdiejewów; przyjechała z Lisków i została od razu zarządzającą stołówki. Umiała sobie radzić i w stołówce rządziła tak silną ręką, że nie było mowy o reklamacjach. Jak Zotow się później dowiedział, za rubla dostawało się tam przez okienko glinianą miszkę gorącej, pozbawionej tłuszczu, szarej zupy, w której pływały kilka klusek. Kto nie chciał chęptać jej wprost z miski, musiał dawać rubla zastawu za drewnianą łyżkę. Antonina Iwanowna natomiast kazała sobie u Awdiejewów nastawiać samowar i kładła na stół chleb i śmietankowe masło. Miała dwadzieścia pięć lat i wyglądała na zażywną, przystojną blondynkę. Roztargniony porucznik nie zwracał większej uwagi na jej przyjazne pozdrowienia i przez dłuższy czas nie odróżniał jej od przychodzącej czasami kuzynki gospodarzy. Pochylony nad swą księgą nie spostrzegał, jak Antonina Iwanowna, która też późno wracała z pracy chodziła wciąż tam i z powrotem przez przechodni salonik, łączący jej sypialnię z pokojami gospodarzy. Czasami zatrzymywała się przy nim i pytała: „Co wy czytacie, towarzyszu poruczniku?”. Zotow przykrywał książkę zeszytem i dawał wymijające odpowiedzi. Raz zapytała: „Myślicie, że nie mam się czego bać? Bo ja drzwi do mego pokoju na klucz nie zamykam”. Zotow odpowiedział: „Czego się bać? Jestem przecież tu i mam broń”. W kilka dni później, siedząc nad książką, odniósł wrażenie, że Antonina Iwanowna przestała wprawdzie chodzić tam i nazad, ale z pokoju nie wyszła. Odwrócił się i osłupiał: Antonina Iwanowna poszła sobie na kanapie w jego pokoju i z rozpuszczonymi włosami leżała już pod kołdrą, odsłaniającą jej nagie, białe ramiona. Porucznik patrzył bezradnie, nie wiedząc co począć. „Czyba wam nie przeszkodzi?” — zapytała drwiąco. Wasia wstał, oszołomiony. Zrobił zdecydowany krok naprzód, ale

widok wypasionego na złodziejstwie ciała nie pociągnął go wcale, poczuł do niej odrazę.

Nie mógł jej nawet nic powiedzieć; nienawiść ścisnęła mu krtań. Zawrócił, zamknął „Kapitał”, znalazł jeszcze siłę i czas na włożenie go do plecaka, rzucił się do gwoźdźcia, na którym wisały jego szynel i czapka, zdjął po drodze obciążony pistoletem pas i trzymając go w ręku pobiegł do wyjścia.

Szedł w nieprzejrzanym ciemnościach. Przez zaciemnione okna i zalegające niebo chmury nie przesączało się żadne światło. Podobny do dzisiejszego, chłodny deszcz z wiatrem szarpał i siekł. Wpadając w kałuże i wyboje, Zotow szedł w kierunku stacji. Po chwili dopiero uświadomił sobie, że niesie w ręku pas z rewolwerem. Brnąc w ciemności przez nierówny teren omal nie płakał z bezsilnego gniewu.

Od tej chwili życie u Awdiejewów stało się nieznośne. Antonina Iwanowna nie witała się z nim wcale, ale sprowadzała do siebie kawalera z okropną mordą, cywila w długich butach i zapinanej pod szyję kurtce, zgodnie z wymogami czasu. Porucznik próbował pracować, ale Antonina Iwanowna umyślnie nie domykała drzwi, aby mógł słyszeć jej śmiechy, piski i westchnienia.

Wreszcie Zotow przeniósł się do na pół głuchej baby, u której znalazł do spania tylko skrzynię, przykrytą grubym płótnem.

Plotki rozeszły się widocznie po całym osiedlu. Czy doszły do Poliny? Wstyd...

Myśli te oderwały go od pracy. Porucznik chwycił kopiowy ołówek i zmuszając się do skupienia całej uwagi na listach przewozowych zaczął znów swym czytelnym, owalnym pismem notować numery transportów i towarów, z których powstawały nowe listy przewozowe wraz z odpisami. Robota dobiegała końca, ale zatrzymał go pewnie niejasności, dotyczące rozsortowania wielkiego transportu przybyłego z Kamyszina. Decydować mógł tu tylko komendant. Zotow nacisnął guzik polowego telefonu, zdjął słuchawkę i czekał. Zadzwoił jeszcze raz, dłużej. I jeszcze raz, też długo. Kapitan nie odpowiadał. Nie było go w gabinecie. Odpoczywał być może po obiedzie. Ale przed końcem dyżuru miał przyjść na pewno dla odebrania raportu.

W sąsiednim pokoju Podszebiakina dzwoniła od czasu do czasu do kierownika ruchu stacji. Ciocia Frosia przyszła raz i wyszła. Potem dały się słyszeć ciężkie kroki czworogą nóg. Ktoś zastukał, uchylił drzwi i dźwięcznym głosem zawołał:

— Czy można?

Nie czekając lub nie dosłyszawszy odpowiedzi weszli dwaj mężczyźni. Pierwszy z nich, grenadierskiego wzrostu, wysmukły, z zaróżowioną od zimna twarzą, zatrzymał się po środku pokoju i stuknąwszy obcasami zameldował się:

— Naczelnik konwoju transportu numer dziewięćdziesiąt pięć pięćset pięć, sierżant Gajdukow! Trzydzieści osiem wagonów pulmanowskich, wszystkie w porządku, do dalszej drogi gotowy!

Przybyły miał nową zimową czapkę, długi szynel oficerskiego kroju, szeroki skórzany pas ze sprzączką w kształcie gwiazdy i wyglansowane buty z cielęcej skóry.

Zza niego wysunął się drugi konwojent, krępy, o smągłej, surowej twarzy. Dreptał jak gdyby na miejscu trzymając się bliżej drzwi, niby od niechcenia podniósł pięć palców do swego budiennowskiego hełmu z opuszczonymi, lecz nie zapiętymi pod szyją nausznikami i nie podnosząc głosu powiedział:

— Naczelnik konwoju transportu numer siedemdziesiąt jeden sześćset dwadzieścia osiem młodszy sierżant Dygin. Cztery wagony szesnastotonowe.

Jedna poła jego żołnierskiego szynelu, ściągniętego brezentowym pasem, zwisała krzywo, jak gdyby zmięta i sprasowana przez jakąś maszynę. Buty z płóciennymi cholewami były wytarte na zgięciach.

Sierżant Dygin miał wydatną szczękę i twarz jego przypominała wyraziste rysy Czkałowa (3), ale nie młodego i dzielnego, poległego niedawno lotnika, lecz Czkałowa starszego, doświadczanego przez życie.

— Tak jest! Bardzo mi przyjemnie! Bardzo mi przyjemnie! — zawołał Zotow i wstał.

Ani stopień ani funkcje nie zmuszały go do wstawania przed każdym wchodzącym do jego pokoju sierżantem, ale Zotow był istotnie rad zgłaszającym się do niego wojskowym i starał się załatwić jak najpomyślniej ich sprawy. Pomocnik komendanta nie miał bezpośrednich podwładnych, i zatrzymujący się na stacji na pięć minut czy na dwie doby konwojenci byli jedynymi ludźmi, wobec których Zotow mógł rozwinąć swe talenty troskliwego i energicznego przełożonego.

— Wiem, wiem. Wasze listy przewozowe już nadeszły. — Porucznik przeglądał leżące na stole papiery. — Oto są: dziewięćdziesiąt pięć pięćset pięć i siedemdziesiąt jeden sześćset dwadzieścia osiem. — I spojrzął zyczliwie na sierżantów.

(3) W.P. Czkałow, sławny lotnik sowiecki, zginął przy próbach nowego typu samolotu (1904-1934).

Szynele i czapki ich były niemal suche, upstrzone z rzadka rozstrzelonymi kropkami deszczu.

— Nie zmokliście? Czy deszcz ustał?

— Odpoczywa sobie — z uśmiechem potrząsnął głową Gajdukow, stojący nie zupełnie „na baczność” ale wyprostowany. — Wieje za to tęgo z północy!

Wyglądał na lat dziewiętnaście, ale rysy jego miały wczesny odcień męskości, pozostający na młodych twarzach po pobycie na froncie, jak opalenizna po słońcu.

(Ten właśnie frontowy wygląd przybyłych pobudził Zotowa do wstania na ich widok).

Pomocnik komendanta nie miał z konwojentami wielu spraw urzędowych do załatwienia. O zawartość transportów nie pytał, bo wagony były często zaplombowane, skrzynie zabite gwoździami, i konwojenci mogli nie wiedzieć, co się w nich znajduje.

Konwojenci natomiast mieli u komendanta stacji wiele spraw do załatwienia.

Obaj też patrzyli nań uważnie, jeden wesołymi, drugi smutnymi oczyma.

Gajdukow chciał odgadnąć, czy tyłowy oficer nie będzie się go czepiał, czy nie przyjdzie mu na myśl oglądać pociągu i ładunku.

O ładunek nie miał zresztą żadnej obawy. Ładunek swój nie tylko konwojował, ale lubił. Stanowiło go kilkaset świetnie odżywionych koni. Domyślny intendent załadował razem z końmi dostateczną ilość prasowanego siana i owsa, nie licząc na możliwość uzupełnienia furazu w drodze. Gajdukow urodził się na wsi i od dzieciństwa przepadał za końmi. Odwiedzał je w wagonach jak przyjaciół i nie tyle z obowiązku co z zamiłowania pomagał dyżurnym żołnierzom w pojeniu, karmieniu i doglądaniu koni. Gdy odsuwał drzwi i po wiszącej drabinie wspinał się do wagonu z „nietoperzem” (4) w rękę, wszystkie konie — było ich w wagonie szesnaście: gniade, bułane, kare, siwe — zwracały ku niemu swe długie, rozumne pyski — niektóre kładły je na grzbietach sąsiadów — i strzygąc uszami patrzyły nań uważnymi, smutnymi oczyma, jak gdyby prosiły nie tylko o siano ale o wytłumaczenie, dokąd i dlaczego wiozą je w tych hałaśliwych, podskakujących skrzyniach. Gajdukow wchodził do wagonu, przeciskał się między ciepłymi zadami, rozczesywał grzywy, a gdy nie było żołnierzy, gładził ich chrapy i rozmawiał. Koniom ciężiej było jechać na front niż ludziom; ten front potrzebny im był jak piąte koło u wozu.

(4) Rodzaj ręcznej latarni naftowej.

Gajdukow obawiał się natomiast, aby komendant, który na szczęście okazał się człowiekiem zgodnym, nie chciał zajrzeć do jego ciepłuszki. Konwojenci jego byli przeważnie nowicjuszami, ale on sam bywał już w pierwszych liniach, w lipcu został ranny nad Dnieprem, dwa miesiące leżał w szpitalu i teraz wracał na front. Znał więc regulamin wojskowy i wiedział, jak można i należy go obchodzić. Dwudziestu jadących z nim chłopców spełniało tylko przygodnie funkcje konwojentów. Po odstawieniu koni mieli zostać wcieleni do dywizji. Za kilka dni — myślał — utylają być może swe nowe uniformy w rozmięklej glinie okopów lub, co gorsza, w najmniejsze nierówności gruntu będą wtykali głowy przed niemieckimi minami (niemieckie miotacze min najwięcej dały mu się latem we znaki). Pozostałe mu jeszcze dni chciałby spędzić w ciepłe, wśród przyjaciół, wesoło. Ich obszerna ciepłuszka ogrzewana była bez przerwy przez dwa żelazne piece, opalane gruboziarnistym węglem, brany z innych transportów. Pociąg ich jechał szybko, nie zatrzymując się nigdzie na dłużej, czasu starczało zaledwie na codzienne pojenie koni i — raz na trzy dni — na wymianę kuponów na produkty. Do szybko idących pociągów wpraszały się przygodni pasażerowie. Chociaż regulamin zabraniał surowo wpuszczania osób cywilnych do pomieszczeń wartowniczych, Gajdukow i jego pomocnik, który szybko przejął jego zawiadanie, nie mogli znieść widoku ludzi marznących w jesiennej wichurze i biegających jak szaleni wzdłuż pociągów. Nie znaczy to, aby przyjmowali wszystkich, ale wielu prosiącym nie umieli odmówić. Jakiegoś chytrego inspektora wpuścili za litr samogonu, rudego starca za połec słońciny, innych za darmo, ze szczególną zaś życzliwością — serca ich nie mogły się temu oprzeć — wciągali do swego wagonu młode kobiety i dziewczęta, które wciąż gdzieś po coś jeździły. I teraz w gwarnej i upalnej ciepłuszce rudy staruch opowiada zapewne, jak podczas pierwszej wojny światowej o mały włos nie dostał georgjewskiego krzyża, a nie-dotykalska — jedna się tylko taka znalazła wśród dziewczyn — siedzi, zjeżona jak sowa, przy piecu. Inne dawno już zrzuciły płaszcze, serdaki, nawet kaftaniki. Jedna, tylko w czerwonej koszulce i sama czerwona z gorąca, pierze żołnierskie koszule, dzielając mokrym zwitkiem bielizny swego pomocnika, gdy staje się zbyt poufały. Dwie inne gotują strawę, zaprawiając domowym smalcem suchy żołnierski wikt. Inna jeszcze łąta i ceruje żołnierską garderobę. Gdy pociąg ruszy, zjedzą wieczorny posiłek, posiedzą chwilę przy piecu, zaśpiewają coś w stukocie kół i potem wszyscy, odkomenderowani do służby i odpoczywający (przy wodopoju pracują razem), rozpełzną się po narach z

nieheblowanych desek. Jadące z nimi dziewczęta i młódki, które niedawno odprowadzały mężów na wojnę, nie okażą się pewnie niechętne, i niejedna z nich, gdzieś dalej od latarni, zaśnie w objęciach chłopca.

Bo i jak odmawiać żołnierzowi jadącemu na wysunięte pozycje? Może to jego ostatnie dni...

Głównym życzeniem Gajdukowa było, aby komendant wyprawiał go jak najprędzej. Prócz tego chciałby się dowiedzieć czegoś o marszrucie, aby wiedzieć, gdzie mają wysiadać jego pasażerki, na jakim odcinku frontu wypadnie mu teraz wojować, i czy ktoś z konwojentów nie będzie przejeżdżał koło domu.

— Tak — ciągnął porucznik przeglądając listy przewozowe. — Wyście nie jechali razem? Wasze transporty połączono gdzieś niedawno?

— O kilka stacji stąd.

Stukając okularami po papierze porucznik wydał wargi.

— I dlaczego was tu zawieźli? — zapytał starego Czkałowa. — Byliście w Penzie, nieprawdaż?

— Byliśmy — zachrypłym głosem odezwał się Dygin.

— To po jakiego diabła skierowano was na Rjażsk? To nie do wiary. Co za niedołęgi!

— Stąd pojedziemy razem? — zapytał Gajdukow.

(W drodze do komendanta dowiedział się od Dygina o celu jego podróży i chciał w ten sposób zyskać wiadomość o swej marszrucie).

— Do stacji Grjazi tak.

— A dalej?

— Tajemnica wojskowa — pokręcił głową Zotow i mrużąc oczy spojrzął przez okulary na wysokiego sierżanta.

— A jednak może... Czy nie przez Kastorną? — napierał się Gajdukow, schylając się do porucznika.

— Zobaczycie. — Zotow chciał odpowiedzieć surowo, ale na jego ustach ukazał się nieznaczny uśmiech, z którego Gajdukow zrozumiał, że przez Kastorną.

— Pojedziemy zaraz z wieczora?

— Tak, was przetrzymywać nie można.

— Ja... jechać nie mogę! — zaskrzypiał Dygin ponuro i niezyczliwie.

— Wy osobiście? Czy jesteście chorzy?

— Cały konwój nie może.

— To jest... jak? Nie rozumiem was. Czemu nie możecie?

— Bo my... nie psy! — wyrwało się z ust Dygina, i oczy jego poruszyły się gniewnie.

— Co to znaczy? — zachmurzył się Zotow i wyprostował się. — Ostrożnie ze słowami, młodszy sierżancie!

W tej chwili dopiero Zotow spostrzegł, że zielony trójkącik młodszego sierżanta był wpięty tylko w jedną klapę jego szynelu; w drugiej klapie widać było wklęsły ślad trójkąta z otworem po środku. Nauszniki budiennowskiego hełmu zwisały na jego pierś jak liście łopucha.

Dygin patrzył wrogo spode łba.

— Bo my — mówił zachrypniętym głosem — od jedenastu dni... głodujemy...

— Co? — zachnął się porucznik. Okulary zsunęły mu się z jednego ucha, ale podchwycił je i znów włożył! Jak to może być?

— Bywa tak... Bardzo prosto.

— Czy kart żywnościowych nie macie?

— Papierem najeść się nie można.

— To jak wyście wyżyli?

— Jakoś wyżyliśmy.

Jak wyście wyżyli! Naiwne, dziecinne pytanie tego okularnika rozgniewało do reszty Dygina. Przyszło mu na myśl, że i w Kreczetowce nie znajdzie żadnej pomocy. Jak wyżyliście! Z głodu i wściekłości szczęki jego zacięły się, i Dygin patrzył z nienawiścią na czyściutki pomocnika wojskowego komendanta, w ciepłym, zamiecionym pokoju. Przed siedmiu dniami jego konwojenci spostrzegli na pewnej stacji kupę buraków, którymi napełnili dwa worki. Przez cały tydzień gotowali je potem w kociołku i jedli. Wreszcie zaczęło ich od buraków mdlić, żołądek więcej ich nie przyjmował. Zaprzeszłej nocy, gdy pociąg zatrzymał się w Aleksandro-Niewskim, Dygin, popatrzył na wygłodniałych rezerwistów — wszyscy byli odeń starsi, a i on sam był niemłody — po czym, nagle zdecydowany, wyszedł. Wiatr wył pod wagonami i świszczał w szczelinach ścian. Trzeba było uspokoić choć trochę buntujące się wnętrzności. Dygin znikł w mroku. Po półtorej godziny wrócił i rzucił na nary trzy bochenki chleba. Siedzący obok żołnierz ostupiał: „Jest i bochenek białego!” „No i co? — Dygin obojętnie przyjrzał się chlebom — Nawet nie zauważyłem”. Nie było po co mówić o tym wszystkim komendantowi. Jak wyście wyżyli!... Czterej żołnierze jechali dziesięć dni przez ojczysty kraj jak przez pustynię. Wieźli dwadzieścia tysięcy saperskich łopat ociekających fabrycznym smarem. Wieźli je z Gorkiego do Tyflisu, o czym Dygin wiedział od początku podróży. Ale wszystkie transporty były widocznie pilniejsze od tych przeklętych łopat w zastygłych od zimna fabrycznych smarach. Jechali już przeszło dwa tygodnie, i nie zrobili nawet poło-



wy drogi. Byle kierownik ruchu odczepiał ich cztery wagony i zostawiał na pierwszym lepszym przystanku. Na karty żywnościowe dostali w Gorkim produktów na trzy dni, i w Sarańsku znów na trzy dni, ale od tego dnia nie zdarzyło się im znaleźć otwartego punktu aprowizacyjnego. Ale i to nie było najgorsze. Gotowi byli głodować jeszcze pięć dni, gdyby wiedzieli, że na tym się skończy, i że potem dostaną żywność za ubiegłe dwa tygodnie. Ale ich żołądki i dusze nie mogły się pogodzić z praniem wszystkich punktów aprowizacyjnych: za ubiegłe dni żywności się nie wydaje. Co minęło, to przepadło.

— Ale dlaczego nie wydawano wam żywności na karty?  
— dopytywał się porucznik.

— A wy wydacie?

Już wyskakując z wagonu Dygin dowiedział się od spotkanego żołnierza, że na tej stacji jest punkt aprowizacyjny. Ale było już ciemno, i według przepisów okienka były zamknięte.

Sierżant Gajdukow zapomniał o swej wojskowej postawie i zwracając się do Dygina uderzył go dłonią po ramieniu.

— Bratku! Czemuś nic nie mówił? Zaraz ci coś podrzucimy.

Dygin nie drgnął, nie odwrócił się do towarzysza i stał wpatrzonej nieruchomo w komendanta. Obrzydła mu niezaradność własna i jadących z nim konwojentów. Przez jedenaście dni nie zwracali się o pomoc ani do wojskowych, ani do cywilów, wiedząc, że w takich czasach nikt nie ma zbędnego kęsa chleba. Pasażerowie nie wprasali się do ich marnej ciepłuszki, odczepianej na wszystkich stacjach. I tytoń im się skończył. Ciepłuszka ich, pełna szczelin, była tak chłodna, że z czterech okien trzy zabili deskami i we dnie nawet siedzieli w ciemności. Wreszcie zniechęceni zupełnie, nie mieli nawet ochoty palić w piecu i podczas postojów, trwających nieraz cały dzień lub dwa, siedzieli w mroku dokoła pieca i gotowali buraki, próbując nożem, czy już zmiękły.

Gajdukow wyprężył się zuchowato.

— Czy mogę odejść, towarzyszu poruczniku?

— Idźcie.

Gajdukow szybko wyszedł. Teraz — myślał — damy towarzyszom ciepłą rączką trochę kaszy jaglanej i tytoniu. Od zapłakanej staruszki nie wzięliśmy nic za przejazd, niech teraz da coś chłopcom. I inspektora przepytamy, powinien zrozumieć.

— Tak — myślał głośno porucznik — już siódma. Punkt aprowizacyjny zamknięty.

— One są zawsze zamknięte... Tylko od dziesiątej do piątej. W Penzie stałem w kolejce, kiedy zaczęli wołać, że pociąg odcho-

dzi. Przez Morszansk przejechalśmy nocą. I przez Rjażsk też.  
— Poczekajcie, poczekajcie — zakręcił się porucznik. Ja tego tak nie zostawię. Spróbujemy.

Zdjął słuchawkę polowego telefonu i zadzwonił raz, długo. Nikt nie odpowiadał.

Zadzwonił trzy razy.

Nikt się nie zgłaszał.

— Do diabła! — zawołał porucznik i znów zadzwonił trzy razy. — To ty, Guśkow?

— Ja, towarzyszu poruczniku.

— Czemu u ciebie nie ma dyżurnego przy telefonie?

— Właśnie odszedł. Dostałem kwaśnego mleka. Chcecie — przyniosę wam.

— Głupstwa gadasz, nic mi nie trzeba.

(Obecność Dygina nie była przyczyną odmowy. Zotow zabraniał przynosić sobie cokolwiek ze względów zasadniczych. Bez zachowania poprawności w stosunkach służbowych nie mógłby niczego wymagać od Guśkova, na którego niedbalstwo zwracał już uwagę kapitana).

— Guśkow! Mam taką sprawę. Przyjechał tu konwój z czterech ludzi, którzy już od jedenastu dni nie dostają przydziału żywności.

Guśkow gwizdnął w telefon.

— Ależ niedołągi!

— Tak im się zdarzyło. Trzeba im pomóc. Trzeba jakoś sprowadzić Czicziszowa i Samorukowa, żeby wydali im żywność.

— Ładna historia! Gdzie ich teraz szukać?

— Gdzie? W domu.

— Błoto do kolan, a ciemno jak u...

— Czicziszow mieszka niedaleko.

— Ale Samorukow! Aż za torami. Nie przyjdzie on za żadne skarby, towarzyszu poruczniku.

— Ale Czicziszow przyjdzie.

Buchalter Czicziszow był urzędnikiem wojskowym, rezerwistą. Miał wprawdzie na wyłogach cztery trójkąty, nikt jednak nie uważał go za wojskowego, ale za zwykłego buchaltera, starego już i zastygłego w rutynie. Czicziszow nie umiał nawet rozmawiać bez pomocy liczydła. „Która godzina? — pytał — Piąta?” I cyk! przesuwał na liczydłach pięć gałek, jak gdyby inaczej nie rozumiał. Tak samo pomagał sobie w rozważaniach. „Gdy ktoś jest sam (cyk! przesunął jedną gałkę), trudno mu żyć dlatego żeni się (cyk, drugą gałkę przesunął do pierwszej)”. Gdy od niecierpliwiejszej się i hałaśliwej kolejki oddzielało go zakratowane

okno z małym otworem do podawania kart żywnościowych, Czicziszow był nieugięty: krzychał na żołnierzy, odpychał ich ręce i zamykał okienko, aby nie wiało. Ale gdy znalazł się w tłumie lub gdy żołnierze wdarli się do jego biura, robił się mały, chował głowę w ramiona, mówił „bratku” i przykładał pieczętkę. Usłużny wobec przełożonych, nie umiał odmówić nikomu, kto miał kubiki na wyłogach. Punkt aprowizacyjny nie podlegał wprawdzie dyżurnemu zastępcy komendanta, ale Zotow przypuszczał, że Czicziszow mu nie odmówi.

— Ale Samorukow nie przyjdzie — upierał się Guśkow.

Samorukow również był tylko sierżantem, ale lekceważąco patrzył na poruczników. Zdrowy jak spasiony wilk, był po prostu magazynierem punktu aprowizacyjnego, ale zachowywał się z dostojnością zbliżał się do skrzyń sprawdzał plomby, otwierał zamki, podnosił wieka, ustawiał je na podpórkach, i jego gruba, niezłomna twarz miała taki wyraz, jak gdyby robił łaskę czekającym. Spieszący na pociągi żołnierze i inwalidzi tłoczyli się przed okienkiem, klnąc i odpychając się nawzajem, a Samorukow bez pośpiechu zakasywał rękawy po łokcie, odsłaniając tłuste ręce kielbaśnika, najspokojniej ważył produkty (nie dowoził na pewno!), nie troszcząc się bynajmniej o to, czy żołnierze zdążą na swoje pociągi. I kwaterę wybrał sobie umyślnie na odludziu, żeby go nikt poza godzinami służbowymi nie nagabywał, a gospodynię znalazł taką, co miała własny ogród i krowę.

Zotow na myśl o Samorukowie zatrzęsł się z gniewu. Ludzi tego typu nienawidził jak faszystów, uważając ich za wrogów równie niebezpiecznych. Nie mógł pojąć, dlaczego Stalin nie wydał ukazu, aby takich ludzi jak Samorukow rozstrzeliliwac na miejscu, o dwa kroki od skrzyń, w oczach czekającego tłumy.

„Nie, Samorukow nie przyjdzie” — myślał Zotow. Unosząc się gniewem i tchórząc jednocześnie przed magazynierem, porucznik nie ośmieliłby się zapewne go wzywać, gdyby konwojenci nie jedli dopiero od trzech lub pięciu dni. Ale jedenaście!

— Guśkow, nie posyłaj żołnierza, ale pójdz do niego sam. I nie mów mu, że jest czterech głodnych, ale że kapitan wzywa go śpiesznie przeze mnie. Zrozumiałeś? Niech zgłosi się do mnie, a ja już się z nim dogadam.

Guśkow milczał.

— No, czemu milczysz? Rozkaz zrozumiałeś? Powiedz „tak jest” i idź.

— A kapitana pytaliście?

— A tobie co do tego? Ja odpowiadam! Kapitana w tej chwili nie ma, wyszedł.

— Kapitan nie da takiego rozkazu — orzekł Guśkow. — Nie ma takiego przepisu, żeby plomby nocą zdejmować i nakładać znów dla dwóch bochenków chleba i trzech śledzi.

To była prawda.

— I skąd taki pośpiech? — ciągnął dalej Guśkow. — Niech do dziesiątej rano poczekaają. Wielka rzecz! Tylko jedna noc. Niech się położą na brzuchach i plecami nakryją.

— Ale ich pociąg odchodzi. Pociąg pośpieszny, szkoda ich odczepiać. Oni i bez tego już zapóźnieni. Ładunek ich jest gdzieś potrzebny, czekają nań.

— Jeżeli pociąg odchodzi, to Samorukow nie zdąży przyjść. Droga tam i z powrotem po błocie, nawet z latarnią, zajmuje nie mniej niż półtóry godziny, może dwie.

Guśkow miał rację...

Szczerniały od wiatru, w budiennowskim hełmie ze zwieszonymi nausznikami, Dygin zaciskając szczęki wpijał się wzrokiem w telefon. Usiłował odgadnąć, co mówi rozmówca na drugim końcu drutu. Wreszcie stracił nadzieję.

— I dziś nic z tego nie wyjdzie.

Zotow westchnął i nacisnął guzik, aby Guśkow go nie słyszał.

— Co robić, bratku? Dziś nic się nie da załatwić. Pojechałbyś do stacji Grjazi? Pociąg dobry, na rano będziesz na miejscu.

Byłby go może przekonał, ale Dygin wyczuł w nim pewne wahanie.

— Nie pojedę. Aresztujcie mnie, a nie pojedę.

Ktoś stukał w oszklone drzwi. Jakiś postawny obywatel ukazał się w nich. Na głowie miał wełniane kepi w czarne i szare kropki. Ukłonił się uprzejmie, widocznie stukał już od dłuższego czasu, ale porucznik go nie usłyszał.

— Proszę, proszę wejść — zawołał i włączył telefon. — No, dobrze, Guśkow. Połóż słuchawkę, ja się jeszcze zastanowię.

Mężczyzna w drzwiach nie od razu go zrozumiał, bo otworzył je szerzej i zapytał raz jeszcze:

— Czy można?

Głos przybyłego zwrócił uwagę Zotowa. Był to głos niski o bogatej barwie dźwiękowej, z lekka przytłumiony przez rodzaj szlachetnej dyskrekcji. Nieznajomy ubrany był w jakąś długą, ciężką cywilną kurtę o rudawym odcieniu i zbyt krótkich rękawach. Na nogach miał wojskowe buty i owijacze. W rękę trzymał niewielki worek wojskowy, mocno zniszczony. Drugą ręką zdjął swą wielką czapkę i ukłonił się.

— Dobry wieczór!

— Dobry wieczór.

Nieznajomy był bardzo uprzejmy, lecz zachowywał się z godnością, jak gdyby, zamiast dziwnego stroju, miał bardzo porządne ubranie.

— Proszę mi powiedzieć, kto tu jest wojskowym komendantem.

— Jestem jego dyżurnym pomocnikiem.

— Ja w takim razie do was.

Przybyły obejrzał się, szukając miejsca dla swej centkowanej czapki, i nie znajdując go wsunął ją pod pachę, wolną zaś ręką zaczął rozpinąć swą kurtę. Brakło przy niej kołnierza, ściślej mówiąc kołnierz był oderwany, wełniany szalik okrywał nagą szyję przybyłego. Spod rozpiętej kurty ukazał się wypłowiały i poplamiony letni mundur wojskowy; nieznajomy wziął się z kolei do rozpinania kieszeni bluzy.

— Zaczekajcie, zaczekajcie — wstrzymał go gestem Zotow i zwracając się do stojącego przed nim ponuro Dygina: — „Zrobię dla ciebie to, na co mojej władzy wystarczy. Każę zaraz wasze wagony odczepić. O dziesiątej rano zafasujecie wasz prowiant...

— Dziękuję — odparł Dygin, patrząc z wdzięcznością na porucznika.

— Nie dziękuj, bo postępujemy nieprzepisowo. Jechałeś z takim dobrym eszelonem, a teraz nie wiem, do czego cię przyczepią.

— Włeczmy się już dwa tygodnie. Dzień dłużej, dzień krócej — wszystko jedno — ożywił się Dygin. — Wiem, co wiozę.

— Nie — Zotow potrząsnął przecząco palcem. — My o tym sądzić nie możemy. — Tu obejrzał się na obcego, podszedł blisko do Dygina i powiedział mu szeptem: — Jeżeli wiesz, co wiesz, pomyśl sam! Ilu ludzi może okopać się twoimi łopatami? Dwie dywizje! A okopać się — to ocalić życie. Dwadzieścia tysięcy łopat — to życie dwudziestu tysięcy żołnierzy. Czy tak?

Zotow obejrzał się znów. Nieznajomy, widząc że przeszkadza odszedł pod ścianę i wolną ręką rozcierał na przemian jedno lub drugie ucho.

— Co, zmarzliście? — zapytał głośno Zotow.

Nieznajomy odwrócił się i uśmiechnął.

— Wiecie, strasznie pochłodziło. Wiatr szalony i jakiś mokry.

Wiatr istotnie świszcział ocierając się o róg budynku i dzwonił źle zakitowaną szybą w prawym oknie, pod storą. I woda mruzczała znów w zepsutej rynnie.

Na niegolonej od dawna twarzy nieznajomego jaśniał czujący, budzący sympatię uśmiech. Jego wielka głowa nie była ostrzyżona po wojskowemu, przy skórze; rosły na niej krótkie, miękkie, niezbyt gęste i przyprószone siwizną włosy.

Nieznajomy nie był podobny ani do wojskowych, ani do cywilów.

— Oto moja... — i podał porucznikowi przygotowany paperek.

— Zaraz, zaraz. — Zotow wziął paperek nie czytając go. — Siadajcie tymczasem. Może na tym krzesle. — I spojrzawszy na błazeński kaftan przybyłego, porucznik podszedł do stołu, zebrał razem książeczkę szyfrową z aktami i zamknął je w kasie. Potem skinął na Dygina i poszedł z nim do wojskowego kierownika ruchu.

Wala rozprawiała właśnie o czymś przez telefon, a ciocia Frosia, przycupnąwszy przy piecu, suszyła ubranie. Zotow zbliżył się do Podszebiakinej i wziął ją za rękę, w której trzymała słuchawkę.

— Waleczka...

Dziewczyna odwróciła się żywo i rzuciła mu figlarne spojrzenie; wydało się jej, że dotknął jej ręki w sposób szczególnie pieszczotliwy. Kończyła jednak zaczęłą rozmowę.

— Tysiąc drugi może już jechać dalej, żadnych spraw do niego nie mamy. Weź go na tambowski tor, Pietrowicz!

— Wala! Poślij przedziutko ciocię Frosię, żeby spisała albo po prostu pokazała spinaczom te cztery wagony. Ten oto młodszy sierżant z nią pójdzie. I niech kierownik ruchu odczepi je i przesunie do jutra.

Ciocia Frosia, nie wstając z miejsca, zwróciła do porucznika swą wielką, surową twarz i zacięła usta.

— Dobrze, Wasilij Wasiljewicz — uśmiechnęła się Wala, która bez potrzeby trzymała w powietrzu słuchawkę, jak długo porucznik dotykał palcami jej ręki. — Zaraz pośle.

— A ten tu zestaw postaraj się wyprawić z pierwszym wolnym parowozem.

— Dobrze — uśmiechnęła się radośnie Wala.

— To wszystko — rzekł porucznik do Dygina.

Ciocia Frosia westchnęła jak miech kowalski, chrząknęła i wstała.

Dygin w milczeniu podniósł rękę do skroni i zastygł w tej pozycji. Z zwisającymi nausznikami nie wyglądał na wojskowego.

— Świeżo zmobilizowany? Pewnie z robotników?

— Tak. — Dygin patrzył z wdzięcznością na porucznika.

— Przyśrubuj sobie trójkącik — Zotow wskazał palcem na pustą klapę szynelu sierżanta.

— Nie ma, złamał się.

— A nauszники albo zwiąż pod szyją albo podnieś.

— Gdzie teraz podnosić? — mruknęła ciocia Frosia. Na taki wiatr! Chodźmy, mileńki.

— Niech będzie. Szczęśliwej drogi! Jutro znajdziesz tu innego porucznika. Przyciśnij go, żeby cię wyprawił.

Zotow wrócił do siebie i zamknął drzwi. Przed czterema miesiącami on też nie miał pojęcia, jak zapinać pas, a salutowanie wydawało mu się czymś niedorzecznym i śmiesznym.

Na jego widok nieznajomy nie wstał wprawdzie z krzesła, ale zrobił ruch dający do rozumienia, że gotów jest wstać, jeżeli to będzie potrzebne. Plecak jego leżał teraz na podłodze, przykryty centkowanym kepi.

— Siedźcie, siedźcie — rzekł Zotow i usiadł za stołem. — O co chodzi? — I spojrzął na papierek.

— Ja... zgubiłem mój eszelon... — powiedział nieznajomy z zakłopotanym uśmiechem.

Zotow czytał: był to list dosyłkowy, wystawiony przez wojskowego komendanta stacji Rjażsk. Patrząc na nieznajomego zaczął mu dla kontroli zadawać pytania:

— Nazwisko?

— Twieritinow.

— Imię?

— Igor Diemientjewicz.

— Lat pewnie przeszło pięćdziesiąt?

— Nie, czterdzieści dziewięć.

— Jaki był numer waszego eszelonu?

— Nie mam pojęcia.

— Jak to? Czy numeru nie ogłaszano?

— Nie.

— To dlaczego tu jest numer? Czy wyście go sami podali?

(Był to eszelon numer 245413 jadący z Arczedy, ten sam, który Zotow wyprawił dalej ostatniej nocy).

— Nie. W Rjażsku powiedziałem, skąd i kiedy mój eszelon wyjechał, i komendant widocznie się domyślił.

— Gdzieście go zgubili?

— W Skopinie.

— Jak to się stało?

— Jeżeli mam być zupełnie szczerzy — i ten sam zakłopotany uśmiech pojawił się na jego grubych wargach — poszedłem wymienić trochę garderoby na jakiś prowiant... A pociąg tymcza-

sem odjechał. Pociągi teraz odjeżdżają tak cicho, bez gwizdków, dzwonek, bez radia.

— Kiedy to się stało?

— Przedwczoraj.

— I nie mogliście do dopędzić?

— Najwidoczniej nie. A zresztą jak dopędzać? Na otwartych wagonach — deszcz. Na platformach — tych, wiecie, z drabinkami — wiatr straszny, i wartownicy spędzają z nich. Do ciepłuszek nie wpuszczają: albo nie mają prawa brać pasażerów, albo nie mają miejsca. Raz tylko widziałem takie cudo jak pociąg osobowy. Konduktorzy stali w nim po dwóch na schodkach i po prostu spychali ludzi, żeby nie chwytały się poręczy. Do towarowego, kiedy już jest w ruchu, wsiadać za późno, a dopóki stoi bez parowozu, trudno zgadnąć, w którą stronę pojedzie. A pytać nikogo nie można, bo wezmą za szpiega, zwłaszcza gdy się jest w takim ubraniu...

— Podczas wojny — oczywiście.

— Już i przed wojną tak było.

— Nie zauważyłem.

— Było — Twieritinow z lekka przymrużył oczy — zwłaszcza po trzydziestym siódmym.

— Po trzydziestym siódmym? — zdziwił się Zotow. — A co było w trzydziestym siódmym? Wojna hiszpańska?

— Nie, ja nie o tym... — Twieritinow spuścił oczy z tym samym zakłopotanym uśmiechem.

— Miękki szalik jego rozwiązał się i w rozpiętej kurtce zwisał mu poniżej pasa.

— Czemu nie jesteście w mundurze? Gdzie jest wasz szynel?

— Szynela w ogóle nie miałem. Nie wydano go.

— A skąd macie tę... świtkę?

— Dobrzy ludzie dali.

— Hm... tak. — Zotow zamyślił się. — Muszę przyznać, że jechaliście dość szybko. Wczoraj rano byliście w Rjażsku, a dziś wieczorem już tu. Jakaście to zrobili?

Twieritinow patrzył na Zotowa swymi wielkimi, ufnymi oczyma. Jego sposób mówienia wydawał się porucznikowi szczególnie ujmujący. Twieritinow robił pauzy, gdy wydawało mu się, że rozmówca chce coś powiedzieć, i unikając gestykulacji podkreślał znaczenie słów niewielkimi ruchami palców.

— Miałem wyjątkowe szczęście. Na jakiejś stacji wysiadłem z mego „półwagonu”. W ciągu tych dwóch dni starałem się zorientować w kolejowej terminologii. Wyobrażałem sobie, że „półwagon” musiał mieć w sobie coś z wagonu, chociażby

pół dachu. Wszedłem więc po drabinie do środka, a tam był po prostu żelazny dół, pułapka, ani gdzie sięś, ani o co się oprzeć. Przedtem trzymano tam węgiel, i ruch pociągu wzbijał obłok czarnego pyłu. Ładnie trafiłem! Do tego zaczął padać deszcz.

— I to było to wyjątkowe szczęście? — zaśmiał się głośno Zotow. — Nie rozumiem. To tam usmoliliście ubranie!

Gdy się śmiał, dwie grube, dobroduszne fałdy zarysowywały mu się po obu stronach ust, w kierunku szerokiego nosa.

— Poszczęściło mi się, kiedy wygrzebałem się wreszcie z „półwagonu”, otrząsałem kurz i umyłem się. Patrzę, a tu parowóz przyczepiono właśnie do jakiegoś pociągu idącego na południe. Biegnę wzdłuż wagonów — wszystkie drzwi zaplombowane. Nagle widzę jakiegoś towarzysza, który wyskoczył na tor z pilną potrzebą i wraca do otwartego, zimnego wagonu. Ja — za nim, a tam, wyobraźcie sobie, cały wagon pełen watowanych kołder!

— I nie zaplombowany?

— Nie! Kołdry, jak można się było domyśleć, były pierwotnie powiązane w toboły po pięć czy dziesięć sztuk. Potem część ich rozwiązano i można się było w nie zagrzebać. Kilku już tam spało.

— Aj, aj, aj!

— Zawinałem się w trzy czy cztery kołdry i spałem świetnie przez całą dobę. Jechaliśmy czy staliśmy — nic nie pamiętam. Od trzech dni już nie dostaję żywności, więc spałem i spałem. Zapomniałem o wojnie i okrażeniu... Sniła mi się moja rodzina...

I jego nieogolona, zniszczona twarz rozjaśniła się w uśmiechu.

— Stop! — Zotow zerwał się z krzesła. — To było w ostatnim pociągu? Kiedy przyjechaliście tu?

— Teraz, przed kilku minutami... Przyszedłem natychmiast do was.

Zotow rzucił się do drzwi i otworzył je silnym pchnięciem.

— Wala! Wala! Ten przechodni transport na Bałaszow, numer tysiąc i coś...

— Tysiąc dwa.

— Czy jeszcze tu jest?

— Nie, odszedł.

— Na pewno?

— Na pewno.

— Ach, diabli! — Zotow złapał się za głowę. — Siedzimy tu, biurokraci przekłeci, papierki przerzucamy, nic nie widzimy, chleb darmo jemy! Połącz się ze stacją Miczurinsk-Uralskij!

I wróciwszy do siebie zapytał Twieritinowa:

— Numeru wagonu nie pamiętacie?

— Nie — uśmiechnął się zapytany.

— Wagon był dwu czy czteroosiowy?

— Ja się na tym nie znam.

— Jak to nie znacie się? Czy był duży czy mały? Na ile ton?

— Był jeden z tych, o których podczas wojny domowej mówiono „czterdziestu ludzi, osiem koni”.

— Więc szesnastotonowy. A konwoju nie było?

— Jak gdyby nie.

— Wasilij Wasiljewicz! — wołała Wala. — Wojskowy kierownik ruchu na linii. Chcieliście z komendantem?

— Może i nie z nim. Ładunek nie wygląda na wojskowy.

— Pozwolicie, żebym wyjaśniła sama?

— Wyjaśniajcie, Wala. Kołdry te być może po prostu ewakuowano, diabli to wiedzą. Niech obejdą pociąg, znajdą ten wagon, sprawdzą jego przeznaczenie, zaplombują — słowem niech się tym zajmą.

— Dobrze, Wasilij Wasiljewicz.

— Bądźcie łaskawi to załatwić, Wala. Nieoceniona z was współpracownica.

Wala uśmiechnęła się doń. Loki posypały się na jej czoło.

— Hallo! Miczurinsk-Uralskij?

Zotow zamknął drzwi i, wciąż jeszcze wzburzony, chodził po pokoju uderzając pięścią o pięść.

— Roboty wyżej uszu — „okał”. — I pomocnika nie ma! Kołdry mogą jak nic rozkraść! Manko, być może, już jest!

Chodził przez chwilę z kąta w kąt, wreszcie usiadł. Zdjął okulary i przetarł je szmatką. Energiczny wyraz i bystre spojrzenie znikły, i bez zielonej czapki twarz jego wydawałaby się dziecinna.

Twieritinow czekał cierpliwie. Z obojętnością obejrzał po kolei zaciemniające stary, kolorowy portret Kaganowicza w mundurze marszałka kolejowego, piec, wiadro i śmietniczkę. Kurtka osypana pyłem węglowym ciążyła mu w ogrzonym pokoju. Odrzucił ją na ramiona i zdjął szalik.

Porucznik włożył okulary i wziął się znów do czytania listu dosyłkowego. List ten w istocie nie był żadnym dokumentem. Wystawiony został na podstawie danych, dostarczonych przez petenta, które mogły być równie dobrze prawdziwe jak kłamliwe, Instrukcja nakazywała mu odnosić się z największą ostrożnością do okrażeniów, zwłaszcza pojedynczych. Twieritinow nie mógł dowieść, że oddzielił się od eszelonu w Skopinie a nie, na przykład, w Pawelcu i że w międzyczasie nie był w Moskwie czy gdzie indziej dla wykonania jakiegoś zadania.

Na korzyść jego przemawiała okoliczność, że tak szybko dojechał do Kreczetowki.

Zresztą, gdzie dowód, że należał do tego właśnie eszelonu?

— Nie marzcie więc w drodze?

— Oczywiście. Z przyjemnością jechałbym tak dalej.

— Dlaczego więc wysiedliście?

— Żeby zameldować się u was. Tak mi nakazano w Rjażsku.

Rysy Twieritinowa były wyraziste: szerokie i wysokie czoło, brwi krzaczaste, nos wydatny; równa, szara szczecina pokrywała policzki i brodę.

— Skąd wiedzieliście, że to Kreczetowka?

— Jakiś Gruzin, śpiący obok, powiedział mi.

— Wojskowy? Jakiej rangi?

— Nie wiem, z kołder wystawała mu tylko głowa.

Twieritinow odpowiadał głosem coraz smutniejszym, jak gdyby z każdą odpowiedzią ponosił jakąś stratę.

— Tak. — Zotow odłożył list dosyłkowy. — Czy macie jakieś inne dokumenty?

— Żadnych — smutno uśmiechnął się Twieritinow. — Skądże mógłbym je mieć?

— Doprawdy żadnych?

— W okrążeniu niszczyliśmy umyślnie, co tylko kto miał.

— Ale potem, kiedy przeszliście na sowieckie terytorium, dano wam pewnie jakieś papiery.

— Żadnych. Zapisywano nas na listę, dzielono na grupy po czterdziestu ludzi i wysyłano dalej.

Tak się to zapewne odbywało. Kto nie odskoczył, należał do czterdziestki, i żadne dokumenty nie były mu potrzebne.

Zotow chciał jednak, aby jego mimowolna życzliwość dla tego dobrze wychowanego, o szlachetnych rysach człowieka znalazła potwierdzenie w jakichś dowodach materialnych.

— Choć cokolwiek! Może jakieś papierki zostały jednak w waszych kieszeniach.

— Chyba tylko fotografie... rodziny.

— Pokażcie! — nie nakazywał, ale prosił porucznik.

Twieritinow uśmiechnął się swoim zakłopotanym lub nie znajdującym sobie wyrazu uśmiechem, po czym z tejże kieszeni bluzy (u drugiej brakło guzika) wyjął płaski pakiecik, zawinięty w mocny, pomarańczowy papier. Położył go na kolanach, rozwinął, wyjął dwa zdjęcia 9x12, spojrzął na jedno i drugie, po czym podniósł się, aby wręczyć je komendantowi. Krzesło jego stało niedaleko od stołu, i Zotow pochylił się, aby wziąć fotografie. Gdy je oglądał. Twieritinow, trzymając wciąż na kola-

nach rozwinięty papier, wyprostował plecy, starając się widzieć z daleka fotografie.

Jedna z nich przedstawiała stojącą w małym ogródku czternastoletnią dziewczynkę w szarej, wciętej sukience w paski. Zdjęcie zrobione było widocznie wczesną wiosną, bo liście były jeszcze nierozwinięte i korony drzew przejrzyste. Z otwartego kołnierza sukienki wysuwała się długa, chuda szyja; twarz dziewczynki była też szczupła, delikatna, na zdjęciu oczywiście nieruchoma, lecz jak gdyby czymś niespodzianie zaskoczona. W zdjęciu tym było coś niedojrzałego, niedomówionego, niewesołego zarazem i wzruszającego.

Dziewczynka podobała się bardzo porucznikowi. Usta jego straciły swój surowy wyraz.

— Jak ma na imię? — zapytał półgłosem.

Twieritinow siedział z zamkniętymi oczyma.

— Lala — powiedział jeszcze ciszej i otwierając oczy poprawił: — Irena.

— Kiedy zdjęcie było zrobione?

— Tego roku.

— Gdzie?

— Pod Moskwą.

Pół roku! Pół roku minęło od chwili, gdy dały się słyszeć słowa: „Lalu, uwaga” i potem szelest dokonywanego zdjęcia. Od tej chwili dziesiątki tysięcy luf grzmiały bez ustanku, miliony czarnych słupów podniosły się z ziemi i miliony ludzi nie przestały kręcić się w jakiejś piekielnej karuzeli, pędząc piechotą z Litwy i pociągami z Irkucka. I teraz — na tej stacji, gdzie wśród wiatru, deszczu i śniegu jedni męczą się w wagonach, drudzy zaś krzątają się po czarnych polach i nocą układają się na nich do snu — czy można uwierzyć, że gdzieś istnieje ten ogród, ta dziewczynka i ta sukienka?

Na drugim zdjęciu kobieta i chłopczyk siedzieli na kanapie i przeglądali ilustrowaną książkę wielkiego formatu. Matka była też szczupła, delikatna, zapewne wysoka, a siedmioletni synek z mądrym — och, jak mądrym — wyrazem na okrągłej twarzy patrzył nie w książkę, ale na matkę, która mu coś tłumaczyła.

Wszyscy w tej rodzinie byli jacyś dziwnie wytworni. Zotow nigdy w takich rodzinach nie był, ale fragmenty spostrzeżeń, wyniesionych z Tretjakowskiej Galerii, z teatru i lektur, sumując się w jego pamięci, zastawiły mu przeświadczenie, że takie rodziny istnieją. Ich mądra intymność owiała w tej chwili porucznika.

Zwracając fotografie powiedział:

— Wam pewnie gorąco tu. Rozbierzcie się.

— Dobrze — odpowiedział Twieritinow i zdjął kurkę wahając się, gdzie ją położyć.

— Tu, na kanapie — wskazał mu ręką Zotow i zrobił ruch, jak gdyby chciał mu pomóc.

Na letnim mundurze Twieritinowa ukazały się łaty i dziury, różnorodność guzików i brak umiejętności w obchodzeniu się z owijaczami, które obsuwały się, i których końce zwisały na zewnątrz. Strój ten zdawał się drwić z jego wielkiej, siwej głowy.

Zotow nie hamował więcej swej sympatii dla tego zrównoważonego człowieka, który nie darmo ujął go sobie od pierwszego wejrzenia.

— A czym jesteście z zawodu? — spytał go z uczuciem szacunku. Twieritinow, który ze smutną miną zawiązał fotografie w pomarańczowy papier, uśmiechnął się jak gdyby do swej odpowiedzi:

— Aktorem.

— Tak? — zawołał ze zdumieniem Zotow. — Jak ja się tego od razu nie domyśliłem? Jesteście uderzająco podobni do aktora!

(W tej chwili podobieństwo to było raczej oddalone).

— ...zapewne zasłużony (5).

— Nie.

— Gdzie graliście?

— W Dramatycznym, w Moskwie.

— W Moskwie byłem tylko raz w Mchacie (6), jeździliśmy tam z wycieczką. W Iwanowie za to bywałem często. Znacie nowy teatr w Iwanowie?

— Nie.

— Z zewnątrz taki sobie, szare pudło, żelazobetonowy styl, ale wewnątrz wspaniały! Bardzo lubiłem chodzić do teatru. To nie jest tylko rozrywka, w teatrze można się też czegoś nauczyć, nieprawdaż?

(Akty dotyczące zbombardowanego pociągu krzyczały oczywiście, że należy się nimi śpiesznie zająć, ale ta sprawa wymagała całych dwóch dni pracy, a tymczasem miło było zapoznać się i porozmawiać godzinę z wielkim artystą).

— W jakich graliście rolach?

— W wielu — niewesoło uśmiechał się Twieritinow. — W ciągu tylu lat... Nie potrafię wyliczyć.

— Ale tak, dla przykładu.

(5) Tytuł honorowy, nadawany aktorom.

(6) Moskiewski Teatr Artystyczny.

— Powiedzmy... podpułkownika Wierszinina... doktora Ranka...

— Hm... hm... (Zotow nie pamiętał takich ról). W sztukach Gorkiego graliście?

— Oczywiście. Obowiązkowo.

— Sztuki Gorkiego lubię nade wszystko. I w ogóle Gorkiego. To nasz najmądrzejszy, najbardziej ludzki i najlepszy pisarz. Nieprawdaż?

Twieritinow poruszył brwiami, jak gdyby szukał odpowiedzi, i, nie znalazłszy jej, milczał.

— Wasze nazwisko wydaje mi się w tej chwili znane. Czy nie należycie do „zasłużonych”?

— Gdybym był „zasłużonym” — Twieritinow rozłożył ręce — nie byłbym teraz zapewne tu.

— Dlaczego?... Ach, oczywiście, nie bylibyście zmobilizowani.

— Nas w ogóle nie mobilizowano. Zaliczaliśmy się do pospolitego ruszenia. Do wojska zgłosiliśmy się jako ochotnicy.

— Dobrze, ale zasłużeni pewnie zgłaszali się też.

— Zgłaszali się wszyscy, zaczynając od głównych reżyserów. Ale potem ktoś położył na liście zgłoszonych kreskę. Kto był powyżej kreski — został, kto poniżej — poszedł.

— Czy szkolono was wojskowo?

— Przez kilka dni. Z kijami w ręku uczyliśmy się bić na bagnety i rzucaliśmy drewniane granaty.

Twieritinow patrzył na podłogę tak nieruchomo, że oczy jego wydawały się szklane.

— Potem jednak uzbrojono was?

— Tak. Byliśmy już w marszu, kiedy rozdzielono między nas karabiny typu dziewięćdziesiątego pierwszego roku. Do samej Wiaźmy szliśmy pieszo, a pod Wiaźmą wpadliśmy do kotła.

— Wielu przy tym zginęło?

— Tak mi się zdaje. Najwięcej zapewne dostało się do niewoli. Nasza niewielka grupka przyłączyła się do oddziałów frontowych i te wyprowadziły nas z okrążenia. Nie mogę sobie wyobrazić, gdzie teraz jest front. Czy macie tu mapę?

— Mapy nie mam, komunikaty są niejasne, mogę wam tyle powiedzieć, że Sewastopol z kawałkiem jeszcze nasz, Taganrog — nasz, Donbas trzymamy, a Oriol i Kursk są już w ich rękach...

— Ojoj! A pod Moskwą?

— Pod Moskwą — nie można zrozumieć, co się tam dzieje. Komunikaty wymieniają miejscowości niemal podmiejskie. A Leningrad w ogóle odcięty.

Górna część twarzy Zotowa pokryła się zmarszczkami cierpienia.

— A ja nie mogę się dostać na front!

— Jeszcze tam traficie.

— Chyba jeżeli wojna potrwa dłużej niż rok.

— Byliście studentem?

— Tak. Właściwie broniliśmy naszych dyplomowych prac przed komisją w pierwszych dniach wojny. Nie była to już prawdziwa obrona. Prace te mieliśmy złożyć w grudniu. A tu mówią nam: bierzcie, co kto ma, rysunki, obliczenia i jazda! — Zotow czuł się ożywiony, swobodny, i chciałoby mu się wszystko naraz opowiedzieć. — A zresztą przez całe te pięć lat... Franco zbuntował się, kiedy wstąpiłem do instytutu! Potem przyszła kapitulacja Austrii i Czechosłowacji! Zaraz potem początek wojny światowej! I fińskiej! Najazd Hitlera na Francję, na Grecję, na Jugosławię! Czy w takim nastroju mogliśmy na serio uczyć się budowy maszyn prądniczych? Ale nie o to chodzi! Po obronie prac dyplomowych chłopców wysłano od razu na kursy przy Akademii Motoryzacji i Mechanizacji. Mnie nie przyjęto z powodu krótkowzroczności. Dobijałem się do Komisarjatu Wojny każdego dnia, miałem w tym pewną wprawę z trzydziestego siódmego roku... Osiągnąłem tyle, że odkomenderowano mnie do Akademii Intendentury. Dobre i to. Z tym papierem pojechałem do Moskwy i zaraz do Narkomatu Obrony. Doprosiłem się tam do jakiegoś starego pułkownika, który strasznie się śpieszył, zamykał właśnie swoją teczkę. Tak i tak, mówię, jestem inżynierem i nie chcę do intendentury. „Pokażcie dyplom”. A dyplomu przy sobie nie miałem... „No dobrze, zadam ci jedno pytanie. Jeżeli odpowiesz — jesteś inżynierem. Co to jest ekscentryk?”. A ja mu recytuję jak z nut: „Urządzenie osadzone na osi obrotowej w kształcie krążka, który...”. Pułkownik wykreślił słowa „Akademia Intendentury” i napisał „Akademia Transportowa”. A ja triumfuję! Idę do Akademii Transportowej, a tam nowych kandydatów nie przyjmują, są tylko kursy dla wojskowych komendantów. I ekscentryk mi nie pomógł!

Wasia wiedział, że nie czas wspominki i pogawędki, ale rzadka okazja wywnętrzenia się przed uważnym i inteligentnym człowiekiem była zbyt wielką pokusą.

— Wy na pewno palicie — przypomniał sobie. — Zapalcie, proszę... — tu spojrzął na list dosyłkowy — ...Igor Diemientjewicz. Macie tu tytoń i papier. Dostaję je w przydziale, a sam — niepalący.

— Palę — przyznał się Igor Diemientjewicz i rozpromienił się na myśl o papierosie. Wstał, nachylił się nad paczką, nie

skręcił jednak papierosa od razu, lecz przez chwilę wdychał zapach tytoniu i jak gdyby z cicha jęknął. Przeczytał nazwę tytoniu i pokręcił głową: ormiański...

Skręcił wreszcie grubego papierosa i skleił językiem brzegi papieru, a Wasia podał mu płonąca zapałkę.

— W wagonie z watowanymi kołdrami nie palił nikt? — informował się Zotow.

— Nie zauważyłem. — Twieritinow, zupełnie szczęśliwy, oparł się wygodnie o poręcz krzesła. — Pewnie nikt nie miał tytoniu.

Palił przez chwilę ze zmrużonymi oczyma, po czym wrócił do wątku rozmowy:

— Wspominaliście coś o trzydziestym siódmym...

— Pamiętacie pewnie ówczesną sytuację — mówił z ożywieniem Zotow. Wojna toczy się w Hiszpanii! Faszyci w Uniwersyteckim Miasteczku! Brygada międzynarodowa! Guadalajara, Jorramą, Teruel! Czy można usiedzieć na miejscu? Żądamy, żeby uczono nas hiszpańskiego, lecz nie — uczą nas niemieckiego. Dostaję podręcznik, słownik, zaniedbuję kolokwia i egzaminy — uczę się hiszpańskiego. Wyczuwam z całej sytuacji, że bierzemy w tym jakiś udział, a zresztą sumienie rewolucyjne nie pozwala mi patrzeć obojętnie. Ale w gazetach o tym ani słowa! Jak więc się tam dostać? Przekradać się do Odessy i szukać miejsca na statku byłoby oczywiście dziecinny wybrykiem, a zresztą i straż pograniczna nie puści. Idę więc kolejno do naczelników czwartej, trzeciej, drugiej i pierwszej sekcji wojskowego komisarjatu: wyślijcie mnie do Hiszpanii! A oni śmieją się: zwariowałś, tam nikogo z naszych nie ma, co ty tam będziesz robił?... Wiecie co? Widzę, jak wy lubicie palić. Weźcie tę całą paczkę. Trzymam ją tu tylko dla gości, a mam jeszcze tytoń w domu. Nie, nie, proszę was bardzo, włóżcie ją do plecaka i zawiążcie, wówczas uwierzę. Tytoń teraz służy za przepustkę i przyda się wam w drodze... I nagle, wyobraźcie sobie, czytam w „Czerwonej gwiazdzie” — przeglądałem wówczas wszystkie gazety — artykuł cytujący francuskiego dziennikarza, który między innymi pisze: „Niemcy i ZSRR traktują Hiszpanię jako poligon doświadczalny”. Lubię dokładność, wypożyczyłem więc w bibliotece ten numer i przeczekałem trzy dni, czy nie będzie zaprzeczenia. Nie było go. Idę zatem do samego wojenkoma i mówię: „Przeczytajcie. Zaprzeczenia nie było, jest więc faktem, że my tam wojujemy. Proszę wysłać mnie do Hiszpanii jako prostego strzelca”. A wojenkoma jak nie walnie pięścią w stół: „Nie prowokujcie mnie! Kto was do mnie podesłał? Jak będzie trzeba — powołają i was. Na prawo zwrot!”



I Wasia roześmiał się serdecznie wspominając tę historię. Od śmiechu fałdy pojawiły się znów dokoła jego ust. Poczuł się bardzo dobrze z tym artystą i chciał mu opowiedzieć jeszcze o przyjeździe hiszpańskich marynarzy i o tym, jak do nich po hiszpańsku przemawiał, chciał dowiedzieć się odeń bliższych szczegółów o okrążeniu i w ogóle porozmawiać z mądrym człowiekiem o biegu wojny.

Ale Podszebiakina uchyliła drzwi.

— Wasilij Wasiljewicz, kierownik ruchu pyta, czy macie coś dla siedemset dziewięćdziesiątego czwartego. Jeżeli nie, damy go na przelotowy tor.

Zotow rzucił okiem na rozkład jazdy.

— Który to jest? Ten na Powarino?

— Tak.

— Czy jest już tu?

— Nadejdzie za dziesięć minut.

— Wojskowego ładunku niewiele. Co tam jest jeszcze?

— Towary przemysłowe i kilka ciepłuszek pasażerskich.

— Ach, to świetnie! Świetnie! Igor Diemientjewicz, umieść was w tym pociągu. Dla was to dobry pociąg, nie potrzebujecie się przesiadać. Nie, Wala, nasze towary są wszystkie przechodnie, możecie go dać na przelotowy. Powiedz, żeby go dali tu bliżej, na pierwszy lub drugi peron.

— Dobrze, Wasilij Wasiljewicz.

— Wiadomości o kołdrach przekazałaś?

— Najdokładniej, Wasilij Wasiljewicz.

I wyszła.

— Szkoda tylko, że nie mam czym was nakarmić. Nie stało mi nawet jednego sucharka. — Zotow otworzył szufladę jak gdyby przypuszczał, że jakiś sucharek może się jednak znaleźć. Ale przydział jego był jak wszystkie przydziały, i chleb przynoszony na dyżur Wasia zjadał już z rana. — Wy przecież, od kiedy zgubiliście wasz eszelon, nic nie jedliście?

— Nie troszczcie się o to, Wasilij Wasiljewicz. — Twieritinow przyłożył otwartą jak wachlarz dłoń do swej brudnej bluzy o różnobarwnych guzikach. — Odtajałem u was, dosłownie i przenośnie. Jesteście bardzo dobrzy. W takich ciężkich czasach to się szczególnie ceni. Teraz zorientujcie mnie, proszę, dokąd mam jechać i co mam dalej robić?

— Na początek — z przyjemnością tłumaczył Zotow — dojedźcie do stacji Grjazi. Szkoda, że nie mam mapy. Czy macie pojęcie, gdzie to jest?

— Nie bardzo... Nazwę tę gdzieś już, zdaje się, słyszałem.

— To jest znana stacja! Jeżeli przyjedźcie tam za dnia.

idźcie z tym waszym listem — odnotuję na nim, żeście się do mnie zgłosili — idźcie do wojskowego komendanta, a on napisze zarządzenie do punktu aprowizacyjnego, żeby wydano wam na kilka dni żywność.

— Serdecznie wam dziękuję.

— Jeżeli przyjedźcie nocą, nie wysiadajcie, trzymajcie się tego pociągu. Ładnie byście wyglądali w waszych kołdrach, gdybyście się na czas nie obudzili; zajechalibyście diabli wiedzą dokąd... Ze stacji Grjazi pociąg pojedzie na Powarino, ale i tam nie wysiadajcie, chyba tylko do punktu aprowizacyjnego, ale nie zostańcie tam na stacji! Pociąg dowiezie was do Arczedy, a do tej właśnie stacji skierowany był wasz eszelon numer dwieście czterdzieści pięć czterysta trzydzieści.

I wręczył mu list dosyłkowy, który Twieritinow schował znów do jedynej zapinającej się kieszeni bluzy.

— Arczeda? Tej nazwy nigdy jeszcze nie słyszałem. Gdzie to jest?

— Będziecie tam już niedaleko od Stalingradu.

— Od Stalingradu. — Twieritinow skinął głową, zmarszczył czoło i jak gdyby w roztargnieniu zapytał:

— Powólcie... Stalingrad... jak on się przedtem nazywał?

W Zotowie coś trzasło i pochłodziło! Niemożliwe! Sowiecki człowiek nie zna Stalingradu! To jest niemożliwe! Niemożliwe! To się nie mieści w głowie!

Potrafił się jednak opanować i zachować równowagę. Poprawił okulary i odpowiedział prawie spokojnie:

— Przedtem nazywał się Carycyn.

(A więc nie okrążenie, ale przysłany agent. Zapewne biały emigrant, stąd ma takie maniery).

— Prawda, prawda — Carycyn. Obrona Carycyna.

(Czy nie przebrany oficer? Pytał o mapę... Ale z tym swoim przyodziewkiem mocno przesadził).

Wrogie słowo „oficer”, dawno już wyszłe z użycia w rosyjskim języku i wymówione przezeń tylko w myśli, ukłuło go jak bagnet.

(Ależ dałem się nabrać! Ależ dałem się nabrać! Spokój przede wszystkim. Czujność. Co teraz robić? Co robić?).

Zotow nacisnął guzik telefonu polowego.

Trzymał długo słuchawkę w nadziei, że kapitan podniesie swoją.

Ale kapitan nie odpowiadał.

— Wasilij Wasiljewicz, mnie jednak wstyd obierać was z tytoniu.

— Nie szkodzi, bardzo proszę — odrzucił Zotow.

(Też wyskoczyłem z tym tytoniem. Wdzięcznyłem się do wroga, nie wiedziałem sam, czym go ugościć).

— No to pozwólcie, że jeszcze raz u was nadymię. A może mam wyjść?

(Wyjść? Zamiar przejrzysty. Zrozumiał, że strzelił byka, i chciałby zniknąć).

— Nie, nie. Palcie tu. Lubię tytoniowy dym.

(Co tu wymyślić? Co zrobić?).

— Nacisnął trzykrotnie guzik. Ktoś zdjął słuchawkę.

— Wartownik. Słucham.

— Tu mówi Zotow.

— Słucham, towarzyszu poruczniku.

— Czy Guškow tam gdzieś jest?

— Wyszedł, towarzyszu poruczniku.

— Jak to wyszedł? Co znaczy wyszedł? Zróbcie, żeby za pięć minut był na miejscu.

(Łotr — poszedł do baby).

— Tak jest.

(Co tu wymyślić?).

Zotow wziął ćwiartkę papieru i zasłaniając ją od Twieritinowa napisał dużymi literami: „Wala, wejdźcie do nas i powiedźcie, że 794 ma godzinę spóźnienia”.

Złożył papier i przez uchylone drzwi podał go Wali.

— Towarzyszko Podszebiakina! Weźcie, to dotyczy tego transportu.

— Jakiego, Wasilij Wasiljewicz?

— Numer jest tam napisany.

Podszebiakina zdziwiła się, wstała i wzięła kartkę. Zotow, nie czekając dłużej, wrócił do siebie.

Twieritinow już się ubierał.

— Nie przegapimy pociągu? — Zapytał z życzliwym uśmiechem.

— Nie, nas tu uprzedzą.

Zotow przeszedł się kilka razy po pokoju, nie patrząc na Twieritinowa. Wyglądził fałdy bluzy na plecach, pod ramię, i przesunął rewolwer z pleców na prawy bok. Poprawił na głowie zieloną czapkę. Nie znajdował nic do zrobienia i nic do powiedzenia.

Zotow nie umiał kłamać.

Gdyby chociaż tamten coś mówił, ale Twieritinow skromnie milczał.

W rynnie za oknem pomrukiwała woda, rozpylana przez wiatr.

Porucznik stanął przy stole i oparłszy rękę o jego róg przyglądał się palcom.

(Aby nie dać nic poznać po sobie, powinien był patrzeć na Twieritinowa jak przedtem, ale nie umiał się do tego zmusić).

— A więc, za kilka dni święto! — powiedział i wyteżył uwagę.

(Zapytaj, zapytaj teraz, jakie święto? a znikną ostatnie wątpliwości).

Ale gość odezwał się:

— Ta-ak...

Porucznik podniósł nań wzrok. Twieritinow kiwał głową i palił.

— Ciekawe, czy będzie parada na Czerwonym Placu?

(Jaka tam parada! Zotow nie myślał o niej wcale i mówił tak po prostu dla wypełnienia czasu).

Ktoś zastukał do drzwi.

— Czy można, Wasilij Wasiljewicz? — Wala wsunęła głowę w uchylone drzwi. Na jej widok Twieritinow schylił się po plecak. — Siedemset dziewięćdziesiąty czwarty zatrzymano między stacjami. Przyjdzie z godziną opóźnienia.

— Ach, jaka szkoda! (Własny głos wydał mu się nieznośnie fałszywy). Dobrze, towarzyszeko Podszebiakina.

Wala znikła.

Za oknem, zupełnie blisko, na pierwszym peronie dało się słyszeć sapanie parowozu i coraz powolniejszy stukot wagonów; w pokoju odczuwało się drżenie ziemi.

— Cóż robić? — myślał głośno Zotow. — Muszę teraz iść na punkt aprowizacyjny.

— To ja wyjdę. Pójdę, dokąd chcecie, bardzo chętnie — zgodził się z pośpiechem Twieritinow i wstał z krzesła, trzymając plecak w rękę.

Zotow zdjął z gwoźdźnia szynel.

— Po co macie marznąć? Do poczekalni nie dostaniecie się, tam śpią pokotem na podłodze. Czy nie przeszlibyście się ze mną do punktu aprowizacyjnego?

Słowa te wydały mu się tak mało przekonywujące, że dodał, czując jak się rumieni:

— Być może... potrafię tam... dostać wam coś do jedzenia.

— To byłoby z waszej strony szczytem dobroci. Nie śmiałbym was nawet o to prosić.

Zotow odwrócił się, rzucił okiem na stół, dotknął zamka kasy ogniotrwałej i zgasił światło.

— No to chodźmy.

W drzwiach Zotow odwrócił się do Wali.

— Jeżeli zadzwonią z telegrafu, powiedz, że niedługo wrócę.

Twieritinow szedł przed nim w swym błazeńskim kaftanie i osuwających się owijaczach.

Przez zimny, ciemny korytarzyk, oświetlony niebieską lampką, wyszli obaj na peron.

Wprost przed nimi na pierwszym peronie stał pociąg. Był cały czarny, nieco ciemniejszy od nieba, dzięki czemu można było odgadnąć kształty wagonów. Z lewa pod parowozem dyszał ogniem popielnik; na plant sypał się gorący i świecący popiół, szybko znoszony przez wiatr. Jeszcze dalej zielona, świecąca tarcza zdawała się wisieć na niczym. Z prawa, bliżej końca pociągu ogniste iskry tryskały nad dachami wagonów. W stronę tych życiodajnych isker śpieszyły ciemne sylwetki podróżnych, przeważnie kobiet. Ciężkie oddechy ludzi, uginających się pod jakimś ciężarami, zlewały się razem. Ciągnięto za ręce płaczące i milczące dzieci. Jakies dwie zadyszane postacie potrąciły Zotowa, dźwigając coś w rodzaju ogromnego kufra. Inni ciągnęli jak toboł coś jeszcze cięższego, zgrzytającego po peronie. (Teraz właśnie, kiedy podróże wymagały nieludzkich wysiłków, wszyscy wozili ze sobą niemowlęta, staruszki, gigantyczne worki, kosze rozmiarów kanapy i kufry wielkości komody).

Gdyby nie żarzący się popiół parowozu, semafor i iskry wylatujące z kominów ciepłuszek, trudno byłoby uwierzyć, że jest tu stacja, na której skrzyżowały się dwa pociągi, a nie czyste, czarne pole lub ciemna puszcza, powoli przygotowująca się do nadchodzącej zimy.

W ciemności słychać było szcęk spinanych wagonów, trąbkę zwrotniczego, sapanie dwóch parowozów i głosy śpieszącego się tłumu.

— Idziemy tędy! — Zotow wskazał na przejście między budynkami.

Porucznik miał kieszonkową latarkę z niebieskim szkłem, którą kilkakrotnie oświetlał drogę pod nogami swego towarzysza.

— Och! Omal mi czapki nie zerwało — skarżył się Twieritinow.

Porucznik milczał.

— Śnieg nie śnieg, ale za kołnierz pada — podtrzymywał rozmowę Twieritinow, który w ogóle nie miał kołnierza.

— Tu będzie błoto — uprzedził porucznik.

Nie znajdując suchszej drogi, obaj weszli w chlupiące i mlaskające błoto.

— Stój! Kto idzie? — ryknął gdzieś blisko wartownik.

— Porucznik Zotow.

Brnęli powyżej kostek w gęstej mazi, z której z trudem wyciągali nogi. Tak obeszli skrzydło punktu aprowizacyjnego i z drugiej strony weszli na ganek. Tupnęli kilkakrotnie nogami i strząsnęli z ramion wodę. Z sieni, zaświeciwszy jeszcze raz latarkę, porucznik wprowadził Twieritinowa do pomieszczenia, gdzie stał stół z dwoma ławami (żołnierze punktu jedli tu i przechodzili wyszkolenie). Od dawna już szukano drutu, aby wprowadzić w tym pokoju światło elektryczne, ale na stole stała tam wciąż latarnia, słabo oświetlająca drewniane, nie białe oszalowanie ścian. W kątach czał się mrok.

Drzwi dyżurki uchyliły się i ukazała się w nich oświetlona z tyłu elektrycznością, z przodu zaś ciemna sylwetka żołnierza.

— Gdzie Guškow? — zapytał ostro Zotow.

— Stój! Kto idzie? — ryknął ktoś z zewnątrz.

Na ganku rozległo się tupanie. Guškow i żołnierz, który chodził go szukać, weszli do pokoju.

— Stawiłem się, towarzyszu poruczniku. — Guškow zrobił niejasny ruch podobny do salutowania. Na jego zazwyczaj beczelnej twarzy malowało się w półmroku niezadowolone, że porucznik, któremu tylko częściowo podlegał, zwraca mu głowę głupstwami.

Zotow krzyknął surowo:

— Sierzancie Guškow! Ilu ludzi powinno u was stać na warcie?

Guškow zdziwił się raczej niż przestraszył (Zotow nigdy nie podnosił głosu) i cicho odpowiedział:

— Powinno być dwóch, ale jak wiecie...

— Nic nie wiem! Ilu powinno być według przepisów, tyłu wystawcie natychmiast!

Grymas niezadowolenia ukazał się znów na twarzy Guškowa.

— Czerwoarmiejec Bobniow! Weźcie broń i stańcie na warcie.

Żołnierz, który przyprowadził Guškowa, ciężko stąpając obszedł bokiem przełożonych i znikł w sąsiednim pokoju.

— A wy, sierzancie, pójdziecie ze mną do komendantury.

Teraz dopiero Guškow zrozumiał, że zaszło coś niezwykłego. Czerwoarmiejec wrócił, niosąc karabin z nasadzonym bagnetem, przeszedł wojskowym krokiem koło obecnych i stanął przy drzwiach wejściowych w postawie wartownika.

(Tu Zotow stracił odwagę; nie znajdował słów, które należało powiedzieć).

— Wy... ja... — powiedział miękko, z trudem podnosząc

oczy na Twieritinowa — ja muszę teraz w innej sprawie... A wy tu siadźcie tymczasem i poczekajcie.

Było coś niesamowitego w przykrytej szeroką czapką głowie Twieritinowa, rzucającej trwożny cień na ściany i sufit pomieszczenia. Szalik zacisnął się jak pętlica na jego szyi.

— Zostawiacie mnie tu? Ale, Wasilij Wasiljewicz, tymczasem pociąg może odejść. Pozwólcie, że wyjdę na peron.

— Nie, nie... Zostaniecie tu — rzucił Zotow, śpiesząc ku wyjściu.

Twieritinow zrozumiał.

— Zatrzymujecie mnie? — zawołał. — Towarzyszu poruczniku, za co!? Dajcie mi dopędzić mój eszelon!

I tym samym ruchem, z jakim mu przedtem dziękował, położył na piersi dłoń, otwartą w kształcie wachlarza. Zrobił dwa szybkie kroki za porucznikiem, ale domyślny wartownik zagroził mu drogę bagnetem.

Zotow mimo woli obejrzał się i raz jeszcze — po raz ostatni w życiu — zobaczył w mdłym świetle latarni tę twarz, rozpaczoną twarz króla Leara w grobowcu.

— Co wy robicie! Co wy robicie! — wołał Twieritinow głosem dźwięcznym jak dzwon. — Tego już naprawić nie można!

Podniósł ręce w przykrótkich rękawach — w jednej trzymał plecak — i jego skrzydlaty cień urósł na ścianie aż pod sufit.

— Nie denerwujcie się, nie denerwujcie — uspakajał go Zotow, szukając stopą progu. — Trzeba będzie wyjaśnić tylko jeden szczegół...

I wyszedł.

Guśkow wyszedł za nim.

Przechodząc przez pokój wojskowego kierownika ruchu, Zotow rzucił:

— Zatrzymajcie jeszcze ten pociąg.

W gabinecie swym usiadł za stołem i zaczął pisać:

Do operacyjnego punktu N.K.W.D.

Z niniejszym kieruję do was zatrzymanego tu i podającego się za okrążenca Twieritinowa Igora Diemientjewicza, który rzekomo odłączył się w Skopinie od eszelonu Nr 245-413. W rozmowie ze mną...

— Zbieraj się! — rzekł do Guśkova. — Weźmiesz żołnierza i odstawisz zatrzymanego do węzła.

Przeszło kilka dni, potem minęły święta.

Obraz człowieka z takim dziwnym uśmiechem i fotografią

córki w pasiastej sukience nie znikł jednak z pamięci Zotowa. Zdawało mu się, że zrobił wszystko jak trzeba.

Może tak, a może i nie...

Zotow chciał mieć pewność, że zatrzymany przezeń był istotnie przebrany dywersantem, albo, że jest już na wolności. Zadzwonił więc któregoś dnia do operacyjnego punktu przy węzle kolejowym.

— Pierwszego listopada posłałem wam zatrzymanego tu Twieritinowa. Czy możecie powiedzieć, jak się jego sprawa wyjaśniła?

— Śledztwo trwa! — brzmiała stanowcza odpowiedź. — A do was, Zotow, jest tu taka sprawa. W aktach o towarach spalonych do osiemdziesięciu procentów są pewne nieścisłości. Sprawa jest niezwyklej wagi. Ktoś mógł na tym dobrze zarobić.

Przez całą zimę Zotow pracował na tejże stacji, zawsze w charakterze pomocnika komendanta. Nieraz chciał telefonować, dowiadywać się, ale mogło to wzbudzić podejrzenia.

Pewnego razu z węzłowej komendantury przyjechał w innych sprawach urzędnik śledczy. Zotow, niby niechcący, zagadnął go:

— Pamiętacie takiego Twieritinowa? Ja go jesienią tu zatrzymałem.

— A wy dlaczego pytacie? — spochmurniał urzędnik śledczy i utkwił w nim badawcze spojrzenie.

— Tak, po prostu... przez ciekawość... czym się ta sprawa skończyła.

— Dadzą sobie rady i z waszym Twieritinowem. U nas brakoróbstwa nie ma.

Ale Zotow przez całe życie nie mógł zapomnieć tego człowieka.

A. SOŁŻENICYN

Przełożył z rosyjskiego LEON FURATYK

## Zapowiedź wydawnicza

Na jesieni bieżącego roku ukaze się

**Tom XCI BIBLIOTEKI "KULTURY"**

**ANTOLOGIA WSPÓŁCZESNEJ LITERATURY SOWIECKIEJ**

# WE WŁASNYCH OCZACH

Antologia zawierać będzie następujące opowiadania:

- I. STACHIUK: *Ludzie nie anioły*  
 A. Sołżenicyn: *Zagroda Matryony*  
 F. Abramow: *Dookoła i wokół*  
 Al. Jaszin: *Wołogodzkie wesele*  
 I. Siomin: *Oko w oko*  
 B. Diakow: *Przeżyte*  
 Wł. Maksymow: *Człowiek żyje*  
 A. Sołżenicyn: *Zdarzenie na stacji Kreczetowka*

Antologia będzie poprzedzona pełnym tekstem przemówienia N. S. Chruszczowa, wygłoszonym na spotkaniu przywódców KPZR i rządu z działaczami literatury i sztuki w dniu 8 marca 1963. (Tłumaczenie wg tekstu zamieszczonego w *Biuletynie Specjalnym* nr 1771 z dn. 16.3.1963; tekst ten był w Polsce oceniany).

## Klucz i hak

(VI. O REALIZMIE W ROSJI)

### I

1. Pisarze sowieccy, którzy bawią przejazdem na Zachodzie, na pytanie przyjaciół: „Jakie książki chciałbyś stąd wywieźć?” — nieodmiennie odpowiadają:

— Kafki i Camusa.

Tak oto, po 30 latach socrealizmu, by ogarnąć i zrozumieć własną rzeczywistość, zwracają się o pomoc do obcej wizji świata, najbardziej usymbolizowanej, i do algebry imaginacyjnej, najbardziej uogólnionej.

2. Wyraz *realizm* wywodzi się ze starodawnego słownika filozoficznego. Wyzwolony, poutracił swoje genetyczne związki, by w urozmaiconych figuracjach zmyślenia i rzeczywistości jednać dwa popędy przeciwstawne: ku rzeczywistości oraz od niej; ująć i pojąć co istnieje „rzeczywiście”, oraz uciec od swego istnienia. W tym spotykają się pisarz-realista i jego czytelnik.

Bowiem zmyślenie ma być przeżywane jak gdyby było rzeczywiste, a rzeczywistość — jako zmyślenie.

3. To odbywało się w pełni XIX stulecia, kiedy królestwo Człowieka było pojmowane jako solidarne, o ile nie tożsame z królestwem Natury.

Realizm był prawym i ufnym dziecięciem tego wieku: świata zróżnicowanego i pełnego skłóceń, zapewne, ale zdążającego w marszu ku jedności. Nie tylko w marszu, w postępie. Dawno zapomniano, albo i zgola nigdy nie zauważono cennego rozróżnienia Herdera pomiędzy *Fortgang* (ruch następczy, postęp) a *Vorschrift* (Postęp). Realizm zatem był z definicji postępowy, i Postęp posilał się realizmem. Zaledwie postrzegano, że wylęga

Fragment większej całości.

on sprzeczności, które mogą go kiedyś rozsadzić; a i te widziano w perspektywie optymistycznej przyszłości, kiedy zostaną przezwyciężone, pojednane i odkupione wszystkie przeciwności i przeciwności. Realny i realistyczny świat XIX w. oglądał siebie w postępie bez przewidywalnych granic i „widział, że to dobre”, swoje biedy oceniając bądź jako bodźce, bądź jako przejściowe przeszkody, a zawsze jako przeżytki ciemniejszej dawności.

Oś teorii marksowych: domniemanie, że cała prawda „służy interesom” proletariatu, „klasy wschodzącej”, oraz — przez odwrócenie: że wszystko, co służy interesom proletariatu, służy prawdzie, było w istocie wpisane w bardziej rozległy wykres: *interes* postępu i ludzkości, i postępu ludzkości jest w prawdzie, i odwrotnie. I tak oto prawda przepłótła się z pedagogią społeczną, z gruntu optymistyczną.

4. W tym pobieżnym schemacie nie trzeba chyba przypominać, że nigdy nie zbywało na wizjonerach świata w dekompozycji. Ale stali oni i sami ustawiali się na uboczu od realizmu i od życia społecznego swoich czasów. Byli traktowani, i sami się traktowali, jako ludzie marginesów. Nie będąc obłąkami, pretendowali do obłąkania, co najmniej — do zbłąkań. Dzisiejsi etnologowie zgłębili społeczny sens ludzi tego marginesu, a w czasach tamtych bliższych (żeby nie wspomnieć Maxa Nordaua), nawet wielki uczoney, tak uprzejmy jak Durkheim („Le Suicide”) sklasyfikował współczesnych mu pisarzy jako istoty neurotyczne, zresztą przyznając neurotykom zasługę poczynania i piastowania duchowego postępu. Postępu mimo wszystko.

5. Tak czy owak, taki był stan umysłów we wschodnich prowincjach Zachodu.

W Rosji „nihilisci” nawet — i szczególnie — byli zapaleńcami prymitywnego scjentyzmu, i mistrzem ich, od pierwszej chwili, stał się Darwin; a raczej: popularne *imagerie* darwinizmu, które po dziś dzień prześwieca jak znak wodny spod rosyjskiego marksizmu. Proroczy Dostojewski biadał: Urodzony u nas, Darwin byłby łotrzykiem („Dziennik Pisarza”). Późniejsi — dekadenci, symboliści, findesièclisci, znaleźli i widzieli się w roli „ludzi zbytecznych”, przyjmując tę rolę z rezygnacją, bądź z przekory, albo na przemian z gniewnymi oporami.

Słowem, w tych opóźniających się krajach, filozofie i świa topogłady racjonalistyczne, pozytywistyczne wywierały na życie umysłowe i społeczne działanie *cięższe i bardziej jednolinitne*, niż w krajach ich pochodzenia, na Zachodzie. Ciężkość ta, wąskość i kierunkowość utwierdzały się z upływem czasu.

6. Zatem w przetrzeniu umysłowej XIX w. zaistniały sprzyjające warunki dla spójni trzech wymagań, czy uroszczeń wszelkiej literackiej *doktryny* realistycznej: postrzegania (= obserwacji), pojmowania (= interpretacji) oraz powołania wychowawczego.

Ta koniunktura zaistniała prawie wszędzie\*) Ale w Rosji

\*) *Tout connaître pour tout guerir* Zoli.

przesłanki jej były szczególnie dojrzałe i ekspansywne. Rzecz istotna: nie suma tych trzech uroszczeń realizmu, nie ich zgoda czy ugoda, która przecież zawsze prowadzi do płaskości, ale przeploty ich wewnętrzne, fuzje i rozszczepienia dały wielkiej literaturze rosyjskiej XIX w. dramatyczną jej głębię. (Skądinąd wiadomo, że do wlotów spręzał ją także ogromny dynamizm tego ogromnego kontynentu, ogromnie tłumiony).

7. Ku połowie stulecia uformowała się tam nowa warstwa oświecona, raznozczyńcy, wychodzący z ludu, którzy z miejsca poczuli się powołani do roli *wyłącznych* rzeczników rewindykacyj ludu rosyjskiego, jego aspiracji i resentymentów. Ta misja oraz nieodparta potrzeba przemawiania w imieniu „wielkiej niemowy” utrzymuje się odtąd przez całe stulecie, aż po nihilistyczny „Obłok w spodniach”: „ulica skręca się w kurczach, bezmowna (*bezzajykaja*), nie ma czym wyśpiewać swej męki”. Ta sama dławiona dynamika narodowa, która dała dramatyczną siłę i blask poetom i prozaikom, podżęga kaznodziejów socjalnych do apologii gwałtu i przekraczania miar. Przekraczanie miary staje się odtąd na stałe wybitną cechą rosyjskiej myśli. Przy czym pojęcie miary należy tu rozumieć filozoficznie: jako „ilość” a zarazem „jakość”, a także etyczno-religijnie: jako — w wypadku niniejszym — *hybris*.

Przez całe zatem stulecie nieprzerwany ciąg doktrynerów sprawia dyktaturę nad sumieniem i umysłami inteligencji; nad umysłami nękanymi poczuciem wiekowego pohańbienia, nad sumieniem przynięcionym poczuciem winy, także chronicznym.

Sterują oni pokoleniom literatów i usidlają czy ekskomunikują największych. Na Zachodzie, od czasów niepamiętnych, nie znano podobnego zjawiska, o takiej mocy i zasięgu. Sama abominacja rosyjskiej autokracji czyniła tych dogmatyków wolnej myśli autokratami opinii publicznej — jaskrawy to przypadek, kiedy „ideologia dominująca” jest przeciw klasie panującej.

W świecie umysłów tak uwarunkowanych, naczelnym imperatywem moralnym staje się nakaz: służyć ludowi.

8. Ale u tych ideologów, „służyć ludowi” utożsamia się w sposób naturalny z nakazem: „służyć sprawie ludu”, to znaczy służyć własnym wyobrażeniom o tym, czym jest jego „sprawa”, a potem (= zatem): czym ma być służba ludowi. Dalej, dalej i dalej, zwykłymi kolejami degradacji, w *nieubłaganych* warunkach naszego czasu, „służyć sprawie ludu” skurczyło się do „służyć” *tout court*, a sztuka zaangażowana zwyrodniała w zaangażowaną (*à gages*) sztukę, przecież *niezawsze* tracąc swoje pierwsze idealistyczne bodźce, częściej niż się przypuszcza nadal wiążąc dobre intencje z najbardziej trywialnym oportunizmem, w węzeł niekiedy nie do rozplątania.

(Cały ten opis jest schematyczny, więc uproszczony i konwencjonalny do granic wytrzymałości: trzeba z gruba obrysować linie sił, napięcia kierunkowe ideologii, które, od lyczka do stryczka, wiodą do socrealizmu i tej literaturze wyznaczają mimo wszystko miejsce w ogólniejszej panoramie życia duchowego Rosji. Rzecz niemaloważna w sporze o genealogię dzisiejszego stanu rzeczy).

9. Uprawa sztuki, literatury, nawet myśli naukowej — dla niej samej, zawsze budziła u intelektualisty rosyjskiego zażenowanie i głuchy sprzeciw. Pytanie: ku czemu to ma służyć — wiersz, obraz, muzyka nawet? — sprzężone z drugim „przeklętym pytaniem”: co robić? — ciągle przewija się w podtekście, o ile nie jest wyrażone w całej prostocie, czy prostactwie. Ono pobudzało starego Tolstoja do anatem dla wszelkiej sztuki, która wykracza poza elementarny dydaktyzm, a raznoczyńców — do powtarzanego w różnych wariantach problemu: co ważniejsze — Madonna Sykstyńska czy para butów? (Pytanie, przecież naturalne w kraju, gdzie ludność niezawsze bywa obuta).

#### 10. Wracając do ideologów:

Przejmowali oni z myśli zachodniej wzorce jego racjonalizmu najbardziej zawężające i utylitarne.

Dostojewski stwierdza z rozpaczą: to właśnie oni, nasi „zapadnicy”, przeszli z Zachodu nienawiść do wszystkiego, co stanowi o wartościach duchowych jego kultury.

Dla pierwszego wielkiego raznoczyńca — Wissariona Bielińskiego: nazwisko Balzaca dawno już będzie zapomniane, kiedy gwiazda George Sand będzie w pełnym blasku. Z jednego zdania Hegla, które usidliło jego umysł, przez odwrócenie i rozwinięcie zbudował kościec swojej teorii realizmu: rzeczywiste = racjonalne = wychowawcze. Nakazy społeczno-wychowawcze, racjonalizujące *terre à terre*, odtąd zdecydowanie biorą górę nad aspiracją poznawczą.

(W naszych czasach stało się to zasadą „partyjności” i jej uroszczeń poznawczych).

11. Na szczęście, wszystko co wielkie w literaturze rosyjskiej wciąż wymykało się tyranii ideologów Postępu. Intencjonalnie, bądź nieświadomie.

Tym samym odgradzają się wyraziście jakby dwie strefy życia duchowego. Z jednej strony — zwięzony zbiór idei, określanych bez światłocieni, dydaktycznie; pojęć-wyrazów, pojmowanych dosłownie i ze stałą orientacją na ich doraźną społeczno-polityczną użyteczność, powiązanych niedość krytycznie, a przecież mających służyć do krytyki rzeczywistości; słowem *myśl stosowana*, konsekwentna w *swojej logice* aż do paralogizmu, realistyczna aż do bezceremonialnego przeczenia realiom: znajdujemy tam już (fizjognomiczne) cechy, które dziś uderzają przy lekturze pism Lenina, Stalina, Trockiego i in. Z drugiej strony u wielkich pisarzy — mieszane tło myślowe: zrosty intuicji, jawnych i utajonych aspiracji społecznych, której mediami pisarze rosyjscy stają się z większą niż gdzie indziej podatnością, oraz wtórnego myślenia dyskursywnego (wpływy tamtej myśli). Takie

jest zapewne, koniec końców, wszelkie myślenie literackie, i różni się ono od dyskursywnego inaczej, ale być może nie mniej niż magiczne od naukowego. Ale w Rosji ta jego specyficzność, a także jego związki, powiedzmy, jego bliskość z myśleniem ludowo-magicznym bywała szczególnie bliska.

12. Ta schizma między wielkim pisarstwem rosyjskim a jego teoretykami już u samego wstępu była epizodem z komedii pomyłek.

To Bieliński wyświęcił Gogola na ojca realizmu rosyjskiego, jego wczesnej szkoły naturalistycznej.

Gogol operował tysiącem detali swego środowiska i kraju, przecież nade wszystko był wizjonerem. Wizjonerem barokowym: wypracowane przeploty Chimery i trywialności życia (*poszłość*), Melancholii i niesamowitego śmiechu, błędnej halucynacji i mikrowidzenia, grymasu i błyskawicznych prawd zwierciadła; *concerti* i *capriccio* — wszystko to spokrewnia go z Goyą. Goya prowincji rosyjskiej, to anakreontyczny, to groteskowy w śmiechu i w grozie.

We wczesnych listach wyznaje, dlaczego i po co imaginował sobie swoje historie: by uciec od nękańcych go niedomagań psychosomatycznych. Korolenko, pisarz i lekarz, wyszedł tu objawy schorzenia, które dzisiejsi psychiatrzy nazwaliby *anxiété bulbaire*.

Ten poszukiwacz ewazji\*), który znajdował ją — w paradoksalnych warunkach rosyjskich — w rzeczywistej rzeczywistości wokoło siebie, uciekał ponadto przed inną zmorą. *Skuczno na etom świecie, gospoda* (nudno na tym świecie, panowie) — tym zdaniem kończy się jedna z jego prześlicznych opowieści. *Skuka* wyraża chyba nade wszystko stan i uczucie duszenia się istoty ludzkiej, topionej w ordynaryjności i ordynarności życia (znów ta nieprzetłumaczalna *poszłość*).

Słowem, u początku rosyjskiego realizmu twórczego nie widzi się ani poczucia winy, ani jego implikacji: laickiej mistyki odkupienia. Po prostu: bezinteresowne *Lust zum Fabulieren* szczęśliwszej epoki poprzedniej, oraz neurastenii, nuda egzystencjalna, nieomal dzisiejsza. Jako też *skuka*, która wciąż na nowo unosi się nad ogromnym Imperium, wciąż na nowo zapadającym w duchowe odrętwienie.

13. Ale tak przenikliwy był geniusz obserwacji Gogola i jego zakorzenienie w ojczystej glebie, że — jak to nieraz wskazano —

\*) To jedna z osobliwości rosyjskiej literatury, i niesłusznie kojarzy się ją z większym natężeniem realizmu. Po prostu, rzeczywistość rosyjska bywa „nadrealistyczna”, ciągle okręca się przez liczne „piętra” od chamsstwa do wzniósłości, od dosłowności do chimeryczności, i pisarze *uciekali* przed życiem rosyjskim — w rosyjskie życie. Łatwo to prześledzić u Gogola, Leskowa, Dostojewskiego, u „mniejszych” pisarzy połowy XIX w., w literaturze sowieckiej lat 20-tych.

postacie jego, wyjęte z życia a przekształcane w jego zjadliwej\*) wyobraźni, ciągle wcielają się w życie, i ziemia rosyjska — dziś bardziej niż kiedykolwiek, obfituje w generacje Czyczykowa, Chlestakowa, Szponki, Maniłowa, nawet cnotliwego Konstanżoło.

(Zastrzeżenie ważne: czytelnicy od pokoleń, postrzegamy i asymilujemy obraz nasz własny i bliźnich w dużym stopniu poprzez literaturę, jak krajobrazy — poprzez malarstwo. To błąd instrumentalny naszego psychologizowania. Przypominam, nie po raz pierwszy, że np. Tomasz Mann, w swoim największym utworze *realistycznym*, w „Czarodziejskiej Górze”, na samym wstępie przedstawia swoich sympatycznych młodych bohaterów jako typowych reprezentantów młodzieży niemieckiej. W kilka lat potem widziało się tych łagodnych młodzieńców przy ich robocie).

14. Sam Gogol był zdesperowany tym wszystkim, w co ubierali go zarówno jego postępowi entuzjaści, jako też dobrze myślące towarzystwo oraz cenzura tegoż. Swoje z nią przeprawy opowiada w głośnym liście do Pletniewa, dosadny to obraz kondycji pisarskiej wszędzie tam, gdzie — według trafnego wyrażenia Gobineau („Études critiques”), „Krytyka jest uprawiana przez inkwizytora i kata”.

Wzięty pomiędzy dwa młyńskie kamienie, pisarz musi schronić się do Rzymu, by móc odtworzyć rzeczywistość swego kraju, by móc po prostu żyć. „Co dzień rano piszę swoje trzy stroniczki i śmieję się sam do siebie, a śmiech ten koł resztę mojego samotnego dnia... Wszystkie moje ostatnie utwory odtwarzają tylko dzieje mojej duszy... Żaden z czytelników nie wiedział, że śmiejąc się z mego bohatera, śmiał się też ze mnie... nie wymyślałem swoich zmor, one uciskały mnie, z duszy mojej mogło zrodzić się to tylko, co ona zawiera”.

Koniec końców, uległ degradacji umysłowej. Rzeczy to znane: zatonął w mystyce „służby”, ale — ku zgorzeniu Bielińskiego, innej, przeciwstawnej. W „Urywkach korespondencji z przyjaciółmi” tak z kolei komentuje swoje dzieło:

„Przed rozpoczęciem pracy musiałem zdać sobie dokładnie sprawę z jej celu, pożytku i potrzeby... Musiałem przekonać samego siebie, że tworząc wypełniam misję, dla której zostałem do życia powołany, i że wypełniając ją, służę Państwu tak, jakbym zajmował urząd. Nigdy nie opuszczała mnie idea służby”.

Trudno nie przypomnieć tu niedawnej samokrytyki młodego poety sowieckiego, który „wróciwszy z zagranicy”, został skarcony przez „urzędników kasarnianych\*\*).

\*) „Był zły i sentymentalny” — mówi Dostojewski o Fiodorze Karamazowie (myśląc zapewne i o sobie?).

\*\*\*) „Ja nie zapomnę nigdy nie tylko twardych słów (Chruszczowa), ale i rad... Powiedział mi pracuj. Te słowa są dla mnie programem... Rozumiem moją ogromną odpowiedzialność wobec narodu, wobec epoki, wobec partii. Dla mnie rzecz dziś najważniejsza — to: pracować, pracować i jeszcze raz pracować. Moja praca wykaże, jaką jest postawa moja wobec kraju. Komunizm wykaże, kim jestem”. (Cytując to mam poczucie, że dopuszczam się rzezi niewinątek).

Zatrzymałem się dłużej przy Gogolu, ponieważ tu widoczne już się staje dramatyczne pole bitwy, na którym literatura rosyjska zmagą się i obija pomiędzy swoimi sublimacjami a słusznością, najpierw dobrowolną, potem przymusową.

15. Odtąd w każdym pokoleniu i w różnych konfiguracjach wznawia się spór, jawny a najczęściej utajony, między realistyką obserwacji i przeżycia, a tendencjami i dogmatami „obywatelskimi”, społeczno-wychowawczymi.

Uroszczenia teoretyków wpływały nie tylko na piśmiennictwo. Estetyka i praktyka szkoły malarskiej *peredwiżników* dosłownie odwzorowywała się na pismach Czernyszewskiego, Przerzucając jego wybór „Tekstów Filozoficznych” (Moskwa, 1957), co raz to natykamy się na aforyzmy, które przy „żdanowizmie” (od Lenina po Chruszczowa) stały się aksjomatem i obowiązującą normą. Na chybił trafił: „Utwory (artystyczne) człowieka winny założyć sobie jako cel potrzeby (życiowe) człowieka, a sztuka winna być podręcznikiem życia”... Dzieło sztuki „stawia i rozstrzyga problemy wysuwane przez życie”... „oddziaływanie dzieła sztuki jest i bardziej atrakcyjne, i dostępne niż od analiz i formuł nauki” etc. etc.

Niełatwo pojąć, że takie komunały (po dziś, już bez przekonania, klepane po czasopismach w krajach skomunizowanych), mogły prowadzić do wniosków tak niedorzecznych i do następstw, tak dla sztuki groźnych. Późniejszy wkład teoretyczny w estetykę — Lenina, czy Trockiego, Stalina i Żdanowa, to nie tyle drugorzędne wariacje, egzegezy i uzupełnienia, ile nadanie tym aforyzmom sankcji policyjno-państwowej.

Nb. Stalin cenił Czernyszewskiego do tego stopnia, że ułaskawił „starego bolszewika” Nahamkes-Stieklowa, ponieważ ten był w trakcie pisania książki o Czernyszewskim. Więc, po prostu, zamknięto go w „martwym domu” Omskiej Centrali, gdzie — fawor to wyjątkowy — dano mu możliwość pisania książki (rękopis jej spoczywa zapewne w archiwach NKWD). Mówię w „martwym domu”, bo był martwy dosłownie, izolowany na głucho: rodzinę powiadomiono, że Stieklów zmarł na udar sercowy. W istocie umarł w listopadzie 1941 r. na dyzenterię, obok mnie, w szpitalu więziennym w Saratowie, dokąd trafił via Łubianka, zawieziony tam w początkach wojny. Do ostatniej chwili ten dystyngowany starszy daty intelektualista na cały głos zlorzeczył Stalinowi i bolszewizmowi.

Bodaj jeszcze trudniej dziś zrozumieć, że tak płaskie komunały oddziaływały tak potężnie na życie umysłowe tamtych czasów, na współczesnych, bądź co bądź, Hercena, Dostojewskiego. Nie mam tu na myśli popularności. Mówię o oddziaływaniu na umysły przodujące, na warstwę, prześlizgnie wyrafinowaną, inteligencji rosyjskiej, której niedobitki olśniewają nas niekiedy nie tylko na emigracji, ale i w samej Rosji. Czy mści się tu fatalniejszy niż gdzie indziej rozrzew między umysłem (*Urteilskraft*) a wyobraźnią i sercem, a zarazem — co idzie w parze — ich  *pomieszanie*? Czy jednak, wciąż i nade wszystko,



srieda zajęta? — fatalny ucisk okoliczności społeczno-politycznych, moralnych?

Tak czy owak, władza rządców nad umysłami („rząd dusz”) była despotyczna, bo była przeciw despotji, przeciw knutowi. Dziś tezy ich oraz spadkobiercy sprawują władzę — pod knutem. I dla knuta. Od fanatyzmu dobrowolnego do przymusowego przejście jest śliskie.

Rzecz jasna, przypisywać Bielińskiemu i in. winę za nadużycie popełnione przez bolszewizm na ich myśli, jest rzeczą równie niedorzeczną, jak obciążać Nietzschego odpowiedzialnością za faszyzm. Przecież, przygotowali oni swoistą pseudologikę dla najciemniejszych sił naszych czasów, wolno tedy prześledzić drogę tej zboczonej myśli w kierunku odwrotnym: od bękartów do ojców. Tym bardziej, że — jak utrzymują autorytety, wszelka historiografia jest obejrzeniem się wstecz ku przeszłości oczyma dzisiejszymi.

Jest w naturze pedagogii społecznej zarówno władców, jak i rewolucjonistów, porywać się na literaturę piękną. I w naturze literatury — ulegać. Budującą i — wyrażając się nieprzyzwoicie: socrealistycznie „lakierniczą” była Iliada — rzeczywistość jej czasów wierniej oddaje późniejszy Hezjod i tragiccy. Zachęta Rousseau dla racjonalistycznych reformatorów: *celui qui ose... doit se sentir en état de changer pour ainsi dire la nature humaine*, z takim smakiem cytowana przez Marksa, miała długi ciąg naśladowców. Może to i kompensata za tę — niepokojącą — stronę literatury i sztuki, którą z dawna odczuwa się jako czarno-księżnictwo i przekraczanie starych tabu.

„Zarówno władców, jak i rewolucjonistów”: Jest w naturze rządzących — instrumentalizować literaturę i sztukę, jej oddziaływanie na masy. I w naturze energii społecznej mas — wykorzystać tę obosieczną broń. Urozmaicona dialektyka stosunku między elitą rządzącą a masami rządzonymi (albo, jak za stalinizmu — po hegeliańsku: między Panem a Niewolnikami) posiada w literaturze swoje pogmatwane odbicie (ale bynajmniej nie „odzwierciadlenie”). Teren to wdzięczny dla badań socjologicznych. Dla historii literatury pięknej podziały te są nieistotne, jałowe.

W Rosji podział ten był jednoznaczny jak nigdzie, jakby ryty nożem, i bogaty w skutki. Odłam, przynależny z dobrej woli do masy rządzonych, był nim, jak nigdzie indziej, z piękną żarliwością, która tała w sobie często załączki obscurnego fanatyzmu. Podczas gdy drugi odłam był, jak nigdzie, „służbisty”.

Jest w naturze każdej grupy interesów, która dzierży władzę, instrumentalizować „ideologie”. W systemie komunistycznym, którego istotą jest instrumentalizacja wszystkiego, gdzie władza jest monopolistyczna i globalna a z zasady i konieczności posługuje się permanentnym gwałtem,

gdzie społeczeństwo zostało zamknięte, instrumentalizacja musi być o ile to możliwe kompletna. I jakkolwiek zmienne tu bywają wyznaczniki „realizmu”, zależnie od „etapu”, musi on spełniać dwa warunki: musi być w wydźwięku optymistyczny, tzn. musi z góry założyć to, co, w najlepszym wypadku, mogłoby być wnioskiem, — stąd utwory socrealizmu sprowadzają się do ilustrowania tez danych przez władzę politycznie-policyjną. A także — w związku z postacią istnienia komunizmu jako systemu antagonistycznego względem cywilizacji aktualnej — musi być dychotomiczny, czarno-biały, wszystko oceniać wedle kryteriów: „swój-wróg”, relikty ciemnej przeszłości — promienne jutro itd. Przy czym popiera się u wroga, to co się tępi u siebie: negatywny, „krytyczny” realizm, czy irracjonalizm — tam, u siebie zaś — „plebejski optymizm”, (w najskrajniejszym wypadku — „optymistyczną tragedię”<sup>\*)</sup>. Chruszczow i Eisenhower jednakowo np. nie lubią malarstwa niefiguratywnego u siebie i cieszą się nim u antagonisty. Z małą różnicą: Eisenhower realizuje tę niechęć u siebie, w mieszkaniu, podczas gdy Chruszczow...

## II

16. Jałowe to zajęcie — zajmować się socrealizmem z punktu widzenia literackiego. Z prostej przyczyny: nie jest to literatura.

Nie jest literaturą piękną, mimo talentu i rzemiosła wielu jej sprawców. I mimo, że w pewien — pokrętny, ale istotny sposób czyniła zadość potrzebie piękna i potrzebie wartości sakralnych.

Przy czym: właśnie przepaść między sowiecką rzeczywistością a jej socrealistycznym przedstawieniem, pretendującym do realizmu, czyli do prawdziwości życiowej, a co ważniejsza — sam *bezsens tej pretensji*, oczywisty dla wszystkich, potwierdzał socrealizm w jego sakralnym charakterze: jest ze świata Tajemnicy, nie podległej rozumowej konfrontacji z rzeczywistością.

Natrząsano się już dość z samej jej nazwy. Zapewne, nie jest ani socjalistyczna, ani realistyczna. Nie osiągnęła nawet poziomu realizmu takiej np. panny Scudery, której twórczość bądź co bądź wyrażała jakąś rzeczywistość szczupłego kręgu społecznego, gdy utwory socrealistów nie odzwierciadlały nawet drżającej egzystencji tychże.

Nie jest realistyczna, ani socjalistyczna. Mocodawcy jej nie dbali o to, czy „jest” czy nie jest, lecz: czemu służy? Po prostu, została podana jako taka (realistyczna, socjalistyczna) do obowiązujucej wiary milionom ludzi wydanym na jej oddziaływanie.

17. Otóż, wszystkie te łatwe sarkazmy przesłepiają ambitną rolę, jaką socrealizm spełnił w genialnym dziele reedukacji (*perekowki dusz*) podanych sowieckich. Socrealiści wybornie spełnili koncesyjowaną im funkcję „inżynierów dusz”, czy też, jak się wyraził (8 marca br.) skromniejszy od Stalina i mniej

<sup>\*)</sup> Do tego sprowadzają np. francuscy komuniści opowieść Solżenicyna.

foremny Chruszczow: „kowali od przekuwania psychologii ludzi” (*kuzniecy po perekowkie psychologii liudiej*).

Na Zachodzie, a najwięcej w prześmiewczej Polsce, gdzie epizod rodzimego socrealizmu nigdy nie wyszedł poza stadium „lipy”, „grandy” i „dretwej mowy”\*) — nie docenia się siły i sposobów jego społecznego oddziaływania, bezpośredniego i pośredniego.

Bezpośredniego, zwłaszcza na młodzież. Przyczynił się on m.in. do podżegania zapałów bojowych, egzaltowania żywiołowego patriotyzmu, do wpojenia posłuszeństwa bezwzględne, czyli — w mierze niemałej — do wygranej w wojnie. Spełnił tedy „służbę”, podobną do tej, jaką *mutatis mutandis* miała „Trylogia” w powstaniu warszawskim. A nie dopiąłby tego nigdy, gdyby był (nie mógł być) realistyczny z metody i socjalistyczny z inspiracji: w tym wypadku mobilizowałyby masy do nietrudnego w ówczesnych warunkach zmiecenia opresyjnej władzy i „przekształcenia wojny imperialistów w wojnę domową”. To jeden wycinek z bogatego repertuaru oddziaływań bezpośrednich socrealizmu.

Oddziaływanie pośrednie oraz „głębinowe”: zatrzymajmy się tu przy jednym jego aspekcie. Właśnie przez swoją realistyczną pretensję, tzn. przez wieloletnie, uporczywe określanie słowem „biały” (oraz — jego wartością afektywną i moralną) tego, czego każdy w osobistym doświadczeniu doznawał, lub winien być doznawać (w naturalnym porządku) jako „czarne” — właśnie przez tę *antysensowną* pretensję, socrealizm, obok innych środków ujarzmiania, odegrał doniosłą rolę w zaplataniu, przeplataniu i zgęszczaniu owej jedynej w swoim rodzaju *konfuzji mentalnej*, która potąd zalega mózgi poddanych sowieckich, a jest *niezbędnym tłem* do utrzymania komunistycznego rządu.

Mówiąc „konfuzja”, nie mam na myśli takiej, jaka właściwa jest każdej masie ludzkiej: zwykłego i zwyczajowego, *żywiłowego* mieszania, oraz upraszczania i gmatwania pojęć, informacji, wierzeń i uczuć. Mam natomiast na myśli: organizowane i kontrolowane pomieszenie różnych poziomów rozeznanania i wartościowania rzeczywistości, gmatwanie operacji myślowych i dyspozycji afektywnych. Ta swoista konfuzja, w samym tle świadomości, wyróżnia strukturę mentalną poddanego sowieckiego. A także, w różnych rozwarstwieniach, komunisty nie-sowieckiego (o ile nie jest skończonym cynikiem).

Ona to nadaje — *po wierzchu* — ową kategoryczność, głu-chą na wszelkie obce argumentacje, jaką nietrafnie zwykło się nazywać dogmatyzmem. Gdy, na odwrót, na samym *spodzie* świadomości, pod spiętrzeniem różnych pokładów tabu, zalega rozlane *Dämmerungszustand* (stan właściwy w innych wariantach

\*) Gdy w Rosji od początku było z nim śmiertelnie serio — odczytał podtekst „Wspomnień” Erenburga na rok 1934.

psychice prymitywnej i chorej). Ten *Dämmerungszustand* ujawnia się dramatycznie i niespodzianie, gdy np. miało się okazję widzieć starego a mimo to rzetelnego komunistę w momencie jego przejrzania („załamania się”). Jak gdyby budził się z długiego snu. (Np. bohater Stalingradu, nieżyjący już gen. P.: niedługo po wypadkach poznańskich, gdy przyszedł do mnie na „spowiedź duszy” do lecznicy w Saint Mandé: „my komuniści strzelaliśmy do polskich robotników!”).

18. Socrealizm zatem nie należy do historii literatury rosyjskiej, czy jakiegokolwiek, natomiast stanowi ważki paragraf ogólnej historii ZSSR. Zaś dla badacza cywilizacji, dla psychosocjologa i lingwisty jest tematem pasjonującym.

Co ważniejsza, wszelka sowietologia, która przecież zmuszona jest w dużej mierze opierać się na dokumentacji słownej, choćby ta polegała tylko np. na ankietowaniu b. sowieckich poddanych (np. ankieta Centrum Harvardzkiego), zakłada najpierw *prawidłowe pojmowanie znaczenia słów w sowieckim systemie językowym*. To niezbędne prologomena do wszelkiej sowietologii. A znalazłszy się na tym terenie, rychło stwierdza się:

1) Pojmowanie to nie jest bezpośrednio dane, czy udostępnione ani semantyczną analizą logików, ani egzegezą historyków, ani zwykłym zwyczajowym znaczeniem słów (zwyczajowym w świecie naszej cywilizacji oraz jej peryferii), zweryfikowanym przez wiekowy użytek *common sensu* i konsensu.

2) Wbrew przyjętej opinii, nie jest to język fikcyjny, ani umowny, ani zaszyfrowany, dotyczący jakiegoś określonego zespołu słów, a zastrzeżony do specjalnego i wycinkowego użytku (jak słownictwo hitlerowskie, dotyczące eksterminacji Żydów; język dyplomacji; terminologia alchemików; gwary złodziejskie). Na odwrót, stanowi on strukturę *globalną*, historycznie i gnoseologicznie *nową* i wyraziście *odrębną*, a odrębność ta poczyna się u samych korzeni języka i świadomości. Dotyczy mianowicie podstawowego stosunku „słowa” do „rzeczy”. Z czego wynika, że nieprzydatne tu są szczególne klucze i kody, sztywno, w określonych granicach ustanowione; że rzecz najniezwyklejsza: od tyłu wieków przyjęte kryterium wartościowania logicznego: „prawda — fałsz”, i moralno-psychologicznego: „kłamstwo — szczerść”, tu nie znajduje zastosowania. Słowem, zachodzi potrzeba globalnego pojmowania istoty tego osobliwego języka, jako też „stylu” jego operacji.

Na drodze tych dociekań śmiałek-badacz zapaść się musi ku maticznikom duszy, gdzie bierze początek i myślenie, i słowo, a jedno kształtuje drugie. Z drugiej strony, a raczej w innym wymiarze, przez prześledzenie podstawowego stosunku „słowa” do „rzeczy” badacz wspinać się musi do możliwie najbardziej panoramicznego widzenia psychicznego i rzeczowego świata komunizmu.

Podkreślam, pomimo licznych powiązań genetycznych, dawnych prefiguracji, załączkowych sytuacji i przesłanek — i z drugiej strony: świadomych odwzorowań, żywiołowego (*motu proprio*) popędu do odtwarzania starych i zamierzonych form i archetypów, słowem, pomimo jakże licznych tożsamości i podobieństw cząstkowych — zawsze tylko *cząstkowych, wycinkowych, szczególnych* — mimo to wszystko, świat wartości semantycznych stalinizmu\*) stanowi całość spójną, autarkiczną, mającą *własną*, po swojemu ścisłą logikę i synergetyczną (do czasu, tj. w szczytowym okresie; obecnie — odwrotnie) i *nową* w dziejach. Nie bez swoistej zatem racji twierdzili dawni stalińscy, że całe dzieje rodu ludzkiego aż do miesiąca października 1917 n.e., były prehistorią. I ku naszej biedzie, dla umysłu normalnego (tzn. pozostającego w sferze istniejących i pamiętanych cywilizacji niekomunistycznych), świat stalinizmu trudniejszy jest do pojęcia niż np. szyntoizm dla chasyda, czy mentalność Polinezyjczyka dla anglosaskiej. Stąd niestające komedie pomyłek polityki i publicystyki zachodniej.

*Der Wind ist fremd, du kannst ihn nicht erfassen*  
(Uhland).

Nb. pospolitym błędem sowietologii jest traktowanie świata bolszewickiego jako dalszego ciągu czegoś, np.: dziejów imperialnych czy mechaniki rządzenia Rosji, ruchów socjalistycznych, plebejskich czy mesjanistycznych, ciągu rewolucyj, nurtu cesaropapizmu itd. itd. Jak głosi rosyjskie porzekadło: do cudzego klasztoru nie idzie się z własną regułą.

19. Mniejsza o to, czy poezja, literatura piękna jest nade wszystko sprawą języka. (A jeżeli jest, czym jest język? Wydaje się, że na tym polega m.in. słabość poetyk lingwistycznych: tłumaczą one zjawisko zagadkowe — o wiele bardziej zagadkowym). Tak czy owak: literatura wyraża się poprzez język. Wydaje się zatem rzeczą użyteczną rozpocząć wyżej wzmiankowane *pilgrims progress* od socrealizmu, prześledzić funkcje semantyczne, do których język tej literatury został powołany.

W innym szkicu, przedstawionym w St. Anthony's College w Oxfordzie, w lipcu ub. roku, wyłożyłem odnośnie poglądy choć sumarycznie, ale w sposób bardziej szczegółowy, szczeblując kolejne stadia *perekowki* (restrukturalizacji) dusz pod łącznym działaniem stalinowskiego Słowa i Terroru. Tu podam — bardziej ogólnie — najogólniejsze wnioski oraz kilka uzupełniających wyjaśnień.

20. Wypadnie ustalić kolejno trzy momenty:

A) Znieprawiono pewien zespół nazw ogólnych, słów abstrakcyjnych, powszedników — takich, jak: Człowiek, Lud, Wolność, Ludzkość, Szczęście, Socjalizm, Pokój, Sprawiedliwość itd. itd.

\*) A stalinizm u jego szczytu (lata 1938-42) wypada uznać za szczytową formę komunizmu realizowanego.

— (a także ich zaprzeczenia), oderwawszy je z zamierzoną brutalnością od ich sensu zwyczajowego, w granicach ewolucyjnej oscylacji sprawdzonego w długiej tradycji *common sens'u*. Nieustającym przymusem i „wmawianiem” utożsamiano je z ich przeciwsensami, oczywistymi dla ogółu, każdej chwili i w każdej sytuacji.

(Piosenka np.: „Ja takiej drugiej strony nie znaju, gdzie tak wolno dyszet czelowiek” była śpiewana ze szczerym zapałem w latach „jeżowszczyzny” przez młodych, których ojcowie niekiedy gnili w łagrach).

Przykład z tych ostatnich dni: w sprawozdaniu A.F.P. z konferencji prasowej episkopatu sowieckiego: „Zapytany o stosunek „Chrześcijańskiej Konferencji Pokoju” do Świadków Jehowy, którzy odmawiają służby w wojsku, Mgr. Nicodime odpowiedział: „Ci ludzie nie chcą pokoju, chcą wojny świętej. Nie mają nic z chrześcijaństwa, i my nie mamy z nimi nic wspólnego”, Moskwa, 26.3.63. Byłoby niesłusznie dopatrywać się w tym paradoksie po prostu faryzeizmu. Działa tu inercyjnie tradycja semantyki stalinowskiej, zakorzenionej w duszy zarówno uczniów komunizmu, jak i naturalnych jego przeciwników. Po prostu dla O. Nikodema słowo „pokój” zrosło się z wojenną potęgą ZSSR.

B. Słowa konkretne, bezpośrednie, jak chleb, obuwie, praca, ojciec itd. — perseweracją konsekwentnej propagandy (Słowem) i w warunkach wszechobecności i nieprzerwywalności Terroru Globalnego i Integralnego, zostały przyprężone i podporządkowane owym znieprawionym i obafamuconym uniwersaliom: nie ma (brak) chleba, obuwia, ojciec wrogiem — dla dobra Ludu, dla budowy Socjalizmu, w obronie Pokoju itd. itd.

Przy czym, z ustępstwa dla psychologicznego procesu tresury, dla zdrozenia z logiki zwyczajowej, a także dla wyposażenia agitatorów w „oreź ideologiczny” względem wrogów oraz potencjalnych konwertytów, uruchomiono serię najprostszych operacji paralogicznych, zwłaszcza tych, które mają już łożyska wyżłobione w myśleniu „dzikim”. Więc to, co w poezji jest niewinną figurą: synekdocha (*pars pro toto* i odwrotnie) tu awansowało na „piętro” sił i realiów politycznych: np. Proletariat = Awangarda proletariatu = Partia = Kierownictwo Partii (= Wódz), i na opak. Albo: znany błąd logiczny *post hoc, propter hoc*, znalazł masowe zastosowanie w technice *doprosu*, w procesach itd. Zastosowano, pod karną sankcją i z sakralnym rytuałem, nieomal pełny katalog paralogicznego myślenia. Tylko że — rzecz istotna — operacje te poutracały swoją *paralogiczność* w miarę, jak ustalały swoje „miejsce” i rangę w swoistej logice *globalnej komunistycznego myślenia*.

C. Sedno rzeczy: co ważniejsze słowa, nie tylko rzeczowniki, przymiotniki, czasowniki ale i przyimki i spójniki („zatem”, „i”, „dlatego”, „aby”, itd.) zostały tym sposobem doprowadzone do tego *stanu plastyczności*, że każde słowo może oznaczać wszelką rzecz. Wedle uznania i woli najwyższego Właściciela wszystkich Słów i Rzeczy.

D. W tym oto momencie zaczyna się ważka misja socrealizmu: ażeby kolosalne dzieło znieprawienia języka nie doprowadziło do „entropii lingwistycznej”, do całkowitego odrętwienia umysłowego i do ośpienia oraz demencji afektywnej, poeci i powieściopisarze mieli za zadanie przywrócić spreparowanym jak powyżej słowom ich dawne naturalne „aureole” uczuciowe. Mieli zatem na nowo ożywić martwe preparaty języka, wzmocnić i egzaltować do skrajnego napięcia odzew uczuciowy, jaki np. słowa „wolność”, „sprawiedliwość”, „ojczyzna”, „pokój” — naturalnie i najbezpośredniej — budzą w każdej niedość znieprawionej duszy. (Dla szyderców przypomnę tu XX aksjomat Gianbattisty Vico: *Il piu sublimo lavoro de la poesia é alle cose insensate dare senso e passione*, Scienza Nuova)

W taki to niezwykły sposób socrealizm stał się — obok Policji — potężnym środkiem redukcji świadomości indywidualnej i kolektywnej mas.

Mówiąc ogólnie, choć tutaj mimochodem: zasada edukacji jest podstawowa w świecie komunizmu. Np. stalinowskie łagry, w rzeczy samej, miały cel wychowawczy, grubo nadrzędny nad ekonomicznym i innymi. Tyle, że miały wychowywać nie łagierników, ale wszystkich, którzy jeszcze nimi nie byli, to jest: ogół ludności.

Od strony zaś socrealistów: przypomnę tu (z p. 8) proces degradacji: „służyć ludowi” — „służyć sprawie ludu” — „służyć *tout court*”. Sto lat *losów* literatury rosyjskiej, których schemat *grosso modo* próbowałem w cz. I naszkicować, przygotowały, bądź co bądź, umysłowość literacką w Rosji — do socrealizmu.

21. Do p. B): można by replikować, że wszelka ideologia, każda religia, ba, filozofia i wiedza starają się podporządkować maximum słów jakiemuś minimum wyrazów kluczowych, czy *idéés-forces*. (W przeciwieństwie nb. do poezji, która *chyba* nic nie podporządkowuje, ale poddaje swoje układy i porządki, recytatyw, refren, ciąg i szyk słów; czy też, jeśli wola, otwiera wybiegi dla niewyrażalnego). Wszelako, nie na samym fakcie redukcji logicznej polega schorzenie komunizmu, a pojęcie logicznego podporządkowania ma całkowicie odmienny sens, gdy jego racjami są nieograniczone środki przemocy policyjnej.

22. Zjawiska to zagadkowe i wieloznaczne, dopuszczające taką mnogość wtajemniczeń, że — zwłaszcza przy moim „rapso-dycznym” stylu, trzeba spojrzeć na nie z wielu stron i różnie formułować. Skrepowany czasem i miejscem, dodam tu tylko jeden „rzut oka”:

a) Środkami globalnej pedagogii Terroru Doskonałego poddano wszystkie jako tako znaczące słowa nieograniczonej wła-

dzy czynnika policyjno-politycznego, a ich wartości semantyczne zostały ryczałtem wywłaszczone, odebrane jednostce (= *alienacja totalna*). W tej sytuacji podstawowej, stają się legalne i prawomocne wszelkie najraptowniejsze i najsakrajniejsze odwrócenia sensów (np. sensu słowa „fasyzm” na przestrzeni lat 1938-42).

b) Konfrontacja naturalna między „słowem” a „rzeczą”, której zafałszowania w świecie „normalnym” odczuwane są jako takie (kłamstwo, obłuda, hipokryzja, faryzeizm, makiawelizm itd.) *konfrontacja zarówno indywidualna, jak i zbiorowa* (prasa, parlament, opinia) została *skasowana*. Dla człowieka zakomunizowanego, świat słów („poziom” świadomości) i świat rzeczy i stosunków między nimi (*praxis*) są odkontaktowane.

c) W znakomitej skądinąd analizie języka sowieckiego, L.R. Rzewski określa go jako język kryptonimowy, poddany „fikcjonalizacji”, świat słownych fikcji i mitów. Pogląd ten pomniejsza istotę i wymiary lingwistycznego fenomenu stalinizmu.

Środkami krwawego przymusu i uporczywej pedagogii słownej w ciągu zaledwie paru dziesięcioleci zdołano właśnie *zdefikcjonalizować fikcje, przekształcając je w rzeczywistość psychiczną rzeczywistość ludzi*. Największe to z osiągnięć stalinizmu. „Ja takiej drugiej strony nie znam, gdzie tak wolno dyszet człowiek”: jeżeli w duszy śpiewającego zatlił się cień wątpliwości, tłumilo go czym prędzej coś, co godziłoby się oznaczyć jako „stalinowskie super-ego”. Składało się na nie wiele: 1) konieczność życia osobista („ratuj się kto może”); 2) „konieczność dziejowa”, skutecznie wpojona i sprawdzająca się na pozór w praktyce bieżącej historii; 3) ale także — także — *także* szczególnego rodzaju *osobista rzetelność* (uczciwość, lojalność). W istocie, jak to widziało się nawet w Polsce bierutowej, mało kogo stać na cynizm doskonały. A skoro szczerść została zadekretowana jako cnota przymusowa, a hipokryzja (dwulicowość, dwurusznicstwo), wciąży tu i tam ujawniana — osądzona jako grzech śmiertelny, najsrożej karany; gdy się jest skazanym na życie w świecie (— w oczach człowieka normalnego) zbrodni konstruowanej w legalne struktury, i fałszu sakralizowanego — w tych warunkach co pozostaje człowiekowi pocziwemu? Ażeby nie popaść w obłęd moralny i umysłowy (i żeby nie zginąć fizycznie, wraz „z domem swoim i domownikami”), kwituje wszystkie konflikty i sprzeczności *globalną akceptacją* (= alienacją totalną). Zatem, nie tylko ubezwłasnowolnienie — znane w dziejach, ale i pełne *ubezwłasnowolnienie* (neologizm mój, copyright by A.W.). Instrumentalizacja człowieka. Jakby powiedzieli marksiści: pełna reifikacja. I tak oto, z upływem czasu, umysł znarowił się myśleć to, co mówiły usta. A zaczęło się niewinnie od sytuacji, kiedy to myśli się jedno a mówi drugie. Lecz ma się przed sobą nęcącą, bezpieczną! wizję sytuacji, kiedy usta będą mówiły, a umysł umilknie, na dobre.

Do tego i głównie do tego zmierza komunistyczna reedukacja. W ZSSR ten cel był osiągnięty, o ile to tylko możliwe, u szczytu stalinizmu. Ale i dziś, pomimo postępującego tam zwolna procesu dezagregacji i zużycia komunizmu, trwają nadal w mocy głęboko zakorzenione relikty, węzły i następstwa komunistycznego wychowania.

23. Oczywiście, generalizacje są tylko generalizacjami. Sam autor i w więzieniach, i na wolności spotykał ludzi bohatersko odpornych na te czary. Ale i w tych wypadkach, ich widzenie rzeczy sowieckiej było przymroczone w następstwie m.in. owego ogólnego *Dämmerungszustand*, o którym była tu mowa. I dlatego, że stalinizmowi udało się — o ile to tylko możliwe, zwłaszcza z nie-porządnymi i skłonniymi do życia socjalnego Rosjanami. (z Niemcami byłoby się powiodło lepiej) — poucinać naturalne więzy i posiekać społeczność na najmniejsze sztuczne getta, wciąż na nowo przekomponowywane, odgradzane wzajemnie od siebie kurtyną milczenia\*) i wzajemnej niewiedzy o sobie, których łączność była organizowana, a co najmniej kontrolowana i czynnie regulowana przez czynnik policyjno-polityczny. *Proces kolektywizowania ogółu* został doprowadzony do niszczenia wszelkich ustalających się kolektywów — główne to było zadanie stalinowskiego terroru, w odróżnieniu od rewolucyjnego, — i do zastępowania ich efemerycznymi pseudokolektywami, gdzie zamiast solidarności panuje niezgoda, nieufność, zoologiczne współzawodnictwo o przeżycie. Podobnie jak *proces* postępującej biurokratyzacji życia (funkcjonalizacji) został doprowadzony do niszczenia w zarodku możliwości powstania i utrwalania się klasy biurokratów — to był sens naczelny czystek. Dopiero po śmierci Stalina zaczęło się panowanie klasy biurokratów, a mówiąc mimochodem, intencja rewelacji XX i XXII Zjazdu (które dla ludności nie były rewelacjami, ale złamaniem pieczęci milczenia, ogromnym zatem przeżyciem) polega na przypomnieniu biurokratom: „mieliście nieograniczoną władzę nad podwładnymi, nad ogółem, i porządek był żelazny, owszem. Ale wy sami? My sami? Trzęśliśmy się każdej nocy, o godzinie mleczarza”. (Jest tu i cel ważniejszy, przestroga dla poddanych: „Nie żądajcie za wiele, stalinowcy są u wrót”\*\*). Podobnie też, jak głównym celem, racją stalinowskiego industrializowania było nie tyle stworzenie państwa przemysłowego, ile utrzymanie i potęgowanie, możliwe tylko w procesie industrializacji, tego najprostszego typu integracji, kontroli i organizowania olbrzymich

\*) Rola i istota milczenia w społeczeństwie stalinowskim wymaga studium psychologii głębinowej. Nie jest z rzędu ani „refoulement”, ani sakralnego tabu, choć one tu uczestniczą.

\*\*) Mistyfikacja to oczywista, bo w obecnym stadium powrotu już nie ma, a stalińczycy w ZSSR, nostalgiczni — w opozycji, u steru rządów staną się „rewizjonistami” z konieczności).

mas ludzkich (hegeliński „Pan i Niewolnicy”). W tym sensie procesualność diamiatu w rzeczy samej była wcielana w życie. Rzecz inna, że „życie” odpowiadało na ciągły ten gwałt ciągłą fikcją, cofaniem się wstecz, lub drętwnieniem, martwością. Podobnie jak na desocjalizację — „błatem”; na ekonomię zniewalającą i niewoloną — paraekonomią („strukturalny” margines nadużyć) itd. itd.

Podstawowe nieorientowanie się poddanych komunistycznych we własnej rzeczywistości-nierzeczywistości (uderzające nawet dziś przy wszystkich zetknięciach z intelektualistami sowieckimi i pobudzające ich do szukania orientacji u Kafki i Camusa) wynikało też, w rozległej skali, zwłaszcza wśród „gminu”, — z zaślepienia nienawiścią. Nie rezydentem, bo ten karmi się nadzieją na odwet (zasila męstwem np. komunistów tam, gdzie są prześladowani), ale nienawiścią bezsilną: w szczytowych latach stalinizmu nadziei w Rosji nie było.

Tak czy owak, przesiadywałem i ze starymi bolszewikami, i z ministrami, i z wielkimi uczonymi, i z czekistami, ale najklarowniejszy pogląd na komunizm mieli przyjaciele moi, starzy bandyci z III-go Oddziału w Alma-Acie (rok 1943). Co prawda, była to elita, ludzie męznego serca i ostrej inteligencji, wysortowani przez wieloletnią zacieklą walkę o przeżycie każdego dnia, ludzie honoru wysokiego choć grupowego (w obrębie *ingroup*).

24. Zakończę rozdział na przykładzie zmiennym: obecny eufemizm oraz synekdocha „zbrodnie Stalina” więc, eksterminacja dziesiątków milionów niewinnych, lagry, niewolnicza praca, kult wodza. Owóż, w Rosji — wszyscy poddani, ale poza Rosją także co wybitniejsi zagraniczni komuniści i komunizujący intelektualści, wiedzieli o zbrodniach w swoim czasie. Aliści — fakty były wiadome, interpretowane, pojmowane i moralnie akceptowane w generalnej optyce komunistycznego świata wartości. Co prawda, za granicami ZSSR, by nie gorszyć prostaczków i konwertytów (niższych święceń), faktem przeczono. W Imperium natomiast na odwrot, miały one być znane, inaczej straciłyby swą wartość naczelną, wychowawczą. Znane — jako Tajemnica, której imienia nie wymienia się nadaremnie, która im bardziej jest ugniecona pod swoistym sowieckim tabu, tym bardziej wypełnia dusze strachem bożym. Nie zepchnięta w podświadomość, ale jawnie przebrana w „pompatyczne nazwy”, nabywająca zatem ową *migawkowość między prawdą i fałszem*, bez której *ubezwłasnomyślenie* jest niemożliwe.

(W 1934, zaledwie sympatyk, co prawda dosyć jeszcze czynny, mówiłem o oszczerstwach prasy burżuazyjnej (zagłada 5 milionów chłopów

\*) „By usprawiedliwić postępkę dotychczas uchodzące za naganne, zmieniano zwyczajowy sens słów... Gdy popełniali zbrodnie, reputacja ich na tym tylko zyskiwała, a to dzięki pompatycznym nazwom, w które ją przebierali” (Thucydides, „Wojna Peloponeska”, ks. III).

ukraińskich w trakcie kolektywizacji), z korespondentem „Prawdy” w Warszawie. Inteligentny, wrażliwy, z gruntu poczciwy, odpowiedział mi spokojnie: cóż chcesz, „nie robi się omletu bez potłuczenia jaj”. Ja — straciłem wtedy apetyt na adwentystyczny omlet; przyjaciel mój w parę lat później znalazł się wśród potłuczonych jaj).

#### 25. Dotykamy tu zagadnienia ważnego:

Jest wiele sposobów wiedzenia, integrowania w jakąś całość wiedzy oraz wartościowania. Jest też wiele sposobów wierzenia. Każde wiedzenie zakłada jakiś akt wierzenia. Tym większa jest liczba wzajemnych powiązań wiedzenia i wierzenia, ich permutacji. Na przykład: wierzysz, że nie wiesz tego, co wiesz; wiesz, że nie wierzysz, że wiesz to, w co nie wierzysz; nie wiesz, że nie wierzysz, że wiesz to, co nie wierząc wiesz; itd. itd. A nie jest to bynajmniej gra słów: każda z tych formułek określa odrębną *postawę* myślowo-moralną, pod każdą każdą mógłby podstawić przyjaciela, czy znajomego, ludzi skądinąd zacnych. Widocznie, żeby pozwolić sobie na banalny aforyzm: człowiek posiada prawie nieograniczoną zdolność tkania pojęczyńki motywacji i usprawiedliwień, i zasługą to reżymów takich, jak komunistyczny czy hitlerowski — ujawniać i rozwijać tę zdolność w całym jej przepychu.

26. Zatrzymałem się dłużej przy tezie Rzewskiego, aby na przykładzie Rosjan z tzw. szkoły aksjologicznej, pokazać, że dla umysłu spoza świata mentalności zakomunizowanej wszystko to razem zakrawa na halucynacyjny świat fikcyj i oszukaństwa. Tymczasem *faktem fundamentalnym* semantyki komunistycznej, i w ogóle faktem nowym w historii ludzkości jest właśnie ten, że *język i korelatywna mu świadomość* zostały przemieszczone *poza prawdę a fałsz, szczerłość a kłamstwo. Jenseits der Lüge und der Wahrheit.*

Dodajmy tu nawiasem, że analiza Rzewskiego stanowi rozdział ogólniejszego zespołu poglądów owej szkoły aksjologicznej (Oczerki Bolszewizmowiedzenia, Frankfurt, 1956), która pojmuje bolszewizm przede wszystkim jako skrajny przejaw *libido dominandi*. Pewnie, *libido dominandi* a i walka osobista o władzę jest tam, *zwłaszcza* dziś, czynnikiem niemałym. Ale, primo, *po*chop do sprawowania władzy (czy *Wille zur Macht*) przeważa nad *libido sciendi* i *sentiendi* we wszystkich porządkach totalitarnych i autokratycznych; co więcej, zawsze zapewne był sprężyną działania politycznego („Bogowie, wedle naszego osądu, i ludzie, sądząc z naszej znajomości faktów, dążą do dominacji wszędzie, gdzie ich siła ma przewagę — taka jest konieczność ich natury”: mówią schludni w określeniach Ateńczycy u Thucydidesa).

Secundo: zasada dominacji, czy walki o władzę jest w sposób oczywisty niedostateczna, aby zrozumieć *tant soit peu* tak krwawą, opresyjną władzę małej faksji uzurpatorów nad — i

przeciw setkom milionów ludzkich istot w ciągu nieomal pół-wieczna; jej potęgę i trwałość; atrakcję, jaką działa ona na inne setki milionów; fascynację na wyrafinowane i wykwitne umysły zachodnie — rzeczywistości tak trywialnej i doktryny tak prostackiej, zaprzeczanej nadto przez ogół faktów i coraz to demaskującej się krwią i uciskiem. I to wszystko na jedno słowo honoru, na jeden zakład do nieoznaczonej przyszłości, zakład, który moralnie i intelektualnie już dawno jest przegrany.

(Rzecz jasna, przyczyny i racje tego stanu rzeczy tkwią i po tamtej, i po tej stronie).

Aby tu zrozumieć cokolwiek, trzeba wznieść analizę i medytację na poziom widzenia synoptyczny i retrospektywny. Żadna antropologia sama przez się, ani ekonomia, ani mechanika sprawowania władzy, żadna teoria lingwistyczna nie da tu rądy sama. Przy tym, nawzajem, jeżeli o ściślejszy (i mały) temat tego szkicu idzie, niesposób zrozumieć zjawiska socrealizmu i obecnego artystycznego metamorfizmu w Rosji bez globalnego poglądu na komunizm.

(A pamiętać też trzeba, że medytacja wymaga sympatetycznego stosunku do swego przedmiotu. O co w tym wypadku rzeczywiście niełatwo).

Aleksander WAT

(C. d. n.)

#### PRZYPISY

„Ledwo Golochwastow usłyszał tytuł (*Martwe Dusze*), wykrzyknął: „Nie pozwalam: dusza jest nieśmiertelna... Autor występuje przeciw nieśmiertelności... (A gdy mu podano treść:) „Występuje przeciw pańszczyźnie... Przedsięwzięcie Czyczykowa jest występkiem” — „Być może — replikuje inny cenzor — ale autor go nie pochwała” — „Ale nadaje mu rozgłos! Inni pójdą w ślady Czyczykowa”. Takim było rozumowanie cenzorów-Azjatów. A oto cenzorzy-Europejczycy, młodzi ludzie, którzy wrócili z zagranicy: „Cena, którą Czyczykow płaci, 2 ruble 50 od głowy, rewoltuje duszę. Prawda, tylko za imię na papierze. Ale to imię — miało duszę, żyło”...

Kto miał do czynienia z propagatową cenzurą, rozpozna tu rodzimy krajobraz. Po „cenzorach-Azjatach” następują „cenzorzy-Europejczycy” i odwrotnie, w balacie bolszewickim.

Tak oto *ponadnarodowy* bolszewizm miał w Rosji *ulatwioną robotę*: przejąwszy stare instytucje, stare nalogi myślenia i obyczaju, stare struktury psychologii, ponadawał im *nowe funkcje, nową rangę, nowy majestat i nową potęgę*. I tak „kompleksy autonomiczne” rosyjskiego życia popłynęły w krainy „stu narodów”. (Do str. 60, p. 14).



W kadrylu dziejowym rzecz to zwykła: wczorajsi fanatycy buntu stają się pacholkami nowego zniewolenia. Ale na tle specyficznych warunków w Rosji, bolszewikom powiodła się rzecz jedyna: wprząc w jedno jarzmo na *równi* spadkobierców buntowniczej myśli i takiego temperamentu (np. Majakowski) z kreaturami reżymu wszelakiego. (Np. Kukolnik za Mi-

kołaja I: „jak mi rozkażą, to i akuszerem będę” — i Jermilow, kilkakrotnie na przemian pogromca i rehabilitator Dostojewskiego i tegoż Majakowskiego). Ba, osiągnęli to nie tylko środkami przymusu i „reedukacji dusz”. Jeżeli uniwersalistycznemu komunizmowi udało się tak szybko i obowiązująco zafalszować tradycje rosyjskiej myśli wolnościowej (o tym — p. klasyczną „Geschichte der Sowjet Literatur” Gleba Struwe), to także dzięki temu, że w specyficznych warunkach historycznych, którym Rosja była poddana, istniały po temu przesłanki wyjątkowej mocy. Przesłanki do samego faktu nadużywania i niepomiarowania myśli.

Trzeba pamiętać o różnicy między tym, co utwór wyraża, a co wyraża się poprzez utwór. Gdy się to ma na uwadze i bada rzecz bez magii przekonań oraz idei zleconych (*reçues*), wtedy spopod apologetycznych utworów socrealizmu odsłaniają się biedy sowieckiej egzystencji. Tak Boy spozirzał kiedyś na „Strach” Afinogenowa. Późniejsza literatura była lepiej zamaskowana, ale trzeba było np. posłuchać, jak recenzenci warszawscy prywatnie komentowali sztukę Sofronowa o perkalikach, którą podawali czytelnikom do wielbienia. Nb. szczególnie groteskowy: w lekturach obowiązkowych, w szkołach polskich figuruje antypolska powieść. „Jak hartowała się stal” N. Ostrowskiego. Utwór to z ducha hitlerowski w egzaltowaniu nienawiści, odwetu i gwałtu. Nb. antypolskość władzy sowieckiej objawiła się już w latach dwudziestych i wyprzedziła antysemityzm. Jeszcze przed tępieniem czołówki KPP, pozamykano teatry i pisma polskie w „republice Marchlewskiego” i masowo zsyłano chłopską ludność polską z Ukrainy i Białorusi na Syberię, skąd zrusyfikowani jej synowie szli do Polski z armią „Kościuski”. Represje, których ofiarami były wszystkie narody, na Polaków (jak obecnie na Żydów) obruszały się z szczególną zawziętością. Przyczyny tego zbyt liczne, by je tu wymienić.

Chruszczow do rzeźbiarza, w marcu br.: „Jesz chleb narodu (ludu), a coś ty dla niego zrobił? „Znana to sztampa NKWD. Dokładnie 20 lat wstecz (w marcu 1943), szef NKWD w Alma-Ata, płk Omarchadzew karcił mnie słowo w słowo tak samo. A przecież jałem chleb sowiecki dosłownie w pocie czoła. W języku ludzkim oznacza to: dajemy ci chleb (odebrany jego producentom-ludowi), a coś ty zrobił dla nas (tj. dla Kierownictwa, tj. dla Partii, tj. dla Ludu?). Rzec w tym, że każdy kawałek chleba jest tam *panis bene merentium*. Od tej strony widziana, ekonomia komunistyczna jest gospodarką opartą na stosunkach darów i przywilejów. Stąd też jej dramatyczna nieprzystosowalność do typu ekonomii nowoczesnych, nieustający w związku z tym kryzys jej struktur i brak perspektywy ewolucyjnej, przy olbrzymich wydatkach energii. Stąd też np. konsekwentny jest zakaz strajków: zasłużysz się, to może i coś ci kapnie: albo i nie. Przy ogromnym i najnowszym parku maszynowym, w „stosunkach pracy” jest to typ gospodarki bliższy dawnym i bardzo dawnym, niż nowoczesnemu. I reprodukuje sytuacje dawno przewyżnione. Stąd np. prawa, które Marks wysnuł z współczesnego mu stadium kapitalizmu (jako to: postępująca proletaryzacja ludności, pauperyzacja, nierównomierność rozwoju gospodarczego — w różnych działach, sprzeczności między stosunkami pracy a siłami produkcyjnymi, zahamowanie tychże), w świecie neokapitalizmu na ogół już przedawnione, w świecie komunizmu — przy skrajnej koncentracji kapitału i utożsamieniu władzy ekonomicznej z polityczno-duchow-

utrwalone są na dobre i nie zezwalają na ewolucję ku wyższym strukturom. Słowem, prorocтва Marksa sprawdziły się — ale w „modelu” komunistycznym. Jak doszło do tego, że myśl najmielej progresistowska przekształciła się w najbardziej uwsteczniącą? — pytanie to, w innym zakresie, sformułował już Dostojewski: „Wyszedłem z założeń najskrajniejszej wolności i doszedłem do najskrajniejszego zniewolenia”. (Szygalew w Biesach). Sformułował, ale nie wytłumaczył, jak się „dochodzi”, co powinno być głównym tematem sowietologii.

(Niech mi ekonomiści darują ten wypad w ich rezerwat. Jest to nic więcej i nic innego, jak spojrzenie zastanawiającego się „przedmiotu” ekonomii komunistycznej. Jeżeli ma ono jakąś wartość prawdy obiektywnej, wtedy już na pewno nie można brać na serio „wiary” komunistycznych władców w możliwość wygrania współzawodnictwa ekonomiczno-socjalnego. I trzeba zadać sobie pytanie: na co wobec tego mogą liczyć komuniści? Z czego z kolei wyniknąć mogą określone orientacje, albo i przeorientowanie politycznej praktyki Zachodu). (Do str. 67).

„Wille zur Macht” działało bardziej decydująco w państwie hitlerowskim, gdzie większość narodu dała się tą namiętnością opętać. W świecie stalinowskim (poza krótką konwulsją pod koniec wojny) naród nie był do tego bynajmniej zachęcany. Dopiero teraz robi się w tym kierunku jakieś próby, co widoczne jest np. w Polsce. Próby wyjścia z impasu ewolucją ku jakowemuś *nacjonal-komunizmowi* (grupa tzw. partyzantów); przez konsolidację klasy biurokratów, przez ubogie koncesje materialne i moralne dla poddanych, oraz wskrzeszenie starych mitów plemiennych.

#### NOTA BIOGRAFICZNA

Aleksander WAT, ur. 1.5.1900. Studiuje filozofię na Uniwersytecie Warszawskim. W 1919 debiutuje zbiorem prozy poetyckiej. „Ja z jednej strony i ja z drugiej strony mego mospozelaznego piecyka”, współredaguje czasopisma 1-ej awangardy. Ogłasza wiersze, nowele, artykuły, przekłady. W 1926 tom nowel filozoficznych „Bezrobotny Lucyfer” (wznwiony w 1959). W 1929 zakłada i redaguje do 1931 „Miesięcznik Literacki”, czasopismo pierwszej grupy lewicy literackiej. W styczniu 1940 aresztowany we Lwowie przez NKWD. Zwolniony z amnestii w końcu 1941. W marcu 1943, podczas tzw. „paszportyzacji” ponownie więziony w Alma-Acie za odmowę przejścia na obywatelstwo sowieckie. Repatriowany w kwietniu 1946, ogłasza fragmenty powieści, wiersze, szkice (m.in. „Antyzoil” — pamflet przeciw socrealizmowi). Od 1949 do 1956 nie ogłasza nic poza przekładami. W 1957 ukazują się „Wiersze” (nagroda Nowej Kultury za „Najlepszą książkę roku”). W r. 1961 napisał (pod pseudonimem Stefan Bergholz) przedmowę do książki pisarza sowieckiego A. Tarca „Opowieści Fantastyczne”, wydanej w Bibliotece Kultury”. W 1962 — „Wiersze Śródziemnomorskie”.

## Dziennik trans-atlantycki

18.V.63, Berlin

Piszę te słowa w Berlinie.

Jak się stało? Na styczeń i luty, najgorętsze miesiące argentyńskiego lata, pojechałem do Urugwaju żeby zaszyć się w lasach nad oceanem z moim „Kosmosem”, już bliskim końca, a jednak wciąż denerwującym, bo finał nie chciał się objawić, mnie zdawało się że ten finał trzeba pchnąć w inny wymiar — ale jaki? — rozwiązania, które mi się nasuwały, nie były zadawalające. Las, fal i piasku monotonia, uśmiechnięta i wykapaną łatwość urugwajska, okazały się w tym roku łaskawe dla mojej pracy, wracałem z wybrzeża drząc z niecierpliwości by dalej użerać się z tekstem i ufny, że narastająca forma da sobie sama radę z trudnościami. Nadszedł dzień powrotu do Buenos Aires. Na pół godziny przed wyjazdem — listonosz. List z Paryża... w którym mnie zapytywano prywatnie, czy przyjąłbym zaproszenie Fundacji Forda na roczny pobyt w Berlinie.

Nieraz już doznałem mgły, która najeżdża, oslepiająca, najważniejsze momenty życia. Porody woła noc, a jeśli już głębinowe poruszenia losu, zwiastujące Wielką Zmianę, nie mogą dziać się w nocy, to wytwarza się wokół nich, jakby naumyślnie, dziwne pogmatwanie zacierające, rozpraszające... Mnie to zaproszenie do Berlina rozwiązywało problem, od dawna a trochę gorzko przeżuwany — zerwania z Argentyną, powrotu do Europy — i od razu poczułem, że klamka zapadła. Ale oto pierwsza komplikacja gmatwująca i zacierająca: list był datowany sprzed miesiąca, zawieruszył się na poczcie, a zawierał prośbę o natychmiastową odpowiedź (bo takie zaproszenie to gratka, na którą

wielu ostrzy sobie zęby). Dlaczego list się zawieruszył? Dlaczego nie wysłano drugiego listu? Czyż więc — wielki Boże! — nic z tego i ja mogę nie ruszać się z Argentyny?

Nazajutrz przybywam do Buenos i zastaję na biurku telegram, gwałtujący o odpowiedź. Ale telegram jest sprzed dwóch tygodni, w następstwie niezwyklej mieszaniny niedbalstwa i pecha ten jeden telegram z całej korespondencji, jaka wpłynęła, nie został mi przesłany. Zadepeszowałem, że przyjmuję — ale już prawie nie miałem wątpliwości, że wszystko na nic, do diabła, i że ja, Boże wielki, pozostanę w Argentynie!

A jednak coś już zaczynało się dziać wokół mnie... w tych dniach niepewności pewne specjalne aspekty mojej argentyńskiej rzeczywistości doznały nagłego pobudzenia, wyglądało jak gdyby ta rzeczywistość w przeczuciu rychłego zakończenia poczyniała przyspieszać się i natężyć w całej osobliwości swojej... zaznaczyło się to najwyraźniej na odcinku młodzieży, najbardziej chyba dla mojej sytuacji charakterystycznym... Oni jak gdyby akurat w owych dniach dostrzegli, że takie coś, jak ja, nie zdarzy im się co dzień: pisarz już „zrobiony”, o nazwisku już znanym, a nie zadający się z osobami powyżej lat dwudziestu ośmiu, artysta o jakiejś specjalnej estetyce, czy specjalnej dumie, które z pogardą i nudą odrzucały ludzi w kulturze urzeczywistnionych aby garnąć się do młodych, do tych *à l'heure de promesse*, z klasy wstępnej, z przedpokoju literackiego... ależ to casus zupełnie wyjątkowy, bez precedensów! Ależ to jak znalazł, żeby uderzyć owym młodo-starym, jak taranem, w *beau monde* literacki Argentyny, wywalić drzwi, rozsadzić hierarchie, wywołać skandal — i oto ci *blousons noirs* boys sztuki, ci *iracundos* (jedna ich grupa zwała się „Mufados”, druga „Elefantes”) doskoczyli do mnie, pełni wojennego zapału zaczęto na chybicka opracowywać sposoby przeniknięcia do najważniejszych gazet, Miguel Grinberg, przywódca Mufados, przygotowywał gorączkowo numer swojej bojowej „rewisty”, mnie poświęcony — mobilizacja, ruch, elektryczność! Czemu ja przyglądałem się ze zdziwieniem... bo to doprawdy wyglądało, jakby już widzieli o moim zbliżającym się końcu... a przecież jeszcze nie wiedzieli... Ze zdziwieniem, ale i nie bez przyjemności, na to poglądałem — albowiem wrodzona mi przekora lubi to, iż wbrew całemu Grand Guignolowi, odbierającemu mi wszelką powagę w oczach szanujących się literatów, jestem jednak — a kuku! — kimś poważnym i jestem wartością. A Grand Guignol, właściwy mojej sytuacji, wzbierał w tych dniach końcowych w sposób zaiste niesamowity, coraz to wybuchała jakaś ekscentryczność, w prasie coraz częściej pojawiały się wiadomości, iż jestem zapoznanym geniuszem, odnoszącym zwycięstwa w Europie, a Zdzi-



sław Bau, redagujący kronikę towarzyską w Clarinie robił mi reklamę zamieszczając cudaczne wzmianki iż „Gombro” uwodzi danserki w modnych uzdrowiskach. Czy ta heca dochodziła do europejskich salonów Madamy Ocampo i co o tym mogli myśleć zaccni *escritores*, jeśli w ogóle coś z tego przenikało do ich Olimpu? Czy nie czuli się jak Makbet, spoglądający z zamku dunyńskiego na zbliżający się ku niemu las zielony... w której to zieleni czaiła się farsa, dzikość, anarchia, szyderstwo, ale niedozmązone, niedogotowane, poniżej poziomu, z suteryny prawie. Zapomniałem o Berlinie. Wszystko zapowiadało niegorszą zabawę, taką właśnie jaką lubię, zbijającą z pantałyku, wytrącającą, ni z pierza, ni z mięsa, niewydarzoną.

Wtem list z Fundacji Forda, oficjalny, że mnie zapraszają. Stopa moja dotknęła argentyńskiej ziemi dwudziestego drugiego sierpnia 1939-go roku — odtąd ileż razy pytałem: ile lat? jak długo? — aż oto dziewiętnastego marca 1963-go ukazał mi się kres nadchodzący. Pchnięty nożem tego objawienia, umarłem od razu — tak, wszystka krew ze mnie wyciekła w ciągu minuty. Już nieobecny. Już skończony. Już gotów do drogi. Przecięte zostało to coś tajemniczego pomiędzy mną i miejscem moim.

Ten koniec prosił się o zrozumienie, zdanie sobie sprawy — ale już porwał mnie wir zacierający i rozpraszający, dokumenty, pieniądze, walizki, sprawunki, likwidacja wszystkiego, miałem niecałe dwa tygodnie na odwalenie tej roboty, od wczesnego ranka do późnej nocy pędząc taksówkami załatwiałem i wykańczałem. Wykańczałem przyjaciół za pomocą czułości już nieobecnej, odwalałem sentymenty, żale, byle prędzej, śniadanie z Iksem, kolacja z Igrekiem, prędzej, nie zdążę odebrać tych paczek... I otóż w tych momentach końcowych jęły gwałtownie dojrzewać niespodziewane kwiaty i owoce, rozkwitały przyjaźnie, które latami całymi były w stanie półuspienia, ujrzałem ży... ale już czasu nie miałem i było to tak, jak gdyby owe uczucia zwlekały ze swoim urzeczywistnieniem do chwili, w której stałem się nierzeczywisty. Wszystko na ostatnią chwilę i wszystko właściwie *ex post*. Opowiem jedną historię, zabawną: wychodzę któregoś dnia o wpół do ósmej rano żeby załatwić jedenaście spraw pilnych, a tu na schodach dziewczę, piękność osiemnastoletnia, naręczona jednego z moich studentów, nazwana przez niego „Walizką” ponieważ — twierdził — chodzi się z nią, jak z walizką. „Walizka” szlocha, łzy kapią, wyznaje mi miłość, nie tylko ja — mówi — wszystkie moje przyjaciółki też były, albo są, w tobie zakochane, Witoldo, żadna się nie uchroniła! A zatem na tydzień przed wyjazdem dowiedziałem się o tylu miłościach panińskich — och, zabawne, ale nie takie znów zabawne, ten

śmieszny triumf na pożegnanie przeszył mnie zimnym dreszczykiem: a więc te dziewczynki też były gotowe współpracować ze mną w moim dramacie? Ileż razy już zdumiewała mnie i przerażała niesłychanie gwałtowna reakcja młodości na moje cierpienie z nią związane, jest to coś co odczuwam jako bolesną i bezradną hojność, rękę przyjaźnie wyciągniętą, która już nie może osiągnąć...

Inne jeszcze kwiaty i owoce rodziły mi się w tych chwilach przedzgonnych w ogrodzie uprawionym przez mój wieloletni dramat — tak, pośpieszne, gwałtowne dojrzewanie, ja zaś, asceta, w pogoni za sprawunkami. Wszystko już w ruchu, parcie niesamowite czasu rozpędzonego moim wyjazdem było akurat takie, jak na pięć minut przed nadejściem Nowego Roku, ruch, napór, nic już nie dawało się uchwycić, wszystko leciało mi z rąk i przepadało, jak widziane z okna pociągu. Nigdy nie byłem bardziej sam — i nieuważny.

Usiłowałem mimo wszystko — czasem gorączkowo — nadać jakiś kształt temu exodusowi mojemu. Wytwarzała się pewna analogia pomiędzy tymi ostatnimi dniami, a dniami pierwszymi, wtedy z 1939-go, analogia formalna jedynie, ale uczepliłem się jej w moim chaosie i znalazłem jednak trochę czasu by odbyć pielgrzymkę do miejsc, które wówczas były moimi, zaszedłem na przykład do wielkiego domu na Corrientes 1258, zwanego „El Palomar”, gdzie gnieździła się rozmaita biedota, gdzie przeżyłem chyba najcięższy okres, wtedy pod koniec 1940-go, chory, bez grosza — wydrapałem się na czwarte piętro, ujrzałem drzwi mego pokoiku, znajome lizaje, odpryski na ścianie, dotknąłem klamki, poręczy klatki schodowej, zabrzmiała mi w uchu dawna melodia natrętna z dansingu na dole, rozpoznałem dawny zapach... i przez chwilę, wpatrzony w coś niewidocznego oczekiwałem, że ten akt powrotu zdoła nadać kształt i sens terażniejszości. Nie. Nic. Pustka. Próżnia. Zaszedłem jeszcze do innego domu, na Tacuari 242, gdzie mieszkiałem w grudniu 1939-go, ale ta wizyta mniej mi się udała. Wchodzę, wsiadam do windy żeby pojechać na trzecie piętro, gdzie była moja przeszłość, wyłazi portier.

— Pan do kogo?

— Ja?... Do pana Lopeza. Czy tu mieszka pan Lopez?

— Tu żaden Lopez nie mieszka. A dlaczego pan do windy wsiada zamiast zapytać w portierni?

— Myślałem że... Na trzecim piętrze...

— A skąd pan wie, że na trzecim piętrze, jeśli pan w ogóle nie jest pewny, czy on tu mieszka? Pan właściwie w jakim interesie? Do kogo? Kto panu dał adres?

Zwiąłem.

Ósmy kwietnia. Port. Kawiarnia w porcie, w bezpośrednim pobliżu białego olbrzyma, który miał mnie zabrać — stolik przed kawiarnią, przyjaciele, znajomi, pozdrowienia, uściski, no, trzymaj się, pamiętaj o nas, kłaniaj się... i z tego wszystkiego jedno tylko nie było umarłe, jedno spojrzenie moje, które z niewiadomych przyczyn na zawsze mi pozostanie, bo ja, mianowicie, spojrzałem przypadkiem na wodę portu, przez jedną sekundę ujrzałem kamienne obmurowanie, latarnię na chodniku, obok słup z tabliczką, dalej trochę kołyszące się szalupy i łódki, zieloną murawę brzegu... Oto jak mi się zakończyła Argentyna: jednym nieważnym, zbędnym spojrzeniem w przypadkowym kierunku, latarnia, tabliczka, woda, to właśnie wessało się we mnie na zawsze.

Już jestem na statku. Już odpływa statek. Oddala się brzeg i miasto wyłania się, odpływające, wieżowce zachodzą za siebie powoli, gmatwają się perspektywy, pomieszanie włazi w geografie — hieroglify, zagadki, pomyłki — jeszcze jawi mi się, nie tam gdzie trzeba, wieża „Anglików” z Retiro, oto gmach poczty, ale panorama już jest niepojęta i senna w zawiałości swojej, jakby niechętna czy też zakazana, myląca, złośliwie bodaj, miasto zamyka się przede mną, już tak niewiele wiem!... Sięgam do kieszeni. Co to? Brak dwustu pięćdziesięciu dolarów, które wzięłem ze sobą na drogę, obmacuję siebie, pędzę do kajuty, szukanie, może w palcie, w paszporcie, nie, nie ma, do diabła!... Będę musiał przepłynąć Atlantyk z resztką pezów, które mi pozostały, to suma równająca się w przybliżeniu trzem dolarom! Ale tam, na zewnątrz, miasto odpływa, skup się, nie dozwól żeby cię okradziono z tego pożegnania, pędzę z powrotem na pokład: były to już tylko w skosie, u krańca płaszczyzny wodnej, skłębienia materii bliżej nieokreślone, mgławica przetkaną gdzieś niedługo wyraźniejszym konturem, wzrok mój już nic nie rozumiał, plazma z jakąś w sobie geometrią, ale zbyt trudną... i tej trudności, wzrastającej bez przerwy i przyniatającej towarzyszył szum wody rozbijanej dziobem okrętu. A zarazem dwieście pięćdziesiąt dolarów wdzierają mi się w dwadzieścia cztery lata mego życia w Argentynie, rozdawała się ta chwila na dwadzieścia cztery i dwieście pięćdziesiąt, o, matematyko zasnuwająca i pomylona! Podwójnie okradziony, poszedłem rozejrzeć się trochę po statku.

Kolacja i noc, zaskutona wielkim zmęczeniem moim. Nazajutrz wyszedłem na pokład, szum, wzburzenie, błękit nieba, rozorany głęboko ocean, rozkwit burzliwy pian w przestrzeni trawionej powtarzającym się obłędem gwałtownego ruchu, dziób „Federico” godzi w niebo i zapada w odmęty, wytryski słonych kropel, nie podobna ustać nie uczepiwszy się czegoś... tam, na

lewo, o jakie piętnaście kilometrów brzegi Urugwaju i czyż nie góry, znajome, te otaczające Piriapolis?... Tak, tak, a teraz wiadać już białe klocki wielopiętrowych hoteli w Punta del Este i, przysięgam, przedarł się do mnie stamtąd ostry błysk, z tych co to słońce wytwarza odbijając się na szkle samochodów — są jaskrawe i dalekosiężne. Ten błysk z Punta del Este, z jakiegoś samochodu, na jakimś zakręcie, to było ostatnie słowo ludzkie wyrzeczone do mnie ze znanej mi Ameryki, niczym krzyk, dobiegający w ogromnym nieładzie morza, pod niebem, które, jakies zakłęte, potęgowało wrzenie wszystkiego. Żegnaj Ameryko!

Jaka Ameryko? Burza, jaką nas powitał Atlantyk, nie była taka sobie codzienna (powiedział mi potem Stewart, że od bardzo dawna taka mu się nie zdarzyła), ocean był wszechzatracający wiatr dławił i wiedziałem że na tej pustyni szalonej wyrasta już przede mną, wyznaczona kierunkiem naszym, Europa — tak, nadciągała już, a ja nie wiedziałem co zostawiam za sobą. Jaką Amerykę? Jaką Argentynę? Och, co to właściwie było, tych lat dwadzieścia i cztery, z czym ja płynę do Europy? Ze wszystkich spotkań, jakie mnie oczekiwały, jedno było najkłopotliwsze... musiałem się spotkać z jednym białym statkiem... który wypłynął z polskiej Gdyni akurat gdy mój „Federico” wypływał z Buenos Aires... który, zatem, musiał już być gdzieś w pobliżu kanału Kilońskiego, w drodze do Buenos... z którym więc miałem się spotkać nieuchronnie za jakiś tydzień na pełnym oceanie... Był to „Chrobry”. „Chrobry” z roku 1939-go, z sierpnia, ja na nim byłem i Straszewicz i Rembieliński, senator, i minister Mazurkiewicz, rozbawione grono... tak, wiedziałem, że spotkać się muszę z owym Gombrowiczem, płynącym do Ameryki, ja, Gombrowicz, dziś odpływający z Ameryki. Jakaż ciekawość żarła mnie wtedy, potworna, odnośnie do losu mojego, czułem się wtedy w losie moim jak w ciemnym pokoju, gdzie pojęcia nie masz o co nos rozbijesz, ileż bym dał za najniklejszy promyk rozświetlający zarysy przyszłości — i oto dzisiaj ja nadpływam tamtemu Gombrowiczowi, jak rozwiązanie i wyjaśnienie, jestem odpowiedzią. Czy jednak, jako odpowiedź, będę na wysokości zadania? Czy zdołam w ogóle coś powiedzieć tamtemu, gdy „Federico” wynurzy mu się na mglistym obszarze wód z żółtym, potężnym kominem swoim, czy nie będę musiał *przemilczeć*?...

To byłoby przykre. Jeśli on mnie zapyta ciekawie: — Z czym wracasz? Kim teraz jesteś?... a ja mu odpowiem zakłopotanym gestem rąk pustych, wzruszeniem ramion... i może czymś w rodzaju ziewnięcia „aaach, nie wiem, daj mi spokój!”. Kołysanie, wiatr, szum, ogromne piętrzenie się i rozbełtanie zlewające się u horyzontu z niebem nieruchomym, które nieruchomością

uwieczniało płynność, a w dali mający się z lewej strony brzeg amerykański, jak wstęp do wspomnienia... czyż nie zdobę się na inną odpowiedź? Argentyna! Argentyna! Jaka Argentyna? Co to było — Argentyna? A ja... co to jest teraz, to ja?

Pijany umykaniem pokładu spod nóg na wsze strony, ucpiiony poręczą, pchany w zataczanie się, w zamęt, ogłupiały wiatrem — naokoło twarze zielone, spojrzenia mętne, postaci skulone — odrywam się od burty, dokazując cudów równowagi idę... naraz patrzę, coś leży na desce pokładu, coś małego. Ludzkie oko. Było tu pusto, tylko przy schodach na wyższy pokład marynarz żuł gumę. Zapytałem go.

— Czyje to oko?

Wzruszył ramionami.

— Nie wiem, sir.

— Czy komu wypadło, czy też zostało wyjęte?

— Nie widziałem, sir. Leży tutaj od rana. Byłbym podniósł i schował do pudełka, ale nie wolno mi odchodzić od schodów.

Już miałem podjąć przerwany marsz do kajuty, ale akurat oficer ukazał się na schodkach luku.

— Tu, na pokładzie, leży ludzkie oko.

Zainteresował się żywo: — Do kr....ro... Gdzie?

— Czy pan myśli, że komu wypadło, czy też że zostało wyjęte?

Wiatr porywał słowa, trzeba było krzyżeć, ale krzyk też umykał z ust w dale, było to beznadziejne, nadto rozkołysane, poszedłem dalej, zresztą odezwał się gong obwieszający śniadanie. W sali jadalnej pustki, generalny wymiot wyżuł stoliki z ludzi, jest nas wszystkiego sześciu śmiałków zapatrzonych w płasy podłogi i niewiarygodną akrobację kelnerów. Moi Niemcy (bo, niestety, posadzono mnie z niemieckim małżeństwem, które mówi po hiszpańsku, jak ja po niemiecku) nie zjawia się. Zamawiam butelkę Quianti i dwieście pięćdziesiąt znów wbija mi się, jak szpila — czym zapłacę kwitek, który podpisuję? Po śniadaniu wysyłam radiotelegram do przyjaciół w Paryżu żeby przesłali mi na statek przekaz na dwieście dolarów. Podróżuję wygodnie, mam osobną kajutę, kuchnia, jak ongiś na „Chrobrym”, doskonała, żyć nie umierać... Nie umierać? Czymże jest ta jazda, jeśli nie jazdą w śmierć?... ludzie w pewnym wieku nie powinni w ogóle się ruszać, przestrzeń zanadto związana jest z czasem, pobudzenie przestrzeni staje się prowokacją czasu, cały ten ocean jest bardziej z czasu zrobiony niż z bezmiernych dalekości, jest to przestrzeń nieskończona, która nazywa się: śmierć. Wszystko jedno.

Rozważając moje życie argentyńskie na przestrzeni dwudziestu czterech lat dostrzegałem bez trudności pewną dość wyraźną architekturę, symetrie godne uwagi. Na przykład: były to trzy okresy, po osiem lat każdy, pierwszy okres — nędza, bohema, beztraska, próżniactwo, drugi okres — siedem i pół lat w banku, życie urzędnicze, trzeci okres — egzystencja skromna, ale niezależna, wzrastający prestiż literacki. Mogłem też ująć tę przeszłość wypośrodkowując pewne wątki: zdrowie, finanse, literatura... albo uporządkować ją w innym sensie, na przykład pod kątem problemów, „tematów” mojego istnienia, powoli zmieniających się w czasie. Ale jakże zaczerpnąć zupy życia dziurawą łyżką tych statystyk, wykresów? Ba, jedna z moich walizek w kajucie zawierała pewną teczkę, ta zaś teczka zawierała szereg pożółkłych arkuszy z chronologią, miesiąc po miesiącu, zdarzeń moich — zajrzyjmy, na przykład, co się działo ze mną ściśle dziesięć lat temu, w kwietniu 1953-go. „Ostatnie dni w Salsipuedes. Piszę „Sienkiewicza”. *Ocampo i spacer do Río Ceballos, nocne powroty. Czytam „Zniewolony umysł” i Dostojewskiego. 12-go powrót do Buenos Aires koleją. Bank, nuda, Zawadzka, okropność, list od Giedroycia, że książka nie idzie, ale chce wydać coś jeszcze. U Grocholskich i Grodzickich. „Bankiet” w „Wiadomościach”... etc. etc. Mogłem tedy dopomóc pamięci, przespacerować się z miesiąca na miesiąc po przeszłości — ale co z tego? Co robić, pytam, z tą litanią wyszczególnień, jak wchłonać te fakty, gdy każdy rozpadał się na mrowie drobniejszych zdarzeń które w końcu przeradzały się w opar, było to osaczenie wielomiliardowe, rozpuszczenie w ciągłości nieuchwytniej, coś jak brzmienie raczej... jak tu w ogóle mówić o faktach? A jednak gdyim teraz płynął do Europy, już po wszystkim, doskwierała mi wprost tyrańska konieczność osiągnięcia tej przeszłości, uchwylenia jej, tu, w szumie i zamęcie morza, w niepokoju wód, w rozlewności bezbrzeżnej i głucho roztapiającej, sam z odjazdem moim na Atlantyku — i czyż, naprawdę, miałbym być tylko bełkotem chaosu, jak te fale? Jedno stało mi się jasne: nie była to sprawa intelektualna, ani nawet sprawa świadomości, była to jedynie sprawa namiętności.*

Być namiętnym, być poetą wobec niej... Jeśli Argentyna mnie zjednała sobie do tyła, iż (teraz już nie wątpię o tym) byłem w niej głęboko i na zawsze zakochany (a w moim wieku nie rzuca się tych słów na wiatr oceaniczny) to przecież należało dodać, że, gdyby mnie kto zabił, nie umiałbym powiedzieć co mnie uwiodło na tej pampie nudnej, w miastach zwyczajnie mieszczańskich. Jej młodość? Jej „niższość” (och, ileż razy nawiedzała mnie w Argentynie myśl, jedna z kapitalnych moich, i podniecająca, że

„piękność to niższość”)? Ale, choć te i tym podobne fenomeny, poparte przyjaznym i niewinnym spojrzeniem, olśniewającym uśmiechem w kinowej nieco scenerii, pełnej koloru, gorąca, wyziewów, palm może, albo „ombu”, nie małą, jak wiadomo, odegrały rolę w moim urzeczeniu, to jednak Argentyna była czymś stokrotnie bogatszym: Stara? Tak. Trójkątna? Także. Także kwadratowa, niebieska, ale i kwaśna w spirali, gorzkawa, owszem, ale też wewnętrzna i trochę jak połysk obuwia, krecia jak słup, albo brama, także w rodzaju żółwim, strudzona, zbabrana, wezbrana niby dziupla, albo koryto, szympansowata, zżarta, perwersyjna, sofistyczna, małpia, oraz pokumana z sandwiczami, podobna do plomby w zębie... och, piszę, co mi pod pióro podlezie, bo wszystko jedno, cokolwiek powiem nada się do Argentyny. *Nec Hercules...* Dwadzieścia milionów żyć we wszystkich możliwych kombinacjach, to dużo, za dużo, jak na pojedyncze życie jednego człowieka. Czyż mogłem wiedzieć, co mnie w tej masie żyć splątanych wzięło? To może, że znalazłem się bez pieniędzy? Że utraciłem moje polskie przywileje? Że ta łacińskość amerykańska jakoś uzupełniła moją polskość — czy też może słońce południa, rozleniwienie formy — czy może swoista ich brutalność, brud, nikczemność... nie wiem... I, co więcej, nie odpowiadało prawdzie twierdzenie jakoby byłem zakochany w Argentynie. Ja, właściwie, wcale w niej nie byłem zakochany. Wyrażając się ściślej, ja tylko *chciałem* być zakochany w Argentynie.

*Te quiero.* Argentynczyk zamiast powiedzieć „ja cię kocham” mówi „ja ciebie chcę”. Medytowałem tedy (wciąż na oceanie, miotany statkiem, który miotał się na fali) że miłość jest wysiłkiem woli, ogniem, który rozpalamy w sobie, bo tak chcemy, bo chce się być zakochanym, bo nie można znieść iżby się nie było zakochanym (chropowatość mego wystąpienia odpowiada tutaj pewnej niezręczności, zawartej w samej sytuacji)... Nie, ja nie to, żebym ją kochał, ja tylko chciałem mieć siebie w niej zakochanego i widocznie było mi gwałtownie potrzebne żeby nie zbliżyć się do Europy inaczej, jak w stanie namiętnego odurzenia Argentyną, Ameryką. Nie chciałem chyba ukazać się u schyłku życia Europie bez piękności, jaką daje miłość — i może drżałem, że zerwanie z miejscem, które sobą nasyciłem, przeniesienie się do miejsc obcych, mną nierozgrzanych, zuboży mnie i ostudzi i zabije — więc pragnąłem być namiętny w Europie, namiętny Argentyną — i zwłaszcza drżałem przed tym jednym spotkaniem, które mnie oczekiwało (na pełnym oceanie, o zmroku, może o wczesnym świcie, we mgłach słonoprzestrzennych i zasnuwających) i za nic nie chciałem zjawić się na tym *rendez-vous* z zupełnie pustymi rękami. Statek parł naprzód. Woda wznosiła go i poga-

żała. Wiatr wiał. Byłem nieco bezradny, stropiony, bo chciałem kochać Argentynę i moich w niej lat dwadzieścia cztery, a nie wiedziałem jak...

Miłość, to godność. Tak mnie się, w moich latach, wydawało, im większa klęska biologiczna, tym bardziej staje się potrzebna namiętność ognia spalającego, lepiej żebyś się spalał, niż żebyś powoli, trupio się ostudzał, namiętność, teraz to wiedziałem, bardziej zalecona jest starości, niż młodości. Noc zapada. Już noc zupełna. Z lewej strony, ledwie, ledwie, gdzieś tam, ginące mrugania latań morskich brazylijskiego już brzegu, tu, na pokładzie, ja, dążący naprzód, oddalający się bez przerwy, w marszu niepojętym... była to pustynia. Nieskończoność pustki wrącej, grzmiącej, wypryskującej, nie do rozróżnienia, nie do uchwycenia, stworzonej z wirów i odmętów, takiej samej tu i tam i jeszcze dalej i jak najdalej, na darmo wzrok wyteżam do bólu, nic nie można zobaczyć, za ścianą nocy przelewało się wszystko bez wytchnienia, tonące i roztapiające, wiedziałem, że za ciemnością tam w dole jest tylko bezkształt i ruch, przede mną tylko przestrzeń nieistotna, w górze zaś niebo rozgwieżdżone rojem niezliczonym, nie do rozróżnienia, nie do uchwycenia... A jednak wyteżałem wzrok. Ale nic. I zresztą czyż miałem prawo widzenia, ja, też odmęt w tym odmęcie, niepamiętny, zgubiony, rozbełtany pasjami, bólami, których nie znałem, jakżeż można po dwudziestu z górą latach być tylko przelewającą się wodą, przestrzenią pustą, nocą ciemną, niebem nieobjętym... być ślepym żywiołem, nie móc dojść w sobie do niczego. O, Argentyno! Jaka Argentyno? Nic. Klapa. Nawet chcieć nie mogłem, jakakolwiek możliwość chcenia była wykluczona nadmiarem wszechobezwładniającej rozlewności, miłość przelewała się w niemiłość, wszystko się zlewało, trzeba już iść, przespać się, już późno, ludzkie oko, skąd mnie to ludzkie oko na pokładzie?... Czy mi się zdawało, bo ja wiem, no, ostatecznie wszystko jedno, oko nie oko, bo i po cóż, powiedz, zabawiać się w formalistykę, czyż warto pytać o paszport zjawiska, cóż za pedanteria... i czyż ty możesz widzieć, lepiej zaśnij.

Witold GOMBROWICZ

## Rzut oka na Niemców (I)

Szwajcarski germanista, prof. Muschg, napisał przed kilku laty pesymistyczną książkę pod tytułem „Die Zerstörung der deutschen Literatur”. („Zniszczenie literatury niemieckiej”). „Nouvelles Littéraires” jeszcze niedawno zapytywały: „Czy w ogóle istnieje niemiecka literatura?”. „The Times Literary Supplement” przed dwoma laty, z wyraźnym ociąganiem się, poświęcił twórczości Niemiec powojennych numer specjalny „German Writing To-day”.

W mniemaniu znakomitej większości wykształconych Europejczyków na zachodzie (w Europie wschodniej znają się na tych sprawach lepiej) ostatnią stacją kolejową tej literatury, za którą kończą się już szyny i zaczyna szczerze pole, był Thomas Mann. Przy czym, rzecz znamienita, mówiąc o współczesnej literaturze niemieckiej, mówi się dzisiaj i myśli, podobnie jak przy rozważaniach natury czysto politycznej, (na przykład: stosunek Polski do Niemiec a granica na Odrze i Nysie), prawie wyłącznie o Niemieckiej Republice Federalnej, a nie o Niemieckiej Republice Demokratycznej, jakby Niemcy wschodnie nie były „prawdziwymi Niemcami”, tylko fantomem. I jakby między Łabą a Odrą nie pisano już po niemiecku. Ba, nawet „Literaturnaja Gazieta” częściej, chętniej i obszerniej pisuje o pisarzach „bońskich”, niż o ich pożalowania godnych kolegach po piórze w NRD.

Dopiero od niedawna najnowsza literatura niemiecka znajduje swoich odkrywców w Paryżu, Londynie i Nowym Jorku; a więc już nie tylko w Warszawie, w Budapeszcie i Moskwie. Twórczość prozaików takich jak Heinrich Böll, Günter Grass czy Uwe Johnson nie osiągnęła jeszcze tej popularności, co utwory teatralne dwóch wybitnych Szwajcarów niemieckojęzycznych Frischa i Dürrenmatta (nawiasem mówiąc Dürrenmatt prędzej się „przyjął” w Warszawie niż w Londynie), ale wiele wskazuje

na to, że nadchodzi z kolei moda na „falę niemiecką”. („Kultura” może pochlebić sobie, że na jej łamach niżej podpisany i Konstanty Jeleński zwracali uwagę na niezwykle utalentowanego Günтера Grassa, zanim jeszcze nazwisko to zanotowano na międzynarodowej giełdzie literackiej. Także i działalność „Gruppe 47” została szczegółowo omówiona przez polski miesięcznik emigracyjny w Paryżu, zanim o tym „sprzysiężeniu” liberalno-lewicowych pisarzy niemieckich zaczęły się rozpisywać gazety na zachodzie).

Radbym obecnie zainteresować czytelnika kilku utworami pisarzy niemieckich młodego i średniego pokolenia, które przetłumaczony na język polski nie tylko dlatego, że ich autorów cenię i lubię (każdy bodaj wybór tego typu jest czymś subiektywnym) Wydaje mi się, że zastępują na uwagę również i z innego względu.

I tak krótka nowela Christiana Ferbera porusza ciągle jeszcze niezabliźnioną sprawę stosunku młodego pokolenia do wątpliwych zasług ich rodziców.

Hans Werner Richter w swojej satyrze piętnuje niebezpieczną tendencję, jaka się wyraźnie zarysowała w powojennej literaturze niemieckiej: ucieczkę od odpowiedzialności moralnej w abstrakcyjną kaligrafię.

Milo Dor, nasz socius doloris piszący po niemiecku emigrant jugosłowiański, który wybił się na czoło austriackiej literatury powojennej) nie daje się urzec tak modnemu wśród intelektualistów zachodnich osłepnięciu na jedno oko. Jego utwór, wywodzący się z ducha tradycji satyry politycznej, uprawianej w monarchii naddunajskiej, a bodaj i spokrewniony z naszym Mrożkiem, bez jadowitego żądła, raczej zasnuty melancholią, przedstawia perypetie naiwnie wierzącego milicjanta, jakby bałkańskiego kuzyna warszawskiego pana Piszczka z „Zezowatego szczęścia”.

Johannes Bobrowski powinien zaciekawić polskiego czytelnika nie tylko swoim nazwiskiem. Ten urodzony w Tylży, mieszkający we wschodnim Berlinie poeta najchętniej uprawia lirykę opisową. Krajobrazy swoje, jeśli się tak wyrazić można, „podmywa” swoistą nutą moralizatorską, co wierszom dodaje wdzięku staromodności. Pod względem formy są to jednak utwory „nowoczesne” (o ile termin taki w ogóle ma jakieś znaczenie). Wiersze Bobrowskiego, jak spostrzegłem, szczególnie podobają się czytelnikowi uciążliwemu na wschodnią „egzotykę”, a tych jest w Niemczech, jak wiemy, co niemiara. Polaka zaś niewątpliwie zaciekawi sama tematyka (Mickiewicz, Wilno, Wilia).

Z bogatego dorobku Siegfrieda Lenza (którego sztukę „Zeit der Schuldlosen” grają obecnie w Polsce) wybrałem niedługie opowiadanie ze zbioru prozy, poświęconego urokom stron rodzinnych młodego pisarza. Lenz, jeden z najciekawszych talentów epickich młodej prozy niemieckiej, pochodzi z Mazur. Dobrze jest pamiętać, że Warmia, Mazury, Śląsk i inne ziemie odzyskane są „krajem lat dzieciennych” niejednego wybitnego pisarza niemieckiego. Myślę, że sentyment ten, mimo wszystko, posiada między ludźmi więcej właściwości łączących niż oddzielających.

Zestaw niniejszy, oczywiście, nie jest reprezentacyjny. Raczej przypadkowy. Ale może tam coś-nie-coś wyjaśni czytelnikowi. Jak mówi Oscar Wilde: „Nie trzeba wypijać całej butelki, by poznać smak wina”.

Tadeusz NOWAKOWSKI

### KOMENDANT TWIERDZY

— Jeśli wierzyć mapie, powinniśmy za chwilę być na miejscu — powiedział młodzieniec przy kierownicy. Samochód wyjechał z tunelu cienia i między szerokimi fosami zbliżał się ku pierwszym zabudowaniom. — Zatankuję, zanim wjedziemy na prom. Nie wiadomo czy mają benzynę na wyspie.

— Rozjaśniło się — odezwała się matka — a jednak wszystko rozplywa się przede mną.

— Jak to na wybrzeżu: słońce prześwietla dymiące łąki.

— Wiem, wiem. Papa często opisywał tutejsze widoki w listach. Biedaczek, zawsze chciał mieszkać nad morzem. Dobrze, że chociaż tych kilka lat dane mu było spędzić w tych stronach.

— Tak, mam — szepnął młodzieniec.

W pobliżu stacji benzynowej żółciła się tablica na murze. Jedna z wielu, jakie widzieli po drodze, gdy mijali wioski i miasteczka. Kiedy starsza kobiecina, obsługująca stację, napełniała bak benzyną, młodzieniec uważnie odczytywał tekst wyryty na tablicy.

— Cóż to za tablica? — spytała matka, gdy znowu ruszyli w drogę.

— Pamiątkowa. Ku czci Francuzów. Poległych lub straconych.

— Niewątpliwie piękny zwyczaj — mruknęła matka.

— Niewątpliwie. Ale oto i morze, a tam, jak na zawołanie, prom! Mamy szczęście.

Wjechali na betonowy pomost, wpuszczony w morze, by dołączyć do czekającego na przeprawę ogonka wozów.

— Nie myślałam, że ta wyspa leży w pobliżu ładu — mama wspięła się na czubki palców, by przypatrzeć się celowi podróży. Łagodne pagórki, pokryte sosnowym laskiem.

— Tego widoku nie znam z listów papy. Zawsze mi się wydawało — mówiła matka — że wyspa leży hen, po środku morza, jak samotna, niedostępna twierdza.

— Ależ to była samotna niedostępna twierdza. Światło myli: to jednak daleko od nas.

— W każdym razie — powiedziała matka z zadowoleniem — wkrótce tam będziemy.

Zamyślona, z przymkniętymi oczami, wcisnęła się w głąb wozu, i jakby tam zastygła. Ledwie statek-prom oderwał się od brzegu, młodzieniec wysiadł z samochodu i wdrapał się na pokład. Usiadł na ławce, twarzą do trzech zakonnic, które czerniły się na tle balustrady. Ponad ich rozłopotanymi na wietrze kornetami widać było kilka domków na wyspie i pasczek plaży. W tejże chwili pokazał się na pokładzie pulchny jegomość w sportowym płaszczu, przesadnie ściśnięty w pasie rzemieniem.

— Rodak, co? — opadł, zdyszany na ławkę. — Poznałem po znakach na wozie. W tych stronach niewielu się widuje Niemców. Pewnie na urlop, co?

— Może — odparł młodzieniec. Spojrzał w dół przez barierkę i spostrzegł, że matka nadal siedzi w głębi wozu bez ruchu, podobna do wypchanego ptaka.

— Radzę spróbować — sapał nieznajomy — fajna wysepka! Oczywiście, w t e d y wyglądała tutaj inaczej. Sympatyczny ludek, a jakże. Jakby nie Frankole.

— Był pan tutaj w czasie wojny?

— Przez dwa lata. Ale nie myśl pan, że przyjeżdżam tutaj pod hasłem: „Kombatanci, odwiedzajcie pola chwały!”. Nic podobnego. Po prostu — sentymencik. Ludek tutaj przyjemny. Może i dawną *mademoiselle* uda się odszukać, rozkoszną przygodę, he, he, z t a m t y c h czasów?

— Aha. A czy był pan tutaj do samego końca?

— Germaine jej było. Ładne imię, co? Moja żona o tym nie wie, ale nawet gdyby wiedziała, nie jest pod tym względem he, he, zbyt staromodna. Co było, he, he, a nie jest, nie pisze się w rejestr. Co oko nie widzi, sercu nie żal. Nie, już 1943-go zabrano mnie stąd, a szkoda, bo tutaj nigdy nie było wojny jak się należy. Żył się jak u Pana Boga za piecem...

— Nie było wojny „jak się należy”?  
 — W ogóle nie było. Wiele się o tej dziurze pisało i mówiło, ale nic się tutaj nie działo! Ale pan był wtedy jeszcze dzieckiem?  
 — Byłem dzieckiem...  
 — No, właśnie. Ci wyspiarze powinni być nam wdzięczni do grobowej deski. Komendant wyspy skapitulował bez oddania jednego strzału. Pisali o nim później w gazetach, że „zdradca nikczemny”, zdaje się że jego rodzinę wsadzili za to do lagru. i tak dalej. Wcale się tego po starym nie spodziewałem. Taki był zawsze twardy i zajadły...

— Znał go pan?  
 — „Znał”, to zbyt wielkie słowo. O tyle, o ile. Byłem tylko gefrajtrem, zwykłą płotką... A on, chociaż z rezerwy, służył jako koszarowy brytan jak wszyscy diabli. Ale i takie typy, jak się okazuje, tracą czasem nerwy, he, he! Wszyscyśmy tylko ludzie, młody człowieku. Ale wysepka, mówię, fajna jest! Aż się człowiekowi robi miękko na sercu. No, to i ja — hyc! — znowu tutaj w odwiedzinie!  
 — Dopływamy. Przyjemnej zabawy!  
 — Tylko nie zapomnij się pan wdrapać na morską latarnię!  
 — zawołał nieznamy rodak na odchodnym. — Fantastyczny widok!

Wzdłuż wąskiej drogi, przecinającej wysepkę, ciągnął się sosnowy laszek.

— Tak sobie właśnie wyobrażałam tę drogę — mówiła matka. — Jedźmy wolniej. Nasz papa był bardzo dokładny w swoich listach, sumiennie opisywał każdy szczegół krajobrazu. Zaraz powinien się pokazać dość duży, biały dom z wieżyczką, a za nim, w lewo, piaszczysta dróżka... Tędy właśnie spacerował wieczorami, po służbie. W myślach chodziłam z nim tą ścieżką. Tyle razy odczytywałam te listy w więzieniu. Jeszcze dzisiaj znam niektóre zdania na pamięć...

Młodzieniec przyhamował.

— Oto i dom. Zgadza się. Dość duży, biały, i z wieżyczką. To oberża. Wygląda na drogi lokal.

Usiedli w ogródku, przy stoliku podsunętym pod sam krzew mimozy. Kelnerka z białą wstążką we włosach przyniosła mały kubek kawy i duży mleka.

Pili, rozglądali się uważnie dookoła, i milczeli.

— Czy warto się dopytywać? — westchnął młodzieniec.  
 — Może to nie ma sensu?

— Warto — powiedziała matka. — Gdybym umiała po francusku, sama bym zasięgnęła języka.

Siwy, krępy mężczyzna ze szpicbródką wynurzył się z głębi

sieni. Przystawał przy nielicznych zajętych stolikach, grzecznie gawędził z gośćmi.

— To Cremier, właściciel oberży — wyjaśniła matka. — Niewiele się zmienił. Tak go właśnie opisywał nasz papa w liście.

Młodzieniec milczał. Matka zaś, rozcierając w palcach gałązkę mimozy, nie spuszczała oczu z Cremiera.

Ale on się nie śpieszył. Gawędził z gośćmi i gawędził, gładził siwą bródkę. Przez moment zdawało się, że chce skierować kroki w stronę sieni, ale nagle odwrócił się i z uśmiechem zapytał przybyszów z Niemiec, czy wszystko w porządku.

— Merci bien — odpowiedział młodzieniec.

— Pochwal mimozy — podsunęła mu matka. — „W listopadzie żółci się tutaj kwiecisty mur”. — Słowa te zabrzmiały cytatem z listu.

— Mówi pan po francusku — oberżysta pochwalił młodego Niemca.

— Uczymy się w szkołach...

— Tak, teraz inne czasy, — odrzekł grzecznie stary Francuz. — Przeszłość należy już do przeszłości, i tak jest lepiej.

Młodzieniec zdobył się na odwagę:

— Czy ta wyspa... to jest... czy w t e d y ... było tutaj bardzo źle?

— Wojna, jak to wojna — odpowiedział wymijająco oberżysta — a żołnierze, jak to żołnierze...

— Naturalnie — młodzieniec zaczerpnął oddechu — ale słyszałem, że do walk w końcu nie doszło: komendant wyspy człowiek odważny, szybko się poddał, zaoszczędzając w ten sposób niepotrzebnych strat i zniszczeń.

— Jeśli pan tak uważa...

— Tak uważam — zmieszał się młodzieniec. — Czyżbym się mylił?

— Komendant nie był w ciemni bity, to wszystko — odparł stary.

— O czym wy mówicie? — zaniepokoiła się matka.

— O poddaniu wyspy — wyjaśnił syn. — Monsieur Cremier mówi mi właśnie, że pamięta po dziś dzień jak odważnie i po ludzku postąpił komendant wyspy.

— A cóż w końcu miał innego zrobić? — wyduł wargi oberżysta. — Sprytnieńki był i tyle. Alianci parli od strony lądu, na wyspie zaczęli go podskubywać nasi z *maquis*. Poszedł więc za głosem rozsądku.

Młodzieniec zwrócił się do matki, by przetłumaczyć słowa naocznego świadka:

— Monsieur Cremier mówi właśnie, że komendant posta-

pił jak prawdziwy bohater, bo kochał ludzi żyjących na tej wyspie.

— Tak, tak — szepnęła matka.

— I mówi dalej — młodzieńcowi załamał się głos na chwilę — że miejscowa ludność często mówi o tym wspaniałym czynie...

— Komendant był cwany gość — gładził szpicbródkę oberżysta. — Z zawodu belfer gimnazjalny, mówił biegle po francusku, żaden tam zakuty niemiecki łeb, o *pardon*, wybaczenie staremu pleciudze, ale jak powiadam, przeszłość należy do przeszłości, i tak jest lepiej...

— Mówi jeszcze, że komendant był powszechnie lubiany i szanowany. Ludzie wiedzieli, że to nieprzeciętny Niemiec. Rozumiano też dlaczego wbrew rozkazowi dowództwa podjął tę odważną decyzję...

— Tak, to było pod koniec października — zamyśliła się matka — gdy pierwsze mimozy zakwitły w tym ogródku...

— Życzę państwu przyjemnego pobytu na naszej wyspie! — skłonił się grzecznie Cremier.

— Bardzo panu dziękuję — zawołał młodzieniec.

Matka w rozróżnieniu spoglądała na odchodzącego starca.

— Właściwie mogłam porozmawiać z nim sama — powiedziała po chwili — papa pisał nam przecież, że oberżysta najprawdopodobniej rozumie po niemiecku, ale niechętnie się do tego przyznaje. Ale dzisiaj na pewno jest inaczej.

— Tak pisał? — rzekł młodzieniec, zacerwieniony. — Zapomniałem o tym.

— Pięknie tutaj, przepięknie. Dobrze żeśmy przyjechali, ale jedźmy już, proszę, dalej. Zmęczyłam się śmiertelnie.

— Nic dziwnego — odparł syn — morskie powietrze.

Matka zerwała gałązkę mimozy i wsunęła ją do torebki.

— Może to i lepiej — zapatrzyła się przed siebie — że nie wiemy jak zginął i że nie można odnaleźć jego grobu?

— Płacić! — zawołał młodzieniec.

Christian FERBER

#### NOTA BIOGRAFICZNA

Christian FERBER (Simon Glas), powieściopisarz, nowelista i krytyk literacki młodego pokolenia, autor powieści *Das Netz* (1951) *Die schwachen Punkte* (1953), *Jeder wie er kann* (1956), zbioru miniatur prozą *Liebe — und noch etwas mehr*, stały współpracownik działu literackiego *Die Welt*. Mieszka w Hamburgu. Członek lewicowej „Gruppe 47”. Opowiadanie „Komendant wyspy” (tytuł oryginału „Mimosen im Juli”) wyjęte z „*Almanach der Gruppe 47* — Rowohlt-Verlag, Hamburg. (1962).

## LOS OTTOKARA

Życie różne płata ludziom figle, o czym najlepiej świadczyć może los, jaki spotkał Ottokara Kvrčila.

Ale najlepiej zacząć tę historię tak: wiadomość, że przed ambasadą brytyjską odbędzie się wieczorem wielka demonstracja, rozeszła się po mieście błyskawicznie. Na placu przed pięknym pałacikiem i w przyległych uliczkach już z samego popołudnia zaczęły się gromadzić tłumy wzburzonych obywateli. Szczerze mówiąc: wielu z nich nie bardzo wiedziało przeciwko jakiemu to „bezpiecznemu aktowi” należy tym razem zmanifestować swój słuszny gniew, ale sam fakt, że nadarza się sposobność do bezkarnego starcia ze stróżami porządku godny był poparcia. Gotowano się więc w skupieniu, (rzekłbyś: biegacze czekają cierpliwie na wystrzał startera) aż wyskoczy z tłumu jeden z tych uświadomionych obywateli, którzy znają całą prawdę o świecie i z głębi patriotycznej piersi, wykrzyknie płomienne „hasło dnia”. Gdy on, prowodyr na etacie, runie z pięściami na patrolującego przed budynkiem ambasady milicjanta, bijatyka przybierze charakter akcji legalnej.

Jeśli to kogo z miłośników naszego kraju ciekawi, jednym z najtępszych kołków w żywej palisadzie, wzniesionej z milicyjnych piersi przed wejściem do ambasady, był właśnie Ottokar Kvrčil, tępak z prowincji, przed kilku dniami przeniesiony z rodzinnego Wygwizdowa do naszej wspaniałej stolicy. Czyż można się dziwić, że na widok rozgniewanego tłumu serce kmiotka w mundurze zabiło gwałtowniejszym rytmem? Tym bardziej, że przed wymarszem z koszar porucznik Cwercyna, taki sobie miejski kawaler, przedziwne wygadywał rzeczy:

— Druhy moje walczone, jasne sokoły! — wołał Cwercyna — dzisiaj wieczorem nasi najlepsi towarzysze, krew z krwi, kość z kości, jak lawina runą na jaskinię perfidnego Albionu, by zaprotestować przeciw nieczym knowaniom lwa brytyjskiego na bezbronnych pustyniach uciskanego Bliskiego Wschodu. Nasze zadanie, chłopysie, proste jest jak świca: ta wstrętna jaskinia występku i knowań, niestety, nie może pójść w drzazgi. Wyrażam się, jak tuszę, mądrze i jasno. Czy są jakieś pytania? Pytający, wystąp!

Ottokar Kvrčil, owszem, miał kilka pytań na końcu języka, ale zabrakło mu odwagi i ust nie otworzył. Kto z czytelników służył kiedy w milicji, ten wie najlepiej, jaka to „przykrość w ta pora” zostać ochranionym lub, co gorsza, wyśmianym przed frontem kompanii. Nie mógł, na przykład, pojąć dlaczego mu



każą pilnować jaskini grzechu przed wybuchem jakże słusznego gniewu własnych rodaków. A kiedy sierżant Drobliczek mruknął: — „Znowu się nasza młokoseria wyszumi za wszystkie czasy”, ogarnęło go niemile przecucie, że to się dzieje ponad jego skofataną głową, dalekie jest od jasnej, porządkującej chaos myśli. „Kto wróg, a kto przyjaciel?” — zadawał sobie pytanie, ćwicząc w powietrzu ciosy gumową pałeczką, którą, zgodnie z rozkazem porucznika — o chaosie, o płynności tego świata! — wolno jedynie wymachiwać nad głową rozwrzeszczanych manifestantów, ale nie wolno bić napastników. Ale po co tam wyteżać umysł pod milicyjnym kaszkietem? Nic, tylko zamknąć oczy, za gumę i — prac!

— Precz z Anglikami! — krzyknął barczysty mężczyzna w skórzanej kurtce, zdradzającej człowieka pracy, i karzącą robotniczą pięść wznosił w górę. Tak, to był dyrygent manifestacji. Na dany sygnał runęła lawina gniewu. Z krzykiem protestu przeciw niecznym praktykom i bezprawnym aktom knowaczy na bezbronnej pustyni tłum ruszył przed siebie. Ruchliwi młodzieńcy jeli zęczenie wrywać deski z parkanu, za którym budowano nowy drapacz chmur-dumę stolicy, i dalejże okładać milicjantów. Zanim się zacny Kvrčil zorientował w dalszym przebiegu sytuacji, poczuł uderzenie twardej kantówki na tyle czaszki i — zapadł w ciemność. Co było dalej? Ledwie odzyskał przytomność, ujrzał nad sobą uśmiechniętą twarz lekarza i bukietek niezapominajek w szpitalnym wazoniku.

— Gratuluję. Macie twarde, milicyjne łeb! — posłyszał głos, pełen szczerego podziwu. — Kto inny dawno by już padł trupem, mój ty waleczny Kvrčilu!

To sławny chirurg. Ale opinia cywila nigdy się nie liczy. Ważniejsze było, co powiedział siedzący na skraju łóżka sierżant Drobliczek:

— Masz dostać order!

— Od ministra spraw wewnętrznych? — wzruszył się obandażowany kmiotek.

— Nie. Od Anglików! Omal nie zginęłeś w obronie perfidnego Albionu!

— To przykre — zmieszał się Ottokar.

— I tak ci go przyjąć nie wolno. Odeślesz go dobrowolnie.

— Odeślę go dobrowolnie — zgodził się cudem do życia przywrócony. — Ale cosik tam smutno: dostać lanie od własnych towarzyszy, i — nic z tego nie mieć.

— Własnych towarzyszy? To nie byli nasi ludzie! — ryknął sierżant. — Do legalnej manifestacji świata pracy zakradły się obce, zbrodnicze elementy, by wykorzystać ją dla

swoich nikczemnych, wywrotowych celów. Nasi towarzysze mieli wyraźny rozkaz: nie znęcać się nad milicjantami. I słusznie: kto podnosi rękę na stróżów ładu i bezpieczeństwa, temu się ją obetnie. Jeśli o mnie chodzi, przyjacielu, na sto metrów zwącham, czy to nasz czy nie nasz, a jak nie nasz, walę go gumą ile wlezie. Uprzedzając, że tak powiem, podstępny atak występnego elementu, rzucam mu się do gardła pierwszy! Mocne, co?

Tej nocy do cna skołowany obrońca jaskini grzechu spał podle, a co fatalniejsze: śnił defetystycznie. Że broni angielskiej twierdzy na pustyni. Zamiast bandaży nosi na głowie turban, ozdobiony brytyjskim lwem. Wymachując szabliskiem z gumy, odpiera ataki powstańców. Po cichu sympatyzuje z rebeliantami, bo sprawa ich słusna, ale — trudno: już zaprzedał duszę perfidnym kolonialistom. Lecz — co to? — własni towarzysze: porucznik Cwercyna, sierżant Drobliczek napadają nań z tyłu, zdzierają mu turban z głowy i złoty order z piersi. Kto wróg, a kto przyjaciel? Nawet we śnie nie uświadczyc jasnej, porządkującej chaos myśli. Nic, tylko zamknąć oczy, za gumę i — prac!

Następna demonstracja odbyła się, na odmianę, przed ambasadą francuską. W sprawie jakichś tam moralnych brudów w Afryce. Precz z cynizmem giełdziarzy! I znowu zebrał się tłum ochoczy a gniewny na zawołanie. Ale tym razem oko Kvrčila jakby już dostrzegało rzecz bystrzej. Cierpienie, jak widzimy, zaostrza myśl człowieka, nawet jeśli pochodzi z dalekiego Wygwizdowa. A więc manifestanci podjeżdżali pod placyk ciężarówkami ze sprawnością straży pożarnej. Ani chybi: demonstracje tego typu ćwiczyli za wczasu, w chwilach wolnych od pracy. I gniewu trzeba się uczyć na pamięć. Nauka nie poszła w las: Ottokar-roztropek chronił głowę przed uderzeniem kantówki.

— Precz z Francuzami, którzy wysysają! Hańba cynicznym giełdziarzom! — zabrzmiało hasło dnia. Barczysty mężczyzna w skórzanej kurtce, zdradzającej człowieka pracy wznosił karzącą robotniczą pięść w górę. Na dany sygnał runęła lawina od dawna z trudem pohamowywanego gniewu. Lud postanowił dać godziwą odpowiedź podstępny wysysaczom w Afryce. Spracowane dłonie skwapliwie chwyciły za kamienie, by powybić wszystkie szyby w jaskini grzechu i ucisku. Młodzież szczególnie wrażliwa na krzywdę człowieka, chwyciła za przywiezione ze szkół kałamarze atramentu, by spryskać nim galijskiego koguta moralnej ohydy.

— Precz z francuskimi sługusami w milicyjnych mundurach! — zawołał zażywny cywil w cyklistówce i ruszył z kijem na Ottokara. Tego było naszemu bohaterowi za wiele. Złapał na

pastnika za gardło. Niestety, cywil w cyklistówce zaczął się bronić przed uduszeniem, co, jak wiemy, rozbewnieć musi nawet najłagodniejszego milicjanta. Nie dość że łotr podnosi rękę na milicję, to jeszcze się broni! Po chwili Ottokar spostrzegł, że na pastnika zmienił się na twarzy. Miejsce czerwieni, oznaki zdrowia, zajął trupi fiolet.

— Puść, głupcze! — rzeźił śmiałek, który obraził mundur — ja też z milicji!

— Znamy takich! — roześmiał się Kvrčil. — Bujać to my, ale nie nas, reakcyjny ptaszku!

— Litości! Ja jestem... ja...

— Na sto metrów poznaję bez pudła kto nasz, a kto nie nasz. A jak nie nasz, to... Nic, tylko zamknąć oczy, za gumę i — prac!

To mówiąc, zbyt ochoczo wywiązał się z zadania.

— Przesadziłeś! — huknął nań pod wieczór w koszarach porucznik Cwercyna, miejski kawaler. — Niedobrze jest, chłopcy, bimbać sobie z rozkazów, ale jeszcze gorzej przedobrzyć w realizacji!

— Zatłukłeś członka Egzekutywy, samego Posprdaleka! Towarzysz Posprdalek zmieszał się osobiście z tłumem, by dopatrzeć wykonania, a ty go, mroczny kmiotku, za gardło i pałką w łeb! — lamentował sierżant Drobliczek. — Zubożyłeś świat pracy o wybitną jednostkę.

— To przykre — przeraził się Ottokar. — Myślałem, że...

— Był telefon z centrali — przerwał mu Cwercyna. — Macie szczęście, Kvrčil, że towarzysz Posprdalek zdradzał ostatnio niebezpieczne tendencje do odchylenia anty-neo-rewizjonistycznego, bo byście zadyńdali, a tak osadzimy was tylko na kilka lat w domu zdrowia psychicznego. W czepkuś się, ptasiu, urodził. Przestań szlochać ze szczęścia. Milicjantowania nie można się nauczyć, milicjantem trzeba się urodzić. Chłopcy, odpiąć mu pas i — do karetki!

Po wyjściu z domu zdrowia (trzy latka strzeliły jak z bicia) zacy Kvrčil wrócił do rodzinnej wioski, i można go teraz oglądać na rynku, w dzień jarmarczny, jak w czerwonej myce na skudłaczonej głowie, do człekokształtnej małpy podobny, kica między furmankami. Za kwaterekę śliwowicy, postawionej mu czasem przez litościwych furmanów, odstawia im swój numer popisowy: życie w stolicy.

— Podskaknij se, panie władza! — chichoczą bezzębne starzyki.

— Te, milicjont, zabawże nas, psiejucho! — rechoczą furmani.

A on, wdzięcząc się do gawiedzi, wymachuje w powietrzu kukurydzą jak gumową pałeczką. I bijąc niewidzialnego wroga po głowie, wykrzykuje na przemian: — „Precz z Anglikami”, „precz z Francuzami”, „precz z Afryką” lub „precz z Posprdalekiem”.

To znowu, podchmielony oberwaniec, próbuje uszczypnąć w pośladek przechodzące przez rynek chłopki. Niby się tam szamocą, wiele śmiechu i babskiego pisku między straganami, tyle jednak mają na sobie kiecek, chroniących je przed siniakami, że żadna tam nie wzbrania zacnemu Kvrčilowi tej niewinnej, iście emeryckiej rozrywki.

Milo DOR

#### NOTA BIOGRAFICZNA

Milo DOR, młody emigrant jugosłowiański, socjalista, pisuje po niemiecku. Mieszka we Wiedniu. Laureat austriackiej nagrody państwowej. Wydawca antologii, współredaktor czasopisma literackiego *Wort in der Zeit*. Zbiór nowel *Unterwegs* (1949). Powieści: *Tote auf Urlaub* (1952) i *Nichts als Erinnerung* (1959). Opowiadanie tytułowe ze zbioru *Salto mortale* (Zurich, 1960) ukazało się w polskim przekładzie w nr. 150 „Kultury”.

Drugą część powyższej antologii zamieścimy w numerze wrześniowym.

**PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU P.K.O.**

**PRZEKAZY  
PIENIĘŻNE  
DO POLSKI**

---

**CENTRALA WYSYŁKOWA**

**HASKOBA LTD**

121 Earls Court Rd, London S. W. 5



## Wiersze

### MOJA EPIKA

Pawłowi Mayewskiemu

#### I

Rano wstanę, uniosę ręce —  
Czy będzie dzień?  
Twarzą wpatrzoną w sen  
przejdę przez strumień wody —  
I co się stanie?  
Otoczę siebie rękoma.  
Podwoję przed lustrem.  
Podtrzymam słowem  
gotowym jeszcze od wczoraj —  
No i co z tego?  
Ciemne drzewa  
coraz ciemniejsze  
oddalone od światła  
wchodzące śmiercią  
w przerażone usta.  
Gdzie jestem — mówię  
gdzie jestem  
gdy jestem wśród was?  
Drzewa odchodzące  
w suchym śnie  
wyjęte z kotła powietrza —  
Moja dramatyczna iluminacja życia.

#### II

Mieszka we mnie  
twardość czekania  
nieprzejednana trwoga  
nurtująca zmysły.  
Mięśnie wpatrzono w czas  
napięte pod skórą —  
oczy cofnięte  
w nadchodzące słowo  
którego jeszcze nie ma.  
Wszystko we mnie  
zwarłe w dynamit  
czeka.  
Nie wiem czy kiedyś  
potrafię wprowadzić was  
w mój przekrwawiony system.

#### III

Jestem Pustelnikiem  
unoszę zasłony  
zacieram twarz.  
Ten świat jest zbyt przejrzysty  
brudny jego worek  
przecieka krwią.  
To co widziały oczy  
dotknęły i ręce  
stopami doświadczyłem  
największych zniewag.  
Od jutra grubi księża  
poławiacze Boga  
wybiorą z worka tłustymi rękoma  
moje powszednie ukochane grzechy.  
Pękate ziarna pszczoł  
uniosą siebie w przeźrocystość —  
odmawiając nieszpory  
w słodkich lipach.

Ale nas — ale ciebie i mnie  
tam nie będzie.

## IV

Wieczór jest trwalszym oblubieńcem słowa  
choć chtëń dotyka i kość stygnie w sobie.  
To dla poety pora pełna wzruszeń —  
polerowania słowa diamentem pokory  
szukania ciszy, dobierania westchnień  
wdziewania czasów na siebie.

Różga Salomona  
przy mnie i trwoga jego.

Jestem jak drzewo oczyszczone z liści  
łowiące w maju bure chruszczce.  
Gdy dzień skrzelami rosy spotykał się z nocą  
wkoło pękały rześiste kasztany  
sute promienie śpiewały hymn słońca  
w renesansowych łukach —  
chruszcz o twardych skrzydłach  
padał pod nogi. Jego tłuste ciało  
pękało głośno nadeptane stopą.

Po nim  
przejdą spokojnie gwiazdy-izraelici  
niosąc w ucieczce pogaszone słowa.  
Mojżesz wiary odwrócił się od nich  
a teraz idą na oslep. Stopy ich  
pali gorący rozżarzony piasek. Ich lęk  
jest moim lękiem niesionym po gruzach  
rozbitych tablic.

Natura we mnie dojrzewa zbyt wolno  
jakbym był górą na grzbiecie wulkanu  
lub nosił kozuch ślepego milczenia  
w pustym powietrzu, gdzie tyse planety  
dosłownym ruchem powtarzają siebie  
krążąc dokoła ziemi. Jej trwały element  
jest jak kamienny pierwowzór. Nie pęknie.  
Bo jak rozłupać to, co nas przewyższa?  
Jest cała słońcem, bo jest poza słońcem.

## V

Codzienna oda wnoszenia umarłych —  
jeden po drugim. Zdejmują im buty.  
Z ubrań jak z łupin wyrzucają ciała.  
Głowy u nóg mych żarzą się włosami.  
Patrzę w kobiece twarze, są zamknięte w sobie.  
Nogi nagie, kościste, wychudzone głodem  
Zdjęte buty odchodzą na stos.

Widziałem stary wynoszony rzemień  
wykoślawiony o zdartych obcasach.  
Každy trzewik był brudny po szyję.  
Damskie z cholewkami zwiślały jak skrzydła.

Kobietom wytuskiwano z rąk tanie ozdoby.  
Pozłacane obrączki brano wraz z palcami.  
Zegarki zdejmowano przez odcięty przegub.  
Tylko buty musiano zrywać z nóg.  
Wynoszony czas sprawił  
że przyrosły podeszwą do stopy  
i trzeba było dopiero użyć siły  
by ją wytuskać z rzemiennego strąka.  
Widziałem. Dokumentem żrenic sprawdziłem tę scenę.  
Żołnierz śledził wahadła rąk. Jastrzębi lot buta  
i jego jałowy upadek w trupiarnię —  
lustro naszej epoki.

Zdziwieni spójrzmy na gwałty natury —  
czyżby drapieżność ludzkiego umystu  
sięgała dalej niż śmierć? Pomyśl  
ile palących jeszcze na mnie wrzodów  
natura nie zagoiła. Ile otwartych ran.  
Ręce moje w lizajach sinych po dziś dzień  
nie mogą tknąć się życia.  
Nosily przecież śmierć.

## VI

...Apollo

znajomy z cywila  
rzucał wtedy wspaniale dyskiem na miejskich zawodach

dzisiaj jak akuszer produkuje tłuszcz.  
 Właśnie bawił się dzieckiem gdy matkę  
 wepchnięto Tam —  
 a potem znudzony  
 nadział dziecko na świecący rożen.  
 — Pierś jego medalami błyszcząca i młodością —  
 — zielonym miastem, rzeczką —  
 — naszym szkolnym Styksem. —  
 Dziecko przestało skowytać zupełnie.  
 Martwe nie srunie w ramiona.  
 — Tak, tamten dysk świecił —  
 — łupał promienie przyćmiewał słońce. —  
 — Sportowcy o długich ciałach z wiotkiej plasteliny —  
 — marzyli o Olimpiadzie. On —  
 — gdy brat poprzeczkę —  
 — był jak Apollo lecący w powietrzu. —  
 — A i teraz umie dawnym ruchem  
 zamienić się w dyskobola.

## VII

Dzisiaj w domu moim  
 czas zamknął drzwi.

W oknach  
 wiszą pluszowe zastony w egzotyczne kwiaty  
 — grube — bo był to dom przemysłowca z Łodzi  
 a jego żona rasowa Żydówka  
 kochała secesyjną sztukę: kwiaty Wyspiańskiego  
 i wiersze Młodej Polski. Cały dom  
 przeladowany jest do dziś barokiem.  
 Przejeliśmy go, nie zmieniając.  
 Tyle tylko że obok cynobrowych kotar  
 postawiłem małe żółtokostne biurko  
 z szufladkami na listy z kraju

Nad głową  
 wisi kopuła złotej lampy  
 a poniżej na skrzydle biurka  
 stoi maszyna do pisania Corona.

Na niej  
 dotykając liter szypułkami palców  
 powtarzam ostrożnie słowa

zesłane na kwarantannę.  
 Wierzcie mi  
 gdy usiądę sam w pluszowym kącie  
 wiem — czas mnie prześciga  
 a ja go podchodzę jak osa.  
 Noszę w sobie czujną jeszcze pamięć  
 wyostrzony wzrok i żądło słowa  
 które nim dotknięcie innych  
 przebija mnie swoim oschłym bólem.  
 Jestem wtedy potrójnie sobą  
 napęczniony po gardło czasem —  
 odłożony na przyszłość.

Tak —  
 Czas okrutnie nas niszczy. Poezja  
 zamknęła swoje usta. Jest niema  
 po paraliżu wojny.

Najpierw  
 zdarto z jej twarzy sztuczne rzęsy rymów  
 potem peruki wschodów i zachodów słońca.  
 Księżyc. Słowiki. Epoka Byronów  
 zawisła na drutach. Dzisiaj  
 u końca zamkniętej drogi  
 po spaleniu Sodomy  
 jest jak ciało  
 zahartowane w piecu. Gdy we mnie  
 ocalał promień drzewa  
 i wiem że przez spalone ciało.  
 przebija się liść. Zapowiedź odrodzenia.

U was  
 od dantejskich podszeptów dygoce ulica  
 gotoleń strachu na wargach  
 którym pęcznieją w nocy wasze sny.  
 Słyszę w domach głosy budzonych  
 płacz na klatkach schodowych, otwieranie drzwi  
 i turkot odjeżdżających policyjnych wozów.

Ja przeżyłem kamienny czas  
 jest jeszcze we mnie siła  
 do powiedzenia — tak lub nie.  
 Choć potem wyprowadzą mnie w nocy  
 każą wyskakiwać oknem  
 lub zamknąć w domu wariatów.

## VIII

*Patrioci piszą do nas z Rzymu:  
Polska się roi od wariatów —  
a my? — Gdzie Rzym, gdzie Krym!  
Doktor przypisał nam ciepły Adriatyk.*

*Umywamy genialne ręce.  
Nasze palce lepią historię.  
Cóż jeden wariat więcej?  
Sam się zabił! Zapomnij!*

*Prząśnicy trudnej mowy  
żyją — błogostawiając urodzajne lata.  
Oni rozgryzają tajemnicę słowa  
i nic nie wiedzą o 'wariatach'.*

## IX

*I to się dzieje w kraju gdzie otwarte są jeszcze  
kościółki i synagogi, gdzie dzieci  
idąc do szkoły — rano — całują rodziców.  
W szkole na ścianach wiszą portrety bohaterów.  
Dzieci śpiewają pieśni, mówią wiersze.  
Gdzie się czeka na nowe wydanie Norwida —  
gdzie naród obchodzi święto Mickiewicza,  
prześwietla materię, łupie atom.  
Gdzie poeci konsumują wizje  
rozszczepiają marzenia  
podstuchują słowa.*

*I to się dzieje w kraju gdzie młodzież  
podróżuje do Stolicy na zawody sportowe  
zwiedza muzea, oddycha historią  
słucha gotyckiej trąbki...*

*Ale o pół obniżono głos  
ludzie żyją szeptem, nie patrzą sobie w oczy —  
wysyłają listy, czekają na paczki.  
W nocy budzą się by zamknąć drzwi na klucz.  
Nasłuchują. Piszą donosy.  
Wchodzą do sypialni gdzie żona, konfesjonał wiary  
siedzi w łóżku i czesze twarz płaczem.*

## X

*Rano wstanę, uniosę ręce —  
Czy będzie dzień?  
Twarzą wpatrzoną w sen  
przejdę przez strumień wody —  
I co się stanie?  
Otoczę siebie rękoma.  
Podwoję przed lustrem.  
Podtrzymam słowem  
gotowym jeszcze od wczoraj —  
No i co z tego?  
Ciemne drzewa  
coraz ciemniejsze  
oddalone od światła  
wchodzące śmiercią  
w przerażone usta.  
Gdzie jestem — mówię  
gdzie jestem  
gdym jestem wśród was?  
Drzewa odchodzące  
w suchym śnie  
wyjęte z kotła powietrza —  
Moja dramatyczna iluminacja życia.*

Wacław IWANIUK

## PRZYPOMNIENIE

Marii i Józefowi Czapskim

## 1.

*Już spektakl skończył się, widzowie już ziewali,  
i sufler szal owija szczelnie wkoło szyi.  
Gdy z bruków turkot tanków się oddalił,  
wjeżdżają chłopskie wozy na plac w Kołomyi.*

*Ja nie chcę tanków, ani chłopskich wozów,  
na waszych gęb ja nie chcę patrzeć stępy.*

T'en turkot nudą mnie zaludnia, zamiast grozy,  
gościńce nasze w wilcze rwąc wertepy.

Już spektakl skończył się, rozbiegli się widzowie.  
Zamknijcie mnie, katowie, w celi ciemnej.  
I tak się nigdy o mnie nikt nie dowie,  
jedyńy, judasz widzi mnie więzienny.

Zamknęli mnie katowie w ciemnej sali.  
Na pustej scenie miotam się i krzyczę,  
gdy turkot ciężarówek się oddalał  
na Sybir wożąc moją Eurydykę.

Na bruk więzienia, z wonią ziół i siana  
gdy wjadą chłopskie drabiniaste wozy,  
i ja w swą podróż udam się pijaną  
i znów mnie zemdli nudą, zamiast grozy.

## 2.

Tam koral przeży się, różowo śpią kobiety,  
i nektar piją tam motyle modrookie.  
Z topieli snu wyrzuca mnie na beton,  
gdy pot nasz bratni zmieszał się z posoką.

(Dwudziestu ośmiu nas na metrach jedenastu  
plusnęło w wody snu oślizgłym stadem fok,  
gdy zgrzytnął klucz i nas jak z knuta trzasnął  
rzemienny głos: WSTAWAJ NA BUKWU O).

O. wrócił. Wślizgnął się pomiędzy nasze poty,  
KOTLIETKU SDIEŁAJTIE, majaczy, IZ NIEWO.  
I zstąpił w loch nasz — rycerz z ikon złotych  
w kurzawie z lilii — siepacz z O-S-O.

A nie śpi w nocy ten, któremu tu najduszniej,  
kłusownik z ruskiej wsi, wzrost gnoma, fletu głos.  
Wpatrzony w sarny trop, wstuchany w szoroch głuszca,  
on, borów-lasów król, poluje tu na wesz.

O wszy, o moje wszy, wszy-harpie, wszy-potwory,  
imago wasze w snach — różowa miękkość ciał!  
To z wami gnoma flet prowadzi rozmowy:  
PRIZNAJSIA, S GITLEROM CZTO, BLIAD', TY ZATIEJAJ.

A ja zeslizgnę się w zielony senny szuwar,  
w podskalną świeżość wód, sirena hic canit.  
Gdy gnuśni śpią, nad światem nocy czuwa  
SIRENA RYŻAJA I RIABYCH ŁANIT.

KOTLIETKU SDIEŁAJTIE, majaczy mój towarzysz,  
i z ud mu ścieka krew i maści dziejów tryb.  
Ja znowu nura dam w podsenną moją grę,  
o knuty, poty, wszy, pozwólcie mi wymarzyć  
śród koralowych raf świetliste wstęgi ryb...

Lecz znowu zgrzytnął klucz: WSTAWAJ NA BUKWU WE.

## 3.

Ja Boga się wyparłem oraz jego Syna  
i Matkę Bożą czcilem tylko Pier Francesca,  
i Wszystko było mi Niczyją Kpiną,  
i było Wszystko — Koszmar i Groteska.

Wyległo w czas morowy ciemne mrowie  
w struchlałym mieście. W czołgach pająkowie,  
i w ciszy brzeka muzyką jedyną  
rozpięta w cieniu szpicla pajęczyna.

Gdy w smrodnię naszych potów, naszych trwóg i juchy  
modlitwą wiernych zszedłeś przywołany,  
ja Ciebie się zaparłszy i świętego Ducha,  
konatem w swoim kącie, w mękę wmurowany.

Modlitwie się nie bronię, ale jej nie umiem,  
w tym kącie czarnym przecież drzę i płacę,

*gdy musnął mnie z Twych palców biały strumień.  
Choć okiem łzą ośleptym Ciebie nie zobaczę,*

*lecz czuję, jak w nagrodę za me liczne zdrady,  
na czoło moje wciskasz własną swą koronę  
na starą drogę dróg, na którą pójść nam trzeba,  
by nie zmógł nas ni Sybir, ni kajdany.*

*A teraz znów nie widzę Cię, nie słyszę.  
Lecz z nagła trąca mnie tamtego echo tchnienia,  
gdy wiatr zabłąknie się pod oliwkowy wiszar,  
gdy ciemny błąkam się w swych ciemnych przypomnieniach.*

*A teraz znów nie słyszę, ani Ciebie widzę,  
choć cierń korony czoło mi przypieka,  
gdy z wiatrem błąkam się wśród drzew i tyłu widzeń,  
gdy patrzy na mnie koniec doli mej-człowieka.*

*Więc może wrócić mi w praocjów moich grody,  
i może znów mi tam zabiegiesz drogę w Emaus,  
bym jeszcze zdążył palce włożyć w Twoje wrzody,  
te stare palce moje, ślepe, głuchonieme.*

La Messuguière, luty 1963.



Dla J. K.

*Sród nocy, o tej samej wciąż godzinie  
budzi mnie ten sam zawsze gość.  
Siada na brzegu, wierny i jak Fryne  
nagi, bym widział go na wskroś.*

*Dzień ten był w szmatach, sługa tyłu brzydot.  
Sród nocy nas oświeca nieba blask,  
I Fryne gada: idą dni i idą,  
dni, które zrobią szmaty z nas.*

*Racja, więc wyjdę z tobą ja na rynek,  
gdzie stanął ktoś i czeka, czeka dnia,  
dnia, który bywa sługą brzydot, Fryne,  
dnia, który będzie rozebraniem z szmat.*

La Messuguière, 20.II.1963.

## DO I KSIĘGI KRÓLÓW, 10

(Z cyklu „Przypisy do ksiąg Starego Testamentu”)

Konstantemu Jeleńskiemu

*Na wschodnim chodniku w Magdalen College mały  
żółw długo namyślał się, nim odpowiedział mi na  
pytanie, poruszał zuchwami jak mecano:*

„Tego  
i ja pamiętać nie mogę: mam lat dopiero  
dwieście i dziewięćdziesiąt trzy. Ale w rodzinie  
przechowuje się pamięć, jak praszczur nasz b.p.  
asystował amorom królowej Saby z twoim praocjem.  
O zagadkach, przez nią wrzekomo zadanych, tradycja  
nasza milczy. Owszem: że działo się w alkierzu bordo,  
gdzie zamiast lamp świeciło złoto. Z Tyru, rzecz jasna.  
Mój praszczur nie był uczonym żółwem. Choć szanowitym,  
bezsponnie”...

*Posuwaliśmy się za nim drobnym kroczeniem, ja, moja  
piękna żona i Adriana, nasza śliczna przewodniczka.  
Słuchaliśmy żółwia z namaszczaniem. Kiedy zasapał się,  
moja żona miłym muśnięciem palca ożywiła  
jego pyszczek... Po to przecie obijam się!  
po obcym świecie!! na stare lata!!!  
Piszę, mianowicie, autobiografię i zbieram dane  
do genealogii naszego starego rodu. Na żółwia  
wskazał mi pewien angielski diuk w szynku  
portowym w Neapolu za miskę klusek i szklanke  
wina. („Żółwia tego — mówił — przywiózł do Oxfordu,  
aż het z Abissynii, mój pra-pra-pradziad admirał”).  
Słuchaliśmy zatem żółwia we troje z namaszcze-*



niem należnym tak dostojnej osobie uniwersyteckiej. Pauza była tym razem drażniąco długa, gdy naraz, zza kępy, trysnął młody śmiech, i łódź przepłynęła unosząc parę. Nieladni oboje. Ale moją żonę zachwylił śmiech zakochanych. Nie muszę dodawać, że drepzcząc za żółwiem i nastuchując co nam rzec raczy, przygłębiliśmy byli tak nisko, że wypadłoby powiedzieć: raczkowaliśmy. Czy z tego się śmieli? Z własnej miłości? Z miłości w ogóle? Mniejsza o nich.

„Więc, ledwo odwrócił się na wznak, spytał: „A TERAZ powiedz, mała, co mówią o mnie w twym kraju?” — Królowa, jeszcze w zapatach: „Ze kochasz mądrość — wystękała — i kobiety” — „Mądrość? — odparł — nie przeczę. Ale kobiety? Niezupetnie. Kocham kobiecość”...

Znów zapadła pauza. Tym razem nie śmiech, ale płacz, i to niemowlecia, bardziej tu zaiste niesamowity, niż np. pijacki rechot w katedrze.

„I miał rację” — dodał żółw po przerwie „Nie miał!” — wykrzyknęła urocza Adriana, cała w pąsach. Była bardzo dobrze wychowana, pierwszy raz zdarzyło się jej wpaść w mowę osoby starszej. „Miał rację — powtórzył żółw, jakby nie dostyszał. — Wielki pan winien kochać wyłącznie uniwersalia: nie trawę — trawskość, nie ludzi — ludzkość, dupskość — nie”...

Dokończył czy nie — nie wiem, bo znów Adriana wtrąciła, prawda że bez zapatu: „Kto nie pokochał kogoś, ten nikogo nie kocha”... Żółw zamilkł, na dobre; jednakże był obrażony: jemu nigdy nikt tu nie przeczył. Nie mieliśmy muszek, ani czym ulagodzić incydent. Ale moja żona, która ma dar zjednywania sobie zwierząt i dzieci, pomasaowała mu lekko zuchwy. Więc znów przemówił, ba, rozgadał się na dobre!

„Kiedy po raz trzeci Król Salomon zszedł z Królowej, spytał: „Zatem jakiej rady domaga się twój naród? Czego chce ode mnie?” — „Matego paznokietka — odrzekła

Królowa Saba — z najmniejszego palca u Twojej nogi”. — „Daję go wam” — przystał Król i sam podał jej nożyczki do pedikuru, a ona wyciągnęła z zanadru złotą czarkę, kunsztownie rzeźbioną przez samego Hiram-Abi, którą Król, po pierwszym stosunku, ofiarował jej był. Ze szczelnym wieczkiem, na nim ryta groźna twarz Astaroth... — „Krótki krzyk, krew trysnęła do czarki, wieko zatrząskuje się...”

Co działo się dalej, nasz praszczur nie opowiadał. Może to wszystko tak go znużyło, ten wysiłek oczu, uwagi, że raptem zasnął. Nie był uczony. Kto zresztą był w on czas uczony?!”

— „A co się z czarką stało?!” — „A co się z czarką stało?!” — „Z czarką?!” — spytałem głucho. Bo naraz skotłowała mi głowę myśl, że — może: jeśli upiję krwi praojca, przywrócona mi będzie młodość, wieczna! I mądrość, wiekuista!

„Owszem, wiadomo — odrzekł z flegmą żółw. — Okręt, który wioził z powrotem Królową, zatonął. W trzydziście stuleci po tym żeglarze senegalscy wyluskali czarkę z brzucha kaszalota, na Oceanie Indyjskim”. — „Nietkniętą?!” — „Nietkniętą”. Znów pauza. „Z Abisynii, ze skarbcza Króla [Królów wykradł ją, lat temu niewiele, lotnik włoski... Samolot jego wpadł do Etny”. — „Do Etny!” — krzyknąłem fistułą, wyprostowałem się jak mogłem i ręce wyrzuciłem w górę, płosząc tym ruchem dwóch samców-kardynałów, którzy staczali bój rycerski na trawniku, rozszarpując sobie wzajem szkarłatne piękne grzebienie.

„Aliści Etna wyrzuciła czarkę” — zaskrzeczał zmienacka żółw. — „Jak sandał...? — „Empedoklesa” — [potwierdził z wyraźnym usatysfakcjonowaniem. Znów cisza. Płacz oseska dawno wygasł. I śmiech zakochanych. I syki samców. Nie wytrzymałem tej pauzy. „Gdzie krew mego praojca?!” — zakrzyknąłem, pełen nadziei.

„Krew, krew, krwi” — wychrapał gniewnie. Adriana podniosła się: „Chciałam, mistrzu, siedzieć u twych nóg i pić słowa mądrości z twych ust. A teraz...” Zapłakała, biedna miła Adriana. „Krew, krwi,

*krwią — powtarzał złotw, nie mógł widać przestać . — Mało  
nażłopałeś się krwi moich kuzynów? wybierając ich pełnymi  
garściami z sitowia nad rzeką Ili, tłukąc i miażdżąc wátkiem  
na nieheblowanym stole w garkuchni Promkombinatu, gdzie  
pomagałeś chamce kucharce podkradać żywność. Tryskała ci w  
oczy krew moich braci, ochlapywała twarz, twój złachmaniony  
przyodziewek, broczyłeś we krwi ich, a ciągle ci jej było za mało.  
Ciągle wam jej za mało  
Ciągle za mało. Za mało...”*

*Batem się, że dostanie apopleksji, dławił się.  
Uciekaliśmy zawstydzeni przez trawniki, i długo  
ścigał nas daleki rechot chimera z All Souls.*

Oxford, lipiec 1962

Aleksander WAT

(Wiersz drukowany w noworocznym nrze „Przeglądu Kulturalnego”)

#### PRZYPISY

*Ili* — osiedle nad rzeką Ili, którą dawniej odbywał się spław towarów do Chin. Jałowa ziemia, wydmy, kolczaste krzewy, sitowie nad wodą, zawsze mętą; w błękitne poranki na horyzoncie rysowały się szczyty Tiań-Szań, w śniegach. W osiedlu — kilkanaście budynków: urzędy, klub, szkoła; wysoko oparkanione „kolonie” z wieżyczkami; lepianki Kazachów, jaskinia Koreańczyków; cztery samotne klony; cementarz zasypywany piaskami; plac targowy; król tyfus. Przyjeżdżał tu niegdyś polować Trocki, ze swego zesłania. Za moich czasów (1943-46) nie było zwierzyny, i psy zostały wylapanie. Przez parę miesięcy wiosennych rzeka obfitowała w ryby „marynki”, na połowy czatowały ciężarówki almaatyńskich urzędów i naczelników, zabierając wszystko, czego nie zdążyliśmy zjeść na miejscu lub poukrywać. Latem 1944, w parudziesięciu kilometrach od osiedla, nagle pojawiły się żółwie, w dużej obfitości. Przez cztery tygodnie kuchnia Promkombinatu była krwawą ich jatką.

*Promkombinat* — „kombinat przemysłu lokalnego”. Przy wyrobie guzików z odpadków, zajączków ze szmatek, także — okresowo — swetrów i „walonek”, byli zatrudnieni dawni zesłańcy, później — Czezeńcy, Polacy oraz powalnięni z łagrów „Iwanowie Denisowicze”. Ci ostatni nie zawsze mieli dość siły, by dowiec się do stołówki; zdarzało się widzieć ich dogorywających na ziemi, w kilku krokach od kantyny.

## Najnowsza historia Polski

### Pakty wilanowskie

W kilka dni po złożeniu Beckowi sprawozdania z rozmów moskiewskich, dowiedziałem się odeń, że Komendant nie wyraził żadnych zastrzeżeń — włącznie z wątpliwym dla mnie momentem, czy dobrze zrobiłem nie czekając na ewentualne przyjęcie przez Stalina. Skoro to, co miałem do powiedzenia, doszło gdzie należy i jeśli zostało zrozumiane — powiedział mi Beck — to nie zaszkodzi jeśli to sobie dobrze rozważą na Kremlu; poza tym, inicjatywa pierwotnie wyszła od nas, to teraz na nich kolej ją podjąć; czy i jak to zrobią, będzie też miało swoje znaczenie.

Otrzymałem więc „absolutorium”, jeśli chodzi o tę fazę mego kłusownictwa na polu polityki zagranicznej. Na dalszy ciąg nie czekaliśmy długo. W miesiąc, mniej więcej, od powrotu mego z Moskwy przybył Radek do Warszawy.

Już w pierwszej rozmowie, gdy złożył mi wizytę w redakcji „Gazety Polskiej”, powiedział mi Radek, że Stalin przyjął z największym zainteresowaniem jego sprawozdanie; stwierdził też wyraźnie, że jest upoważniony do kontynuowania rozpoczętych w Moskwie rozmów; że chciałby tylko otrzymać ode mnie pewne dodatkowe wyjaśnienia, a następnie gotów jest przejść do omówienia konkretnego, co jest z obu stron do zrobienia, aby stosunkom między Polską a Rosją Sowiecką nadać charakter dobrosąsiedzkiego współżycia.

Otrzymawszy tę deklarację, bez której przedwczesne byłoby zasięganie instrukcji co do dalszych rozmów — musiałem uzyskać czas na to. Ponieważ nadchodziły właśnie Zielone Świątki

*Materiały zamieszczone w tym dziale drukowane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.*

zapytałem Radka czy nie zechciałby rozpocząć swej wizyty w Polsce, po długoletniej nieobecności, od zrobienia wycieczki po kraju, choćby do jego miejsc rodzinnych i do starego Krakowa. Odpowiedział mi, że z największą przyjemnością, ale — jeśli to możliwe — chciałby przede wszystkim zwiedzić nasze wybrzeże bałtyckie. Zapewniłem go, że może jechać wszędzie gdzie chce i którądy chce, że oddaję do jego dyspozycji auto „Gazety Polskiej”, proponując mu jako towarzysza podróży kolegę dziennikarza, dyrektora agencji prasowej „Iskra”, płka M. Ścieżyńskiego, który będzie nie tylko inteligentnym i dobrze poinformowanym przewodnikiem, ale w dodatku i świetnym kompanem. Naszkicowaliśmy więc ewentualną trasę podróży przez Kujawy i Pomorze do Gdyni, następnie przez Poznańskie i Śląsk do Krakowa, wreszcie do rodzinnego radkowego Tarnowa, gdzie — jak się dowiedziałem — jego brat zamieszkuje. Nie zaniebahałem też — mając na uwadze moje doświadczenia moskiewskie — powiedzieć Radkowi, że zakreszony przez nas plan podróży może w każdej chwili według swej chęci i woli zmienić i że nie potrzebuje się krępować w pytaniu o wszystko cokolwiek by go interesowało. Przy tej sposobności przypomniał mi Radek swój ostatni przejazd przez Polskę w lecie 1919 roku, kiedy to został on, jako obywatel polski, dostawiony przez Niemców do naszej granicy z więzienia, w którym przebywał wraz z Karolem Liebknechtem i Różą Luxemburg; odebrał go z rąk niemieckich kpt. I. Boerner, przewiózł przez terytorium Polski i oddał w ręce wysuniętych posterunków armii czerwonej. Oczywiście pamiętałem doskonale ten incydent, dzięki któremu Karol Radek zamiast, według wszelkiego prawdopodobieństwa, podzielić los obojga swych zastrzelonych towarzyszy wylądował w Moskwie, i to w Centralnym Komitecie Wykonawczym partii bolszewickiej.

Wyjechał tedy Radek „popatrzeć na Polskę” następnego dnia rankiem; ja zaś zawiadomiłem Becka o tym, że ma on od Stalina mandat do dalszych rozmów, i poprosiłem o instrukcje.

W trzy dni potem zatelefonował mi Ścieżyński z Krakowa, że już tam przybyli; że Radek wybiera się nazajutrz sam do swojej rodziny w Tarnowie, na 24 godziny, po czym gotów będzie do powrotu do Warszawy. Wzięta mnie chęćka porozmawiania z nim właśnie w Krakowie; polecałem więc tam i tegoż jeszcze wieczora zjedliśmy kolację w Grand Hotelu, następnie odbyliśmy wielogodzinny spacer po Plantach, pod mury Wawelu, obchodząc stare kolegia, w których, choć w różnych latach, obaj studiowaliśmy, kończąc na przepięknym w księżycowym świetle Placu Mariackim. Na Plantach też przesiedzieliśmy dłuższą chwilę, omawiając ogólnie sytuację międzynarodową, miałem już

bowiem ramowe instrukcje udzielone mi przez Becka po rozmowie w Belwederze. Miałem nieodparte wrażenie, że wycieczka po Polsce, a szczególnie może atmosfera starych murów krakowskich wywarła swój wpływ na Radka: był to jak gdyby nie ten sam człowiek co w Moskwie; zdawało mi się, że wynurzyło się z niego — mimo całego jego bolszewizmu i marksizmu — wszystko to co było w nim polskie. I sędzę że wówczas na pewno szczerze i z dobrą wolą myślał o możliwości odprężenia i zbliżenia w naszych stosunkach.

Pobyt Radka w Polsce trwał dwa tygodnie. Utrzymywaliśmy w dalszym ciągu zasadę obywatela się bez czynników oficjalnych. Oczywiście odbyło się przyjęcie w poselstwie sowieckim, zawiozłem Radka na herbatkę do Becka, aby mu go przedstawić, wydałem dla niego śniadanie w Klubie Towarzyskim na Foksalu, w którym wziął udział wice-minister spraw zagranicznych J. Szembek, ale wszystkie te okazje miały charakter czysto towarzyski. Rozmowy rzeczowe prowadziliśmy w cztery oczy; pogoda była piękna, więc zabierałem Radka zwykle do Parku Wilanowskiego, czasem do Łazienek. Dużo było tych rozmów, przeplatanych dygresjami historycznymi. Nie będę rzecz prosta powtarzał ich metodą kronikarską — zestawię łącznie ich treść najbardziej istotną.

W myśl swych zapowiedzi, po przyjeździe chciał on pewnych dodatkowych wyjaśnień do mego podstawowego oświadczenia w Moskwie. Zaczął od wyręczenia mnie: „Sędzę, że dobrze was zrozumiałem rozwijając konsekwentnie tezę, że nie leży w racji stanu Polski przyłożenie ręki do jakiegokolwiek akcji niemieckiej na wschód, w razie powodzenia której Polska znalazłaby się *de facto* na łasce i niełasce Niemców; możemy chyba rozumieć, że tak samo nie pociąga was myśl o udziale w analogicznej akcji ze wschodu na zachód, i tak samo jak nie chcecie, aby mapa Europy dookoła Polski zamalowana została na brunatno, nie uśmiecha wam się myśl aby została zamalowana na czerwono?”. Z całą szczerością potwierdziłem tę dodatkową interpretację.

Posunęliśmy się dalej. Mówił Radek, że na Kremlu uznano za całkowicie przekonywujące w swej prostocie nasze motywy odrzucenia wspólnej akcji z Niemcami przeciwko Rosji Sowieckiej. „Wierzmy więc — powiedział — że z dobrej woli tego nie zrobicie. Ale musimy brać pod uwagę, że możecie być postawieni w sytuacji przymusowej. Widzimy dwie ewentualności: pierwsza — Niemcy postawią wam ultimatum: albo pójdziecie na wschód razem z nimi, biorąc pełny udział wojenny, dając spokojne zaplecze, pomagając im w opanowaniu zdobytych terytoriów przez waszą znajomość języka i stosunków w Rosji, za

co ofiarują wam taki czy inny udział w zyskach; albo też — przejdą po Polsce przemocą i staniecie się pierwszą ofiarą ich „Drang nach Osten”, ze wszystkimi tego konsekwencjami”.

„Druga ewentualność — Niemcy, nie żądając od was otwartego i czynnego współdziałania, zaproponują wam układ, polegający na odstąpieniu im całości lub północnej części tzw. korytarza pomorskiego, obiecując oczywiście jakiś dostęp do portów i zrzeczenie się dalszych pretensji rewindykacyjnych. W razie waszej zgody, uzyskawszy swobodne i niekontrolowane komunikacje z Prusami wschodnimi, będą mogli rozbudować tam potężną bazę wypadową przeciwko nam. Przejście przez Litwę czy Łotwę, za zgodą lub bez zgody, będzie już dla nich rzeczą drobną. Jeśli więc wierzymy całkowicie, że nie ma i nie będzie z waszej strony żadnej inicjatywy ani współinicjatywy z Niemcami, to przyznacie chyba, że w razie ultymatywnego zagrożenia, o którym mówię, sprawa nie jest już tak prosta”.

W tym miejscu zaczął mi Radek dodatkowo perswadować, że nie byłoby nic dziwnego, gdyby Polska postawiona w tak dramatycznej sytuacji uległa groźbie pierwszej alternatywy, lub poszła na kompromis alternatywy drugiej. „Zastanawialiśmy się nad tym w Moskwie — mówił — i doprawdy nie byliśmy pewni jakbyśmy postąpili, będąc na waszym miejscu”.

„Nie wiem i ja — odpowiedziałem — jak wy byście postąpili. Ale wiem bez cienia wątpliwości jak postąpimy my. Ani jedna ani druga z wymienionych przez was ewentualności nie spotka się z odpowiedzią inną niż bezwzględne *nie* z naszej strony. Nie dziwię się, że mogły być co do tego wątpliwości wśród tych, z którymi prawdopodobnie omawialiście rzecz na Kremlu. Ani p. Stalin, ani p. Litwinow Polski i charakteru polskiego nie znają. Ale dziwię się Panu, który się w Polsce wychował, zna jej historię i zna nasz narodowy charakter ze wszystkimi jego dobrymi i złymi stronami. Nie myślę jedynie o Pańskim znawstwie Mickiewicza i uwielbieniu dla niego, ale zna Pan przecie równie dobrze i tych wyrazieli naszego ducha narodowego, pod których wpływem dzisiejsze pokolenie się wychowało — czy to Sienkiewicza, czy Żeromskiego. I nie potrzebuję też chyba Panu mówić o tym, że nie nowina nam stawać do walki niezależnie od tego, co by tzw. zdrowy rozsądek dyktował. Nie sądzę, aby się już z Pana taki Moskał zrobił, że polskie pojmowanie honoru traktuje Pan „po dostojewskiemu”. Musi Pan wiedzieć, mimo Pańskiego materializmu, że tego rodzaju imponderabilia grały i grają w Polsce decydująco. I nie od rzeczy może będzie przypomnieć Panu, jak wysoce je sobie ceni ten, kto w tej chwili decyduje o polityce Polski — Piłsudski. Ale

bądźmy bardziej racjonalistyczni. Czy sądzi Pan, że naród, który miał na przestrzeni wieków takie jak my doświadczenia z Niemcami, uwierzy że nie byłaby obrócona przeciwko nam potęga niemiecka, do której wzmożenia przyczynilibyśmy się na podstawie jakichkolwiek obietnic, czy przyrzeczeń? Opinia publiczna w Polsce kształtuje swój stosunek do Niemców na „Krzyżakach” Sienkiewicza: jeśli Pan nie ma dobrze w pamięci tej książki, niech ją sobie Pan jeszcze raz przeczyta, a i „Wiatr od morza” Żeromskiego na dodatek”.

Byłem zły i nie widziałem potrzeby ukrywania tego. Radek obserwował moją reakcję bardzo uważnie. Dodał ze swej strony, że gdy zobaczył cośmy zrobili w Gdyni, to nasuwało mu się na myśl, że istotnie ten olbrzymi wysiłek nie mógłby mieć miejsca, jeśli byśmy brali pod uwagę ewentualność ustąpienia naszego wybrzeża Niemcom.

Oczywiście, rozumiałem doskonale, że moja spontaniczna odpowiedź nie wystarczy Radkowi. Owe dodatkowe pytania były mu niewątpliwie podyktowane przez Stalina, będzie też oczekiwał ode mnie odpowiedzi autoryzowanej. Zreferowałem więc niezwłocznie tę część rozmowy Beckowi z największą ścisłością, wyrażając przekonanie, że nie sądzę aby w tym wypadku moje świadczenie się Sienkiewiczem i Żeromskim było dostateczne, że trzeba kontrasygnacji imieniem Piłsudskiego. Po dwu dniach otrzymałem polecenie, aby krótko i węzłowato stwierdzić, że Polska przed żadną groźbą lub próbą wymuszenia nie ustąpi — oraz upoważnienie do powołania się na Komendanta. Co też wykonałem.

Tymczasem omawialiśmy z Radkiem sprawę przejścia na dobro-sąsiedzkie stosunki. Podkreślał on jak niedobre jest, gdy się zbyt polega na informacjach i raportach o charakterze wywiadowczo-informacyjnym, że może to prowadzić do zupełnie fałszywego obrazu o stosunkach wewnętrznych u sąsiada. Zrezygnował z uwagi na ten temat w formie ataku, imputując, że to my właśnie zanadto polegamy na „tajnych” raportach o stosunkach w Rosji Sowieckiej i o rozmaitych groźnych fermentach, które jakoby zagrażają trwałości rządu sowieckiego. Śmiał się z tego, ale jednocześnie uważał za możliwe po tym wstępie podać siebie samego jako przykład dezorientacji. Przyznał mi się, że obraz Polski jaki zobaczył w czasie swej wycieczki rażąco odbiegał od tego, który miał w Moskwie z relacji czy to pisanych, czy ustnych. „Gdyby nie to — mówił mi — że wyjeżdżając ze Scieżyńskim z Warszawy do Gdyni sam wykreśliłem na mapie trasę naszej wycieczki, to przyznaję się otwarcie, że podejrzewałbym rozmyślnie zaaranżowanie dla mnie rozmaitych obrazów,

które widziałem w Łowiczu, czy w Grudziądzu, mówiono mi na przykład o skrajnej niechęci ludności do wojska, które jest niemal bojkotowane; a tu widziałem zupełnie co innego, na każdym kroku, i przypatrywałem się, jak na zabawach ludowych wasi żołnierze wywijają obertasa z dziewczuchami wiejskimi; sły-  
szałem i czytałem o niebywałej nędzy na wsi — pan sam zresztą mnie przestrzegał przed wyjazdem, że zobaczę kraj w głębokim kryzysie gospodarczym — ale jakim widział waszych chłopów i baby jadących do kościoła w świąteczne dni, to z przykrością powiem, że w porównaniu z obrazami naszej so-  
wieckiej wsi miałem wrażenie po prostu zamożności. Przestrze-  
gano mnie w Moskwie, że będę w Polsce traktowany jak zadź-  
miony, że muszę uważać aby mnie jakiś afront nie spotkał; miałem też sekundę czy dwie nieprzyjemnego samopoczucia, gdy na dworcu w Warszawie — jak zauważyliście pewnie — rzucił się ku mnie z impetem stary kolega z Tarnowa, Jaracz, którego nie od razu rozpoznałem; ale zamiast afrontu zostałem po staro-  
polsku z dubeltówki ucałowany i uściskany. Jestem stary wyga i odczułem przy rozmaitych spotkaniach w Warszawie i w Krakowie, a zapoznał mnie tam Ścieżyński tak samo z panami konserwatystami, jak socjalistami — że traktowano mnie wręcz przychylnie; to samo było w waszym klubie w Warszawie, gdy po śniadaniu gawędziliśmy tak swobodnie i wesoło z waszymi generałami i pułkownikami. Odniosłem więc wrażenie, wspo-  
minając rozmowę z Panem w Moskwie, że inicjatywa, w której Pan się na jednego tylko człowieka powołał, musi mieć istotnie w Polsce szersze zrozumienie”.

Mówiliśmy tedy o rozluźnieniu restrykcji w ruchu perso-  
nalnym między Rosją a Polską; o zorganizowaniu szerszej wymia-  
ny w zakresie literatury i sztuki, co istotnie później przez szereg miesięcy zaczęło być realizowane. Przeszliśmy i do rzeczy dalej idących. Mówiliśmy o zaniechaniu wzajemnego podstawiania sobie nogi na polu polityki zagranicznej; o zaniechaniu też, w obliczu sytuacji na zachód od nas, ingerencji w stosunki wew-  
nętrzne. Wreszcie — co było najwidoczniej bolączką dla bolsze-  
wików — wspomniał Radek że nasi attachés wojskowi oraz członkowie korpusu dyplomatycznego i konsularnego w Rosji Sowieckiej mogliby nie dawać „lekcji” — jak się wyraził — swoim kolegom z innych państw, nie znającym zwykle języka rosyj-  
skiego i nie orientującym się tak dobrze jak Polacy. Miałem co do tego wszystkiego wystarczające instrukcje i dochodziliśmy do porozumienia. Było w tych naszych „wilanowskich paktach” kilka mo-  
mentów szczególnie ciekawych. Więc na przykład, gdy mówił Ra-  
dek o zaniechaniu nieprzyjaznych działań, zastrzegł się od razu, że

oczywiście, co tu gadać, ani oni, ani my, nie skasujemy wywiadu wojskowego, bo przecie *sicher ist sicher*. I o to nie będzie obra-  
zy; ale rozdmuchiwanie spraw narodowościowych to co innego, i tego możemy wzajemnie zaniechać. Dalej, gdy ja wymieniłem działalność posła sowieckiego w Kownie jako przykład złośliwego podjudzania Litwinów przeciwko nam, powiedział mi Radek, że w ogóle co do Litwy gotowi oni są pozostawić nam *carte blanche*. Raz powiedział po polsku: „Róbcie sobie z nimi co chcecie”, a następnie, w innej rozmowie, po rosyjsku, że jeśli Litwini będą nam psocić to *Puskaj pieniąjut sami na siebia*. (Sami sobie będą winni). Gdy po raz drugi ofiarowywał nam tę „wolną rękę” w stosunku do Litwy, zwróciłem mu ze śmie-  
chem uwagę, żeby mi dwa razy tego samego konia nie sprze-  
dawał.

Było rzeczą pewną, że Radek, który mieszkał w poselstwie sowieckim, pozostawał w kontakcie szyfrowym z Kremlem, składał sprawozdania, i otrzymywał instrukcje. Biorąc to wszystko pod uwagę, można było uważać za bardzo zmienną przedostat-  
nią naszą rozmowę. Posunął się w niej Radek niespodziewanie daleko. Oto co od niego wówczas usłyszałem:

„W wyniku naszych dotychczasowych rozważań musimy przyjąć że może dojść do konfliktu zbrojnego między Polską a Niemcami. Czy nie należałoby zatem pomyśleć o czymś więcej niż odprężenie i zbliżenie oraz prawdziwie dobrosąsiedzkie sto-  
sunki? W takiej ewentualności bylibyśmy gotowi przyjść Polsce z pomocą. Rozumiem doskonale — zastrzegł się od razu Radek — że nie odpowiada wam bynajmniej naciągnięcie czerwonej armii dla obrony waszych granic zachodnich. Ale jest przecież cały szereg innych świadczeń, które moglibyście od nas otrzymać — pomoc od waszych sprzymierzeńców zachodnich może być przecież niezmiernie utrudniona — w zakresie materiału wojen-  
nego, sprzętu i amunicji, czy benzyny wreszcie. Może być też pożyteczna koncentracja naszych sił na północnym zachodzie, szachująca Prusy Wschodnie. Ja jestem zupełny cywil, więc szkicu-  
ję po prostu takie, czy inne możliwości. Czy nie byłoby więc wskazane, aby się nasze sztaby generalne porozumiały zawczasu pod tym względem i ułożyły się co do czysto obronnego, oczy-  
wiście, współdziałania?”

Byłem zaskoczony tak daleko idącymi propozycjami, chociaż sam fakt wysunięcia ich świadczył wyraźnie o pozytywnym przyjęciu przez Kreml dotychczasowego przebiegu naszych z Radkiem rozmów.

Naturalnie, nie mogłem się ani jednym słowem zaangażo-  
wać na własną rękę. Skorzystałem więc z tego, że szczyty wspa-

niałych topoli nadwiślańskich różowały już w promieniach zachodzącego słońca, umówiłem się z Radkiem na ponowny spacer dnia następnego i wróciliśmy do Warszawy. Natychmiast udałem się do Becka, komunikując mu tak rewelacyjny zwrot, jak zaofiarowanie czegoś w rodzaju sojuszu odpornego między Polską, a Rosją Sowiecką. Dla Becka było to również niespodzianką i jeszcze tegoż wieczora udał się z raportem do Belwederu. Dość późno w nocy zawiadomił mnie, że otrzymał instrukcje od Komendanta. Przekazał mi je następnego dnia rano. Nie były one takie jak się spodziewałem; przypuszczałem, że otrzymam polecenie dania odpowiedzi raczej odmownej, umotywowanej naszą zasadniczą decyzją nie wiązania się ściśle z żadną z sąsiadujących potencji. Tymczasem — polecił Komendant, by bynajmniej nie odpowiadać odmownie; aby powiedzieć, że sugestie Radka będą przez nas wzięte pod rozwagę, ale w tej chwili jest to jeszcze nieco przedwczesne. Że po kilkunastu latach mniej lub więcej nieprzyjaznego stosunku między naszymi krajami musimy dać naszej opinii publicznej czas do oswojenia się ze zwrotem na drogę dobrosąsiedzkich stosunków, nie wykluczając ich stopniowego zacieśniania w przyszłości.

Tak też postawiłem sprawę Radkowi tegoż dnia po południu, w ostatniej naszej rozmowie. Odniosłem wrażenie, że przyjął to ze zrozumieniem. Umówiliśmy się jeszcze — przewidując, iż w przyszłości będą już prawdopodobnie czynniki oficjalne oraz dyplomatyczne zajmowały się wcielaniem w życie tego cośmy przedyskutowali — że kontakt osobisty będziemy utrzymywać, i jeśli by na oficjalnych drogach następowały jakieś zahaczenia, lub nieporozumienia, to będziemy się starali wyrównywać lub wyjaśniać je w drodze prywatnej korespondencji.

Ponieważ dnia następnego Radek wyjeżdżał do Moskwy, zaprosiłem państwa Antonow-Owsiejenko i jego na pożegnalną lampkę wina wieczorem do Fukiera, w niewielkiej kompanii, gdzie już o polityce mowy nie było. Dominowały raczej w rozmowie reminiscencje z Trylogii, którą jak się okazało znał dobrze nie tylko Radek, ale i Antonow. Zapytałem przy tej sposobności, czy Stalin jest obeznany z literaturą polską. Odpowiedział mi Radek, że wie na pewno o jednej książce polskiej, która należy do lektury Stalina; jest to mianowicie „Faraon” Bolesława Prusa.

Reasumując wilanowskie pakt, przeprowadzone pod niewątpliwą sankcją decydujących czynników ze stron obu, można stwierdzić porozumienie powzięte co do spraw następujących: przestajemy sobie bruździć nawzajem zarówno w stosunkach wewnętrznych, jak na polu dyplomatycznym, z warunkiem ścisłej wzajemności; dążyć będziemy do ożywienia stosunków

między naszymi krajami, poczynając od dziedziny artystycznej i kulturalnej. Widzimy drogę otwartą do dalszego, z czasem, zbliżenia i zacieśnienia stosunków. Na tej — wstępnej — drodze postawiliśmy z naszej strony kroki bezzwłocznie. Polscy attachés wojskowi otrzymali instrukcję, aby nie dzielić się zebranymi wiadomościami i obserwacjami z przedstawicielami innych armii. Poselstwo, a wkrótce potem ambasada sowiecka w Warszawie była od tej chwili traktowana tak samo jak inne placówki dyplomatyczne. Zakończona została jej poprzednia izolacja; na przyjęciach zjawiali się swobodnie przedstawiciele świata politycznego, parlamentarnego i gospodarczego zarówno ze strony rządowej, jak i opozycyjnej. Z dziedziny zbliżenia kulturalno-artystycznego przyszło — na początek — wydanie specjalnego numeru „Wiadomości Literackich” w Warszawie poświęconego literaturze i poezji Rosji Sowieckiej, a w zamian za to wydanie analogicznego numeru „Litieraturnoj Gaziety” w Moskwie poświęconego dziełom współczesnej literatury i poezji polskiej. (Nie bez „kantu, lipy i nawalanki” ze strony rosyjskiej, ale mniejsza o to). Przypominam też sobie wyjazd p. Toli Korian na występy gościnne do Moskwy i zjawienie się piosenek rosyjskich w repertuarach teatrów warszawskich. To przyniosły pierwsze miesiące po paktach wilanowskich.

Tak więc — w czerwcu 1933 r., gdy Radek opuszczał Warszawę — można było uważać, że zwrot w naszych stosunkach z Rosją Sowiecką, do którego dążyliśmy od roku, jest ugruntowany; znajdowało to uzasadnienie w ówczesnej rzeczywistości i w jej — jak się zdawało — należyтым zrozumieniu przez obie strony. Mam tu naturalnie na myśli nie sprawę zmanifestowania objawów odprężenia, o czym wspominałem przed chwilą, lecz podstawowe politycznie momenty z rozmów moskiewskich i warszawskich, w związku ze złowróbnym przewrotem dokonanym w stosunkach europejskich przez dojście Hitlera do władzy w Niemczech.

Jednakże porozumienie to przetrwało w pełni zaledwie pół roku; zachwiało się już w listopadzie; odrestaurowane zostało — znowu dzięki krokom z polskiej strony — w lutym 1934; ale już pod koniec tegoż roku i w ciągu 1935-go okazało się, że Moskwa powróciła do nieprzyjaznej i złośliwej partyzantki zakulisowej przeciw nam.

Do relacji o tym powrócę. Tymczasem, dla pełnego zrozumienia rozwoju wypadków z tego okresu niezbędny jest rzut oka wstecz, na jednoczesne działania polskie na zachodzie. Tam bowiem leżał wówczas główny cel naszej polityki; pertraktacje

z Moskwą miały znaczenie dopełniające, pomocnicze, choć były niemało ważne i — z naszej strony — całkowicie rzetelne.

Chodzi o tzw. w politycznej literaturze europejskiej inicjatywę Piłsudskiego wojny prewencyjnej przeciw Niemcom. Mimo zachowywania tej sprawy — ze zrozumiałych względów — w najściślejszej możliwie tajności, miałem o niej początkowo fragmentaryczne, a później pełniejsze informacje od Becka, bądź w związku z moimi rozmowami z Antonowem i Radkiem, bądź też jako redaktor „Gazety Polskiej”. Podam więc najpierw moje wiadomości z tego źródła, począwszy od 14 czerwca 1932, gdy otrzymałem od Becka naświetlenie słynnego incydentu z tegoż dnia, kiedy to okręt wojenny R.P. „Wicher”, wbrew uprzedniemu sprzeciwowi władz gdańskich, zawinął do portu, aby powitać przybywającą z wizytą do Gdańska eskadrę angielską i czynić honory domu.

Już wówczas powiedział mi, że Komendant zarządził ten krok nie tylko dlatego aby zawarować nasze prawo do zagranicznej reprezentacji Wolnego Miasta. Inny aspekt wchodził w grę, nie pod adresem Gdańska i Berlina, lecz Paryża i Berlina. Mia nowicie, rozpoczęliśmy już „sondowanie” gruntu we Francji i Anglii, aby wy badać jaka jest ich reakcja na marsz Hitlera do władzy pod sztandarem pełnej odbudowy potęgi militarnej Niemiec. Natrafiliśmy na zadziwiające zjawisko: sfery polityczne francuskie i angielskie nie tylko nie biorą pod uwagę postawienia temu zapory, ale traktują zamiary niemieckie tak, jak gdyby one były już faktem dokonany; jak gdyby ten tygrys odhodował już sobie zęby i pazury. I lękają się aby go ktoś nie targnął za wąsy i nie sprowokował do skoku. Tymczasem, jeśli by nawet trwało w dalszym ciągu przyzwalanie Zachodu, szereg lat musi jeszcze upłynąć nim to nastąpi. Obecnie i w ciągu kilku lat najbliższych układ sił jest wciąż jeszcze taki, że „tygrysa” można bez ryzyka osadzić na miejscu; siły francuskie i polskie na lądzie, a angielskie i francuskie na morzu i w powietrzu są na to całkowicie wystarczające.

Chcieliśmy tedy unaocznic ten stan rzeczy, via „Wicher”. U podstawy tej demonstracji leży nasze dobre prawo. A czy się przy tej sposobności „Wicher” przejechał po takich czy innych wątpliwościach proceduralnych, czy po jakichś stypulacjach Ligi Narodów — mniejsza o to. Kmdr. Morgensztern miał rozkaz, aby w razie afrontu dla flagi polskiej ze strony władz gdańskich bić z dział w Kapitanat portu. Ale nie zaszła potrzeba. Okaza się też, że i Berlin się nie rzuci.

Po kilku dniach powiedział mi Beck: „Jak wiesz, „tygrys” nie skoczył; pobiegł tylko ze skargą do Genewy. *Quod erat de-*

*monstrandum*”. Dodał też z największym zadowoleniem, że wojskowe czynniki francuskie zrozumiały cel incydentu gdańskiego i — w drodze nieoficjalnej — otrzymał z tej strony wyrazy uznania i niekłamane zadowolenia oraz nadziei, że ich politycy skorzystają z pokazu.

Gdy w lutym 1933, już po mianowaniu Hitlera Kanclerzem Rzeszy, senat gdański samowolnie wprowadził zmianę specjalnej policji portowej na swoją „Schutzpolizei”, Piłsudski odpowiedział — 6 marca — podwojeniem garnizonu wojskowego polskiego na „Westerplatte”. Beck dodał mi do tego faktu krótki komentarz, powołując się na całkowitą analogię ze sprawą „Wicher” — z tą doniosłą różnicą, że Hitler jest już u władzy, potrzeba więc było zaznaczyć jaskrawo, że nie zmniejszyło to w najmniejszym stopniu naszej gotowości do obrony praw Rzeczypospolitej w Gdańsku.

Znowu też nie nastąpiło nic więcej niż apel do Ligi Narodów. Beck odniósł wrażenie, że w tym wypadku już i w politycznym świecie francuskim „nasza metoda poglądowna”, jak się wyraził, spowodowała zastanowienie. Za potwierdzenie tego można by uważać wypowiedź najwybitniejszego z dyplomatów francuskich amb. A. François-Poncet w jego „Souvenir d'une Ambassade à Berlin”. Mówi on tam, że Piłsudski, który rozumiał, że niebezpieczeństwo hitleryzmu trzeba zdusić w zarodku, przez rozmyślne stwarzanie incydentów chciał wy badać nastroje Zachodu: „Czy potrafią wyzyskać okazję, którą im zaofiarował?” (zob. „Kultura” nr 15, 1949 r., art. A. Bregmana „Gdyby w r. 1933 usłuchano Józefa Piłsudskiego...”).

Trzeci z kolei stanowczy krok z naszej strony nastąpił 2 maja 1933; był to tym razem akt dyplomatyczny a nie wojskowy.

*Démarche* posła A. Wysockiego w Berlinie dn. 2 maja 1933 r. Aby podkreślić wagę tego kroku, został on przedtem wezwany do Warszawy, przyjęty przez Piłsudskiego — co zostało opublikowane w prasie — i od niego otrzymał instrukcje. Po powrocie do Berlina, zażądał niezwłocznej rozmowy z Hitlerem; powołując się na niejednokrotne enuncjacje Hitlera, postawił sprawę w formie kategorycznej alternatywy: albo wyrzeczenie się przez Niemcy żądania rewizji granic z Polską, albo — wojna. Hitler odpowiedział, że stanowczym zamiarem rządu niemieckiego jest działanie wyłącznie w ramach obowiązujących traktatów. Cofnął się.

B. Kanclerz Rzeszy Niemieckiej H. Brüning pisał o tym okresie („Deutsche Rundschau”, 1947): „Fakt, że Marszałek Piłsudski, bezpośrednio po objęciu władzy przez Hitlera, zwrócił

się do rządu francuskiego z propozycją wspólnej akcji wojskowej, wskazuje jak słuszne były nasze obawy”, a następnie (1949) w liście do min. S. Sopickiego: „W artykule moim w „Deutsche Rundschau” mówiłem o dwóch różnych zarządzeniach Piłsudskiego: jedno miało miejsce podczas mego urzędowania (1932) i przewidywało polski plan mobilizacyjny, który zmuszał nas do osłabiania garnizonów na Śląsku z powodu *beznadziejności naszego ówczesnego położenia wojskowego* (podkr. moje). Inny krok Piłsudskiego, który został wywołany być może przez wywiad Hitlera w „Sunday Express”, o czym Pan wspomina, nastąpił w końcu kwietnia lub na początku maja 1933 r. w Paryżu. Według informacji naszych czynników dyplomatycznych i wojskowych, Piłsudski podjął wówczas kroki, aby wypośredkować, czy Francja byłaby gotowa wyrzucić wspólnie z Polską nacisk wojskowy na Niemcy. Proszono mnie wówczas z naciskiem zarówno ze strony „Reichswehry” jak i ze strony Min. Spraw Zagranicznych o wykazanie w sposób energiczny Hitlerowi wielkości niebezpieczeństwa. Hitler sam prosił o taką rozmowę. Mowa, którą wypowiedział potem w „Reichstagu” szła w zapewnieniach w stosunku do Rządu Polskiego o wiele dalej niż to było potrzebne, tym bardziej, że już w dniu posiedzenia Reichstagu nasze wiadomości otrzymane z Paryża, mówiły, że Francja waha się czy przyjąć propozycję Piłsudskiego. Na wtajemniczonych robił dziwne wrażenie fakt, jak szybko jeszcze wówczas był Hitler gotów ustępować, gdy musiał się obawiać ostrej akcji granicznej”.

Tyle Kanclerz Brunning. Uderzająca jest ta zgodność oceny ze strony polskiej i niemieckiej, ówczesnej słabości Niemiec; ich popłoch po prostu na myśl o możliwości czynnej prewencji wobec zapędów Hitlera — w zestawieniu z niepojętą, upartą ślepotą mocarstw zachodnich, które w tym właśnie momencie gotowe były zaofiarować Hitlerowi współudział w oligarchii europejskiej. („Pakt czterech”, Włochy, Francja, Anglia i Niemcy, proponowany przez Mussoliniego — nie bez udziału ambadora Francji w Rzymie, H. de Jouvenel'a — z perspektywą „zaspokojenia” Hitlera kosztem Polski oraz przyznania Niemcom „równości praw” w zakresie zbrojeń). Pakt storpedowany został przez energiczny sprzeciw Polski; zadeklarował wtedy Beck w sejmie zasadę naszej polityki: „Nic o nas — bez nas. Żadne postanowienia odnoszące się do naszych interesów, a powzięte bez naszego udziału, nie mogą mieć dla nas mocy obowiązującej”. Jednocześnie, z polecenia Piłsudskiego, zagroził wystąpieniem Polski z Ligi Narodów i zorganizowaniem rewolty ze strony państw mniejszych).

W połowie listopada 1933 r. usłyszałem od Becka swego rodzaju bilans polskich usiłowań akcji prewencyjnej. Mówił o swoich osobistych poufnych rozmowach z mężami stanu francuskimi i angielskimi; mówił o próbach dotarcia do wpływowych polityków obu tych państw przez ludzi prywatnych, korzystających z ich osobistych koneksji. Podsumował ich wynik krótkim zdaniem, które niemal dosłownie powtórzyło się w odpowiedzi na nasze perswazje, zarówno ze strony angielskiej jak francuskiej: „Nasza opinia publiczna nie zaakceptuje akcji prewencyjnej wobec Niemiec”.

Nie byłem tym zaskoczony. Miałem już, jako redaktor „Gazety Polskiej”, od kilku lat sieć korespondentów w głównych stolicach europejskich, obsadzoną przez inteligentnych i dobrze się orietujących obserwatorów. Składane mi przez nich relacje szły jednomyślnie w tym właśnie kierunku. Powiedziałem to Beckowi, pytając czy oczekiwał czego innego. Odpowiedział mi otwarcie, że nie miał większych nadziei; ale Komendant, ze swą ścisłą umysłowością i metodą „sztabowego” myślenia, kazał mu uporczywie szukać możliwości zwycięstwa prostej logiki. Ta zaś mówiła: Jeśli wiemy, że „potencjalny nieprzyjaciel” jest oparty przez ideę odwetu za poniesioną w poprzedniej wojnie klęskę, jeśli mamy bezsporne dane, że przystąpił już do odbudowy potrzebnej na to siły, to wniosek z tych przesłanek jest tylko jeden — przeszkodzić mu w tym póki czas. Podstaw po temu nie brakuje i nie zabraknie w dalszym ciągu. Odrzucają Niemcy co chwila postanowienia Traktatu, który — potrzebnie czy niepotrzebnie — został ujęty w formę statutu organizacyjnego współzycia narodów Europy. Może wreszcie ktoś na ten stan rzeczy spojrzy otwartymi oczami i wyciągnie konsekwencje.

Po wystąpieniu Rzeszy Niemieckiej z Ligi Narodów w październiku 1933 r., Beck złożył referat sytuacyjny Piłsudskiemu, meldując przeświadczenie o bezowocności naszych wysiłków co do akcji prewencyjnej. Piłsudski powziął wówczas decyzję ponownej i stanowczej *démarche* w Berlinie; polecił mu też dać rządowi francuskiemu i brytyjskiemu następujące oświetlenie tego kroku: Zerwanie Hitlera z Ligą Narodów stwarza dla Polski nową sytuację prawnopolityczną. Pakt Ligi Narodów był bowiem jedynym instrumentem nakładającym na Niemców jakiegokolwiek zobowiązania w stosunku do Polski. Wobec mocarstw zachodnich Niemcy związały się paktami lokarneńskimi. Wobec nas, żadnych prawnie ujętych zobowiązań Niemcy nie mają. Po wielokrotnych zapowiedziach rewindykacyjnych Hitlera możemy być w każdej chwili zaskoczeni atakiem na nas, gdy tylko poczuje się on na siłach po temu. Dziś jeszcze tak nie jest



i jeśliby mocarstwa zachodnie zdecydowały się na radykalne załatwienie sprawy przez uderzenie prewencyjne, my jesteśmy na to gotowi.

Jeśli jednak mocarstwa zachodnie zamierzają nadal przyzwalać na zbrojenia niemieckie, polegając na wierze w układy lokarneńskie — będziemy musieli i my zażądać od rządu niemieckiego zobowiązania traktatowego, że wszelkie sprawy z nami będą załatwiane na drodze pokojowej, koncyliacji i arbitrażu, a gdyby nam tego odmówili, zastosujemy natychmiast wojskowe środki ostrożności.

Powiedział jeszcze Beck, że oczekuje właśnie wiadomości z Paryża i Londynu o reakcji na to poufne uprzedzenie ich o naszych zamierzeniach. Dodał, że nie spodziewa się zmiany w ich dotychczasowej postawie, że pewnie tylko doradzą nam powściągliwość i nie posuwanie się zbyt daleko w zadrażnianiu Hitlera. Wtedy Lipski — przygotowany już na to — uda się do niego i ma polecenie postawienia sprawy ultimatywnie. „Wiesz — dodał Beck — jak Komendant nie uznaje „słów bez pokrycia”; gdy mi dawał te instrukcje na jego biurku leżały już gotowe do podpisu rozkazy, przesuujące kilka naszych dywizji na granicę zachodnią. Dał mi też do wglądu memorandum o zarządzeniach wewnętrznych, uzgodnionych już z p. prezydentem przed kilku miesiącami, na wypadek wojny z Niemcami”.

W dwa czy trzy dni później — w chwili opublikowania przez urzędowe polskie i niemieckie agencje telegraficzne tzw. „Deklaracji Hitler-Lipski”, zawierającej zapowiedź wyrzeczenia się siły w stosunkach wzajemnych i rozstrzygnięcia spornych zagadnień w drodze polubownej — dał mi Beck wskazówki jak oświetlać tę sprawę w „Gazecie Polskiej”. Zalecił mi wprowadzić termin „Locarno wschodnie”; waga paktów lokarneńskich polega — w oczach ich wyznawców — na tym, że były one dobrowolnie przyjętym zobowiązaniem, nie zaś „wymuszonym siłą dyktatem jednostronnym”, jak nazywali Niemcy Traktat Wersalski. Wypełniliśmy znamienną lukę w tych układach — od wschodniej granicy Niemiec — z tą jeszcze różnicą, że wyrzeczenie się agresji w stosunku do nas deklaruje Hitler sam, podczas gdy Locarno jego podpisu nie nosi. Nie jest to mało ważne gdy ma się do czynienia z człowiekiem, który uważa swoje dojście do władzy za początek nowej ery, przekreślającej przeszłość od 1918 r. Ale nie tyle o niego chodzi, ile o opinię publiczną na Zachodzie. Na przyszłość, jeśliby Hitler dokonał napaści zbrojnej na nas, będzie to złamaniem jego własnego w imieniu Rzeszy Niemieckiej zobowiązania. Może to mieć poważny wpływ na wykonanie sojusznicznych zobowiązań ze strony Francji, podawa-

nych w wątpliwość po Locarno; może wpłynąć na stanowisko Anglii w takim wypadku.

Po wysłuchaniu komentarzy Becka, zapytałem go, czy możemy w tym stanie rzeczy uważać za zakończone nasze próby akcji prewencyjnej.

„Poruszyłem to zagadnienie, gdy meldowałem Komendantowi przebieg oraz wynik *démarche* Lipskiego w Berlinie i zapytałem czy mamy przystąpić do ujęcia „Deklaracji Hitler-Lipski” w formalny pakt o nieagresji” — odpowiedział mi Beck. „Ale Komendant kazał mi nie kwapić się z tym. Muszę ci powiedzieć, że Komendant, mimo irytacji i gniewu, który nim targa z powodu „ślepoty na rzeczywistość” ze strony mocarstw zachodnich okazuje w tej sprawie nadzwyczajną cierpliwość; gdy zaznaczyłem, że ostatnie dni przyniosły znowu dowód niezmiennego postanowienia Francji i Anglii trwania w bierności, Komendant powiedział, że mamy jeszcze czas; że wprawdzie nie znajduje dotychczas posłuchu głos rozsądku, ale ten stan ośpienia może minąć; że sam Hitler może nam dopomóc, nie odznacza się on bowiem umiarem i powściągliwością; taki człowiek zawsze może strzelić jakieś głupstwo, które wstrząśnie opinią publiczną na Zachodzie; niech więc będzie jeszcze wypadkom Bożym otworzona brama”.

Tak mi streścił Beck ówczesne poglądy Piłsudskiego, zakończone słowami z „Beniowskiego”.

Po dwu miesiącach zwłoki został polsko-niemiecki pakt o nieagresji podpisany dn. 26 stycznia 1934. Niezwłocznie po tym, jeszcze przed wymianą dokumentów ratyfikacyjnych, nastąpiła — w połowie lutego 1934 — wizyta Becka w Moskwie. Celem jej było zmanifestowanie, że stypulacja polsko-niemieckiego paktu o nieagresji, stwierdzająca, że nie stoi on w sprzeczności z układami zawartymi przez Polskę z innymi państwami, odnosi się nie tylko do naszego sojuszu z Francją, lecz również do paktu o nieagresji z Rosją; że też niezmiennie dążymy do dobrych z nią sąsiedzkich stosunków. Wizyta miała przebieg pomyślny i przyjazny; pakt o nieagresji przedłużono o lat dziesięć, postanowiono też podnieść poselstwa w Warszawie i Moskwie do rangi ambasad.

Nie mogły też w żaden sposób mieć nam za złe układu z Niemcami rządy francuski i angielski — wiedziały bowiem najlepiej, że Piłsudski szukał innego rozwiązania do ostatniej chwili i spotkał się z ich uporczywą odmową. Przypomnę tu, że właśnie w trzy miesiące po tym, po raz pierwszy złożył wizytę w Warszawie francuski minister spraw zagranicznych. Był nim

L. Barthou, jeden z sygnatariuszy sojuszu polsko-francuskiego w 1921 r.; od tego też czasu odwiedzali Polskę przedstawiciele Francji co roku. A co ważniejsze, w dwa lata później — a niestety, za późno — otrzymaliśmy nareszcie od Francji pożyczkę gotówkową na zbudowanie niezbędnego przemysłu wojennego, o co zabiegaliśmy bezskutecznie przez lat 25. Reakcja Anglii była równie pozytywna; wzmożło się bezpośrednio zainteresowanie Polska i jej polityką. Rejestruję tu tylko stanowiska rządów zachodnich; przechodzę do porządku nad atakami ze strony takich czy innych grup lub osób, bo podstawą ich zawsze był nie sam pakt o nieagresji z Niemcami, lecz pokątnie szerzona supozycja o rzekomych dodatkowych, tajnych układach czy nawet „przy mierzu z Hitlerem”. Nieodparta wymowa faktów z 1939 r. dała na to odpowiedź, szkoda więc słów tracić.

Zasadniczym błędem byłoby zaliczać pakt o nieagresji z Niemcami do sukcesów naszej polityki — była to tylko doraźna konieczność, wynikająca z przegranej kampanii, stoczonej wówczas przez Polskę z inicjatywy Piłsudskiego z ponurym zjawiskiem, nazwanym przezeń „ślepotą na rzeczywistość” w Paryżu i Londynie. Przegrana została nie z naszej winy i nie tylko na nas spadły skutki — straszliwą cenę zapłacił za to świat cały. Może najprościej ujmuje to Douglas Reed („Disgrace Abounding”, London, 1932), mówiąc: „W roku 1933 Piłsudski powiedział państwom zachodnim: Musicie wstrzymać Niemcy teraz albo nigdy. Możecie to zrobić teraz z minimalnymi stratami w ludziach i pieniądzach. Potem będzie za późno. Kiedy mocarstwa pozostały głuche na jego propozycje, zawarł pakt o nieagresji z Niemcami. Ale cóż innego mogła Polska uczynić?”.

Tyle o pakcie berlińskim, z tą tylko dodatkową uwagą, że zgoda Hitlera na jego zawarcie była jednym jeszcze ogniwem w łańcuchu dowodów słabości jego sił w tym czasie, co wykazywała rozmyślnie raz po raz polityka Piłsudskiego w latach 1932-34.

Wciąż jeszcze groźba akcji zbrojnej ze strony polskiej wystarczała aby się cofał, mimo że wiedział o odrzuceniu planu Piłsudskiego przez Paryż i Londyn, mimo że z tamtej strony zaofiarowywano mu już „równe prawa do zbrojeń”: „praw” nie potrzebował, bo wziął je sobie sam — ale potrzebował *czasu* — tylko czasu. I ten czas mu dawano, rok po roku, wbrew przestrogom polskim, wbrew perswazjom wybitnych generałów francuskich. Korzystał Hitler skwapliwie, zbrojąc się w niebywałym tempie. Były, jak się zdaje, przebłyski trzeźwości w Paryżu, w jesieni 1935 r., sądząc ze słów gen. George’a wyrzeczonych wówczas do gen. K. Sosnkowskiego: „Mogę pana z radością zawiadomić, że

powzięliśmy decyzję: gdy choć jeden uzbrojony Niemiec stanie w Nadrenii — mobilizujemy. A co wy zrobicie?” — dodał gen. George znacząco.

Aliści, gdy w kilka miesięcy po tym, 7 marca 1936 r. oddziały Reichswehry wkroczyły do Nadrenii Polska zareagowała natychmiast: na pierwszą wiadomość o tym Beck — po porozumieniu się z Prezydentem i Rydzem-Smigłym — już o 9 rano, nie czekając na decyzję rządu francuskiego, oświadczył ambasadorowi Francji, że w razie francuskiej kontrakcji wojskowej Polska spełni swój obowiązek sojusznicy. Natomiast Paryż nie zdecydował się na rzucenie siły w obronie swych praw. Anglia odmówiła jej poparcia.

Nie żył już wówczas Józef Piłsudski. Ale jestem pewny, że działając — i tak szybko działając — 7-go marca, Beck postępował w myśl jego instrukcji z listopada 1933 r., którą cytowałem. Bo właśnie spełniło się przewidywanie Piłsudskiego, że człowiek tak nieopanowany jak Hitler, może jakimś przedwczesnym krokiem sprowokować bezpośrednio Francję; i wywołać decyzję działania z jej strony. Zarysowała się rzeczywiście taka możliwość. W rządzie francuskim odezwały się głosy za tym, że należy odpowiedzieć Hitlerowi użyciem siły zbrojnej, a dopiero potem szukać współdziałania Anglii. Znamienne jest, że Flandin nie powiadomił ani rządu, ani sztabu generalnego, ani parlamentu o zadeklarowanej przez Becka gotowości Polski do wykonania „casus foederis”. Bał się najwidoczniej, że może to przeważnie szale na rzecz kontrakcji wojskowej. Istotnie też, w marcu 1936 r. był jeszcze na to czas. Połączone siły Francji i Polski, nawet przy bierności Anglii — miały zapewnioną przewagę nad siłami niemieckimi. Mógł więc Hitler na tej sprawie kark skrócić, przed czym go ostrzegał jego własny sztab generalny.

Był to bodajże ostatni moment po temu. Od tego czasu stosunek sił zaczął się zmieniać, potencjał zbrojeń niemieckich, biorąc pod uwagę ich nowoczesność, zaczął zyskiwać wyraźną przewagę. Pod innym jeszcze względem bezkarna okupacja Nadrenii zaważyła krytycznie na szali, stosunków europejskich; spotęgowała niezmiernie autorytet Hitlera w Niemczech, zyskała mu popularność w sferach wojskowych, dała mu tę niebywałą pewność siebie, której przed tym jeszcze nie posiadał; jednocześnie poderwała autorytet Francji i Anglii w Europie a w szczególności w Rzymie i w Moskwie. Jeśli nie wcześniej, to wtedy już na pewno zaczął Stalin rezerwować sobie linię ewentualnego porozumienia z Hitlerem, mimo zawartego w roku poprzednim układu z Francją.

Była też postawa Polski w sprawie Nadrenii ostatnim — przed r. 1939 — echem usiłowań Piłsudskiego, aby skłonić Zachód do akcji prewencyjnej. Powracając do czasu, w którym te usiłowania się odbywały (1932-34) chcę określić wyraźnie ich miejsce w naszej ówczesnej polityce.

Mianowicie, było to miejsce główne i kluczowe, odpowiednio do rzeczywistości historycznej tego okresu.

Z zawartych wówczas przez Polskę paktów o nieagresji, pierwszy — z Rosją Sowiecką — podpisany został przed inicjatywą Piłsudskiego akcji prewencyjnej; drugi — z Rzeszą Niemiecką — po odrzuceniu tej inicjatywy przez Zachód. Był on więc tylko — jak się rzekło — doraźną koniecznością, wynikłą z niepowodzenia planu zasadniczego. Pierwszy natomiast stanowił część składową planów Piłsudskiego. Polegały one na tym, aby zagrożenie niemieckie zlikwidować siłami Europy zachodniej, bez udziału Rosji Sowieckiej, który był, z ogólnego punktu widzenia, zgoła niepotrzebny w układzie sił roku 1933-go, zaś z polskiego punktu widzenia — wręcz niebezpieczny. Natomiast zapewnienie neutralności Moskwy było i potrzebne, i wskazane. Można też było wtedy na to liczyć głównie na podstawie ich własnej ciężkiej sytuacji: dotkliwego niedostatku gospodarczego, poważnych tarć wewnętrznych (ujawnionych publicznie dopiero po kilku latach), zagrożenia japońskiego na Dalekim Wschodzie i niewątpliwego wobec tego lęku na myśl, że Hitler może zacząć swą światoburczą akcję od marszu na wschód.

Stąd nasza „droga do Moskwy”, stąd rozmowy wilanowskie. Powracam tedy — na zakończenie, cierpliwemu czytelniku — do relacji o dalszych zdarzeniach. Układało się na ogół wszystko w stosunkach między Warszawą a Moskwą po myśli naszych rozmów z Radkiem, aż do „Deklaracji Hitler-Lipski” w połowie listopada 1933 r. Po czym nastąpiły oznaki zawahania; w prasie moskiewskiej zjawiał się uszczypliwy artykuł o „zygzakach” polskiej polityki; otrzymałem też wkrótce, przez naszą pocztę dyplomatyczną, list od Radka, zawiadamiający mnie, że z powodu zlecenia mu zajęć w innej dziedzinie, musi wycofać się z udziału w sprawach polsko-sowieckich. Przychodziło mi na myśl, że może to być jakieś prywatne „votum nieufności” do mnie, jednak Berson dał mi znać z Moskwy, że według jego informacji komuniści polscy z Warszawy zadenuncjowali Radka i Antonowa-Owsienkę za zbyt „bratanie się” z „dwójkarzami Piłsudskiego” i to leży w podłożu wycofania Radka. Sygnalizował mi jednocześnie, że burza rozpętana po deklaracji berlińskiej przez antypolskie czynniki w partii, wygasła, jego zdaniem, bo znajomi

dziennikarze sowieccy, którzy przez parę tygodni udawali, że go nie widzą, znowu się uśmiechają i rozmawiają po dawnemu.

Przekonującym dowodem ponownego odprężenia było skwapliwe przyjęcie propozycji wizyty Becka w Moskwie, jej przebieg i wyniki. Wszystko zdawało się wyrównane, a nawet wydatnie posunięte naprzód. Gdy zaś nowy ambasador sowiecki, Dawtjan, przybył do Warszawy, na inauguracyjnym przyjęciu u niego zostałem powitany w sposób wybitnie przyjazny; zazna- czył Dawtjan, że zna moją działalność w kierunku zbliżenia naszych krajów, że jak jego poprzednik będzie sobie wysoce cenił kontakt ze mną; po czym oświadczył mi w oficjalnej już formie, że upoważniony jest przez swój rząd do udzielenia mi w każdej chwili wizy gdybym chciał odwiedzić ponownie Rosję i to nie tylko Moskwę, lecz jego rodzinne strony, republiki kaukaskie — który to przywilej był wtedy tylko wyjątkowo udzielany.

Tak tedy wychylało się w ciągu 1934-go roku wahadło to w tę, to w przeciwną stronę, jeśli chodzi o stosunek Moskwy do nas. Sądzę, że na ostatnią zdecydowanie pozytywną pozycję wahadła, w czasie wizyty Becka w Moskwie, wpłynęły — obok pracy dyplomatycznej Łukasiewicza — informacje otrzymane tam z Berlina i Paryża, potwierdzające fakt inicjatywy wojny prewencyjnej ze strony Piłsudskiego.

Nie bez znaczenia jest, że pierwsze w prasie europejskiej ujawnienie tej sprawy — już w 1936 r. — wyszło spod pióra L. Fischera, pisarza amerykańskiego, który jednak przebywał od kilkunastu lat w Moskwie, był aż do paktu Stalina z Hitlerem komunistą i opierał w tych czasach swoje informacje i oświetlenia wyłącznie na źródłach partyjnych i rządowych sowieckich; powracał on do tego momentu historycznego i później, w swej książce z 1941 r.; zaś w liście do red. M. Grydzewskiego, w sierpniu 1953 r., odpowiadając na jego zapytania, napisał: „Plan Piłsudskiego w sprawie wojny zapobiegawczej przeciw Niemcom został uznany przez najwybitniejszych pisarzy zajmujących się sprawami europejskimi za fakt, i nie może już podlegać wątpliwości”.

Znano więc na Kremlu całokształt polityki polskiej w tym czasie. Miał Stalin pełne potwierdzenie naszej dobrej wiary co do udzielonych mu z ramienia Piłsudskiego zapewnień w maju i czerwcu 1933 r.

Mimo to, już w końcu r. 1934, czy na początku 1935-go mogliśmy skonstatować definitywny nawrót polityki sowieckiej do praktyk sprzed 1933 roku. Okazało się niewątpliwie, że to Moskwa inspiruje pomawianie nas o tajne związki z Hitlerem w prasie francuskiej i emigracyjnej, socjalistycznej, niemieckiej.

Trzeba było uznać nasze próby porozumienia za wygasłe bezowocnie. Przyniosły fakty z 1939 r. dowód, że każde słowo wypowiedziane przed 6 laty w tej próbie było rzetelne. Nie weszliśmy nigdy, ani za życia Piłsudskiego, ani po jego śmierci w żaden układ z Niemcami przeciwko Rosji Sowieckiej. A na dyktat odpowiedzieliśmy walką. To, czego się z naszej strony rzekomo obawiano i o co nas później propagandowo pomawiano, dokonane zostało właśnie przez Stalina: wejście w tajne konszachty a następnie w sojusz przeciwko nam z Hitlerem.

Nasuwa się pytanie: może zachodziła, mimo rzetelności, nieumiejętność z naszej strony; może to tylko my, Polacy, nie potrafimy się nigdy dogadać z Rosją? Odpowiedź: bezpośrednio po nas weszła na drogę do Moskwy Francja. Paktowano z nią, owszem, chętnie i przyjaźnie w 1934 r., podpisano, owszem, układ o wzajemnej pomocy w 1935. Poszła i Anglia w towarzystwie Francji na tę samą drogę w sierpniu 1939 r. — rozmawiano, owszem, z nimi i wtedy, gotując jednocześnie do podpisu pakt Ribbentrop-Mołotow...

Taka więc wydaje mi się wymowa doświadczeń: ktokolwiek szuka do Moskwy drogi prostej — nigdy tam nie trafi. Ktokolwiek, paktując z nią wnosi ze swej strony szczerłość i dobrą wiarę — niech nie oczekuje, że odplacone mu będzie w równej walucie.

Bogusław MIEDZIŃSKI

#### NOTA BIOGRAFICZNA

Bogusław MIEDZIŃSKI ur. w r. 1891 w Miastkowie. Matura w 1909 w Siedlcach. Wyższe studia na Politechnice Lwowskiej w latach 1909-1913, Uniwersytet Jagielloński 1913-1914. Czynny udział w życiu politycznym akademickim: „Życie” we Lwowie, „Promień” w Krakowie. W r. 1910 wstąpił do Związku Walki Czynnej, w r. 1913 do „Strzelca” w Krakowie.

Od czasów gimnazjalnych pozostawał w kontakcie z PPS i był używany do posług pomocniczych w Organizacji Bojowej. W r. 1907 przyjęty do partii. Był we Frakcji Rewolucyjnej do wybuchu pierwszej wojny światowej. W r. 1914 pracował w POW jako Komendant okr. siedleckiego, później w sztabie Komendy Naczelnej POW. W 1915 wysłany dla zadań specjalnych do Petrogradu, po powrocie został Komendantem okręgu warszawskiego. Jako jeden z pięciu oficerów POW na tyłach armii rosyjskiej został mianowany podporucznikiem I Brygady przez Piłsudskiego. Brał udział we wszystkich bitwach 6-go batalionu I Brygady w

czasie kampanii wolińskiej. Odkomenderowany ponownie do komendy nac. POW mając powierzone sobie sprawy organizacyjne i polityczne. Należał do CKN. W r. 1917 zostaje drugim zastępcą naczelnego komendanta w Warszawie, później komendantem naczelnym na okupację austriacką w Lublinie. W 1918 objął Komendę Naczelną POW w Kijowie (KN 3). Odwołany do Warszawy na stanowisko z-cy Komendanta Nacz. (Adama Koca), później w dyspozycji Śmigłego. W 1919 został szefem „Szekcji politycznej Sztabu Generalnego” na miejsce W. Sławka, następnie szefem Depart. 2-go w Min. Spraw Wojskowych, który po reorganizacji został Oddz. II-gim Stabu. Na tym stanowisku był do r. 1921, potem przeniesiony do adiutantury Naczelnika Państwa. W r. 1922 poseł z listy stronnictwa „Piast”. Później wystąpił z klubu parl. Witosy i przeszedł wraz z grupą J. Dąbskiego do „Wyzwolenia”. Po przewrocie majowym został współredaktorem dziennika „Głos Prawdy” wraz z W. Stpiczyńskim. W 1926-1929 Minister Pocht i Telegrafów. Powrócił do sejmiku i objął redakcję „Gazety Polskiej”. Przez trzy lata był referentem generalnym budżetu. Redaktorem „Gazety Polskiej” był do jesieni 1938 r., tj. do wyboru na Marszałka Senatu. Po kampanii wrześniowej przedostał się przez Rumunię i Włochy do Francji, po kapitulacji Francji do Portugalii. W początkach 1941 przyjęty do wojska tzw. 2-ej grupy i rozkazem Nacz. Wodza skierowany do Afryki poł. gdzie przebywał do 1946. Od 1947 mieszka w Anglii.

TOM XC BIBLIOTEKI „KULTURY”  
SERIA „ZESZYTY HISTORYCZNE”

## ZESZYT CZWARTY

ukaze się w sierpniu 1963 roku i będzie zawierał m.in. prace:

Kazimierza Bagińskiego: „Proces szesnastu” w Moskwie  
Feliksa Mantla: Wspomnienia ze Zw. Sowieckiego i Polski Ludowej  
Jerzego Monda: Nieznana rozmowa z Gomułką  
Feliksa Frankowskiego: Kryzysowy okres w stosunkach polsko-francuskich.

Nowe materiały dotyczące polskiej masonerii oraz obszerny dział recenzyjny i bibliograficzny.

Str. 240

Cena egz. 15 F (22/-; dol. 3,-)

UWAGA: Prenumeratory „Kultury” korzystają ze specjalnej 50% zniżki. Opłacając z góry abonament „Zeszytów Historycznych” otrzymują DWA „Zeszyty” W CENIE JEDNEGO.

## Archiwum polityczne

### Most na Rubikonie

Na początku 1961 r. prasa paxowska rozwijała koncepcję „wieloświatopoglądowości” — a Piasecki liczył, że otrzyma 15 mandatów poselskich dla swojej organizacji.

25 stycznia tegoż roku Piasecki został przyjęty przez Gomułkę. Szefowi partii towarzyszyli Kliszko i Sztachelski. Sztachelski tworzyli dr Hagmajer i Reiff.

Według dra Stehle — na ogół doskonale poinformowanego — rozmowa miała przebieg następujący:

*Gomułka:* „Koncepcja wieloświatopoglądowości nie może być propagowana w Polsce Ludowej. Istnieje tylko jeden naukowy światopogląd — to jest światopogląd marksistowski. Wiewpoglądowość jest nonsensem”.

*Reiff:* „Odmawiacie nam prawa reprezentowania i głoszania podstawowych zasad naszej ideologii. W tej sprawie nie było jeszcze nawet dyskusji”.

*Kliszko:* „Towarzysze z PAX'u są w błędzie — sądzą bowiem, że pierwszy Sekretarz zamierza z nimi cokolwiek dyskutować. Pierwszy Sekretarz informuje was o decyzji Partii i to wszystko”.

*Gomułka:* „Towarzysze z PAX'u — jeżeli mają ochotę mogą o swoich teoriach dyskutować między sobą w zamkniętym kole. Lecz nie mogą propagować tych koncepcji publicznie. Nie mielibyśmy nic przeciwko tym teoriom, gdyby to były tylko hasła ideologiczne. Lecz koncepcja ta (wieloświatopoglądowości) służy PAX'owi za pretekst do wprowadzenia w Polsce dwu-partyjnego systemu”.

Następnego dnia przyszła podatkowo-finansowa reforma Paxu i powiadomiono Piaseckiego, że może liczyć na trzech posłów w sejmie a nie na piętnastu.

Nikt chyba na emigracji nie zwalczał PAX'u i jego wpływów z większą konsekwencją niż piszący te słowa. Niemniej należy obiektywnie stwierdzić, że Piasecki był jedynym politykiem w kraju, który miał koncepcję rewizjonistyczną.

Na czym polegał jego błąd, który zdecydował o przegranej? Dla tych wszystkich, którzy uzdrowienie sytuacji w kraju widzą w perspektywie pokojowej ewolucji — odpowiedź na powyższe pytanie ma duże znaczenie.

Znane jest zachowanie się Piaseckiego i podległej mu prasy w Październiku 1956. Gdy wysunięto koncepcję „kółek rolniczych” — pisma paxowskie — jedyne w kraju — obstawały przy kolektywizacji. Gdy „Trybuna Ludu” podkreślała, że inwestycje są zbyt wysokie — „Kierunki” utrzymywały, że są zbyt niskie itp.

Piasecki chciał się przedstawić swoim protektorom w Moskwie jako obrońca ortodoksyjnego dogmatyzmu komunistycznego. „Kierunki” podkreślały stale, że PAX nie jest wrogiem marksistowskiego materializmu a zwalcza jedynie monizm filozoficzny. Jest rzeczą zdumiewającą, że Piasecki jako katolik — mógł łudzić się, choćby przez chwilę, że w ramach zamkniętej doktryny można zalegalizować herezję. Piasecki sądził, że absolutną wiernością i lojalnością dla Moskwy — okupi filozoficzno-religijną „specjalność” swojego komunizmu. Gdyby jego nadzieje ziściły się — Rosjanie pozwoliliby przemienić PAX w partię polityczną, która byłaby bardziej komunistyczna od PZPR — z tą tylko różnicą, że w sferze filozoficznej odrzucałaby materializm. Innymi słowy, byłby to komunizm katolicki, który w takim kraju jak Polska mógłby liczyć na znacznie bardziej masowe poparcie niż bezbożny komunizm reprezentowany przez PZPR.

Pomysł drugiej partii był doskonały i ewolucyjna przebudowa ustroju będzie musiała iść niewątpliwie po tej linii. Lecz Piasecki w tej sprawie wykazał zarówno niezrozumienie katolicyzmu jak i komunizmu. W warunkach polskich nie można projektować partii, która byłaby rewizjonistyczną i heretycką zarówno w stosunku do komunizmu jak i katolicyzmu. Piasecki jako katolik mógłby być heretykiem w stosunku do Kościoła katolickiego. Nie może jednak być rewizjonistą i heretykiem komunistycznym, ponieważ nigdy nie był ani marksistą ani członkiem partii komunistycznej.

Ulotka wydana przez „Konfederację Narodową” Piaseckiego w roku 1942, głosiła między innymi: „Winni są Niemcy i Żydzi — główni podpalacze świata. Rosja musi być zlikwidowana w przeciwnym wypadku nie będzie wielkiej Polski”.

W lutym 1945 r. Piasecki został skazany na śmierć przez sowiecki sąd wojskowy.

Wątpię by Sierow wydobywając go z celi śmierci wierzył w autentyczność jego „nawrócenia”. Zawarto natomiast umowę w danej sytuacji korzystną dla obu kontrahentów. Piasecki rato-

wał swoje życie za cenę przyrzeczenia współpracy na odcinku katolickim. Sierow nie ryzykował niczego ponieważ Piaseckiego nie wypuszczał z ręki. Mógł go każdej chwili osiągnąć w Warszawie. Piasecki przyjął podyktowane warunki w nadziei, że uda mu się kiedyś „przechytrzyć” swoich mocodawców. Wódz PAX'u niewątpliwie przerasta swoją indywidualnością status agenta, który potulnie wykonuje zlecenia swoich przełożonych.

Piasecki nie przechytrzył swoich rosyjskich mocodawców nie stworzył drugiej partii politycznej i poniósł klęskę z dwóch przyczyn.

Dopóki PAX jest stowarzyszeniem a nie partią polityczną — jest niezdolny do wytworzenia herezji. Nadanie PAX'owi statusu oficjalnej partii politycznej oznaczałoby uznanie w ramach bloku wschodniego nie-marksistowskiej partii komunistycznej. Wynik takiej operacji — w krajach katolickich jak Polska czy Węgry byłby łatwy do przewidzenia. Ludność masowo głosowałaby na partię PAX'u tylko dlatego by nie głosować na komunistów. W takiej sytuacji partia Piaseckiego — bez względu na intencje jej przywódcy — siłą faktu stałaby się partią opozycyjną.

Przyczyna druga łączy się z pierwszą. Piasecki nie może być pro-rosyjskim politykiem w skali państwowej ponieważ nie jest komunistą. Dla sowieckiej Moskwy termin „pro-rosyjski” oznacza pro-sowiecki a pro-sowiecki oznacza pro-komunistyczny.

Piasecki nie rozumiał, że można być pro-rosyjskim nie będąc komunistą, lecz nie można być szczerze pro-sowieckim nie będąc komunistą. Jeżeli ktoś głosi, że jest pro-sowiecki — oznacza to, że życzy sukcesu nie „świętej Rosji” tylko Związkowi sowieckiemu, który dąży do skomunizowania świata.

Dopóki jedynym obowiązującym w Moskwie kryterium pro-rosyjskości jest stosunek do marksizmu — politycy typu Piaseckiego nie mają przed sobą żadnej szansy. Takich polityków można użyć do określonych zadań — ale nie można się na nich oprzeć.

To wszystko są zagadnienia polityki praktycznej. W Rosji zarysowuje się wolno wielki plan „Pax Sovietica”. Wieczne deklamowanie o pokoju, propozycje rozbrojeniowe, plany paktów nieagresji między NATO a krajami Paktu Warszawskiego, życzyliwy komentarz Chruszczowa do ostatniej Encykliki papieskiej — niewątpliwie, u dna tych wszystkich wypowiedzi leży szczerze pragnienie zachowania pokoju. Lecz „Pax Sovietica” jest mgławicą bo sowiecki arsenał środków politycznych jest niedostateczny do zaprojektowania takiej konstrukcji. W ortodoksyjnej wykładni „Pax Sovietica” oznacza triumf rewolucji komunistycznej w skali światowej. Polityka koegzystencji ma teoretycznie zapewnić osiągnięcie tego utopijnego celu środkami pokojowymi.

Polityka koegzystencji — tak jak ją rozumie Moskwa — jest typowym prowizorium bez sensu i ładu, którego nie można jednak odrzucić, bo nie ma żadnej alternatywy. Koncepcja koegzystencji z jednej strony głosi pokój i ideał współpracy międzynarodowej — z drugiej strony głosi wojnę ideologiczną, rewolucję i przewroty. Chińczycy mają stuprocentową rację twierdząc, że koegzystencja pojmowana w ten sposób jest stekiem antagonistycznych sprzeczności i nonsensów.

Polityka nie musi być wzorem logiki i często z logiką ma niewiele wspólnego. Natomiast polityka musi realizować postulowane założenia. Z punktu widzenia Moskwy polityka koegzystencji winna spełniać dwa zadania: zapewniać pokój i bezpieczeństwo oraz umożliwiać postęp rewolucji. Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że Rosji z każdym rokiem więcej zależy na pokoju niż na rewolucji. Nie wszystkie bowiem rewolucje orientują się na Moskwę. Należy stwierdzić, że polityka koegzystencji zapewnia Rosji pokój kruchy i niepewny. Podtrzymywanie mitu walki ideologicznej mobilizuje świat zachodni i utwierdza kongresy i parlamenty w przekonaniu, że „międzynarodowy spisek komunistyczny” grozi Zachodowi zagładą. Kongresy i parlamenty w konsekwencji tej polityki uchwalają astronomiczne budżety zbrojeniowe, umożliwiające finansowanie gigantycznej maszyny atomowej skierowanej wyłącznie przeciwko Sowietom.

Czy to jest polityka opłacalna? Czy leży w interesie Rosji podsyćcie poczucia, zagrożenia, którego konsekwencją jest ustawiczny rozrost potencjału zbrojeniowego o wyraźnym wskaźniku antysowieckim?

W poprzednim artykule starałem się wykazać że Rosja znajduje się na rozdrożu. Może ostrożniej byłoby powiedzieć, że zbliża się ku przełomowemu punktowi.

Wielu amerykańskich obserwatorów sądzi, że technologia sowiecka jest w przede dniu wyprodukowania „anty-pocisku”, który w znacznym stopniu chroniłby Rosję przed atakiem atomowym. Według doniesień prasy nowojorskiej pod Leningradem istnieją wyrzutnie pocisków balistycznych zdolnych unicestwić rakiety wyrzuczone z łodzi podwodnych „Polaris”.

Trudno jest wycenić obiektywną wartość tych informacji w sensie technicznym. Daleko łatwiej jest wyłuskać ich znaczenie polityczne. Podtrzymuje się prowizorium ponieważ naukowcy i technolodzy zapewniają kierownictwo polityczne w Moskwie, że w najbliższym czasie dostarczą „decydującego argumentu”. Byłoby nonsensem podejmowanie jakichkolwiek rokowań dziś — skoro jutro równowaga atomowa może być drastycznie przechylna na korzyść Rosji.

Nie ulega wątpliwości, że tak w Rosji jak i w Ameryce oczekiwanie na nowy „cud” technologiczny odgrywa rolę politycznego hamulca. Lecz kiedyś musi się to skończyć.

Technologia atomowa zrewolucjonizowała tradycyjne pojęcie sojuszu. Po konferencji w Ottawie — wydaje się, że zmierzamy

ku „rozdwojeniu” świata zachodniego. „The Guardian” mówi o „fortecy USA” i „niezależnej Europie”. Sojusz mogłaby tylko uratować federacja — to znaczy przekształcenie zgrupowania suwerennych państw NATO w Unię Atlantycką.

Utworzenie Unii Atlantyckiej byłoby możliwe tylko wówczas, gdyby Ameryka wyraziła zgodę na zrzeczenie się suwerenności w równym stopniu jak jej europejscy partnerzy.

W polityce, podobnie jak w życiu, do głosu dochodzi ten problem, który wykazuje większą dynamikę. Być może za 10 czy 15 lat Amerykanie będą gotowi zrzec się części swej suwerenności — lecz wówczas na tego typu inicjatywę będzie za późno. W owym czasie Europa będzie zjednoczoną atomową potęgą — znacznie mniej skłonną do rozmów atlantyckich niż dziś. Zjednoczona „niezależna” Europa korzystać będzie zawsze z automatycznej atomowej ochrony amerykańskiej, gdyż najbardziej izolacjonistyczny rząd w Waszyngtonie nie mógłby dopuścić do usadowienia się Rosjan nad brzegami Atlantyku.

Jak ustosunkuje się Rosja do zjednoczonej, niezależnej Europy.

Z punktu widzenia polityki Moskwy — Europa zachodnia to są Niemcy. Rosja nie ma żadnych sporów terytorialnych ani z Ameryką, ani z Wielką Brytanią ani z Francją. Inaczej sprawa przedstawia się z Niemcami. Rozwiązanie problemu niemieckiego stanowić musi jedno z głównych zadań polityki rosyjskiej.

Rosja nie może mieć przeciwko sobie potężniejszej z miesiąca na miesiąc Ameryki oraz zjednoczonej, dominowanej przez atomowe Niemcy Europy. Nie wiadomo jak będzie się rozwijać konflikt sowiecko-chiński — sądzę jednak, że interesy nacjonalistyczne wezmą górę nad momentami ideologicznymi. Chinom potrzebna jest Syberia i żadna ideologia tego faktu nie zmieni.

Jeżeli w Rosji zwycięży pragmatyzm i realizm Moskwa szukać będzie porozumienia ze zjednoczoną Europą — bo tylko na tej drodze możliwe jest spacyfikowanie Niemiec.

W Europie nikt nie chce wojny, lecz również nikt nie chce komunizmu. Jeżeli Rosja potęgować będzie atmosferę kryzysu i zagrożenia — akcje niemieckie będą automatycznie szły w górę, aż osiągną granicę zbrojeń atomowych.

Z punktu widzenia Moskwy spacyfikowanie Niemiec oznaczać by musiało rozwiązanie NATO oraz utrwalenie hegemonii francuskiej w zjednoczonej kontynentalnej Europie. Rosja musiałaby nawiązać życzliwe stosunki z wszystkimi państwami Europy zachodniej, a w szczególności z Francją. Wówczas Niemcy nie miałyby żadnej szansy zagrożenia Rosji i Europie wschodniej, a rewizjonizm byłby skazany na uwiędnięcie i zanik.

Imperia upadają zwykle z tej przyczyny, że po zbawczej reformy sięga się zbyt późno. A sięga się po nie zbyt późno, ponieważ w imperiach objętych wewnętrznym kryzysem tempo ewolucji jest zbyt powolne.

Nawiązanie życzliwych stosunków z państwami Europy zachodniej, jeżeli miałyby być autentyczne, a tylko autentyzm przyniosłoby rezultaty — musiałyby być poprzedzone ewolucyjnym „skokiem naprzód” w kierunku unormalnienia modelu współczesnej Rosji oraz państw wschodnio-europejskich. Rosjanie musieliby sobie zdać sprawę, że współpraca z pewnymi państwami komunistycznymi może być politycznie szkodliwa — a natomiast współpraca z pewnymi państwami nie-komunistycznymi może być politycznie korzystna. W konsekwencji Rosjanie musieliby również dojść do przekonania, że mogą istnieć — a w przyszłości nawet się mnożyć — komunistyczne partie anty-rosyjskie, a równocześnie istnieć mogą pro-rosyjskie partie nie komunistyczne. Rosjanie mogliby uniknąć wojny i uratować swoje mocarstwowe stanowisko tylko za cenę przyjęcia pragmatycznych kryteriów politycznych z wszystkimi konsekwencjami.

Rewizjonizm niemiecki byłby groźny tylko wówczas, gdyby uchwycił sztandar „przedmurza Europy”. Sojusz niemiecko-amerykański rozbudowany do pełnych jego militarnych możliwości — stanowiłby potencjał siły, któremu Rosja nie miałaby żadnej szansy sprostać.

Rosjanie zdają sobie z tego sprawę, nie chcą wojny i pragną jej uniknąć. Lecz równocześnie prowadzą agresywną politykę ideologiczną, która jest manną z nieba dla rewizjonistów, odwetowców i tych amerykańskich generałów, którzy na dnie duszy marzą o zlikwidowaniu komunizmu siłą.

Rosja sowiecka model 1963 nie ma wyjścia z tego niebezpiecznego błędnego koła. Dlatego wszystko zależeć będzie od tego czy Rosja zdoła na czas swój model zmienić. Zainteresowani są w tym i Polacy, ponieważ, gdyby doszło do wojny, Polska w znacznej mierze podzieliłaby los Rosji. W tej materii nie należy mieć żadnych złudzeń.

Łatwo jest powiedzieć, że Rosja winna dążyć do normalizacji stosunków z przyszlą zjednoczoną Europą i na tej drodze szukać rozwiązania problemu niemieckiego. Podjęcie takiej polityki wymagałoby kredytu zaufania, którym Rosja nie dysponuje. Wszystkie nadzieje rewizjonistów i odwetowców niemieckich zarówno tych, którzy nie tają swego programu — jak i tych, którzy mówiąc o pokoju liczą na „dziejową godzinę” — związane są z antykomunizmem. Im zjednoczona Europa będzie bardziej anty-rosyjska i anty-sowiecka — tym pacyfikacja Niemiec będzie zadaniem trudniejszym. Budowa kredytu zaufania musiałaby mieć na celu przekonanie narodów zachodnio-europejskich, że Rosjanie nie identyfikują pro-rosyjskości z pro-komunizmem i zdolni są do lojalnej współpracy z nie-komunistami.

Tak oto wracamy do koncepcji wieloświatopoglądowości Piaseckiego. Piasecki był w gruncie rzeczy rewizjonistą. Jego błąd podstawowy polegał na tym, że nie był komunistą. Luter był katolikiem. Reformować można tylko od wewnątrz — z postacią osobistego zaangażowania.

Na komunizm można wpływać z zewnątrz — podobnie, jak w tej chwili wielki i zbawienny wpływ na Kościół katolicki wywierają „rewizjonistyczni” teologowie protestanccy. Lecz tak, jak Kościół Katolicki unowocześnić mogą tylko katolicy — tak i komunizm unowocześnić mogą tylko komuniści.

„Kultura” brała pewien udział w dyskusjach rewizjonistycznych, ale nigdy nie uważaliśmy się za rewizjonistów — mimo, że taką etykietę starano się nam przyczepić.

Na czym polega różnica pomiędzy rewizjonizmem a ewolucjonizmem?

Autentycznymi rewizjonistami są komuniści, którzy dążą do oddogmatyzowania marksizmu i do zdemokratyzowania organizacji partyjnej.

Ewolucjonizm — tak jak my go pojmujemy, wychodzi z innych założeń i służy innym celom. Krytykując komunizm jako jego przeciwnicy — nie domagamy się od komunistów by przestali być komunistami. Byłoby naiwnością oczekiwać, że Gomułka czy Kliszko — pod wpływem takiej czy innej argumentacji — pewnego dnia przestaną być komunistami. Komuniści mają prawo do swoich przekonań pod warunkiem, że to samo prawo przysługuje i nie-komunistom. Nie domagamy się by komuniści przestali być komunistami — domagamy się natomiast by zmienili swój stosunek do nie-komunistów.

Jest naszym przekonaniem, że zmiana modelu Polski Ludowej może być osiągnięta tylko przez zespolenie wysiłków rewizjonistów i ewolucjonistów. Jeżeli nawet przyjmie się za Jedlickim, że periodyczne „odwilże” są produktem taktycznych rozgrywek pomiędzy frakcjami walczącymi o władzę, to stwierdzić należy, że owe „odwilże” nigdy nie są w pełni wykorzystane ponieważ ewolucjonistom brak jest rozeznania. Klasyczny schemat „odwilży” przedstawić można następująco. Jeżeli w taktycznym interesie danej frakcji leży „liberalizacja” — zapala się zielone światła. Każda „odwilż” zastaje społeczeństwo i elitę intelektualną odbarwioną chemicznie z jakiegokolwiek programowej myśli. Bossowie partyjni obserwują i czekają. „Odwilż” wyradza się szybko w chaos — a żądania wysuwane pod adresem kierownictwa politycznego przybierają zaczynają charakter absurdalny. Wówczas wydobywa się straszak interwencji apeluje się do trzeźwości i rozsądku politycznego. Widowisko zostaje odwołane a aktorzy spełniwszy swoje taktyczne zadanie — wycofują się potulnie w zacisze anonimowości. Wszyscy są zadowoleni — bossowie, ponieważ spektakl przyniósł oczekiwane taktyczne rezultaty a intelektualna góra ponieważ wykazała trzeźwość i „rozum polityczny”.

Każda „odwilż” jeżeli trwa dostatecznie długo — ujawnia w mniej lub bardziej zamaskowany sposób, że w Polsce nikt nie chce ani komunizmu ani komunistów. To jest program w naszych warunkach bez wojny nie do urzeczywistnienia. Ów

„program” w gruncie rzeczy podmurowuje pozycję partii, bo symbolizuje dokładnie casus, który z całą pewnością spowodowałby sowiecką interwencję.

Ewolucjonizm w naszej interpretacji — nie dąży ani do obalenia ustroju ani do likwidacji partii komunistycznej — tylko do stopniowej przebudowy modelu Polski Ludowej. Nie domagamy się również rewizji marksizmu ponieważ tej rewizji dokonać muszą sami marksiści. Domagamy się natomiast, by komuniści zmienili swój stosunek do nie-komunistycznej większości społeczeństwa.

We Włoszech w wolnych wyborach co czwarty Włoch głosuje na komunistów. W Polsce w wolnych wyborach ani co setny Polak nie głosowałby na komunistów. Jeżeli we Włoszech, gdzie komuniści mają tak duże poparcie społeczne, możliwa jest współpraca komunistów z nie-komunistami — tym bardziej realne byłoby to w Polsce. Nie oznacza to, że uważamy za możliwe na tym etapie restaurowanie w Polsce pełnej demokracji. Chciałem tylko wykazać, że nie domagamy się rzeczy absurdalnych i nie notowanych. Pomiędzy demokracją parlamentarną z potężną partią komunistyczną, jak we Włoszech — a „demokracją ludową” ze słabą partią komunistyczną przy władzy, jak w Polsce — wyobrazić sobie można model pośredni, który jest naszym celem.

Gdyby Polacy w kraju byli lepiej zorientowani w sytuacji międzynarodowej, oraz gdyby mieli dostęp do informacji ilustrujących wymiary kryzysu w Rosji — wówczas zdaliby sobie sprawę, że straszak interwencji jest rekwizytem mocno przestarzałym. Nie twierdzę, że Sowiety nie zdobyłyby się już dziś w ogóle na interwencję. Twierdzę natomiast, że w obecnym układzie sytuacji Rosja zdobyłaby się na bezpośrednią interwencję dosłownie tylko w ostatecznej ostateczności. Dla Sowietów interwencja zbrojna w Polsce oznaczałaby polityczną katastrofę i kompromitację w skali światowej. W Moskwie znakomicie zdają sobie z tego sprawę. Chruszczow z całą pewnością wołałby zgodzić się na pewną przebudowę polskiego modelu niż ryzykować bezpośrednią interwencję.

Pomiędzy obecnym modelem Polski Ludowej, a ryzykiem interwencji — leży ogromne pole potencjalnych możliwości, które są nie wykorzystane. O ile doktryny marksistowskiej nie zreformują nie-marksiści — o tyle model Polski jest sprawą wspólną zarówno marksistów jak i nie marksistów. Nie-marksiści stanowią znakomitą większość — ale nie są zorganizowani i co ważniejsze nie są zorientowani. Stanowią bezpostaciową masę, którą rządzi nawet nie partia tylko KC i milicja.

Obecny polski model odpowiada komunistom i oni go nie zmieniają. Zmiany nastąpić mogą tylko pod naporem nie-komunistów.

Wolność w Polsce nie jest ani odczuwana ani rozumiana



w sensie zachodnio-europejskim. Wolność od terroru, wolność od przemocy fizycznej — wytwarza poczucie małej stabilizacji. Fakt, że miliony Polaków nie komunistów pozbawione są prawa demokratycznego głosowania, które przysługuje dziś dziesiątkom milionów Murzynów w Afryce — niepokoi w kraju tylko nieznaczną mniejszość inteligentów. W Polsce, tylko mały odsetek obywateli identyfikuje praworządność z demokracją.

Ewolucjonizm w naszej interpretacji — nie zmierza do kontrrewolucji. Chodzi nam tylko o „uwłaszczenie”, o wydobycie z politycznego poddaństwa obywateli nie-komunistów. Owe dziesiątki milionów mają prawo do swojej reprezentacji — mają w swej odcyżnieniu prawo do głosu i do udziału w rządach.

Komuniści muszą wreszcie zrozumieć, że zawsze będą istniały miliony ludzi, którzy nie podzielają ich poglądów. Istotą antykomunizmu nie jest opozycja przeciwko marksizmowi. Istotą antykomunizmu jest opozycja przeciwko nieludzkiemu, antyhumanistycznemu pogładowi, że jedynie marksizm jest opartym na obiektywnej prawdzie światopoglądem i z tej racji jest rzeczą moralnie usprawiedliwioną politycznie ubezwłasnowalniać wyznawców wszelkich innych poglądów.

Choćby komuniści mieli najwspanialszą technologię i znakomicie funkcjonujący system gospodarczy — jeżeli nie zmienią swego stanowiska w tej kardynalnej sprawie, w każdym następnym pokoleniu ludzkości znajdą się miliony ludzi, którzy zwalczać ich będą do upadłego.

Gdyby komuniści odstępili od monopolizmu swojej doktryny — być może — w pewnych krajach utraciliby tzw. „dyktaturę proletariatu” — lecz rozbroiliby międzynarodowy antykomunizm.

„Dyktatura proletariatu” nigdzie nie upadnie bez naporu. Żelazne prawo polityki głosi, że nikt nie rezygnuje z władzy jeżeli nie jest do tego zmuszony. W wyniku wolnych wyborów komuniści straciliby władzę całkowicie, lecz domaganie się wolnych wyborów w obecnej sytuacji leży poza linią osiągalnych możliwości. Byłoby natomiast rzeczą możliwą wydatnie zwiększyć w sejmie liczbę postów nie-komunistycznych — gdyby poza lojalistycznymi ugrupowaniami wyłoniło się z czasem w Polsce ugrupowanie niezależne, demokratyczne, społecznie postępowe. To nie jest prawda, że socjalizm budować mogą tylko komuniści i ich podskakawicze. Taka myśl — jak powiedział kiedyś Gomułka — byłaby uboga. Komuniści nie muszą się z nikim dzielić władzą bo *de facto* nikogo nie ma, kto by tę władzę mógł dzielić: Nie muszą poszerzać reprezentacji parlamentarnej, bo nikt się tego nie domaga.

Straszak interwencji rozgrzesza dziś inteligencję i intelektualistów — którzy, gdyby tego straszaka nie było, również niczego by nie dokonali. Dziś swoją bierność i oportunizm przysłaniają rzymską togą „wyższej dziejowej konieczności”. Postąpiliśmy mądrze unikając Budapesztu. Lecz owa mądrość owocuje zdumie-

wajaco nędznie i jałowo. Po owocach trudno byłoby ją zaiste rozpoznać.



Jeżeli Rosja zechce w przyszłości szukać rozwiązania problemu niemieckiego na drodze normalizacji stosunków ze zjednoczoną Europą zachodnią — będzie musiała zacząć od budowy kredytu zaufania. Polska, Czechosłowacja i Węgry — mogłyby w tego typu polityce odegrać znaczną rolę. Lecz w pierwszym rzędzie Polska z uwagi na problem polsko-niemiecki zainteresowana jest w spacyfikowaniu Niemiec.

Jeżeli Polska miałaby w przyszłości odegrać rolę mostu na Rubikonie — jej model ustrojowy musiałby stanowić przekonujący dowód, że jest rzeczą możliwą budowanie socjalizmu w ramach kultury zachodniej.

Czy musimy być mostem na Rubikonie? Czy zawsze musimy podejmować się jakichś misji?

„Misje” są konsekwencją naszej trudnej sytuacji geopolitycznej. W tym konkretnym wypadku, albo Polska będzie „pomostem”, albo Niemcy będą „przedmurzem”. Trzeciej ewentualności nie ma. Jeżeli nie nastąpi pełna normalizacja stosunków pomiędzy Rosją a przyszlą zjednoczoną Europą — „przedmury” niemieckie zostanie w pełni uzbrojone a Polska nabierze charakteru frontowego przedpola z wypunktowanymi węzłami komunikacyjnymi na mapach operacyjnych NATO.

„Rozwiązanie europejskie” leży w bezspornym polskim interesie. Polacy nie będą mieli decydującego głosu w tych sprawach — niemniej, wiele będzie od nich zależało. Jestem przekonany, że bossowie partyni w kraju, reprezentujący politykę silnej ręki — powitaliby z niepokojem możliwość odprężenia pomiędzy Rosją a zjednoczoną Europą. Odprężeniu towarzyszy zwykle liberalizacja i w finale mogłoby się okazać, że ci panowie są mniej potrzebni niż to sobie wyobrażali. Im sytuacja bardziej napięta — im kryzys groźniejszy, tym większe szanse wybicia się dla zwolenników rodzimego „zamordyzmu”, których niestety w Polsce nigdy nie brakowało. Polacy w danej sytuacji mogą na Rosję wpływać, mogą Rosji wydatnie pomóc w szukaniu „rozwiązania europejskiego” albo mogą politykę tę pośrednio sabotować. Rosja zaś, tylko poprzez kraje wschodnio-europejskie, a w szczególności Polskę — godząc się na odmienną jej model — mogłaby zdobyć zaufanie Europejczyków i przyczynić się do zorganizowania pokojowej, nowoczesnej Europy nie dominowanej przez Niemców.

Juliusz MIEROSZEWSKI

## Kronika angielska

### PAPIEŻ JAN XXIII

Ojciec Święty Jan XXIII panował zaledwie cztery lata i siedem miesięcy. Lecz opinia świata uznała Go za największego papieża stulecia.

Jan XXIII pochodził z chłopskiej rodziny i łączył w sobie w ujmującej harmonii prostą wiarę, świętobliwość i *common sense*. Zwracał się daleko częściej do *orbi* niż do *urbi* — czując się współodpowiedzialnym nie tylko za losy rzymskiego Kościoła, lecz również za los świata i ludzkości.

W tej perspektywie należy oceniać próby normalizacji stosunków pomiędzy Kościołem a państwami komunistycznymi. Przyjęcie na prywatnej audiencji p. Adzubeja, redaktora programowo bezbożniczego pisma i ateisty z definicji — wywołało wśród „niezlomnych”, których nigdzie nie brak — zdumienie i krytyczne komentarze. W kołach konserwatywnych uważano, że propaganda sowiecka dyskонтuje posunięcia Ojca Świętego na swoją korzyść.

11 kwietnia br., na trzy tygodnie przed wyborami we Włoszech — Jan XXIII wydał wspianą encyklikę „*Pacem in terris*”. Encyklika głosi równość i wolność dla robotników, ras kolorowych i kobiet. Przewiduje „światową, międzynarodową władzę zwierzchnią — nie narzuconą siłą, lecz wylonioną w drodze pokojowych negocjacji”.

Zmarły Papież w cytowanej encyklice wzywa wszystkie ludzkie organizacje — od parlamentów i związków zawodowych po kluby sportowe — by przystosowały się „do epoki atomowej i ery zdobywania kosmosu w którą wkracza ludzkość. Epoka ta w miarę postępu otworzy przed nami nieskończone horyzonty”.

Najbardziej „rewolucyjne” wskazania encykliki „*Pacem in terris*” — dotyczą stosunków katolików z nie-katolikami i współpracy wierzących z niewierzącymi w imię wspólnej sprawy i wspólnego dobra.

Prasa komunistyczna na ogół pozytywnie oceniła encyklikę, a komuniści włoscy starali się ukuć z niej wyborczy kapitał polityczny. Pewni obserwatorzy zagraniczni wyrażali pogląd, że encyklika przyczyniła się do znacznego zwiększenia głosów, które padły w wyborach włoskich na komunistów. (W wyborach w roku bieżącym padło na partię komunistyczną o milion głosów więcej niż w wyborach poprzednich).

Nawet gdyby tak było — co bynajmniej nie jest pewne — byłoby to tylko dowodem, że orędzie Papieża zawarte w „*Pacem in terris*” — zostało przez wyborców włoskich fałszywie odczytane.

Dla każdego człowieka o dobrej woli i zdrowym rozsądku — posłanie Jana XXIII jest proste i jasne. Wolno i należy współpracować z niewierzącymi, a więc i z komunistami, w tych wszystkich sprawach, które reprezentują bezsporny interes ludzkości. W bezspornym interesie ludzkości leży zachowanie pokoju i uratowanie świata od katastrofy atomowej. Gdyby to leżało w bezpośrednim interesie pokoju — Jan XXIII nie zawahałby się przyjąć na prywatnej audiencji Chruszczowa.

Zmarły Papież uważał również za jedno ze swych zadań — normalizację stosunków pomiędzy Kościołem, a państwami komunistycznymi. Jego wysiłki zmierzające w tym kierunku dyktowane były nie „liberalizmem”, lecz troską o los katolików w krajach za „żelazną kurtyną”.

W podejściu do zagadnień politycznych Jan XXIII był realistą, a nie tradycjonalistą i wskutek tego źle zorientowanym obserwatorom wydawał się czasem „rewolucyjny”. W rzeczywistości nic w nim nie było rewolucyjnego. Był świętobliwym, bezkompromisowym kapłanem katolickim i w sprawach wiary oraz doktryny byłoby bezgraniczną naiwnością liczyć na jakiegokolwiek ustępstwa z jego strony. Być może dzięki swemu pochodzeniu wolny był od reakcjonizmu i wstecznictwa idących często w parze z tzw. „wysokim urodzeniem”. Odwiedzał więzienia, szpitale, a nawet składał prywatne wizyty znajomym. Wyłamał się z murów Watykanu i dał Kościołowi Rzymskiemu międzynarodowy autorytet, jaki od stuleci nie był jego udziałem. Pozostawił po sobie realistyczną politykę i wizję zjednoczonego Chrześcijaństwa. Oby Jego następcy dorośli do nakreślonego wielkiego zadania.

### SENSACJE WYDAWNICZE

Nie mogę oprzeć się pokusie i — wbrew zwyczajowi — odsłonię rąbka „wydawniczej tajemnicy”. Biblioteka „Kultury” wydaje dwie „sensacje” — w najlepszym tego słowa znaczeniu. Pierwszą z nich jest: Witolda JEDLIICKIEGO — KLUB KRZYWEGO KOŁA, który ukazał się przed 10 dniami, drugą zaś — PAMIĘTNIKI Wincentego Witosa pt.: MOJE WSPOMNIENIA, na które Redakcja ogłasza subskrypcję. w bieżącym numerze „Kultury”.

Pamiętniki Witosa (tekst integralny i nie oceniany!) czyta się z rosnącym zdumieniem. Są postacie historyczne, które w perspektywie maleją — lecz są mężowie stanu, którzy w perspektywie minionego czasu rosną i potężnieją. Do tych ostatnich należy Witos.

Współczesny czytelnik tych pamiętników siłą faktu przyrównuje Gomułkę do Witosa. Tak Witos jak i Gomułka pochodzą z nizin społecznych i z biedy. Obaj byli samoukami — obaj od wczesnej młodości wykazywali duże zainteresowanie polityką i sprawami społecznymi. Obaj byli „trybunami ludu” i doszli do najwyższych stanowisk w państwie. Analogii można by przytoczyć więcej, równocześnie jednak trudno wyobrazić sobie dwóch tak do siebie niepodobnych ludzi.

Wystarczy położyć na biurku obok siebie pamiętniki Witosa i 600-stronicowy tom przemówień Gomułki, by już nigdy w życiu nie zwątpić w słuszność maksymy, że styl to człowiek.

Gomułka-gadulka (jak określają go robotnicy w Polsce) jest wodnisty, rozlały, fałszywie patetyczny i maratoński. Po trzech godzinach takiego pilowania można zgodzić się na wszystko, chwalić wszystko — byle tylko móc wyjść z sali na świeże powietrze.

Proza Witosa przypomina Tacyta. Dla kogoś — jak piszący te słowa — wychowanego w atmosferze wielkosłowia dwudziestolecia — celny, oszczędny, lapidarny język Witosa stanowi rewelację. To jest proza, która budzi zaufanie.

Witos umiał rozwiązać problem dla przywódcy ludowego najtrudniejszy — nie dopuścił bowiem by jego własny olbrzymi awans socjalny wyobcował go z warstwy, z której pochodził i którą reprezentował. Pozostał do końca chłopem i co ważniejsze, przez chłopów uważany był powszechnie za chłopskiego reprezentanta i przywódcę.

Bez Witosy nie byłoby zwycięstwa pod Warszawą, bo bez niego chłop nie stanąłby murem za rządem. Ocenił to Manuilewski, który oświadczył na posiedzeniu Kominternu — będąc wówczas sekretarzem tej organizacji — że o klęsce pod Warszawą zdecydował chłop polski, który odrzucił wezwanie bolszewickie nie ufając Moskwie.

Czy Gomułka zachował więź z klasą robotniczą — czy robotnicy uważają go za swego reprezentanta? Gomułka stał się typowym bossem partyjnym, wyobcowanym z klasy robotniczej i prowadzi samotnicze życie w ramach własnej partii.

O wielkości i dramacie Witosy zdecydowało jego przywiązanie do demokracji i parlamentaryzmu. Był z krwi i kości demokratą i niepodległościowcem. Jako trybun ludowy reprezentował to wszystko czego Gomułce niedostaje.



Książkę Jedlickiego czyta się dosłownie jednym tchem. Łatwiej jest ją czytać niż cokolwiek o niej napisać. Nikt z nas nie był członkiem zarządu Klubu Krzywego Koła — nikt z nas nie brał udziału w jego dyskusjach — dziesiątki nazwisk prelegentów i działaczy, które przytacza Jedlicki — nic nam nie mówią. Książka stanowi miarę naszego wyobcowania z nurtu, który burzy się i fermentuje pod pokrywą oficjalnego konformizmu.

Wartość tej książki polega na tym, że jest po prostu wyjątkowa. Takich książek nie ma. Książki tego typu mogą pisać tylko autorzy krajowi, którzy znalazłszy się za granicą mogą nie liczyć się z *security*. Namiętna chęć powiedzenia prawdy i wyrzucenia z siebie latami gromadzonych refleksji i opinii — musi górować nad momentami „tactycznymi”.

To jest rzadkie, nietypowe, wyjątkowe — bo niemal z reguły względ na bezpieczeństwo oraz kompleks „nie szkodzić ludziom w kraju” zamyka usta.

Relacja Jedlickiego jest bardzo osobista, zaangażowana i subiektywna. Książka wywoła burzę zarówno w kraju jak i na emigracji. Prof. Schaff z całą pewnością będzie b. niezadowolony z ujawnienia jego ciemnych machinacji, które walcie przyczyniły się do likwidacji Krzywego Koła.

Jedlicki jest zbyt krótko na Zachodzie — w znacznym stopniu sam jest produktem Polski komunistycznej — i pisząc omawianą książkę nie zdawał sobie w pełni sprawy z potworności atmosfery, którą wiernie i na gorąco sportretował.

Garść młodych ludzi przetkana donosicielami — o czym wiedzieli, uważając to za naturalny porządek rzeczy — wykorzystuje z dużą odwagą „odwilże” i „pododwilże” wynikię z walk na szczytach — by z uporem, choć bez nadziei, rozbijając „tabu”, oswabadać myśl i uczyć wolności słowa. Można powiedzieć, że książka Jedlickiego stanowi wymowniejszy akt oskarżenia pod adresem komunizmu niż „Zniewolony Umysł” — po-

nieważ Jedlicki operuje szerokimi płaszczyznami a przez ekran jego książki przesuwają się setki osób, które autor ukazuje w ruchu, na tle polityczno-społecznej ówczesnej sytuacji.

Wniosek polityczny, jaki narzuca się samorzutnie po lekturze tej książki, można sformułować następująco: Potencjał intelektualny to mało. Ośrodek intelektualny — jak Krzywe Koło — musi być mobilizatorem siły społecznej. By stać się ośrodkiem siły społecznej trzeba mieć program polityczno-społeczny. Członkowie Klubu Krzywego Koła — podobnie jak zespół „Po Prostu” — byli w znakomitej większości nastawieni radykalnie. Odrzucali „staroświecką” demokrację parlamentarną a komunizm krytykowali. Komunisci zdawali sobie z tego sprawę i dbali o to, by Klub nie stał się ośrodkiem siły społecznej. Dyskusje — tak, akcja społeczna z programem politycznym — nie.

Jedlicki jest socjologiem. Krzywe Koło zapoczątkowało w swojej sekcji socjologicznej poważne badania opinii publicznej w Polsce. Posłużmy się niezadarnym ale plastycznym porównaniem. Socjologowie w pewnym stopniu przypominają lekarzy. Badają pacjenta — opracowują diagnozę a następnie piszą „receptę” czyli wnioski płynące z ich analizy. Armia najzdolniejszych socjologów niczego w Polsce nie uzdrowi i nie naprawi, ponieważ klucz do jedynej „apteki” jest w rękach KC. Wszelka akcja społeczna i reforma zależy od tych panów. Bossowie partyjni w KC czytają „recepty” socjologów, a następnie spokojnie przechodzą nad nimi do porządku dziennego. Im socjologia nie jest potrzebna, ponieważ PZPR jako emanacja sumienia klasy robotniczej, z definicji wie nieomylnie co robotnicy myślą i czego pragną.

Lecz niniejsza notatka nie jest recenzją, tym mniej dyskusją. Chciałem tylko zasygnalizować naszym Czytelnikom — dwie bardzo niezwykłe i wybitne książki, które z całą pewnością staną się wydarzeniem wydawniczym. Zamawiajcie te książki wcześniej bo pożyczyc je nie będzie łatwo. Książka Jedlickiego wywoła namiętne polemiki. Brać udział w tej dyskusji czy śledzić ją z zainteresowaniem będą mogli tylko ci, którzy książkę kupią i przeczytają.

#### PROBLEM „MASKI”

Andrzej Kijowski, którego czytam zawsze z uwagą i zainteresowaniem — omawiając książkę Zbigniewa Herberta — „Barbarzyńca w Ogrodzie” (na łamach majowego zaszytu „Twórczości”) pisze między innymi:

„Niemniej problem maski istnieje, tak jak istnieje problem Polska a Zachód. Jest on tak złożony, że nie warto się w tej chwili nad nim zatrzymywać. Należy tylko zdać sobie sprawę z tego, co w kompleksie Zachodu, jaki obarcza polską kulturę, jest elementem niezmiennym, elementem decydującym po prostu o charakterze naszej kultury, co zaś jest elementem, który trzeba przezwyciężyć. Otóż wydaje mi się, że przezwyciężyć należy psychologiczny aspekt tego problemu. Polska kultura jest inna od zachodniej i będzie od niej inna wszystko jedno, czy tylko różna, czy też po prostu niewydarzona, rzecz do dyskusji. Historia Polski była inna od historii

Francji i będzie od niej inna. Inny jest i będzie nasz ideał życiowy, nasz styl życia, zaś atmosfera, jaka przepelnia nasz kraj, będzie się zawsze silnie różniła od tej, którą oddycha turysta zwiedzający ziemię włoską”.

Co to jest problem „maski”? Kijowski pisze w cytowanym artykule, że „Polacy mają trudności z podróżowaniem do zachodniej Europy. Trudności psychologiczne”. Polak z „Polski Ludowej”, gdy znajdzie się w Paryżu, Rzymie czy Londynie — szuka „maski”. Jedną z tych masek jest „maska” barbarzyńcy zwiedzającego zachodnio-europejskie ogrody kultury.

Nie potrzebowałem nigdy żadnej „maski” w Rzymie, w Paryżu czy w Londynie. W czasie wieloletniego pobytu w Afryce nie tęskniłem nigdy za rechotaniem żab w Małogoszcy — tęskniłem natomiast za Europą. I sądzę, że za Europą tęskniłbym wszędzie — w Stanach Zjednoczonych, w Australii czy w Indiach.

Nie ulega wątpliwości, że inteligenci polscy na emigracji — zwłaszcza młodego i średniego pokolenia — ulegli kulturalnemu pełnemu „uzachodnieniu”. To jest zrozumiałe. 70 a może 80% lektury każdego z nas — niemal od ćwierć wieku stanowią książki i prasa obcojęzyczna. Radio, telewizja, otoczenie — to wszystko jest zachodnie i obcojęzyczne.

Wielu inteligentów na emigracji przyjęło naiwno-arogancką postawę, która wyraża się poglądem, że nieskazitelną kulturę polską reprezentujemy — my. Pewną obcość, inność, wschodniość — którą wyczuwamy czasem w zetknięciu z kulturą „Polski Ludowej” — przypisujemy w całości komunizmowi.

Oczywiście tak nie jest.

Polacy w Wielkiej Brytanii krytykują Anglików bez miłosierdzia. Niemniej kultura angielska wywarła na nas ogromny wpływ. Polacy w kraju krytykują bez miłosierdzia Rosję i komunizm — niemniej ów klimat wschodni poprzez owe lata wywarł na nich wielki wpływ. I dlatego „kompleks Zachodu” uległ w Polsce dramatycznemu zaostrzeniu. Kultura w kraju, w którym zderzają się i krzyżują różne prądy i wpływy — może być czymś wspaniałym, oryginalnym — lub niewydarzonym. Krzyżówka, która mogłaby być niezmiernie płodna i owocna wymagałaby jednak specjalnych warunków. Jeżeli politycznie i ideologicznie należy się do Wschodu, a kulturalnie i religijnie do Zachodu — wówczas następuje rozdwojenie a nie krzyżowanie. Rozdwojenie powoduje kompleksy i kulturalne „niewypały” — krzyżowanie produkowałoby syntezy.

Kultura polska w kraju znajduje się w sytuacji dialektycznej bez możliwości dialektycznego rozwoju. Synteza nie jest wynikiem procesu dialektycznego, tylko jest narzucana z góry.

W porównaniu z naszymi rodakami w kraju jesteśmy ubożsi od nich o „wschodnie doświadczenie” — lecz kulturalnie jesteśmy znacznie bardziej jednolici. Nie wyprodukowaliśmy arcydzieł może dlatego, że „faza dialektyczna” trwała w nas zbyt krótko. Ulegliśmy kulturze Zachodu bez walki i bez sprzeciwu i czujemy się w jej ramach u siebie w domu.

Kijowski kończy swój piękny szkic następującym wyznaniem:

„Chciałbym zapytać Herberta czy zna to uczucie. Jest ono silniejsze od polskich neurastenii, jeszcze bardziej destrukcyjne niż one, zabija ciekawość, przepelnia serce smutkiem, który staje się silniejszy od zachwytu. To jest piękne — mówię sobie patrząc na katedrę w Orvieto czy we Florencji, na perspektywę Wielkiego Kanalu w Wenecji albo na różowe skały zanurzone w niebieskiej wodzie, gdzieś między Niceą a Monte Carlo. — Czytałem o tym dużo i widziałem to już na wielu obrazkach. Los tak chciał, abym to wszystko na własne oczy obejrzał. Odtąd żadna z tych nazw nie będzie dla mnie pustym dźwiękiem, a kicz, który ujrzę w poczekalni u dentysty będę mógł skorygować własnym wrażeniem. Muszę więc patrzeć, parzyć, patrzeć długo i mocno abym zapamiętał na całe życie. Albowiem tu już nigdy nie wrócę. Mieszkam daleko, jestem biedny, żyję w niespokojnych czasach. Tak myśląc zamykam oczy i już nie chcę patrzeć”.

W tych słowach nie ma cienia sentymentalizmu, ale jest wielki tragizm — niepojęty dla nas na Zachodzie. Bo cóż w końcu jest łatwiejszego jak pojechać do Nicei czy do Orvieto. Przez rok czy dwa lata zawsze można uskładać na taką wycieczkę. To jest sprawa wyłącznie oszczędzenia czy pożyczania niewielkiej sumy pieniężnej. Nie jeżdżę do Wenecji, Nicei czy Orvieto — bo mógłbym tam pojechać. Widok Katedry w Orvieto — ani smak bajecznego wina Orvieto, którego skonsumowałem hektolitry — nie miałyby dla mnie podziwku rzeczy ostatecznych — jak dla Kijowskiego. Pijąc wino i patrząc na katedrę wiedziałbym, że jeżeli zechcę przyjadę tu za rok czy za dwa lata i nie byłoby w tym nic dramatycznego. To byłaby zwyczajna, banalna turystyka, która dawno przestała mnie bawić.

Nie dość jest być słowiańskim „barbarzyńcą” jak Herbert — trzeba jeszcze było „żelaznej kurtyny” by turystyce przydać wymiar niepowtarzalnego, tragicznego przeżycia.

## WARSZAWSKA KULTURA

„Przegląd Kulturalny” i „Nowa Kultura” przestały wychodzić. Powołano natomiast do życia nowe pismo pod nazwą „Kultura”.

Czasem zaiste niezmiernie trudno jest odczytać zamysły panów z KC. Podszywać się pod nazwę istniejącego polskiego pisma, które wychodzi od 16 lat i sprzedawane jest w pięćdziesięciu-kilku krajach świata jest rzeczą nieprzyzwoitą. W cywilizowanych państwach takie wypadki są nie notowane. Lecz, jak wiadomo w świecie komunistycznym nic nie dzieje się bez przyczyny... politycznej. Warszawska „Kultura” pomyślana jest jako dywersja w stosunku do paryskiej *Kultury*. Do tej pory jeżeli ktoś przyszedł do biblioteki czy do czytelnicy czasopism i poprosił o *Kulturę* — wiadomo było o jakie pismo chodzi. Obecnie petent będzie miał zadanie utrudnione, bo trzeba będzie precyzować charakter żadanego pisma. Ogłoszenia w prasie polonijnej mogą również wprowadzić w błąd pewien procent naiwnych. *Every little helps* jak mówią Anglicy.

Pirackie „zapożyczenie” od nas nazwy pisma — jest, obiektywnie

rzecz biorąc, wielkim komplementem pod naszym adresem. Gdyby *Kultura* nie miała pozycji i znaczenia, które zdołała sobie wyrobić tak w kraju jak i zagranicą nie byłoby potrzeba ani jej zwalczać, ani jej imitować.

Lecz pomijając względy etyki zawodowej i zwyczajnej przyzwoitości — czym w KC nikt się nie przejmuje — podszywanie się pod nazwę naszego pisma jest zarówno błędem taktycznym jak i zdumiewającą niezręcznością.

„Przeglądu Kulturalnego”, który — uwzględniając polskie warunki — był dobrze redagowanym pismem nikt nie porównywał z paryską *Kulturą*, „Nowej Kultury”, ponieważ była „Nowa”, również nikt nie porównywał z *Kulturą*. Lecz dziś, siłą faktu, ludzie będą porównywali jedną „Kulturę” z drugą „Kulturą” i z całą pewnością powstaną na ten temat setki dowcipów. Setki dowcipów wykiwających was, drodzy panowie — nie nas.

W Warszawie można by wydawać równie dobre pismo jak *Kultura*, lecz nie w obecnych warunkach. Zespół naszej *Kultury* wydający zarówno miesięcznik jak i wszystkie wydawnictwa w serii „Biblioteki KULTURY” składa się — wraz z administracją — z pięciu osób. Zespół warszawskiej „Kultury” liczyć będzie 20-30 osób. Lecz walka jest nierówna ponieważ my dysponujemy olbrzymią przewagą nad zespołem warszawskim.

Nie rywalizujemy z „Trybuną Ludu” ani „Trybuna Ludu” nie rywalizuje z nami. Lecz nielegalne przywłaszczenie sobie nazwy naszego pisma sugeruje chęć rywalizacji. Tak to zostanie odczytane i zrozumiane przez czytelników.

Nam w to graj. Popularność i znaczenie paryskiej *Kultury* dzięki tej rywalizacji niewątpliwie wzrosnie. Natomiast warszawską „Kulturę” ludzie będą wiecznie porównywali z autentyczną *Kulturą* — na niekorzyść pierwszej, co będzie krzywdzące. Bo warszawska „Kultura” niestety nie ma żadnej możliwości rywalizowania z nami. Wmanewrowanie zespołu dziennikarzy i pisarzy w taką obrzydliwą sytuację jest nie „fair”. Nie można zmuszać do wyścigu choćby najlepszych koni, jeżeli mają spętane nogi. *Kultury* — drodzy panowie — nie zrobicie choćby Gotesman zmienił nazwisko na Giedroyc. Nas jest tylko pięcioro — ale nie jesteśmy spętani i nie mamy KCyków na karku.

Tzw. „wolny świat” pozostawia niezmiernie wiele do życzenia i wiele mu brak. Brak mu również cenzury. Jeżeli brakuje tylko cenzury to z wszystkimi innymi brakami można sobie w naszym fachu jakoś poradzić. Warszawskiej „Kulturze” nie brakuje oczywiście niczego — cenzury nie wyłączając.

Nasi Czytelnicy wiedzą, że roztaczamy specjalną opiekę nad dowcipami „Polski Ludowej”. Trudno pominąć taką wspaniałą okazję, przeto ogłaszamy wielki KONKURS na dowcip demaskujący uzurpatorski charakter warszawskiej „Kultury”. Autor najcelniejszego dowcipu otrzyma nagrodę w wysokości 250 F. Ustanawiamy również nagrody pocieszenia: 150 i 100 F. Termin nadsyłania dowcipów upływa z dniem 1 października 1963. Gwarantujemy absolutną dyskrecję.

LONDYŃCZYK

## Sąsiedzi

### Sytuacja na froncie ideologicznym w ZSSR

Marzec i kwiecień r.b. stały pod znakiem wzmózonej aktywności na froncie ideologicznym w Sowietach. Rozpoczęła się ona z początkiem marca spotkaniem czołowych funkcjonariuszy partyjnych i państwowych z przedstawicielami świata literatury i sztuki. Wkrótce potem rozpoczęła się we wszystkich republikach nagonka na młodych pisarzy i artystów, jak również na ich obrońców i protektorów spośród starszej generacji. Zorganizowano wszędzie „Konferencje ideologiczne” między funkcjonariuszami partyjnymi a reprezentantami świata kultury jak również zebrania aktywu partyjnego pisarzy. Stało się oczywiste, że siły zainteresowane w zaostrzeniu walki ideologicznej podjęły na całym obszarze Sowietów próbę nagonki. Dla zorientowania się w obecnej sytuacji w Sowietach ważne jest zdawać sobie sprawę z tego, jak dalece akcja ta się powiodła, przez kogo była popierana i w jakich kołach spotkała się z entuzjastycznym przyjęciem. Równie ważne jest także wiedzieć na jaki opór napotkała i co uczyniły postępowe koła inteligencji sowieckiej, aby uderzenie to osłabić lub przesunąć na inny tor.

Uderza przede wszystkim, że na odcinku ideologicznym przetoczyły się ostatnio dwie różne fale. Pierwszą wywołał sam Chruszczow. Była ona skierowana przeciwko rebelii pisarzy i artystów i osiągnęła punkt kulminacyjny mniej więcej w drugiej połowie kwietnia. Równocześnie jednak podniosła się, także w kwietniu, druga fala. W poszczególnych republikach odbyły się konferencje ideologiczne, już według nowych dyrektyw. Aby lepiej pojąć o co tu chodziło, trzeba przypomnieć przemianę, jakiej podlegała rola ideologii komunistycznej w ostatnich latach. Stała się ona mianowicie jednym z najważniejszych narzędzi wykonania z nadwyżką zadań planu siedmioletniego. Jej głównym celem ma być wychowanie w duchu kultu i dyscypliny pracy itd. Stworzono silne powiązanie między teorią a praktyką. Ideologia miała zajmować się konkretnymi sprawami, jak np. bieżące zadania produkcyjne. Dalszym zadaniem ideologii miało

być wychowanie ludzi w duchu moralności komunistycznej i na tym wyczerpane są już postulaty nowego programu KPZS pod adresem ideologii.

Teraz można łatwiej pojąć co nastąpiło w pierwszej połowie marca 1963. Komuniści sowieccy stracili w swym kraju kontrolę nad opinią publiczną. Szereg młodych i zdolnych pisarzy potrafiło lepiej wpływać na tę opinię niż partia. Ofensywa przedstawicieli nowych kierunków w literaturze i sztuce zaczęła coraz bardziej nadwątlać skostniałe już zasady socrealizmu. Opinia publiczna domagała się rozpoczęcia dyskusji w szeregu drażliwych spraw. Należało do nich hasło „nie ma powrotu do stalinizmu”, należało do nich żądanie wyjaśnienia, do jakiego stopnia przywódcy komunistyczni ze starszej generacji odpowiedzialni są za zbrodnie Stalina. Fakt ten pozwala łatwiej zrozumieć afektowany ton marcowych wypowiedzi Chruszczowa. Rozwój wydarzeń poszedł tak daleko, że natychmiastowe postawienie tamy stało się już nakazem instynktu samozachowawczego biurokracji partyjnej. Równocześnie zaś nastąpiło w kompartii coś, co widziane w innym aspekcie nie odpowiadało dotychczasowym dyrektywom i interesom partii. Gwałtowne wystąpienie przeciw buntującym się pisarzom i artystom, przeciw rewizjonizmowi, abstrakcjonizmowi i innym „izmom” kryło w sobie niebezpieczeństwo rozsadzenia dotychczasowej koncepcji ideologii sowieckiej. Niewielkie i drogo okupione osiągnięcia w dziedzinie przestawienia biurokracji na nowe zadania zostały nagle zagrożone przez samą partię. Cała szkoła funkcjonariuszy dawnego typu zaczęła swobodniej oddychać, jest bowiem rzeczą jasną, że łatwiej zajmować się abstrakcjonizmem, aniżeli uprawą kukurydzy, hodowlą świń i bałaganem w przemyśle. Jeśli jeszcze uprzytomnić sobie, że po reformie listopadowej ub.r. partia została przebudowana według zasady produkcyjnej -- otrzyma się pełny obraz tragikomicznej sytuacji wytworzonej przez samą biurokrację sowiecką. Wyzwolone emocje zaczęły przybierać coraz silniejsze formy, stalińscy i neostalińscy korzystali z okazji, żeby „odkuć” się na pisarzach. Wydaje się, że Chruszczow i inni ludzie z kierownictwa partyjnego zaczęli dostrzegać nowe niebezpieczeństwo. Podczas konferencji ideologicznych na Białorusi, w Kazachstanie, Transkaukazji i Mołdawii (kwiecień) rozpoczęło się przywracanie dawnych proporcji. Na pierwszy plan wysunęły się znów praktyczne zadania produkcyjne, „odchylenia” literatów i artystów natomiast były bądź przemilczane bądź też próbowano tej sprawie nadać zmniejszoną rangę, jaką przewidywała stara koncepcja ideologiczna.

*Nieoczekiwany opór.*

Akcja Chruszczowa i jego zwolenników spotkała się z nieoczekiwaniem silnym oporem, co bezwątpienia wpłynęło na postę-

powanie przywódców sowieckich. Uderzający jest fakt, że oskarżenia partii wymierzone były w kilkuset pisarzy i artystów, natomiast liczba tych, którzy się pokajali jest znikoma. Jeśli chodzi o pisarzy, to na wzmiankę zasługują właściwie tylko samokrytyki Jewtuszenki oraz ukraińskiego liryka M. Wingranowskiego. W kilka godzin po opublikowaniu oświadczenia Jewtuszenki uznała je „Komsomołskaja Prawda” za niewystarczające. Natomiast skrucha Wingranowskiego nosi wszelkie znamiona przymusu. Szef KP Ukrainy, Podgornyj, oświadczył na konferencji ideologicznej z 8 i 9 kwietnia, że wypowiedź Wingranowskiego była „bezkrytyczna i czupurna”, że było w niej wprawdzie kilka słusznych myśli, „ale pod koniec swej wypowiedzi zaprzeczył on im odczytując wiersz, pełen pogmatwanych i fałszywych twierdzeń”. (*Radjańska Ukraina*, 10.4.1963). Dopiero pod koniec kwietnia, na zebraniu organizacji partyjnej kijowskich pisarzy, zdecydował się Wingranowskyj na samokrytyczne oświadczenie.

Byłoby błędem przypuszczać, że młodzi pisarze przyjęli metodę milczenia. Na wielu zebraniach zgłaszali się oni do dyskusji i próbowali bronić swego punktu widzenia. Ukraińscy biurokraci partyjni byli zirytowani, gdy znany liryk, Witalij Korotycz, próbował na zebraniu partyjnym kijowskich pisarzy osłabić ciężar krytyki wymierzonej w niego i innych. *Literaturna Ukraina* pisała 23 kwietnia: „Wyglądało na to, że chciał on w ten sposób zapewnić sobie prawo do popełniania dalszych błędów”. Przemówienie krytyka literackiego Dziuby określone zostało tamże jako „absurdalne i nietaktowne”.

Jak wynika ze sprawozdania *Prawdy* z 11 i 12 kwietnia wystąpiły na sowieckim zjeździe plastyków poważne siły, zainteresowane w złagodzeniu kursu ideologicznego. Główny referat wygłosiła sekretarka związku, J.F. Biełasowa. Poruszyła w nim wprawdzie szereg spraw zasadniczych, ale bynajmniej nie w stylu pogromowym Iljiczowa. Pomijając jeden wyjątek na zjeździe tym nie padło ani razu nazwisko skarconych artystów. Warto także zanotować wystąpienie sławnego sowieckiego malarza i pedagoga, B.W. Johansona. W dość zawikłany sposób bronił on atakowanych kolegów: „Wydaje mi się, że byłoby błędem pod pokrywką walki z obcymi ideologiami przypisywać wrogowi to, co posiadamy pięknego i wartościowego. Sądzę, że wprost przeciwnie powinniśmy zdobyć na nieprzyjacielu i pozyskać dla naszej sprawy wszystko co posiada talent i wartości”. Ostrzegając on przed wszelkimi prześladowaniami administracyjnymi i usiłowaniami podkopania możliwości egzystencji oponujących twórców: „Aby dać im szansę pokazania, że we właściwy sposób zrozumieli krytykę trzeba dać im warunki do pracy, trzeba wyciągnąć do nich rękę”. Zaskakującym w przemówieniu Johansona jest fakt, że dotychczas uchodził on za wiernego reprezentanta linii partyjnej. W wymienionym zjeździe podkreślił on bardzo wyraźnie, że komuniści nigdy nie powinni rezygnować z doświadczeń poważnych przedstawicieli impresjonizmu w sztuce i że byłoby

błędem „patrzeć na impresjonizm tylko w aspekcie pewnych odchyłeń, jak kubizm czy abstrakcjonizm”.

Prasa sowiecka, szczególnie *Komsomolskaja Prawda* opublikowała szereg listów czytelników z obelgami pod adresem Jewtuszenki. Opinia publiczna nie ma z tymi manipulacjami nic wspólnego, czego dowodzi opublikowany w *Komsomolskiej Prawdzie* 7 kwietnia list Lewy Bajewa z obwodu leningradzkiego, w którym czytamy m.in. co następuje: „Doszedłem tylko do wniosku, że Jewtuszenko nie jest w swoich poglądach skostniały, że jest stale w trakcie szukania. Tylko dogmatycy i ludzie prymitywni nie posiadający własnych przekonań nie mają nigdy wątpliwości. Czy da się dekretować zadania i obowiązki poety? Nie ma takiego człowieka, który by się nigdy nie mylił”.

Wiele irytacji mieli kazachscy komuniści z jednym z najbardziej zdolnych przedstawicieli kazachskiej literatury, bożyszczem młodzieży tej republiki, Oshasem Sulejmenowem. Po powrocie z moskiewskiego spotkania przywódców komunistycznych z twórcami kulturalnymi oświadczył on całkiem otwarcie w Alma Ata, że krytyka „Babiego Jaru” Jewtuszenki była niesłuszna.

*Prawda* z 12 maja zamieszcza znamienny wywiad redaktora naczelnego *Nowyj Mir'a*, A. Twardowskiego, z korespondentem UPI, G. Shapiro. Jak wiadomo Twardowski, bardzo zdolny i obrotny przedstawiciel średniej generacji pisarskiej, został także zaatakowany przez Iljiczowa za otworzenie łamów swego znanego pisma buntującym się młodym pisarzom. Obecnie, gdy nagonka na tych ludzi nieco złagodniała, Twardowskiej wypowiada się w wymienionym wywiadzie jasno za kursem liberalnym. Wprawdzie akceptuje on tezę, że zadaniem literatury „jest służyć partii i ludowi” bierze jednak zdecydowanie w obronę szereg pisarzy w międzyczasie ostro atakowanych, jak Aleksandra Jaszyna i A. Sołżenicyna. Zgodnie z obietnicą redakcji *Nowyj Mir'a* pod adresem czytelników zapowiedział on, że wkrótce publikowane będą utwory Niekrasowa, Aksenowa, Tendriakowa a także Sołżenicyna. W odniesieniu do najdrażliwszego obiektu krytyki partyjnej, Ilji Erenburga, Twardowskiej uznał w pełni krytykę Chruszczowa dodając jednak: „krytykując ostro Erenburga określiła go jednak partia jako czołowego pisarza sowieckiego, utalentowanego publicystę i wybitnego polityka”.

Można cytować więcej przykładów na to, że siły sprzeciwiające się wprowadzeniu nowego wariantu „żdanowszczyzny”, który można by określić jako „iljiczowszczyznę” zaskoczyły partię liczebnością i godnością swego wystąpienia. Dla nas, na Zachodzie, fakt ten posiada szczególne znaczenie. Nie mamy tu na myśli tego, co różni kombinatory zimnej wojny: nowych trudności dla Chruszczowa i partii. Wiele więcej smartwień przyczynia im hodowla świń, uprawa kukurydzy i inne praktyczne sprawy, a właśnie one rozstrzygają o losie systemu sowieckiego. Ważne jest niezmierne wzmocnienie kręgołupa inteligencji so-

wieckiej po latach nieludzkiego terroru stalinowskiego. Jeśli chodzi o rosyjską część tej inteligencji, szczególnie podkreślić należy fakt, że miejsce rosyjskich szowinistów i imperialistów, którymi zawsze posługiwała się partia za czasów Stalina, zajmuje dziś w coraz większym stopniu człowiek postępowy, nastawiony bardziej tolerancyjnie wobec innych narodowości w Sowietach, dla którego antysemityzm i wielkoruskość są czymś obcym.

### „Zbadać przyczyny rebelii literatów”

Nie mniej wyraźna i znamienna dla ciężkiego etapu przejściowego społeczeństwa sowieckiego była inna tendencja: uznać w zasadzie linię partyjną, równocześnie jednak tak przedstawić obecną sytuację młodej literatury i sztuk pięknych, że dyskusja ideologiczna da się sprowadzić na rozumniejszą płaszczyznę. Lektura prasy sowieckiej dowodzi, że podczas ostatnich sporów prawie we wszystkich republikach zabierały głos siły żądające w pierwszej linii zbadania przyczyn rebelii. Nie wszędzie przyniosło to oczekiwany rezultat, ale w niektórych wypadkach taktyka ta opłaciła się sowicie. Dotyczy to przede wszystkim Ukrainy sowieckiej, tamtejsze wydarzenia zasługują przeto na szczególne rozpatrzenie.

Na wstępie krótki socjologiczny szkic o obecnej inteligencji ukraińskiej w Sowietach, która dzieli się na trzy grupy. Starsza generacja, której wybitnymi przedstawicielami są Tyczyna, Rylskij i Sosjura, obciążona jest najbardziej kolaboracją ze stalinizmem. Fakt ten można do pewnego stopnia usprawiedliwić, jako że za cud uznać trzeba, iż ludzie ci potrafili uratować swe życie z trybów maszyn terroru stalinowskiego. Znane są ataki Stalina, Zdanowa i Kaganowicza na Sosjurę za jego wiersz „Kochajcie Ukrainę”. Staliniści oczerniali wielokrotnie Rylskiego jako „nacionalistę” i czynili to chętnie także w odniesieniu do wielu innych przedstawicieli starszej generacji. Tak więc odróżniają się oni znacznie od swych kolegów rosyjskich.

Znacznie bardziej skomplikowana jest sytuacja średniej generacji. Nie wydała ona tak wybitnych osobistości jak starsze pokolenie, reprezentuje ją jednak szereg uzdolnionych pisarzy i poetów, jak Małyżsko, Stelmach, Korniejczuk oraz krytyk literacki Nowyczenko. Pokolenie średnie rozwijało się w zupełnie innych warunkach niż starsze. Starsi osiągnęli punkt szczytowy dojrzałości artystycznej pod panowaniem Stalina, średnia generacja zaskoczona została śmiercią dyktatora jeszcze przed osiągnięciem swego apogeum. Niektórzy z jej przedstawicieli byli może nawet gorliwsi stalinowcami od starszych kolegów, ale w momencie pełnej dojrzałości powstał dla nich problem przystosowania się do po-stalinowskiej ery. Z zapałem współdziałali w procesie destalinizacji, im należy też zawdzięczać, że rehabilitacja ukraińskich ofiar Stalina wyszła poza zamierzone

pierwotnie ramy. Pod koniec lat pięćdziesiątych część z nich popadła nawet w konflikt z partią. Swego czasu wywołały na Zachodzie rozgłos ataki partyjne na Małyszkę i Pawłyczkę. Pawłyczko, który nawiasem mówiąc zaawansował ostatnio do roli głównej tuby Chruszczowa na Ukrainie, ganiony był w roku 1958 za to, że w swych utworach żądał większej wolności dla pisarzy i marzył o „zapałce”, ponieważ „w ciemności nie może pisać wierszy”.

A teraz najmłodsza generacja, popularnie określana jako „szestdziesiątka” ponieważ w latach sześćdziesiątych poruszyła szerokie warstwy narodu. Jej przedstawiciele przewyższają w dwóch dziedzinach swych starszych kolegów: ich prace odznaczają się bardzo wysokimi walorami literackimi, poza tym poruszają problemy żywo obchodzące każdego człowieka w Sowietach. Są oni uzdolnieni, odważni i większość z nich uważa się za komunistów.

Komplikuje sytuację na Ukrainie fakt, że podczas gdy mała część średniej generacji trwa na pozycjach neostalinowskich i nie potrafi się wyzwolić od prymitywizmu ery stalinowskiej, wielu przedstawicieli tej generacji sprzyja młodym literatom. Wiele rzeczy wskazuje na to, że także i starsza generacja z zachwytem ocenia pozytywne osiągnięcia młodej literatury. Przedstawicielom młodej literatury szereg rzeczy bierze się za złe. Wielu pamięta Wingranowskiemu, że na zorganizowanym przez *Literaturną Gazetę* spotkaniu z czytelnikami oświadczył: „Średnie pokolenie pisarzy ukraińskich składa się ze stalinistów, należałoby się ich pozbyć, nie potrafili oni nic dać społeczeństwu. Są Feldfeblami, którzy nałożyli sobie epolety generalskie” (*Literaturnaja Ukraina*, 6 kwietnia 1963). Przedstawiciele średniej generacji widzą w buntujących się młodych pisarzach swych następców. Fakt, że prawie z niczego powstała liczna i utalentowana generacja pisarzy ukraińskich jest przez nich przyjmowany z satysfakcją. Stanowisko postępowej części średniego pokolenia pisarzy ma przeto decydujące znaczenie jeśli chodzi o wynik walki ideologicznej.

Na kwietniowym spotkaniu w Kijowie głównym wyrazicielem poglądów tych kół był A. Małyszko. Jego analiza przyczyn rebelii młodzieży literackiej jest tak ważna, że nie można się obejść bez kilku cytatów. Dla Małyszki abstrakcjonizm jest trucizną ze świata burżuazyjnego. Zapytuje on jak mogło się stać, że rozszerzyła się ona na Ukrainie. Odpowiedź daje następująca: „Po strasznych ciosach z lat 1937-38, gdy wiele rodzin zostało rozbitych, pozostały dzieci — córki i synowie — o zburzonej równowadze psychicznej na skutek nieszczęść i tragedii, które dotknęły ich rodziców. Dzieci te wyrastały w atmosferze strachu, przede wszystkim przed tym, co było ich dziedzictwem, przed ziemią rodzinną, przed narodem, przed tym, co nazywamy ojczyzną”. Małyszko przypominał czasy terroru stalinowskiego, kiedy wystarczało, że spotkało się paru Ukraińców i zaśpiewało

piosenkę „Gdzie ty błędzisz moja dolo”, aby wywołać serię aresztowań i represji. „Nie da się zaprzeczyć, że to odpychało młodzież, niwelowało jej miłość do ziemi rodzinnej — i wtedy to zakradł się do nas jazz”. Małyszko podniósł ciężkie zarzuty pod adresem polityki Moskwy wobec Ukrainy za czasów Stalina i określił ją jako konsekwentnie wrogą. „Przypomnijmy sobie dekadę (ukraińską) z roku 1951, gdy inteligencja twórcza republiki ukraińskiej udawała się do Moskwy, aby tam zbratać się, jeszcze ściślej związać się duchowo z wielkim narodem rosyjskim, naszym bratem, aby związać się z jego kulturą, z jego duszą. A jaki koniec miała ta dekada? Wiemy wszyscy. Wracaliśmy z uczuciem, jakbyśmy popełnili przestępstwo”. Małyszko przypominał różne fakty z owych „czarnych lat”, dochodząc do następującej konkluzji: „Wtedy to, kiedy takie rzeczy działy się w Moskwie kiedy takie panowało nastawienie wobec narodu ukraińskiego, kiedy pogardzano także kulturą rosyjską, wtedy otwarły się furtki na Zachód i napłynęły stamtąd jazz, twist i abstrakcjonizm”.

Widać w tym wyraźną próbę głębszej analizy palącego problemu. Wywody Małyszki oznaczają istotną korekturę kampanii ideologicznej Chruszczowa i Iljiczowa. Zgodnie z prawdą historyczną określa on główną przyczynę dzisiejszego buntu młodych literatów: jest nią reakcja na stalinizm. (Można by naturalnie spierać się o to, czy reakcja ta ogranicza się tylko do jazzu, twistu itd.).

Nie ulega wątpliwości, że krytyczne nastawienie wobec problemów, które zrodził stalinizm wynika ze szlachetnych motywów. Dostatecznie wielki jest udział Ukrainy w osłabieniu i przestawieniu dyskusji ideologicznej. Średnie pokolenie pisarzy dołożyło wszelkich starań, aby młodych nie traktować jako wrogów i podkreślało stale ich zdolności. Krytyk literacki Kozaczenko, który zawsze starał się iść po linii partyjnej, wypowiedział się zdecydowanie przeciw kształtowaniu obecnej krytyki według recept Żdanowa i Kaganowicza: „Pamiętamy wszyscy metody krytyczne okresu Kaganowicza i innych i wiemy, że dziś nikt już nie posługuje się tymi metodami”. (*Literaturna Ukraina*, 12 kwietnia 1963). Jest to bardzo znamienne, ponieważ dochodzą tu do głosu nie tyle zasadnicze wytyczne Iljiczowa, jak zranione uczucia średniej generacji. Także Kozaczenko miał za złe Wingranowskiemu to, co powiedział o starszej generacji pisarskiej: „Pisali dużo, ułożyli całe tomy pełne zakłamania, okopywali się za takimi słowami, jak „partia”, „lud”, „Szewczenko”.

Jeszcze jedna tendencja pojawiła się wyraźnie podczas ostatniej kampanii ideologicznej. Od końca ubiegłego roku zarysowuje się w republikach środkowoazjatyckich pewien interesujący proces, całkiem nowy w historii Sowietów. Od czasów Lenina rządzą komuniści w środkowej Azji według zasady *divide et impera*. Nie uznano historycznej i kulturalnej wspólnoty narodów turkietańskich i poświęcono się wykrystalizowaniu „suwerennych,



socjalistycznych narodów" uzbeckiego, kirgiskiego, kazachskiego i turkmeńskiego. Plan siedmioletni przewidywał na tych obszarach różne gigantyczne projekty, między innymi nawodnienie pustynnego stepu. W roku 1959 planiści w Moskwie byli bardzo optymistyczni. Byli on zdania, że postęp techniczny poczyni w europejskiej części Związku Sowieckiego tak szybkie postępy, że uwolnią się tam miliony rąk do pracy i można będzie je użyć do zasiedlenia wschodnich rejonów państwa. Kalkulacja ta okazała się jednak całkowicie zawodna. Odczuwa się dziś brak milionów ludzi dla skolonizowania wschodniej części Rosyjskiej Republiki Federalnej i Kazachstanu. Rosjanie i Ukraińcy nie mogli dostarczyć milionów ludzi do osiedlenia na pustynnym stepie. Z tego powodu zdecydowano się w Moskwie na politykę integracji. W listopadzie powstało przy KC KPZS biuro dla spraw środkowej Azji, później rozwiązano w czterech republikach środkowo-azjatyckich (z wyłączeniem Kazachstanu, natomiast z uwzględnieniem Tadżykistanu) lokalne gospodarcze rady narodowe i utworzono na ich miejsce jednolitą dla całego obszaru narodową radę gospodarczą. W międzyczasie powstały już różne wspólne środkowoazjatyckie organy i instytucje. Bez wątplenia obiecuje sobie partia na skutek tych zarządzeń możliwości dokładniejszej kontroli, ale równocześnie nowa polityka integracji narodów środkowej Azji wywołała szereg procesów, których nie można było przewidzieć jeszcze przed niedawnym czasem. Biurokracja partyjna i narodowa inteligencja środkowej Azji wykorzystała nowy kurs, aby wysunąć szereg żądań, których wypełnienie przyspieszyłoby wzajemne zbliżenie narodów turkiestańskich. Należy tu wymienić usiłowania odrębnego ukształtowania frontu ideologicznego w środkowej Azji. Krytyka młodych pisarzy pojawia się na tym obszarze szczególnie często (dalszy dowód, jak dalece nonsensowne jest twierdzenie, że krytykowane zjawiska wywołane zostały przez jazz i twist). Między 9 a 13 kwietnia odbyło się w stolicy turkmeńskiej, Aszchabadzie, seminarium dla funkcjonariuszy ideologicznych środkowej Azji, poświęcone sprawom literatury i sztuk pięknych. Turkmeński przywódca partyjny, Owiesow, wygłosił tam ważne przemówienie polityczne, które jeszcze niedawno temu uznano by za przejaw „nacjonalizmu”. Mówił on o wspólnych tradycjach historycznych narodów Turkiestanu, dokonał „odkrycia”, że mowa tych narodów jest tak pokrewna, że można obyć się bez tłumaczy. Zachęcał funkcjonariuszy do wysuwania na pierwszy plan wszystkiego co łączy Turkiestan, szczególnie wskazując na początki historyczne i literaturę.

Naturalnie wszystko co powstało w międzyczasie w literaturze sowieckiej nie da się zamknąć w ramach kilku tendencji. Rozluźnienie życia sowieckiego nastąpiło na skutek oddziaływania różnych sił, w niektórych republikach miały one charakter czysto nacjonalistyczny. W Armenii np. ostrzegał pewien poeta przed małżeństwem z kobietami innych narodowości, albowiem...

„dzieci z takich małżeństw razem z mlekiem matki wsysają obce wpływy”. W innych republikach propaguje się dziwaczne idee, podnoszące kicz do rangi ideału kulturalnego. W Mołdawii zainicjował pewien „artysta” cały kierunek twierdzeniem, że prawdziwa sztuka ludowa polega tylko na malowaniu „łabędzi i nimf”. Zorganizował on kilkuset nieznanym malarzy wiejskich i po krótkim czasie na rynku mołdawskim ukazały się niezliczone ilości obrazów, waz i garnków z wyobrażeniami nimf. Cała ta działalność była tolerowana dopóki jej *spiritus rector* nie złożył formalnego wniosku o stworzenie organizacji „prawdziwych artystów ludowych”!

Zjawiska tego typu mają jednak charakter drugorzędny. Dla młodych twórców w Sowietach co innego ma charakter decydujący: wstręt przed prymitywizmem i socrealizmem, próba unowocześnienia kultur narodowych, podniesienia ich na poziom odpowiadający potrzebom współczesności. Znalazło to najlepszy wyraz w wierszach wspomnianego wyżej Oshasa Sulejmenowa: „Nie nosimy już szerokich spodni i nie ziamatamy nimi ulic. Na miejsce prymitywnych, jednobarwnych koszul nosimy kolorowe, zamiast zaokrąglonych butów — szpiczaste. Czemuż to nasze formy literackie mają pozostać na poziomie szerokich nogawek od spodni?”. Być może te sformułowania Sulejmenowa nie spotkają się z oddźwiękiem, trudno byłoby jednak trafniej sformułować zarzut przeciw polityce Kulturalnej KPZS.

Jak potoczy się dalszy rozwój? Powróćmy do tego, co powiedzieliśmy na początku tego artykułu. Partia próbuje sama przywrócić teraz równowagę i należyte proporcje. To co się wydarzyło nie jest z pewnością tylko „burzą w szklance wody”, mamy tu raczej do czynienia z wybuchem nagromadzonych sprzeczności na jednym odcinku życia sowieckiego. W szeregu kwestii milczenie stało się nie do zniesienia. Odpowiedzi albo nie leżały w interesie partii, albo też partia, powodowana instynktem samozachowawczym zamykała od razu całym grupom usta, aby do odpowiedzi nie dopuścić. Czy to się powiodło pokaże niedaleka przyszłość, trudno jednak w to uwierzyć. Najnowsze wydarzenia pouczają, że system sowiecki stoi wyraźnie pod znakiem ewolucji, jedna zmiana podąża za drugą, zaś reżym nie jest w stanie zdecydować się na zasadniczy zwrot. Polityka Chruszczowa przyczyniła się niemało do uwolnienia systemu sowieckiego od niejednego „izmu”. Zaczyna się pojmować jaką ma wartość wysoki poziom nauki, produkcji przemysłowej i rolniczej. Obecny garnitur przywódców sowieckich nie jest jednak po prostu zdolny, do przełamania prymitywizmu na odcinku polityki kulturalnej.

Borys LEWICKYJ

Kraj

## Władysław Gomułka

Zyciorys Władysława Gomułki jest przedstawiany rozmaicie przez wielu autorów, zarówno w biografiach oficjalnych jak i szkicach publicystów zachodnich. Fakty które przedstawiamy w tym zarysie czerpiemy z dostępnych źródeł, tekstów i relacji.

Rodzina Gomułków jest pochodzenia chłopskiego. Osiadła od dziesiątków lat pod Krosnem, zachowała własność gruntów, które zostały wywłaszczone w 1938, w tym dwa hektary stanowiące własność ojca Władysława Gomułki. Na tych gruntach znajduje się obecnie lotnisko.

Władysław Gomułka urodził się w Krośnie 6 lutego 1905 r. Ojciec dzisiejszego szefa partii był kwalifikowanym rzemieślnikiem w przemyśle naftowym. Przed pierwszą wojną światową przebywał w Stanach Zjednoczonych. Po powrocie, jego opowiadania stanowiły pierwsze ogniwo zainteresowań społecznych i politycznych syna który, podobnie jak i ojciec, zaczął od wstąpienia do Polskiej Partii Socjalistycznej. Nastąpiło to już w niepodległej Polsce, gdzie 13-letni Władysław rozpoczął pracę w przemyśle naftowym w Jedliczach, a następnie w Krośnie. Mając 16 lat, jest już działaczem związkowym w Robotniczym Związku Młodzieży „Siła” pozostającym pod egidą PPS. Po wykluczeniu go, w 1924 roku, z tego Związku, Gomułka wstępuje z początkiem 1926 roku do Komunistycznej Partii Polski (KPP).

Pierwszy raz zostaje aresztowany 12 czerwca 1926 r. i przekazany do dyspozycji Sądu Powiatowego w Krośnie; policja znalazła w czasie rewizji egzemplarze nielegalnego pisma Niezależnej Partii Chłopskiej (stronnictwo ludowe-komunizujące). Z raportu policyjnego (sierpień 1927) dowiadujemy się że Gomułka przemawiał jako sekretarz Związku Zawodowego Robotników Przemysłu Chemicznego w 10-tą rocznicę Rewolucji Październikowej nawołując do walki z rządem sanacyjnym i wzywając do ustalenia dobrych stosunków z ZSSR. Wiadomo jest również, że walczył wtedy energicznie przeciw prawicy PPS (1).

(1) *Z Pola Walki*, nr 2 marzec-kwiecień 1959 str. 119.

Nie ma dotychczas źródeł informujących o przyczynach i etapach ewolucji politycznej Gomułki. Faktem jest, że Gomułka początkowo bardziej się koncentruje na działalności związkowej aniżeli partyjnej. W roku 1927 przeprowadza się do Warszawy, gdzie zostaje sekretarzem zarządu okręgu warszawskiego Związku Zaw. Rob. Przem. Chem. (1927-1928). W styczniu 1928 roku Gomułka rozwija działalność w Zagłębiu Dąbrowskim, gdzie jest też sekretarzem tego samego związku i członkiem Okręgowego Komitetu Komunistycznej Partii Polski w Zawierciu. Gdy wraca w 1930 roku do Warszawy jest już sekretarzem zarządu głównego swojego związku i kierownikiem wydziału związkowego Centralnego Komitetu KPP (2). W tym charakterze widzimy go w roku 1931 jako organizatora partyjnego i związkowego na terenie Łodzi. Tam to właśnie, w czasie potajemnego zebrania, odkrytego przez policję, Gomułka zostaje ranny w nogę, w momencie gdy próbuje uciec. Pierwszy wyrok brzmi: 4 lata więzienia. Zostaje jednak wypuszczony przedterminowo na skutek złego stanu zdrowia (płuca i rana nogi, która spowoduje że Gomułka od tego czasu utyka).

Po wyjściu z więzienia Gomułka udaje się do Związku Sowieckiego, gdzie w latach 1934-1935 uczęszcza do Międzynarodowej Leninowskiej Szkoły w Moskwie (3).

Po powrocie do Polski podejmuje na nowo ożywioną działalność polityczną.

Ponownie aresztowany w kwietniu 1936, zostaje skazany na 7 lat więzienia i osadzony w Sieradzu, gdzie pozostaje aż do wybuchu wojny. Jest to okres rozwoju intelektualnego w życiu Gomułki. Mając zezwolenie władz więziennych na czytanie, pochłania wiele książek, przeważnie o tematyce politycznej. W tym samym czasie bierze udział w tajnym szkoleniu marksistowskim. Faktem jest, że na skutek aresztowania Gomułka nie może się udać w 1938 roku do Moskwy, tak jak inni przywódcy KPP i w ten sposób unika śmierci w ZSSR.

W momencie wybuchu wojny więźniowie zostają wypuszczeni i Gomułka udaje się do Warszawy, gdzie bierze udział w obronie stolicy jako ochotnik. Po kapitulacji przedostaje się do Lwowa. Nawiązuje tam kontakt z Komunistyczną Partią ZSSR; ten okres w życiu Gomułki jest stosunkowo słabo znany. Wiadomo tylko, że wraca on w 1940 z powrotem do Warszawy, oraz że odmawia wykonania polecenia WKP(b) nawiązania kontaktu z Gestapo (4); wręcz przeciwnie: rozpoczyna organizowanie ruchu oporu jeszcze przed wybuchem wojny niemiecko-sowieckiej. Kilkakrotnie też spotyka się opinie, że w tym okresie Gomułka nie zachwycał się bynajmniej układem Ribbentrop-Mołotow.

(2) *Wielka Encyklopedia Sowiecka*, tom 51, str. 84/85.

(3) *Wielka Encyklopedia Sowiecka*, tom 51, str. 84/85.

(4) Dziewanowski (M.K.), *The Communist Party of Poland*, Harvard University Press, 1959, s. 341.

Niemniej jednak okres pełnej walki i działalności politycznej Gomułki rozpoczyna się w roku 1941, gdy bierze udział w organizowaniu Polskiej Partii Robotniczej (PPR), organizuje PPR na Podkarpaciu a następnie kieruje warszawską organizacją PPR (5).

Sporna pozostaje data powrotu Gomułki na teren okupowany przez Niemców; według Eucyplopedii Sowieckiej wrócił on z początkiem 1942, według większości pozostałych źródeł Gomułka znajduje się w „Generalnym Gubernatorstwie” już od końca 1940 względnie od początków 1941. Polskie biografie oficjalne nie nie wypowiadają się w tej sprawie.

W roku 1943 Gomułka zostaje sekretarzem generalnym PPR jako trzeci z kolei (dwaj poprzedni: Nowotko i Finder giną w niewyjaśnionych do końca okolicznościach. Mówi się że pierwszy został zastrzelony a drugi zadenuncjowany przez oficera NKWD Mołojca). Aby opisać ten okres w życiu pierwszego sekretarza partii trzeba by wielkiego talentu i... znajomości faktów. Ma się bowiem wrażenie, że są one zazdrośnie strzeżone; żadna biografia Gomułki nie poświęca tej epoce więcej aniżeli dwa, trzy zdania. Są to lata walk, ukrywania się, podstępów i przygód Gomułki, który w rezultacie potrafił zachować wolność i życie w tym niewątpliwie trudnym dla PPR okresie. Nie trzeba zapominać, że w tym czasie siły i znaczenie tej partii były minimalne w porównaniu z socjalistami, ludowcami, stronnictwem narodowym czy chrześcijańską demokracją (6).

Gdy dziś, po... 20 latach, pisze się życiorys Gomułki, kusi oczywiście aby podkreślić te ówczesne momenty, które wiele lat później miały się stać decydującymi w jego karierze politycznej, a więc: odrębność jego sądów i niezależność od presji sowieckich. Wielu autorów na Zachodzie, podobnie jak Józwiak i Bierut, późniejsi oskarżyciele Gomułki w 1948 i 1949, chcą widzieć już wtedy pierwsze tendencje „Wiesława” (taki był jego pseudonim) do oderwania się od wpływów i dyrektyw sowieckich. Wydaje się jednak, że w gruncie rzeczy sam charakter walki podziemnej, trudności w utrzymaniu łączności z sowieckimi ośrodkami dyspozycyjnymi (zwłaszcza w okresie gdy armia niemiecka stała pod Leningradem, Moskwą i Stalingradem), z natury rzeczy dawały kierownictwu PPR pewien margines samodzielności. Z drugiej strony jest również faktem niezaprzeczalnym, że Gomułka który nie przeszedł przed wojną presji ani

(5) Brzeziński (Z.), *Soviet Bloc Unity and Conflict*, Harvard University Press, Cambridge 1960, s. 10, 14.

(6) Karol (K.S.) — *Visa Pour la Pologne*. Gallimard, Paris 1958: 31, 32, 42, 54, 55, 56 i 68.

Schneiderman (S.L.) *The Warsaw Heresy*. Horizon Press New York, 1959, s. 15 i 16.

*Le Monde* 11 octobre 1961, str. 3 „Wladislaw Gomułka”.

Malara (Jean) Rey (Lucienne) *La Pologne d'une occupation à l'autre*. Ed. Fuseau, Paris 1952, s. 291.

długotrwałej „szkoły” stalinowskiej, natomiast miał *stage* w walce politycznej w warunkach jakiejś bądź co bądź (nie zawsze idealnej), demokracji, zachowuje niezależność sądów i wysnuwa wnioski w pierwszym rządzie z realnej sytuacji, a dopiero w dalszej mierze z dyrektyw.

Stąd też, gdy przed PPR staje pierwszy wielki problem polityczny: iść wciąż osobno czy działać w porozumieniu i razem z Londyńską Radą Jedności Narodu (reprezentującą miażdżącą większość społeczeństwa) — Gomułka wraz ze Spychalskim, Bieńkowskim, Kowalskim, Moczarem i Logą-Sowińskim wypowiada się za współpracą na gruncie walki przeciw hitlerowcom. Jest rok 1944.

W przeciwieństwie do Gomułki, Józwiak (zrzucony na spadochronie w Polsce w 1942) i Bierut (zrzucony w 1943), głoszą zgodnie z instrukcjami Moskwy potrzebę ścisłego frontu lewicy, w którym już nie ma, ich zdaniem, miejsca nawet dla lewicowej RPPS.

Od tego momentu (23 maj 1944) Gomułka wyraża swój niepokój o to czy PPR (potem PZPR) posiada rzeczywiście poparcie mas, poparcie społeczeństwa. Wtedy właśnie „Wiesław”, w czasie zebrania KC PPR, powiada: „Wciąż jeszcze mamy zbyt małe poparcie mas — trzeba nam sojuszników...”. To samo powtórzy on w 1948 (*Nowe Drogi* październik-listopad 1948, str. 45), i w roku 1956 (str. 178 i 186 „Dokumentów — 6 Lat temu...”, Instytut Literacki, Paryż, 1962).

W czasie tego zebrania, w maju 1944, toczy się dyskusja nad połączeniem z socjalistami (RPPS) i grupami zbliżonymi, co wydaje się Gomułce potrzebne ze względu na możliwość łatwiejszego dogadania się z RJN a zwłaszcza z W.R.N. (PPS) i ze Stronnictwem Ludowym. Bierut i Józwiak ostro się sprzeciwiają, a Józwiak oskarża nawet Gomułkę, że niedocenia on siły partii...

W podsumowaniu Gomułka podtrzymuje swój pogląd i oświadcza: „Musimy wszystko zrobić aby się zjednoczyć i działać wspólnie”. To samo powtarza 29 maja 1944, gdy już wiadomo, że Moskwa uznaje KRN (Krajową Radę Narodową) utworzoną przez PPR i kilka drobnych ugrupowań skrajnie lewicowych. „Jeśli chodzi o naszą taktykę, powiada „Wiesław”, to trzeba kontynuować linię zjednoczeniową od dołu i od góry”. Chodzi o to aby PPR nie znalazło się w izolacji i dlatego Gomułka jest skłonny zjednoczyć PPR z RPPS nawet jeżeli trzeba by było zmienić skład Krajowej Rady Narodowej. A jeśli chodzi o przyszłość powiada: „gdy tylko z RJN zostaną usunięte żywioły faszystowskie, skrajnie prawicowe, powinniśmy utworzyć wspólną reprezentację narodową”. W tej dyskusji Gomułka podtrzymuje swoje stanowisko do końca, to znaczy aż do lipca 1944, gdy armia sowiecka wkracza do Polski a racja Bieruta i Józwiaka przeważa siłą faktów...

Wciąż jeszcze nie wiele wiemy o stanowisku Gomułki w

czasie Powstania Warszawskiego i objęcia władzy w Polsce przez PPR.

W pierwszych rządach po wojnie Gomułka zajmuje stanowiska bardzo poważne, chociaż nie najwyższe. Jest (aż do 1948) sekretarzem generalnym PPR, wicepremierem (od stycznia 1945) i ministrem Ziem Odzyskanych (od listopada 1945).

#### *W Polsce lat 1945-1947*

Gomułka rozpoczyna ten okres pełen energii i wiary w słuszność ideologii komunistycznej. Tu jednak wyraźnie rysuje się jedno „ale”, które doprowadzi go później do upadku. Jest to pierwsze wydanie koncepcji „polskiej drogi do socjalizmu”, koncepcji która z całą siłą powróci w 1956 roku i pod nazwą „gomułkizmu” zyska prawo obywatelstwa w świecie komunistycznym i na Zachodzie. Tym „ale” jest jego wiara w prawdziwość szeroko głoszonych wówczas haseł patriotyzmu, niepodległości i suwerenności Polski.

W tym miejscu wydaje się, że warto zacytować charakterystykę Gomułka pióra Malary i Lucienne Rey autorów bynajmniej nie komunistycznych:

„Ślusarz z zawodu, autodydakta, długoletni więzień *régime*’u jest człowiekiem bardzo inteligentnym; działacz z ogromnym temperamentem, przejmujący się swoimi przemówieniami, autorytatywny. Ma on więc wszystkie zalety aby się stać przywódcą na pierwszym etapie komunistycznym, jakim jest „Blok Demokratyczny” i wspólny front z socjalistami (czekając na jedność organiczną...)” (7).

Kto pamięta jeszcze ten pierwszy okres przypomni sobie atmosferę frontu narodowego, demokratycznego, która zresztą panowała również w Czechosłowacji, na Węgrzech, w Rumunii; partie komunistyczne nie chwyciły jeszcze całej władzy. Gomułka skupia swoją energię nad rozbudową partii z jednej strony, i nad utrwaleniem władzy i umocnieniem administracji państwowej z drugiej strony. Dlatego też Gomułka wciąż forsując hasła szerokiego frontu demokratycznego lewicy i centrum w Polsce (8) włącza do niego nawet rzemiosło, drobny handel i byłych działaczy prawicowych, którzy deklarują chęć współpracy (Piasecki); stosunki z Kościołem układają się także stosunkowo nie najgorzej. Niemniej jednak Gomułka staje na czele zaciętej walki, prowadzonej przeciw PSL i jej liderowi Stani-

(7) op. cit. s. 122.

(8) „Biuro Polityczne jest zdecydowane postawić sprawę walki ze sekciarstwem na ostrej płaszczyźnie, wyciągnąć konsekwencje w stosunku do poszczególnych członków partii aż do wyrzucenia z partii...” mówił Gomułka na Plenum KC PPR 20 maja 1945. Stwierdził on wtedy, że: „Linia Komitetu Centralnego i Biura Politycznego to linia szerokiej współpracy z koalicją rządową, powiązania partii z narodem...”

stawowi Mikołajczykowi. W tym okresie, 1945-1947, jest to walka na śmierć i życie. Chodzi o władzę. Portret Gomułka rysuje się bardzo wyraźnie na tle starć z Mikołajczykiem, cytowanych w książce tego ostatniego.

Wzywając Gomułkę do wstrzymania krwawych represji wobec działaczy PSL, Mikołajczyk stwierdza, że w samym tylko powiecie miechowskim w kwietniu 1946, 32 działaczy PSL zostało zamordowanych, Szef PSL grozi Gomułce że zwróci się do całego narodu jeżeli te akty gwałtu się nie skończą.

Gomułka odpowiada.

Nie posuwajcie się za daleko. Naród jest już przeciw nam. Wszyscy oszaleli. Uważajcie na to, co robicie w przeciwnym wypadku będziecie wkrótce tego żałować. Ale naród będzie w końcu po naszej stronie — zaklina się Gomułka (9).

Gdy Mikołajczyk wszedł w lipcu 1945 do Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, niektórzy działacze PPR zwrócili się do Gomułka z wątpliwościami, czy można uważać że ma on uczciwe intencje... Gomułka odpowiada: „nie chodzi o uczciwość czy nieuczciwość subiektywną ale o odbicie obiektywne walki klas, co czyni z Mikołajczyka przywódcę polskiej reakcji” (10).

Gomułka poważnie obawia się utworzenia bloku PPS-PSL, który by automatycznie uzyskał druzgocącą większość głosów w nadchodzących wyborach. Wyraźnie mówi o tym na plenum KC PPR w październiku 1946 (11).

Osobny rozdział można by napisać cytując fragmenty przemówień Gomułka, wygłoszonych w czasie kampanii przedwyborczej w 1946 roku. Przypomnijmy tylko po krótko że Gomułka wszędzie zaznacza charakter państwa polskiego jako kraju niepodległego, demokratycznego, o ustroju sprawiedliwości społecznej gdzie ziemia wreszcie została oddana chłopom przez Polską Partię Robotniczą.

Gomułka unika podkreślania ciągłości tradycji PPR nie wspominając ani jej charakteru komunistycznego (12) ani związków z KPP. Przypomina, że w czasie okupacji on i jego towarzysze walczyli w Polsce wraz z całym narodem o niepodległość

(9) Mikołajczyk Stanisław *Le Viol de la Pologne*. Paris, Plon, 1949, strona 167 i 192.

(10) *Nowe Drogi* wrzesień-październik 1948, str. 126 i *Zarys Historii Polskiego Ruchu Robotniczego* 1944-1947, Warszawa, Książka i Wiedza 1961, str. 152 i 154.

(11) „Aktywność elementów WRN-wskich w PPS, mówi Gomułka, prowadzi do niebezpieczeństwa zacierania różnic między WRN a PPS i uchylenia się od rewizji przeszłości, co grozi PPS restytucją polityki WRN, przystosowanej do obecnej rzeczywistości czyli zwróceniem się twarzą do P.S.L. W konsekwencji rozwojowej polityka ta może doprowadzić do zawarcia bloku PPS-PSL...” (*Zarys Historii Polskiego Ruchu Robotniczego* 1944-1947, Warszawa, Książka i Wiedza, 1961, str. 193).

(12) Gomułka (Władysław), *Ku Nowej Polsce*, Łódź, Sp. Wyd. Książka, 1945, str. 155.

i sprawiedliwość społeczną. Stosunek do Związku Sowieckiego w jego przemówieniach z tego okresu wyraża się w uznaniu wielkiego udziału ZSSR w wyzwoleniu Polski i w zapowiedzi utrzymywania w przyszłości serdecznych, przyjacielskich stosunków z państwem sowieckim. Nie ma mowy o podporządkowaniu, a nawet na jednym z wieców Gomułka wyraźnie dementuje pogłoski jakoby Polska miała się stać „17 Republiką ZSSR” (13).

W swoich przemówieniach, a zwłaszcza na pierwszym Kongresie PPR 6 grudnia 1945, Gomułka wyraźnie głosi hasło polskiej, demokratyczno-ludowej drogi do socjalizmu.

Liczni komentatorzy tych wypowiedzi próbowali wtedy, tak jak i dziś starają się, odpowiedzieć na zasadnicze pytanie: Czy „Wiesław” był szczerze przeświadczony o prawdziwości tych deklaracji, czy też były to tylko chwytaki taktyczne?

W każdym razie Gomułka zdaje sobie sprawę z tego, że ukrywanie komunistycznego charakteru PPR i cała frazeologia demokratyczno-patriotyczna przyciąga te grupy ludzi, którzy nigdy by się nie zdecydowali na wstąpienie do partii komunistycznej, marksistowskiej, „sowieckiej”. PPS zresztą to właśnie m.in. zarzucała PPR, że ukrywa swój marksistowski charakter zwłaszcza wobec kościoła. Gomułka powiada:

„Powinniśmy przyjąć do naszej partii, do szkoły naszej partii, tych wszystkich dobrych robotników, dobrych demokratów, którzy walczyli o demokrację, mimo że nie wiedzą oni jeszcze co to jest. Koncepcje ideologiczne nie krystalizują się natychmiast. Ci ludzie przyszli do naszej partii bo uważali za słusne to co mówi partia, to co mówi kierownictwo partii. Uznali oni za słusne hasło walki z reakcją o pokój, o nacjonalizację przemysłu. Dlatego przyszli oni do nas, i chcemy aby milion takich ludzi przyszło do naszej partii” (14).

Gomułka głosi więc program, który pozwala mu na zwiększenie realnej siły partii (nie zapominajmy też, że jest to partia będąca u władzy) a z drugiej strony wielokrotnie podkreśla, że w stosunku do reakcji (PSL) trzeba szeroko stosować wszelkie formy nacisku administracyjnego, jak również kontynuuje starania o utworzenie i rozszerzenie bloku stronnictw i grup sojusznicznych na zewnątrz partii (od PPS aż do grupy dysydenckiej PSL „Nowe Wyzwolenie”). W momencie decydującym, przed wyborami styczniowymi 1947 roku, ówczesna taktyka Gomułka wzbo-gaca się o masowe aresztowana (ofiara ich padli zarówno PSL-cy, b. Akowcy jak i wielu socjalistów).

Trudno tu nie odnotować, że Gomułka akceptował jednak represje przeciw młodzieży akowskiej. Aresztowania i wywózki lat 1945-1946 odbywały się za jego wiedzą, o czym świadczy fragment przemówienia na I Ogólnokrajowej Naradzie PPR

(13) Karol (K.S.) „Wiesław” Gomułka. *L'Express*, 26 października 1956, str. 10.

(14) *Ku Nowej Polsce*, strona 142.

(Zbiór Artykułów i Przemówień Władysława Gomułka, wyd. Książka i Wiedza, 1963).

Tak samo bardzo charakterystyczne wydają się oświadczenia Gomułka na temat władz bezpieczeństwa; w okresie, gdy nikt nie miał najmniejszych wątpliwości co do bezprawnego charakteru działalności „bezpieki” ani co do sowieckiego kierownictwa tą instytucją.

Dnia 27 lutego 1946 Gomułka, polemizując z zarzutami PSL powiada:

„Organa Bezpieczeństwa jako całość są jednak zdrowe i bardzo ofiarne w swojej pracy. I będziemy ich jako takich bronić przed wszystkimi niesłusznymi i kłamliwymi zarzutami. Bezpieczeństwo jest bowiem ostrym narzędziem w rękach demokracji w walce z reakcją. Tego narzędzia nie damy sobie wyrwać” (15).

A dalej: „Bezpodstawnych aresztowań członków PSL nie ma”... Ale na następnej 25-tej stronie Gomułka zastrzega:

„Nie twierdzą że nie mogą się zdarzyć wypadki, że ten czy inny członek PSL przy likwidacji jakiejś bandy może być niewinnie aresztowany; ale jest to rzecz, która się zdarza wszystkim służbom bezpieczeństwa na całym świecie”.

Na następnej stronie znów czytamy: „...nie aresztuje się niewinnych członków PSL”.

W tej kampanii wyborczej czytamy wreszcie w *Głosie Ludu* z dnia 7 stycznia 1947, uroczystą deklarację sekretarza generalnego PPR, w której ostrzega społeczeństwo, że w razie zwycięstwa Mikołajczyka może nastąpić interwencja sowiecka w Polsce. Przypomnijmy tutaj, że identyczny apel czytaliśmy i słyszeliśmy 19 stycznia 1957 przed wyborami do Sejmu (*Przemówienia*, str. 212 i *W Walce o Demokrację Ludową*, str. 74 i 205).

I znów zapytujemy, czy to był chwyt taktyczny czy szczerze przeświadczenie przywódcy, pragnącego oszczędzić narodowi jeszcze jednej gorzkiej lekcji historycznej. W tym też kontekście odnotowujemy mało znane oświadczenie Gomułka z lata 1945, gdy powiedział: „Pomiędzy wszystkimi naszymi sprzymierzeńcami nie możemy liczyć na ż a d n e państwo, które by poparło nasze żądania dotyczące terytoriów leżących na wschód od Bugu...” (16).

Pokazując Gomułkę, wybraliśmy metodę towarzyszenia mu w ciągu minionych lat poprzez jego wypowiedzi, czy stanowiska zajmowane w poszczególnych zagadnieniach, wtrącając tu i

(15) Gomułka (Władysław), *W Walce o Demokrację Ludową* — Artykuły i przemówienia, wyd. „Książka”, Łódź, 1947, str. 269.

(16) Malara (Jan) Rey (Lucienne) op. cit., str. 95 i 311.

Mikołajczyk (Stanisław) op. cit., 168-172.

Naszkowski (Marian). *Nowe Drogi* lipiec-sierpień 1951, str. 35. W ataku przeciw Gomułce, Naszkowski posługuje się tym właśnie cytatem, aby podkreślić „dwulicowość” „Wiesława”.

ówdzie opinie o nim i innych autorów. Nie zmienia to jednak wciąż faktu, że o samym życiu osobistym Władysława Gomułki niewiele wiemy. Żona jego, Zofia Unslicht (bratanica znanego przywódcy WKP(b), Unslichta), towarzyszy stale mężowi w jego działalności politycznej i sama zajmuje stanowiska wprawdzie drugorzędne, ale niemniej bardzo ważne. Tak na przykład między 1945 a 1948 pracuje w wydziale kadr Komitetu Centralnego PPR, gdzie ma decydujący głos w sprawach dotyczących wysyłania działaczy PPR zagranicę. Gomułkowa nie grzeszy nadmiarem taktu: zdarzyło się jej powiedzieć jednemu z kandydatów na wyjazd (pochodzenia żydowskiego): „z takim nosem chcecie jechać do Paryża...?”.

### Wielki Przełom

Spotkanie przedstawicieli Partii Komunistycznych w Szklarskiej Porębie, we wrześniu 1947, stanowi przełomową datę, tak w życiu Gomułki, jak i w życiu całego kraju. Konferencja ta oznacza zmianę dyrektyw stalinowskich i rozpoczęcie „zimnej wojny”. Wobec projektów zacieśnienia więzów współpracy między partiami, pod kierownictwem WKP(b) Gomułka zajmuje stanowisko wyraźnie negatywne. Ówczesny przedstawiciel Komunistycznej Partii Włoch, Eugenio Reale tak charakteryzuje sylwetkę Gomułki i jego wystąpienie:

„Sekretarz generalny PPR i wiceprezes rady ministrów jest osobistością najwybitniejszą i najbardziej reprezentatywną polskiego komunizmu; charakter trudny i ponury ale uczciwy i lojalny... (17).

„Gomułka wystąpił 24 września; jego przemówienie było jednym z najlepszych, jeżeli nie najlepszym dzięki powadze z jaką było przygotowane. Wprawdzie cyfr było bardzo dużo, ale to co zwracało uwagę, to były zastrzeżenia wysuwane przez przywódcę polskiej partii komunistycznej jeśli chodzi o kolektywizację, trudną do przeprowadzenia w kraju tak bardzo rolniczym jak Polska”.

„Pierwsze próby przeprowadzenia kolektywizacji na ziemiach odebranych kościołowi i kolaborantom nie dały rezultatów olśniewających i nie pozwalają przewidywać nic dobrego na przyszłość”.

„Co mnie głęboko poruszyło w przemówieniu Gomułki, to właśnie brak emfazy, i nadmiernych pochwał i pochlebstw, tych podziękowań i innych wyrazów wdzięczności wobec przedstawicieli radzieckich, które charakteryzowały innych delegatów”.

„Gomułka w swoim exposé zaznaczył, że sprzeciwia się on w zasadzie utworzeniu Kominformu, jak również reklamie prasowej wokół spotkania w Szklarskiej Porębie”.

Był to właśnie pierwszy krok Gomułki ku niełasce. Drugi

(17) Reale (Eugenio), *Avec J. Duclos au banc des accusés à la réunion constitutive du Cominform à Szklarska Poręba*, Paris 1958, Plon, str. 8, 9, 27, 193 (Reale wystąpił z Komunistycznej Partii Włoch).

krok, to stosunek sekretarza PPR wobec PPS i jej tradycji. Gomułka pamięta historię PPS (widzianą oczyma działacza związkowego, dawnego PPS-ca i w końcu komunisty). Nie wydaje mu się, aby wszystkie inwektywy antysocjalistyczne były uzasadnione. Slogany o „socjal-zdrajcach” nie znajdują w pełni jego akceptacji. Stąd też, gdy po rozgromieniu PSL, na wokandy politycznej staje z końcem 1947 roku sprawa jedności organizacyjnej między PPR a PPS Gomułka wypowiadając się za tą jednością podkreśla jednakowoż że:

„polski ruch robotniczy był zawsze związany z walką o niepodległość narodową... i SDKPiL i jej przywódcy nie mieli racji nie doceniając wagi problemu narodowego. To samo zarzuca Gomułka KPP i podkreśla z pełnym uznaniem słusność linii PPS, która „jeśli chodzi o niepodległość Polski wykazała wycucie polityczne bardziej realistyczne aniżeli SDKPiL” (18).

Gomułka oświadcza również przy okazji, że chciałby „aby te idee PPS stały się jednym z fundamentów nowej zjednoczonej partii”. Gomułka uważa że „PPR jest zdolna połączyć najlepiej te piękne tradycje PPS z duchem rewolucyjnym Socjal-demokracji Królestwa Polskiego i Litwy oraz Komunistycznej Partii Polski”; Gomułka przemilczał więc w tym kontekście znane krytyki, ostre krytyki Lenina pod adresem PPS.

Trzeci krok — to oświadczenie, że aktyw partii trzeba kształcić w duchu marksistowskim w ścisłym związku „z naszą polską rzeczywistością, zarówno tą przeszłą jak i tą teraźniejszą...”. „Powinniśmy uczyć marksizmu, dodaje Gomułka, według przykładów z naszej historii. Upraszczając ten problem można by powiedzieć, że trzeba wyklądać partii polski marksizm” (19).

Gdy wybucha sprawa Tito, Gomułka zdaje się wierzyć, że naprawdę chodzi tylko o kolektywizację i zakłócenie stosunków między partiami, gdyż występuje w Biurze Politycznym Komitetu Centralnego PPR z propozycją, aby próbować pogodzenia Tito ze Stalinem.

Tym razem przeciwnictwa w kierownictwie PPR rysują się całkiem wyraźnie: Gomułka znajduje się prawie sam wobec tzw. grupy moskiewskiej. (Bierut, Berman, Minc, Zambrowski, Mazur). W ciągu lata 1948, Gomułka opuszcza stanowisko sekretarza PPR i wicepremiera rządu; bez oporu, i zdawałoby się bez walki, odchodzi niewątpliwie szef partii. Wszystko to odbywa się w trakcie trzech zebrań plenarnych Komitetu Centralnego PPR i licznych a pasjonujących rozmów gabinetowych z Bierutem, Bermanem i innymi członkami grupy „moskiewskiej” w kierownictwie partii. Co skłoniło Gomułkę do tego podporządkowania się, do kapitulacji?

Z wielu wersji, najbliższe prawdy — choć nieco „zbeletryzo-

(18) Przemówienie Gomułki na Plenum KC PPR 3 czerwca 1948 i Langrod (Jerzy), *Le Parti Socialiste Polonais — Son Rôle, son histoire, La Revue Socialiste* nr 43, Janvier 1951, Paris, str. 100-108.

(19) *Nowe Drogi*, maj 1947, strona 34.

wane" — wydają się rozważania K.S. Karola, który w „Visa pour la Pologne” (str. 128/129) w ten sposób wyobraża sobie polemikę między Gomułką a Bierutem:

„Jeżeli przyjmujemy każde słowo Stalina za Ewangelię, to wkrótce będzie on decydował o najmniejszym drobiazgu u nas, w kraju. Już teraz oskarżenia pod adresem Jugosłowian wskazują, że aby być w łaskach, trzeba przeprowadzić kolektywizację ziemi, i trzeba walczyć przeciw wszystkim elementom nie robotniczym. Otóż my wszyscy zobowiązaliśmy się nie prowadzić takiej właśnie polityki” — mógł zdaniem K.S. Karola powiedzieć Gomułka. Na co prawdopodobnie odpowiedzieli mu Bierut, Berman et consortes:

„Jeżeli odłączymy się od Stalina, jeżeli nie akceptujemy dyscypliny w łonie obozu socjalistycznego, nie możemy prowadzić żadnej innej polityki, w ogóle żadnej polityki gdyż zostaniemy obaleni przez naszych wrogów. Zdajemy sobie sprawę, że Stalin nie jest nieomylny. Ale lepiej jest brać udział w jego błędach aniżeli opuścić międzynarodowy bój klasy robotniczej i skapitulować przed imperializmem i jego agentami...”

Gomułka uznawał potrzebę zwiększenia siły obozu socjalistycznego, ale nie rozumiał — nie chciał rozumieć lub udawał że nie rozumie — związku między potępieniem Tito a wzrostem sił komunizmu międzynarodowego. Wszyscy otaczający go znają dobrze jego upór, i stałość poglądów i wiedzą jak trudno mu przyznać się, że nie ma racji. Stąd też z trzech rozwiązań pierwsze wydaje się nam najtrafniejsze. Ale jeżeli tak, to dlaczego się nie bronił bardziej zaciekłe?

Istnieją trzy możliwe odpowiedzi: 1) nie czuł się na siłach, aby rozpętać próbę sił, 2) nie był w gruncie rzeczy pewny swojej racji i nie wiedział czy podjęcie walki służyć będzie temu właściwemu nurtowi w ruchu komunistycznym (takie wątpliwości mogły u niego powstać np. w wyniku obserwacji stanowiska delegatów jugosłowiańskich w Szklarskiej Porębie, którzy występowali z absolutną pewnością siebie i nieomal tak jakby byli rzecznikami stalinowskiego punktu widzenia, gdy atakowali przedstawicieli francuskiej i włoskiej partii komunistycznej) i 3) po prostu działały lojalność i poczucie partyjnej dyscypliny u starego komunisty, który całe swoje życie uczył się, że trzeba słuchać partii, kolektywnej mądrości mas itd.

Wydaje się nam bezsporną odpowiedź trzecia.

Jeżeli Gomułka nie poszedł na awanturę, to dlatego, że Partia była dla niego wszystkim. I oto widzimy Gomułkę składającego samokrytykę, starającego się jedynie nie stracić całkiem swojej godności osobistej. Widzimy go na kolejnych zebraniach w czerwcu, lipcu, sierpniu i wrześniu 1948.

Od czerwca już trwają starcia i polemiki między Gomułką a resztą Biura Politycznego. „Próbowałem początkowo bronić swego stanowiska”, powiada Gomułka 30 sierpnia 1948 w swoim przemówieniu na Plenum KC PPR (20). „Moje stanowisko zawie-

(20) *Nowe Drogi*, wrzesień-październik, 1948, str. 40

rało też w sobie nieufność i krytycyzm w stosunku do taktycznych form walki z kierownictwem Komunistycznej Partii Jugosławii, zainicjowanych przez WKP(b)... (21)

Przyjmując w końcu większość zarzutów pod swoim adresem Gomułka podkreśla: „...nie przyjmuję, Towarzysze, zarzutów kapitulanczkich tendencji w stosunku do K.R.N. gdyż... nie odpowiadają one prawdzie” (22).

Przemawiając ponownie 1 września, Gomułka ustępuje dalej jeszcze, ale zastrzega się: „...chciałbym jednak, Towarzysze, powiedzieć wam w czym myliliście się krytykując mnie” (23). „...Sądziłem że kryzys zaistniał na tle mojej osoby, ... tymczasem zaistniał on na tle różnic ideologicznych między mną a Biurem Politycznym, na tle odchylenia prawicowo-nacjonalistycznego w Partii którego byłem reprezentantem”...

I dalej:

„Do cech mego charakteru należy, że jest mi bardzo trudno być nieszczerym... mnie trudno jest nie powiedzieć tego, co myślę...” (24).

W końcu jednak zgadza się również i w „punkcie 5” ze stanowiskiem swoich krytyków; przyznaje że ugodowość jego wobec „C.K.L.” i „R.J.N.” w 1944 roku miała te same korzenie co aktualna (1948) błędna ocena przeszłości i roli PPS: „pojedynczość wobec wroga i niewiara w rewolucyjne siły klasy robotniczej...”.

Wracając do sprawy Tito i tłumacząc przyczynę wyłączenia w czerwcu referatu politycznego bez porozumienia z Biurem Politycznym KC PPR Gomułka powiada m.in.:

„...uważałem po prostu że sprawa jugosłowiańska wpłynie na naszą sytuację, na nasz naród, na klasę robotniczą w sposób ujemny, że stanie w całej rozciągłości problem rzekomego zagrożenia suwerenności... to oddziaływało na tok moich myśli...” (25).

„Towarzysze, popełniłem wielkie błędy, lecz ja wyrosłem w Partii, z Partią, z klasą robotniczą jestem związany wszystkimi niemi i razem z tą Partią, razem z klasą robotniczą chcę walczyć, chcę pójść naprzód”.

Uważam, że powinniście powiedzieć członkom naszych organizacji partyjnych, że Wiesław popełnił błędy, dlatego też został przez was zwolniony ze stanowiska, które zajmował. Równocześnie jednak powiedzcie, że zostałem razem z nimi, razem z Partią” (26).

— kończy Gomułka swoją trzecią samokrytykę, przyjętą na razie przez Bieruta i resztę kierownictwa Partii.

A oto jeszcze opinia amerykańska: Flora Lewis (Gruson) tak oto widzi Gomułkę w tym okresie (27):

(21) *Nowe Drogi*, wrzesień-październik, 1948, str. 41.

(22) *ibidem*, str. 44.

(23) *ibidem*, str. 136.

(24) *ibidem*, str. 138.

(25) *ibidem*, str. 140.

(26) *ibidem*, str. 145.

(27) Lewis (Flora), *A Case History of Hope*, Doubleday and Company inc. Garden City, New York 1958, str. 51.

„Gomułka had not been a popular personality, either in the nation or among the Party apparatchiks... But he was respected as a hard man who knew his own mind as a shrewd, stubborn enemy”.

Przemówienia Gomułka na tych zebraniach są częściowo opublikowane w *Nowych Drogach* z września-października 1948. Ograniczmy się do stwierdzenia, że Gomułka „uznał” publicznie swoje błędy w całej pełni dopiero wtedy, gdy przekonano go o istnieniu „agentury dwójkarskiej” (28), która jakoby zagrażała partii i której on rzekomo pozwolił działać.

Po roku dyskusji i oskarżeń Gomułka złożył czwartą samokrytykę podkreślając, że czyni to wskutek nowych wypadków a zwłaszcza sprawę Rajka na Węgrzech.

A oto obszernie fragmenty tego wystąpienia (29).

### *Gomułka o sobie*

Proszę towarzyszy! Sprawa odchylenia prawicowo-nacjonalistycznego stanowiska po raz drugi przed Plenum Komitetu Centralnego, a stanąć musiała z uwagi na zdemaskowanie agentury dwójkarskiej w szeregach naszej partii, jak też z uwagi na wydarzenia jakie od czasu ostatniego Plenum zaszły na arenie międzynarodowej, zwłaszcza z uwagi na proces Rajka; stanąć musiała też z uwagi na to co nam powiedział na dzisiejszym Plenum tow. Spychalski i z uwagi na to, że Plenum analizując sprawę odchylenia powraca w dyskusji do mojej osoby, a powracać musi, gdyż odchylenie w formie najbardziej jaskrawej znajdowało we mnie swego reprezentanta i towarzysze nie mogą abstrakcyjnie dyskutować, muszą mówić o konkretnych ludziach. Pozwólcie mi zatem, że niezależnie od tego, co o tej sprawie powiedziałem już pod kątem samokrytyki na ostatnim, na sierpniowym Plenum KC Polskiej Partii Robotniczej, że jeszcze ustosunkuję się do niektórych spraw, jak również do tej krytyki, która na dzisiejszym Plenum pod moim adresem była skierowana. Ktoś z dyskutantów słusznie powiedział, że dzisiaj po upływie z górą roku od czasu Plenum sierpniowego, po upływie blisko półtora roku od czasu, kiedy powstała sprawa klikii titowskiej, jak też po upływie z górą roku od czasu przyjęcia rezolucji w tej sprawie przez Biuro Informacyjne — mamy o wiele więcej elementów i faktów i możemy innymi oczami patrzeć na tę sprawę. Stwierdzenie to jest słuszne i ja mogę, towarzysze, powiedzieć, że tak samo, może bardziej i na pewno bardziej aniżeli inni towarzysze, widzę wyraziście te rzeczy, których jeszcze na Plenum sierpniowym nie widziałem. I ja dzisiaj patrzę inaczej na sprawę titowską. Dlaczego? Po prostu dlatego, że fakty i praktyka dowiodły, iż w gruncie rzeczy w stanowisku jakie pierwotnie zajmowałem przed Plenum sierpniowym i na samym Plenum sierpniowym w stosunku do grupy Tito, było wiele ugodowości, że stanowisko to było

(28) W tym okresie aresztowano wiele osób zajmujących wysokie stanowiska w aparacie państwowym, zwłaszcza w ministerstwie Gomułka (Ziem Odzyskanych). Szereg aresztowanych oskarżano o przedwojenną i okupacyjną przynależność do policji politycznej i do organizacji antykomunistycznych oraz o chęć wślizgnięcia się do szeregów partyjnych i do aparatu państwowego celem szkolenia Polsce Ludowej. Gomułce zarzucano karygodny brak czułości, podkreślając, że nie patrzył on, zbytnio na życiorysy, tylko na kwalifikacje zawodowe kandydatów na stanowiska.

(29) *Nowe Drogi*, listopad 1949, str. 11-116.

niesłuszne. Wątpliwości zostały rozbite faktami, wątpliwości zostały rozbite procesem rozwoju sytuacji w Jugosławii, jaki miał miejsce po przyjęciu rezolucji Biura Informacyjnego; zwłaszcza rozbiły do gruntu te fakty, które wyszły na jaw w procesie Rajka. Nie wstydzę się przyznać przed wami, że te wątpliwości poprzednio mnie nurtowały i stwierdzam, że wątpliwości które miałem, stanowią jeszcze jeden dowód, że nie okazałem się politykiem dalekowzrocznym, że na praktyce właściwie nie zrozumiałem wówczas, co oznacza często używane i podkreślane przez nas słowo o kierowniczej roli WKP(b) i o czerpaniu z doświadczeń przeszłości. Towarzyszom — członkom Biura Politycznego, z którymi prowadziłem dyskusję na temat sytuacji w KPJ dobrze jest znane moje ówczesne stanowisko, wiedzą oni, że od pierwszej chwili, mimo mojej niesłusznej oceny klikii titowskiej zasadniczo i kardynalnie różniła się moja pozycja od pozycji zajętej przez Tito. Moja pozycja i pozycja Tito to były dwie różne pozycje nie mające ze sobą w gruncie rzeczy nic wspólnego, jeśli idzie o stosunek do ZSRR, jeśli idzie o stosunek do WKP(b). Ja, proszę towarzyszy, myliłem się uważając, że w tej sprawie idzie o błędy popełnione przez KPJ, uważałem bowiem, że klikka titowska popełniła tylko błędy, a tymczasem zagadnienie stało inaczej. W sprawie tej nie szło o błędy, lecz zupełnie o coś innego, mianowicie o działalność agenturowo-dywersyjną. I na tle tego mego rozumowania wynikało ówczesne moje stanowisko, dyktowane rzeczywistości najgłębszą troską o zwartość obozu demokratycznego, o całość i zwartość frontu antyimperialistycznego, a tym samym o interesy Polski i naszej Partii. Prawda, trudno dzisiaj usprawiedliwiać się z tego i w gruncie rzeczy nie mówię tego dla usprawiedliwienia się. Jeśli mówię o tym, to dlatego ażeby towarzyszom przedstawić tok mego fałszywego rozumowania i ażeby również podkreślić przez to mój brak pewnego, że tak powiem, wyrobionego doświadczenia i dalekowzroczności przewidywania w tego rodzaju sprawach.

Dlatego też to co towarzysze w dyskusji tutaj podnosili, pogłębiając i analizując sprawę niebezpieczeństw, jakie groziły i Partii i Polsce, i co się kryło potencjonalnie w stanowisku przeze mnie zajmowanym — to jest słuszne i ja od tej strony, ani dzisiaj, ani na przyszłość, ani nigdy nie będę krytyki kwestionować, ani tą krytyką czułem się dotknięty. Rzeczy, które zrozumiałem, krytyka, którą uważam za słuszną nie boją mnie.

Czego nie mogę przyjąć? W każdym bądź razie czego nie mogę przyjąć w tej formie, jak tutaj towarzysze postawili? W pierwszym rzędzie nie mogę przyjąć zarzutu odnośnie tego, że ponoszę odpowiedzialność za grupę „dwójki”, która przez długi okres czasu zerowała w szeregach naszej Partii. Nie mogę przyjąć towarzysze za okres okupacji — ten okres mocno podkreślam — odpowiedzialności za grupę Lechowicza. Dlaczego nie mogę przyjąć tej odpowiedzialności? Tow. Zambrowski postawił sprawę tak: miałeś przecież w swoich rękach wszystkie nici. Nie, myli się tow. Zambrowski. Nie miałem wszystkich nici, nie miałem zwłaszcza wszystkich nici jeśli idzie o GL i jeśli idzie w pewnym stopniu o AL. Towarzysze muszą wiedzieć, że Gwardia Ludowa, będąc kierowana przez Partię, była samodzielną organizacją, to była wojskowa organizacja.

Jak stoi sprawa Lechowicza? Kiedy ja Lechowicza poznałem, kiedy dowiedziałem się pewnych szczegółów? Już po wyzwoleniu. W czasie okupacji Lechowicza ani tej grupy nie znałem, w ogóle się z nim nie stykałem, w ogóle dostęp do Wydziału Informacji miałem przez długi czas bardzo słaby, łączność z Informacją miałem zasadniczo przez reprezentantów sztabu GL w KC Partii i częściowo przez tow. Spychalskiego, a później w 1944 r. i przez jedną z towarzyszek pracujących na tym odcinku.

Towarzysze, jeśli dzisiaj próbuje się tak postawić sprawę, że ja ponoszę większą odpowiedzialność za przeniknięcie agentury dwójkarskiej do naszej



partii aniżeli np. tow. Albrecht to jest głęboko niesprawiedliwe stawianie sprawy. Towarzysze, kiedy ja przyjechałem do Warszawy? Przyjechałem po wyspie tow. Albrechta, kiedy grupa prowokatorów została już wprowadzona do Partii, w momencie, kiedy się partia formowała. Kto ją wprowadzał? Wprowadzał ją m.in. i tow. Albrecht, który umiał mnie krytykować, i słusznie krytykował, za nacjonalistyczne odchylenie na Plenum sierpniowym, co nam powiedział o sobie dzisiaj na tym Plenum: poczuwam się — powiada — również do winy, gdyż ta grupa przedostała się do partii wskutek braku czujności z mojej strony. Tyle, nic więcej. Nie próbował analizować tego faktu, chociaż innych umiał uczyć jak należy analizować błędy.

Do czego się przyznaję, jeśli idzie o brak czujności? Przyznaję się, że wykazałem brak czujności w okresie po wyzwoleniu, wówczas gdy z tym Lechowiczem się zetknąłem i kiedy można było rozwiązać wiele spraw, które w okresie okupacji były niemożliwe do rozwiązania. Ja, rzeczywiście, przyjąłem kandydaturę Lechowicza na dyrektora departamentu MZO, rzeczywiście otrzymywałem meldunki od informacji wojskowej, od tow. Spychalskiego, które składał Lechowicz. Podchodziłem do tego bezkrytycznie, podchodziłem z wiarą i z przekonaniem, że to jest człowiek nasz. Rzeczywiście ponoszę za to odpowiedzialność, że nawet nie przeczytałem życiorysu Lechowicza jak też Dubiela. Za to towarzysze macie pełne prawo krytykować mnie, ale za okres okupacji.

Towarzysze, gdzie tkwiła trudność w zdemaskowaniu prowokatora? Może nie tyle trudność, ile pewna ślepotą polityczną moja i innych towarzyszy. Jest prawdą to, co mówił tow. Dworakowski, iż meldował tow. Kliszce, że do niego przyszli robotnicy, powiedzieli co wiedzieli o tych ludziach i żądali wyjaśnień, jak tacy ludzie mogą siedzieć na tak odpowiedzialnych stanowiskach. I jest prawdą, że wówczas tow. Kliszko do mnie przyszedł i powiedział jaką informację otrzymał. Ja mu powiedziałem, że ta sprawa jest załatwiana na innym szczeblu.

Brak czujności, towarzysze, przejawiał się w tym okresie i z mojej strony i ponoszę za to odpowiedzialność w większym stopniu niż inni towarzysze dlatego, że ja coś nie coś z okresu okupacji wiedziałem o tych ludziach, że ja przede wszystkim w tych sprawach miałem kontakt z tow. Spychalskim i dlatego, że piastowałem najbardziej odpowiedzialne stanowisko.

Ale nie próbujcie sprowadzać tej sprawy, tego zagadnienia na płaszczyznę, że tylko Wiesław, tylko Gomulka względnie Spychalski ponoszą za to odpowiedzialność; trudno mi tu mierzyć — ale odpowiedzialność ponoszą i inni towarzysze, którzy w tej sprawie też napewno dostatecznej czujności nie przejawili.

Teraz następna sprawa — sprawa Dubiela. Ja za Dubiela — rzecz jasna — ponoszę odpowiedzialność. Powiedziałem Wam, że nawet jego życiorysu, autobiografii nie przeczytałem, gdy miał objąć stanowisko wiceministra. Dał mi go Wydział Personalny, dał mi go tow. Kliszko z gorącymi zaleceniami. Dubiel pracował wówczas w Związku Zachodnim i bardzo aktywnie pracował.

Nie mogę odpowiedzieć jakie są przyczyny wyspy tow. Pawła Findera mimo, że tę sprawę badałem i organizacja badała wszystkie szczegóły wyspy. Skłonny jestem przypuszczać, że wyspa była przypadkowa, na skutek tego, że poszliśmy na zaśnieżony lokal, na lokal, na który nie powinno się chodzić, gdyż właściciel lokalu siedział w obozie, a gdzieś w Radomskim został aresztowany jeden z towarzyszy, który w tym mieszkaniu mieszkał. Ja nie twierdzę, że to moje przypuszczenie jest słuszne, to są moje hipotezy i na podstawie wszelkich dociekań — do tego wniosku doszedłem.

I dlaczego mi robić zarzut, niesłuszny zarzut jakobym w ogóle rozbrajał Partię w sprawie czujności, że głosiłem teorie o niedostępności

wroga do naszej partii? Dlaczegoż mi robić zarzut, że jestem odpowiedzialny nawet za to, że wykładawcami w szkołach partyjnych gdzieś tam byli członkowie BBWR, czy WRN-owcy?

Teraz towarzysze pragnę wytłumaczyć się z postawionego mi zarzutu, a raczej stwierdzonego faktu mego milczenia. Jest mi trudno ująć tę sprawę w kilku słowach, jednak starać się będę ująć ją możliwie zwięźle. Uważałem za swój największy obowiązek, za swój święty obowiązek po Plenum sierpniowym, po zrozumieniu — jak dzisiaj stwierdziłem w niedostatecznym stopniu — sprawy niebezpieczeństwa odchylenia nacjonalistycznego w Partii, uważałem za swój największy obowiązek zrobić wszystko, żeby na tle tego stosunku, który mogli żywić do mnie towarzysze, nie doszło do żadnych rysów w Partii. Złożyłem samokrytykę, złożyłem samokrytykę tak, jak rozumiałem, tak jak ją czułem, tak jak umiałem. Nie było tam wymuszone ani jedno słowo, nie było tam najmniejszej chęci okopywania się na jakiejś pozycji — to nie leży w mojej metodzie pracy, w moim charakterze. Może nieraz jestem uparty, bardzo uparty w pewnych sprawach, ale jak je rozumiem, to o tych sprawach mówię z pełną odwagą. Trudno mówić o tym, że mogę robić coś pod przymusem, że i samokrytykę pod przymusem składałem. Gdybym był nieprzekonany, gdyby mnie towarzysze na Plenum sierpniowym nie przekonali dostatecznie, to bym nie złożył samokrytyki. Przed Plenum sierpniowym chciałem odejść od kierownictwa bez złożenia samokrytyki, rozumiałem jednak, że mi nie wolno żadnego kroku zrobić ażeby Partię rozbić czy osłabić. Przez długi czas nie byłem przekonany, że ja nie mam racji, że towarzysze mają rację. Gdy zrozumiałem, złożyłem samokrytykę i złożyłem ją szczerze.

Po Plenum sierpniowym i po kampanii sprawozdawczej doszedłem do pewnego zdania, w którym umocniłem się po Kongresie Zjednoczeniowym. Doszedłem do takiego zdania, że jako działacz polityczny zostałem przekreślony raz na zawsze — przekreślony przez swoje błędy i, według mojego zdania, przez metodę skrytykowania przez Partię moich błędów. Może być, że są różne charaktery, są ludzie, którzy w różny sposób reagują — nie ma dwóch ludzi jednakowych, jeden tak przeżywa drugi inaczej, jeden ma taką psychikę, drugi ma inną psychikę. Ja czułem, że zostałem przekreślony. Tow. Dworakowski powiadał, że robotnicy wówczas już stawiali sprawę, czy to nie za liberalny stosunek do tego Wiesława, który tyle błędów narobił i wykpił się jakąś samokrytyką, pozostał w rządzie, pozostał ministrem, pozostał w kierownictwie partyjnym, to łatwo tak się wykupić.

W tym rozumowaniu mogło być wiele słuszności. Wówczas już doszedłem do wniosku, że ta samokrytyka, te błędy, które popełniłem i które poddałem samokrytyce, ta metoda, to postawienie przed całą Partią, przed całym narodem itd., że to wszystko przekreśla mnie jako działacza.

Po tym wszystkim co miało miejsce, chciałem, pragnąłem, żeby moje nazwisko znikło raz na zawsze ze szpalt prasy. I stąd opór pewien do pisania i nie tylko stąd. Nie tylko. Ja towarzysze dziś mówię szczerze i dużo, może dla tego, że po raz ostatni występuję przed wami jako członek Komitetu Centralnego. Dlatego nie chciałem pisać, że się boję pisać, że straciłem to, co traci nieraz człowiek w pewnych określonych warunkach, w warunkach poczucia własnej winy i w warunkach izolacji wytworzonej wokół niego.

I to towarzysze jest tą przyczyną milczenia, nie dwulicowość, nie nieszczerłość.

To jest powodem, głównym powodem. Rozumiem niebezpieczeństwo agencji nacjonalistycznej. Dziś z całą jasnością widzę, że nacjonalizm jest pożywką dla imperializmu. Z całą jasnością widzę i widziałem zresztą to zawsze, że nie ma żadnych trzech dróg i trzech światów — są tylko

dwa obozy, dwie drogi: droga socjalizmu reprezentowana przez Związek Radziecki i droga kapitalizmu, droga imperializmu, reprezentowana przez Stany Zjednoczone. Doskonale zdaję sobie sprawę z tego gdzie tkwi przyszłość Polski, narodu polskiego, polskiej klasy robotniczej, że nie w oparciu o zachód. Te rzeczy doskonale rozumiem i nie można mi robić zarzutu, że gdzieś po jakimś krańcu niebezpiecznym kroczę. Od was towarzysze zależy wytłumaczenie Partii, że nie stoję na starych pozycjach, że się nie maskuję, że nie jestem jakimś wrogiem. Od was i tylko od was zależy, żeby żaden członek Partii w ten sposób nie myślał.

Powiedziałem jeszcze na Plenum Sierpniowym: mało mam wiedzy teoretycznej, zostałem zresztą za to odpowiednio potraktowany, zarzucono mi, że wulgarnie się przyznałem, iż nie mam dostatecznego doświadczenia marksistowskiego, co miało być rzekomo obraźliwe i niesmaczne. Powiedziałem, co jest w rzeczywistości.

Wydaje mi się jednak, towarzysze, że trzeba być ostrożnym przy formułowaniu pewnych zagadnień. Nie kwestionuje słuszności określenia demokracji ludowej jako formy dyktatury proletariatu. Ale, towarzyszu Ochab (30), czy zastanawialiście się nad tym, że ostatecznie ta sprawa była wtedy nie tylko sprawą Polski, ale wszystkich krajów demokracji ludowej, że również kierownicy innych krajów demokracji ludowej w podobny do mego, jeśli nie w analogiczny sposób stawiali sprawę demokracji ludowej.

Towarzysze, możecie wierzyć lub możecie mi nie wierzyć. Za swój partyjny obowiązek uważałem powiedzieć wam to co myślę i tak jak myślę, jak podchodziłem do tych spraw, przyznać się uczciwie do wszystkich błędów, które popełniłem. A waszą sprawą jest wyciągnięcie konsekwencji.

Koniec pierwszego etapu zbliżał się bardzo szybko; na zjeździe połączeniowym PPR i PPS 15 grudnia 1948 w Warszawie Gomułka jest jeszcze obecny i zabiera głos. Przemówienie jego jest przerywane wrogimi okrzykami podbuntowanych delegatów.

Syn jego który zmienił nazwisko (Ryszard Strzelecki) zaraz po wojnie, rozpoczyna samodzielne życie jako inżynier. Sam Gomułka zostaje wykluczony z partii w listopadzie 1949; przez kilka miesięcy jeszcze jest wiceprezesem Izby Kontroli, potem dyrektorem Warszawskiego Zakładu Ubezpieczeń Społecznych, aż wreszcie, w lipcu 1951, zostaje aresztowany wraz z żoną w czasie pobytu w Krynicy.

Okres od III Plenum KC PZPR w listopadzie 1949 aż do wyjścia Gomułki na wolność z końcem grudnia 1954 stanowi epokę w życiu pierwszego sekretarza, o której również stosunkowo niewiele wiemy. Trzymany w willi U.B. w Miedzeszynie (wraz z żoną której nie wolno mu było widywać), skazany na czytanie jako jedyne pisma miesięcznika popularno-naukowego *Problemy*, nie przesłuchiwany przez pierwsze trzy miesiące — Gomułka ma czas na rozmyślanie i na przemyślenie wszystkich spornych i nurtujących go problemów i wątpliwości.

Sejm dopiero 31 października 1951 uchwała „zezwoić na przeprowadzenie postępowania karnego przeciwko posłowi Go-

(30) Mowa o artykule tow. Ochaba pt. „Walka trwa” w nr. 5 (17) *Nowych Drog*.

mułce...” (31). Gdy wreszcie Romkowski i Fejgin zaczynają przesłuchiwać Wiesława, ten przechodzi do otwartego ataku przeciw Bierutowi oskarżając go o współpracę z Niemcami w czasie okupacji (32) i o rozgrywki wewnętrzne. Oskarżał też Bieruta i innych, że „zaprzędali wszystkich niemal komunistów aresztowanych w ZSSR”. Gomułka zawsze żywo się interesował losami tych działaczy. Jak pisze Flora Lewis: „He had a long memory and little imagination...”.

Z tych relacji jasno wynika że Gomułka po okresie ustępstw i świadomego usunięcia się bez oporu, nabiera chęci do walki i że więzienie nie łamie go bynajmniej do końca.

W tej nieugiętej pozycji były szef partii pozostaje w więzieniu do końca grudnia 1954; w międzyczasie dowiaduje się o procesie Slansky'ego i o losie części przywódców czechosłowackich, gdzie jego nazwisko było z oczywistą intencją cytowane przez świadków i oskarżonych. Gomułka nie zmienia swojej postawy. Również i tu trudno jest skreślić portret więźnia lat 1951-1955. Wiemy jednak, że wychodzi wreszcie na wolność wyčerpany fizycznie i psychicznie.

Tymczasem pomruki burzy postalinowskiej wzbierają nad krajem; fala demokratyzacji zainicjowana po III plenum KC PZPR w styczniu 1955, doprowadza do usunięcia ze stanowisk głównych prześladowców Gomułki (i nie tylko Gomułki) w Urzędzie Bezpieczeństwa: Różański, Romkowski, Fejgin — stają przed sądem. W łonie partii nurtują coraz silniej sprzeczne prądy i tendencje: stalinowskie (natolińczycy) i demokratyzacyjne, część kierownictwa partyjnego („Puławska”) no i... całe społeczeństwo.

W tej sytuacji, zwłaszcza od XX Kongresu KPZR, od początków 1956 roku, rośnie tendencja w wielu kręgach politycznych, w prasie i w partii, aby zwrócić się do Gomułki, aby się z nim porozumieć — zwłaszcza że w świetle minionych lat słuszność wielu jego opinii wzbudza żywe poruszenie. Nowy okres w życiu Gomułki i, tym razem również w życiu całego kraju rozpoczyna się w pamiętnym 1956 roku.

### Październik

Trudno tu opisywać szerzej tło polityczne, społeczne i gospodarcze pierwszych miesięcy 1956 roku i pierwsze kroki Gomułki na wolności. Przede wszystkim zaczął się on leczyć, pochłaniając równocześnie książki i gazety. Jego osoba (bardzo pilnowana ze wszystkich stron) również przyciągała wielu. 4 sierpnia prasa ogłosiła jego reintegrację do szeregów partyjnych.

(31) *Trybuna Ludu* 1 listopada 1951.

(32) Światło (I), *Za kulami Bezpieki i Partii*, wyd. Komitetu Wolnej Europy, Nowy Jork 1955, str. 19 i 20.

Byłoby bardzo ciekawe móc ustalić listę rozmówców Gomułki z tego okresu; wiemy, że wśród nich była delegacja *Po prostu* (aby się skarżyć na niesłuszne konfiskaty) byli szefowie partii (Ochab, Cyrankiewicz, Zawadzki) upoważnieni do prowadzenia rozmów z Gomułką na temat ponownego przyjęcia go do K.C. partii, byli dawni przyjaciele: Loga-Sowiński i Kliszko dopiero co wypuszczony z więzienia. Byli też dziennikarze z grupy tzw. później „wściekłych”. Głównie jednak debaty toczyły się (zwłaszcza po wypadkach poznańskich i VII Plenum KC PZPR, po których Gomułkę wprowadzono z powrotem do PZPR) wokół zjednania Gomułki dla polityki „natolińskiej” (stalinowskiej) o co szefowie tej grupy usilnie zabiegali (33) lub dla polityki liberalnej, forsowanej przez Cyrankiewicza, Morawskiego a częściowo (zwłaszcza od sierpnia 1956) przez Ochaba i Zambrowskiego.

Gomułka nie zajmował stanowiska, przeważnie słuchał, wygłaszał zdania ogólnikowe, stwierdzając, że źle się dzieje i że trzeba przystąpić do generalnej naprawy sytuacji w partii i w kraju. W miarę jednak jak te rozmowy się przeciągały (wiele z nich toczyło się poza plecami Gomułki) pozycja Wiesława wzmacniała się a jego wypowiedzi stawały się coraz bardziej kategoriyczne i twarde. Do końca jednak (tj. do października 1956) nie żądał dla siebie stanowiska pierwszego sekretarza KC PZPR. Faktem jest jednak, że w drugiej połowie września 1956 zdecydował się stanąć po stronie skrzydła liberalnego w partii i zaczął, wspólnie z Ochabem i swoją wierną grupą: Kliszko, Loga-Sowiński, Spychalski, Bieńkowski i Korczyński, a także z Oskarem Lange i innymi ekonomistami opracowywać plan działania i wystąpienie programowe przeznaczone na plenarne zebranie Komitetu Centralnego PZPR. Zostało ono zwołane na 18 października, a 14 tego miesiąca Ochab postanowił ostatecznie zrezygnować na rzecz Gomułki ze swojej funkcji sekretarza generalnego partii i zakomunikował tę decyzję członkom biura politycznego w dniu 15 października. Grupa natolińska gwałtownie na to zareagowała uprzedzając Moskwę o „planowanym zamachu stanu”. Niemniej jednak, Biuro Polityczne większością głosów postanowiło powierzyć mu pełnienie obowiązków pierwszego sekretarza KC partii. Stało się to 18 października, na wiadomość o przyjęcie delegacji sowieckiej.

Wydarzenia tych dni są opisane przez wielu autorów; nas interesuje sama sylwetka Gomułki na tle tych wydarzeń. Otóż warto zwrócić uwagę na fakt znakomitego organizacyjnego przygotowania tych wydarzeń między połową września a połową października 1956: Wojsko i policja pod dowództwem świeżo zwolnionych lub oddanych Gomułce generałów, Komara i Hübniera, Komitet Warszawski PZPR pod kierownictwem Staszew-

(33) Gdy ambasada sowiecka zaprosiła Gomułkę na Krym, na leczenie i odpoczynek, Gomułka odpowiedział: „Ciechocinek wystarczy na moje dolegliwości...”

skiego i Kuzińskiego — absolutnie „gomułkowski”, Ochab zapewnia „pokrycie” legalne dla poczynań gomułkowskich, prasa i radio prawie w 100% oddane Gomułce atakujące z furią grupę natolińską i gotowe w każdej chwili wydać nadzwyczajne wydania czy apele wzywające naród do walki zarówno przeciw interwencji sowieckiej jak i przeciw działalności grupy natolińskiej. Sam Gomułka, zanim jeszcze zostaje wybrany przez plenum KC pierwszym sekretarzem PZPR stale występuje w pierwszych trzech dniach tych wydarzeń wspólnie z Ochabem i Cyrankiewiczem. Działają razem. Stawiają czoła dwom presjom: wewnętrznej w partii (Natolin) i zewnętrznej — sowieckiej.

Wiele relacji, zwłaszcza w zachodnich pismach sugerowało, że Gomułka zachowuje się wobec przybyłej delegacji sowieckiej tak samo wzywająco jak przywódcy sowieccy wobec niego. Tymczasem zachowanie Gomułki od chwili przybycia Rosjan do chwili ich odjazdu cechuje opanowanie i spokój. Nie ma tam epitetów, nawet gdy odpowiada na pogróżki i zapowiada, że zmuszony jest zwrócić się do narodu i poinformować go o stanowisku delegacji sowieckiej, o presjach wojskowych i politycznych. Nie ugina się ani wskutek krzyków, ani gróźb przywódców sowieckich; w nocy z 19 na 20 trwają debaty z Rosjanami w Belwederze. Równocześnie co pół godziny dyżurny oficer kładzie przed Ochabem i Gomułką kartkę z medunkami o postępach sowieckich kolumn pancernych w kierunku Warszawy, zawierającymi numery rejestracyjne pojazdów stacjonujących normalnie w Szczecinie czy Wrocławiu, odnotowanych na szosie Kutno-Łowicz-Warszawa.

Gomułka spokojnie przebiega wzrokiem te meldunki i po północy wstaje, oświadczając:

*(Pierwsza wersja)*

„Nie będę więcej mówił tutaj, ale w studio radiowym, aby powiedzieć narodowi czego wy się domagacie, a co my odmawiamy...”

*(Druga wersja)*

„Trzeba chyba przerwać dyskusję i jeżeli czołgi radzieckie nie zatrzymają się natychmiast powiedzieć narodowi polskiemu całą prawdę...”

*(Trzecia wersja)*

„Unless the troops are called off at one we will walk out of here and there will be no negotiations. We will not talk while cannons are pointing at Warsaw”.

„If it is impossible to talk with You — said Gomułka — I will talk to the people. I will say what is on my mind over the radio”.

Cztery dni później, Gomułka, na wielkim wiecu przed Pałacem Kultury w Warszawie oznajmia: „Dziś uzyskałem od tow. Chruszczowa zapewnienie, że wojska radzieckie znajdujące się na terenie Polski w ciągu 2 dni wrócą do swoich miejsc stacjonowania...”

Do *prestige'u* jaki Gomułka zyskał wskutek prześladowań stalinowskich dochodzi, bodajże najważniejszy element. Jego postawa wobec presji sowieckich zjednała mu w tych dniach powszechny szacunek i uznanie. Nie zapominajmy, że był to okres gdy wszyscy mieli świeżo w pamięci represje i prześladowania, i wszystkie metody nacisku, kiedy to kilkudziesięciu działaczy-intelektualistów i dziennikarzy którzy znaleźli się na słynnej liście Witaszewskiego, drżało (nie bezzasadnie) ze strachu i nie spało w domu. Ta świadomość i fakt że dzięki Gomułce nacisk sowiecki na kraj niewątpliwie zmalał stanowiły i stanowią wciąż jeszcze poważny kapitał osobisty Pierwszego Sekretarza PZPR.

Równocześnie Gomułka ma również odwagę powiedzenia aparatowi partii całej prawdy o dotychczasowych błędach i pozwała sobie na wystąpienie przeciw rozpętanym nastrojom antysowieckim. Następuje interwencja sowiecka na Węgrzech w momencie gdy czołgi rosyjskie opuszczają przedmieścia Warszawy. W całym kraju rośnie ogromna fala nienawiści do Rosji i solidarności z Węgrami; żąda się interwencji armii polskiej na Węgrzech itd.

Autor tych słów był obecny w zapełnionej po brzegi sali „kongresowej” (3500 miejsc) Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie w dniu 4 listopada 1956, w momencie gdy przed Gomułką przemawiającym do sekretarzy powiatowych i wojewódzkich komitetów partyjnych z całego kraju, sekretarz położył notatkę informującą o drugiej interwencji sowieckiej na Węgrzech.

Gomułka przebiegł oczami tekst i kontynuował swoje przemówienie kończąc je dramatycznym apelem do zebranych:

„Wielokrotnie słyszymy żądanie ażeby rząd i kierownictwo Partii mówiło klasie robotniczej i całemu narodowi prawdę. Mówimy prawdę i dzisiaj. Aby Polska nigdy nie znalazła się w sytuacji, w jakiej są Węgry, należy ściśle i bezwzględnie wykonywać polecenia partii i rządu ludowego.

„Każdy Polak kochający swój kraj i mający poczucie odpowiedzialności za bezpieczeństwo swojego narodu rozumie dzisiejszą historyczną chwilę”...

„W imię dobra ojczyzny, dla spokoju naszych domów nie dopuścimy do awantur, do warcholstwa. Powaga sytuacji wymaga abyśmy tak jak w dniach październikowych wykazali zdecydowanie, jedność i spokój. Żebyśmy w tym trudnym okresie skupili się wokół nowego kierownictwa partii i rządu, poparli je w jego śmiałej i rozważnej polityce, w jego działaniu dla umocnienia socjalistycznej demokracji i suwerennej Polski”.

Pracujmy Towarzysze spokojnie, każdy na swoim posterunku. Wypełniajmy jak najlepiej swoje obowiązki wobec partii, wobec klasy robotniczej, wobec całego narodu i wobec naszego państwa ludowego. To jest patriotyczny i socjalistyczny nakaz chwili obecnej” (34).

Gomułka kończy: „Nie można, ale trzeba położyć kres tym antyradzieckim wystąpieniom”. Z całą odwagą stawia ten zakaz i społeczeństwo koniec końców go słucha.

(34) Gomułka (W). *Przemówienia*; Książka i Wiedza, Warszawa, 1957, str. 88/89.

### *Na nowym etapie*

Teraz rozpoczyna się jeden z najtrudniejszych okresów jego życia, okres wewnętrznych konfliktów i wahań. Tę szarpaninę widać prawie na każdym kroku. Domaga się dyscypliny, posłuchu władz partyjnych i państwowych, a przede wszystkim liczenia się z wymogami „polskiej racji stanu”, (pojęcie które od 1956 r. robi zawrotną karierę). Równocześnie sam burzy te ramy destalinizacją niestety nieprzeprowadzoną do końca (35), wykazując pobłażliwość wobec odpowiedzialnych za stalinowski terror, przeprowadzając reintegrację wielu osobistości na poprzednio zajmowane stanowiska. Potępiając wielu ciasnych i sekciarskich stalinowców, nie chce jednak ich całkowicie usunąć, by nie drażnić Związku Sowieckiego, i nie pozbawiać aparatu partyjnego elementów „sprawnych”.

Gomułka nie ma też zaufania do swoich dotychczasowych sojuszników: intelektualistów; prasy i niektórych przywódców partyjnych, którzy jak np. Staszewski, byli kiedyś jego wrogami.

Jest coraz bardziej podrażniony, autorytatywny, z coraz mniejszą uwagą słucha argumentów, które nie potwierdzają jego opinii, coraz mniej liczy się z otoczeniem, z aparatem, z działaczami. Wciąż jednak utrzymuje się jego stara obawa: obawa braku poparcia mas.

W czasie spotkań z robotnikami Gomułka umie do nich trafić i zyskiwać ich sympatię. Tak np. gdy robotnicy poznańscy zapytują go: „Czy musimy sprowadzać z Francji koniaki, wina i sardynki, niedostępne dla przeciętnie zarabiającego?” — Gomułka odpowiada wśród ogólnej wesołości:

(35) Na spotkaniu z robotnikami fabryki Cegielskiego w Poznaniu, 5 czerwca 1957, pada pytanie: „dlaczego dotychczas nie zwolniono wszystkich więźniów skazanych za przestępstwa i zbrodnie natury politycznej?”

Gomułka odpowiada, że 5.800 więźniów zostało amnestionowanych, 770 osób zostało zrehabilitowanych całkowicie, a poważnej ilości złagodzono wyroki. Stwierdza m.in., że „Ustawy amnestyjne posiadają obok dodatnich również i ujemne strony... Władze państwowe rozporządzają dowodami, że niektórzy zwolnieni na mocy amnestii przestępcy polityczni nie zaniechali wrogiej działalności przeciwko ustrojowi naszego państwa. Kto ponownie wstępuje na taką drogę musi sobie uświadomić, że prowadzi ona zawsze do więzienia”.

„...Ponieważ jednak w tym okresie była naruszana przez władze państwowe praworządność socjalistyczna i wielu ludzi niewinnie ucierpiał, objęto amnestią nawet tych, którzy w walce z władzą ludową skrwawili swoje ręce mordami i zabójstwami. Pamiętając zawsze o naszych towarzyszach którzy zapłacili życiem za utrwalenie władzy ludowej, jednocześnie uważamy, że należy przekreślić rachunki dawnych krzywd”.

Z tego oświadczenia wynika jednak, że nie wszyscy więźniowie polityczni zostali zwolnieni i że proces rehabilitacji nie został, niestety, przez Gomułkę doprowadzony do końca. Również wypłacanie odszkodowań za niesłuszne więzienia i prześladowania zostało rychło zawieszono.

„Import ten ma na celu drenaż finansowy rynku krajowego. Rzecz jasna towary te są niedostępne dla przeciętnie zarabiającego, ale też nie są dla niego niezbędne. Nasza wódka nie jest gorsza od francuskiego koniaku, a jest chyba kilkakrotnie tańsza. Dokładnie nie wiem zresztą gdyż nie kupuję ani polskiej wódki ani francuskiego koniaku. Przypuszczam jednak, że niejeden pijak nie zamieniłby naszej wódki na francuski koniak, chociaż i polskim i francuskim trunkiem można się urządzić jednakowo. Kto zaś chce pić francuski koniak musi za niego słono zapłacić.

Problem polega jednak na tym, aby przeciętnie zarabiający człowiek pił jak najmniej polskiej wódki a pod tym względem jest u nas niedobrze. Konsumpcja wódki wzrasta bowiem z roku na rok i jest około dwa i pół razy większa aniżeli przed wojną”.

W tym 1957 roku i później jeszcze Gomułka wciąż jest przeciwny stosowaniu siły i represji policyjnych. Traktuje tego rodzaju sprawy jako wyjątki, które powinny być jak najrzadsze. Nie zmieni też swego stanowiska w sprawie kolektywizacji. Natomiast jego stosunki z kościołem pogarszają się, chociaż daleko jeszcze do zerwania.

W stosunku do gospodarki widać, niestety coraz więcej doktrynerstwa. Jakże niewiele już zostało z koncepcji rozwijania osobistej inicjatywy jednostek w drobnym przemyśle, rzemiośle, usługach (36). Gdzie są te prywatne cegielnie, które miały ruszyć z miejsca budownictwo indywidualne w miastach, a zwłaszcza na wsi? Jeśli wierzyć reportażowi Bieńkowskiego opublikowanemu w „Przeglądzie Kulturalnym”, jest bardzo źle w tej dziedzinie. Wzrasta niewiara w obietnice partii i państwa, a bierność i zniechęcenie znowu ogarniają życie gospodarcze kraju. Rada Ekonomiczna, która miała rozwijać gospodarkę polską znów nic nie znaczy; skostnienie dogmatyczne Gomułki zaczyna ciążyć. W tej dziedzinie notujemy wyraźny krok wstecz.

Polski handel zagraniczny stanął w miejscu. Może dobrze by mu zrobiła nowa seria demaskatorskich artykułów np. pod tytułem „Błoto i Dolary” — tak jak wtedy, w „Po prostu” anno 1956...? Tylko że dziś takie artykuły nie mogłyby się ukazać nawet gdyby znalazł się śmiałek, który chciałby je opracować.

Szef Partii zmienił zasadniczo zdanie na temat możliwości istnienia opozycji w Polsce. Przypominamy sobie, że w 1946 podkreślał wielokrotnie, że ustrój demokracji ludowej dopuszcza rozwój systemu parlamentarnego łącznie z istnieniem legalnej opozycji.

(36) Jeszcze 9 stycznia 1957 Gomułka odpowiadał robotnikom WZPO na Pradze na pytanie czy nowa polityka wobec rzemiosła i inicjatywy prywatnej jest długotrwała: „Ta nowa polityka ma wszystkie cechy trwałości...” (Przemówienia, str. 166).

To samo mówił 12 lipca 1946 zwracając się do Kongresu Stronnictwa Demokratycznego: „Stoimy na stanowisku pełnego rozwoju i pełnych możliwości pracy inicjatywy prywatnej w granicach ustalonych przez prawo...” (W Walce o Demokrację Ludową, str. 88/89).

„Żaden rząd i żaden system społeczny nie darzy sympatią opozycji” — podkreślał Gomułka 1 maja 1946. „Nie mamy i my sympatii do opozycji PSL-skiej. Tym niemniej nie chcemy nikomu odbierać demokratycznego prawa opozycji...” („W Walce o Demokrację Ludową”, str. 55, 78, 84, 194/195).

Gomułka powtarza stale że trzeba mówić narodowi prawdę; ten zwrot staje się jednak czystą retoryką. Na przykładzie opracowań historycznych, zwłaszcza okresu międzywojennego i powojennego, widzimy, że nie zaprzestano tendencyjnego i nieprawdziwego przedstawiania faktów historycznych. Zakład Historii Partii wypuszcza wciąż nowe książki (37) i podręczniki w których czytamy o bohaterskiej walce PPR z bandyckim podziemiem akowskim, o prawdziwych, zwycięskich dla PPR wyborach w 1947, o braterskiej pomocy ZSSR itd. A przecież tylko na podstawie oświadczeń i deklaracji Gomułki między 1944 a 1962 moglibyśmy zakwestionować wiele tego rodzaju tez. Czyżby dziś Gomułka musiał pokrywać kłamstwem to, co sam zdemaskował i o czym cały naród wie? Jaką korzyść czerpie dziś partia z kontynuowania kłamstw *przedwczorajszych*?

W tym ostatnim okresie Gomułka wygląda na człowieka steranego, zgorzkniałego, osobiście uczciwego i prostego. Jego otoczenie musi dbać o to, aby miał pieniądze. Odmawia bowiem pobierania wyższej pensji niż 4000 zł., za przejazdy na wakacje do Krynicy płaci, za mieszkanie płaci, odmawia honorariów jeżeli tekst opublikowany nie jest rzeczywiście jego dziełem itd. Auta używa tylko do celów służbowych. Znany jest fakt odmówienia auta przez Gomułkę swemu synowi, którego żona spodziewając się dziecka miała być odwieziona do kliniki położniczej. Gomułka odpowiedział telefonicznie synowi: auto jest służbowe, nie do celów prywatnych. Gdy „Express Wieczorny” chciał o tym napisać, Gomułka zabronił odpowiadając: „nie potrzebuję tego rodzaju reklamy”.

Wielu z jego najbliższych współpracowników śmieje się ze swego szefa, nazywając go „pastorem”, niektórzy drżą ze strachu a równocześnie kpią za plecami. Trzeba stwierdzić, że Gomułka jest w gruncie rzeczy sam. Jego najbliżsi najbliżsi to albo ludzie sterani (Kliszko), lub niereprezentujący zbyt wysokiego poziomu intelektualnego (Loga-Sowiński). Z Bieńkowskim dawno jest pokłócony. Natolińczycy chociaż pogodzeni z Gomułką, patrzą na niego raczej jak na postać z minionej epoki, której miejsce chcą zająć w najbliższym czasie. Wszystkie jego gesty zmierzające do pogodzenia się z ludźmi grupy *natolińskiej* (bezwartunkowo prosowieckiej, występującej przeciw dalszej demokracji) nie są przyjmowane szczerze. „Partyzanci” (Moczar, Korczyński itp (działacze o tendencjach zdecydowanie „zamordystowskich” ale zachowujący wyraźny dystans w stosunku do

(37) Jako przykład: *Zarys Historii Polskiego Ruchu Robotniczego 1944-1947*. Książka i Wiedza, Warszawa, 1961, str. 272.

ZSSR) są mu bliżsi ale są też nieliczni. Tzw. „grupa Puławska” oraz „liberałowie” spod znaku PPS (Cyrankiewicz, Lange, Hochfeld, Rapacki) nie są mu oddani bezwarunkowo. Dobór ludzi na czołowe stanowiska w Partii i w Państwie wyznacza kierunek całej polityki. W razie jego odejścia, skład jaki zostawi po sobie zdecyduje natychmiast o kierunku zmiany, wielkiej zmiany. Już dziś nie ulega wątpliwości że ani Natolin ani „Partyzanci” ani liberałowie nie będą kontynuować polityki Gomułki. Albo będzie dalsza demokratyzacja jak obecnie na Węgrzech czy nawet idąca dalej, albo będzie zrównanie z Nowotnym i Ulbrichem.

Jerzy MOND

#### NOTA BIOGRAFICZNA

Jerzy MOND, ur. w roku 1921. Matura w 1939 w gimnazjum H. Sienkiewicza w Krakowie. W czasie okupacji należał do ZWZ w Krakowie, krótki pobyt w więzieniu na Montelupich, kurier Komendy Głównej A.K. W czasie Powstania Warszawskiego kapral podch. w grupie Radosława, batalion „Czata 49” (Wola, Starówka). Ranny, niewola w Niemczech. Powrót do kraju w 1945. W 1948 kończy wydział prawny UJ jako mgr: prawa. W latach 1946-48 sekretarz krakowskiego zarządu ZNMS, członek PPS, przew. pow. zarządu OM-TUR, sekretarz redakcji „Naprzodu”. W 1949-50 pracuje w „Echu Krakowskim”. 1950-54 w „Expressie Wieczornym”. W latach 1954-56 jest zastępcą sekretarza Stow. Dziennikarzy Polskich. W r. 1955-57 zostaje wicedyrektorem Zakładu Badań Prasoznawczych w Warszawie. W okresie 1956-57 jest sekretarzem Gen. Stow. Dziennikarzy Polskich. W okresie 1957-59 — sekretarzem redakcji „Tygodnika Polskiego” w Paryżu, 1959-60 — pracownikiem PAP w Warszawie. W końcu 1960 przenosi się na stałe do Paryża, gdzie pracuje w redakcji „L'Express”. W r. 1963 uzyskuje doktorat na Sorbonie. Tytuł tezy doktorskiej: „La presse polonaise et celle des démocraties Populaires”.

Jerzy Mond opracował II tom „Dokumentów” Biblioteki „Kultury” pt. „6 lat temu...” (Kulisy polskiego Października) i był autorem nieopisanego artykułu w nrze 181 „Kultury” pt. „Od Kępcicza do Jaszuńskiego”.

## Humor krajowy

Po śmierci Stalina znaleziono jego testament. Składał się on z trzech zalakowanych kopert. Na pierwszej był napis: „Otworzyć po mojej śmierci”; na drugiej — „otworzyć w rok po mojej śmierci”, a na trzeciej — „Otworzyć w roku 1963”.

Stosując się do woli zmarłego dyktatora otworzono pierwszą kopertę i przeczytano co następuje: „Jeżeli będzie źle — zwalcie wszystko na mnie”. W drugiej kopercie, otworzonej w zaleconym terminie było wskazanie: „Jeśli będzie dalej źle — zwalcie wszystko na moich współpracowników”. Gdy kilka miesięcy temu otworzono trzecią i ostatnią kopertę, odczytano: „Jeśli się nic nie poprawiło — róbcie tak, jak ja robiłem”.

Na pochod 1-szomajowy urzędnikowi dużego biura w Moskwie polecono nieść portret tow. Chruszczowa. Gdy urzędnik odmówił wyjaśniając, że woli tego nie robić, gdyż w poprzednich pochodach nosił już kolejno portrety Stalina, Malenkowa, Berii, Bułganina i Mołotowa, sekretarz podstawowej organizacji partyjnej zapytał go czy wobec tego nie zechciałby nosić plakatu z sierpem i młotem.

#### Perspektywiczny plan ekonomiczny ZSSR

W roku 1972 co piąty obywatel Związku Sowieckiego będzie miał samochód, co trzeci — telewizor, a co drugi parę butów.

Do Gomułki przyszedł pewien stary robotnik i zapytał: Towarzyszu, ty który jesteś taki mądry, ty który stoisz na czele naszego państwa, powiedz mi, czy to już jest socjalizm, czy też będzie jeszcze gorzej?

Mówią, że Gomułka zmienia nazwisko na Bryndza.

Gomułka wstąpił do baru, żeby napić się piwa. Przy ladzie stoi lekko podchmielony już robotnik i widząc Gomułkę prosi go, aby postawił mu setkę. Gomułka zgadza się. Po chwili robotnik prosi o jeszcze jedną kolejkę, twierdząc, że nie wypił dzisiaj swojej normy. Gomułka stawia, ale jednocześnie pyta:

— Ileż wy zarabiacie dziennie, że możecie sobie pozwolić na to, aby tak pić?

— 1300 złotych — odpowiada robotnik.

— No dobrze, a ile będziecie zarabiać, jeżeli przykręcimy śrubę?

— Jakież 2500 złotych — mówi robotnik.

— Co? — dziwi się Gomułka. — A jeżeli jeszcze bardziej przykręcimy?

— Bo ja wiem, — mówi robotnik — chyba jakieś 5.000 złotych.

— No dobrze, a jeżeli przykręcimy śrubę do końca?

— No wtedy to już na pewno 10.000 złotych miesięcznie.

— A czym wy jesteście z zawodu — pyta coraz bardziej zdziwiony Gomułka.

— Grabarzem — pada odpowiedź.

Do Cyrankiewicza przyszedł jego kolega, z którym razem siedział w Oświęcimiu, z prośbą o pomoc w znalezieniu pracy. Cyrankiewicz po namyśle skierował go do zarządzającego Pałacem Kultury. Zarządzający przyjął kolegę premiera bardzo uprzejmie i zaproponował mu następującą posadę z pensją 5.000 złotych miesięcznie. Mianowicie nowy urzędnik miał siedzieć w kabinie, znajdującej się na iglicy Pałacu i obserwować, z której strony nadciąga *prosperity*.

Po pewnym czasie do Warszawy przyjechała wycieczka amerykańskich ekonomistów, która zainteresowała się pracą obserwatora. W trakcie rozmowy z nim Amerykanie doszli do wniosku, że człowiek z taką praktyką, bardzo by im się przydał i zaproponowali mu 1.000 dolarów miesięcznie, jeżeli przyjedzie do Stanów, usadowi się na *Empire State Building* i będzie obserwować skąd nadchodzi kryzys.

Obserwator z Pałacu Kultury nie dał od razu odpowiedzi; przed tak ważną decyzją postanowił zasięgnąć rady.

Pobiegł do Cyrankiewicza, opowiedział mu o wszystkim i zapytał: jechać czy nie jechać?

Cyrankiewicz bez namysłu odpowiedział:

— Nie bądź frajer, będziesz dostawał w Ameryce 1.000 dolarów miesięcznie przez rok czy dwa i co dalej? a tu masz spokojne dożywocie...

Zrozpaczony człowiek, który miał już wszystkiego dosyć, postanowił popełnić samobójstwo. Mieszkając na czwartym piętrze zdecydował się wyskoczyć przez okno. Niestety, dom był

wybudowany przez uspołecznione przedsiębiorstwo budowlane i mimo wysiłków nie udało mu się otworzyć okna. Otworzył więc kurek od gazu, ale presja gazu była zbyt niska, by spowodować zatrucie. Zrezygnowany wyszedł na ulicę, którą właśnie przechodził radośnie śpiewając duży oddział Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Kandydat na samobójcę wskoczył między maszerujących żołnierzy wymyślając na system, na partię i wysoko postawione osobistości. Reakcja żołnierzy była raczej życzliwa: uśmiechy zrozumienia i poklepywania. Ale kiedy zaczął używać słów najbardziej obelżywych jeden z żołnierzy powiedział: — Uważaj, w ostatniej czwórce podobno jest jeden komunista.

W roku 2000, kiedy komunizm zapanował już w Polsce niepodzielnie, pieniądze przestały istnieć, ludzie pracowali według swoich możliwości, otrzymując świadczenia według swoich potrzeb.

Pewnego dnia dzieci bawiące się na podwórzu znalazły puszkę zawierającą jakieś papierki. Nie wiedząc co to jest pobiegły do ojca z zapytaniem. Ojciec popatrzał i powiedział: „To są pieniądze, nie wiem dokładnie do czego służyły, ale może dziadek wam wyjaśni”. Dzieci poszły do dziadka, który widząc pieniądze bardzo się ucieszył i powiedział: „To są pieniążki. Kiedyś, za mojej młodości, mając jeden taki papierek można było pójść do sklepu i kupić kostkę masła”. Dzieci zapytały chórem: „A co to jest masło?”.

W szkole partyjnej w Warszawie wykładowca stwierdził: „Zbudowaliśmy socjalizm, a komunizm jest już na horyzoncie”.

Jeden ze studentów, nie bardzo rozumiejąc co to jest horyzont poprosił o wyjaśnienie. Był już jednak koniec wykładu i wykładowca odpowiedział mu: „nie mam już czasu na wyjaśnienia, znajdziecie to sobie w encyklopedii”.

Pracowity student zaczął szukać i przeczytał: „Horyzont jest to linia, która w miarę zbliżania się do niej, oddala się coraz bardziej”.

Nie mogę zrozumieć, mówi jeden warszawiak do drugiego — ja zarabiam 3.500 zł., moja żona zarabia 1.500 zł., 500 zł.

zwracają nam miesięcznie za puste butelki, a końca z końcem związać nie możemy.

Dygnitarze partyjni dzielą się na trzy kategorie: na pedagogów, ekshibicjonistów i ludzi niewiadomego pochodzenia.

Pedagodzy są to ci, którzy mówią: „Ja Pana nauczę!”.

Ekshibicjoniści: „Ja Panu pokażę!”.

Zaś ludzie niewiadomego pochodzenia to ci, którzy wykrzykują: „Pan nie wie z kim Pan rozmawia!”.

Z okazji wszystkich świąt partyjnych organizowane są zawsze tzw. akademie, które niezmiennie składają się z dwóch części: *oficjalnej*, to jest z przemówienia czy przemówień i *artystycznej* to jest z występów artystów.

Kiedy w kwietniu 1962 r. odbyły się wybory do Sejmu — warszawiacy twierdzili, że była to tylko część artystyczna, albowiem część oficjalna, tj. właściwe wybory, odbyła się już przedtem, w czasie rozmów z kandydatami na posłów, jakie miały miejsce w KC i UB.

Mówią, że w roku 1970 Czechom będzie już o wiele lepiej. Do tego czasu staną się bowiem krajem zacofanym i będzie się im pomagać.

### O Zawadzki

1) *Pytanie*: Dlaczego Zawadzki jest przewodniczącym Rady Państwa?

*Odpowiedź*: Bo w myśl postanowień Konstytucji Polskiej Republiki Ludowej KAŻDY może być przewodniczącym Rady Państwa.

2) Chłopiec zapytał w szkole jaka jest różnica pomiędzy zmartwieniem, nieszczęściem a żałobą. Nauczyciel wyjaśnił mu to następująco:

— Jeżeli ukradną ci portmonetkę, to jest zmartwienie, jeżeli ojciec-żywiciel rodziny złamie nogę — to jest nieszczęście, natomiast wtedy gdy np. umrze nam Zawadzki nie będzie to ani zmartwienie ani nieszczęście, a tylko żałoba.

W samolocie, w którym znajduje się międzynarodowe towarzystwo, coś się popsuło. Pilot stwierdza, że tylko natychmiastowe pozbycie się znacznego ciężaru, to jest bagażu i części pasażerów — uratuje życie innym, głównie kobietom i dzieciom. Zgłasza się na ochotnika Amerykanin i z okrzykiem: „Niech żyją USA, za wolność!” — wyskakuje z samolotu. To samo robi Francuz wołając: „Za Francję, za De Gaulle’a!”. Następnie Egipcjanin rzuca się w przepaść „Za Nassera i za nacjonalizm arabski!”. Przychodzi kolej na Polaka, który staje przed otwartą klapą samolotu i z okrzykiem: „Za pałac Kultury...”. wypycha na zewnątrz Rosjanina.

Z Warszawy donoszą, że Polska Akademia Nauk uchwaliła nową zmianę w prawidłach polskiej gramatyki. Mianowicie wzbogaciła deklinację rzeczowników o trzy nowe przypadki. Dotąd mieliśmy ich siedem, a mianowicie: *Mianownik*, odpowiadający na pytanie: kto, co; *Dopełniacz* — kogo, czego; *Celownik* — komu, czemu; *Biernik* — kogo, co; *Wołacz* — kto, co; *Narzędnik* — kim, czym i *Miejscownik* — o kim, o czym.

A oto nowe przypadki:

*Wygryźnik* — kto kogo?

*Łapownik* — od kogo, ile?

*Intymnik* — kto z kim?

### ZAGADKI

*Pytanie*: — Czego nie lubi Gomułka?

*Odpowiedź*: — Masy, prasy i matury.

*Pytanie*: — Jaka jest jednostka nudy?

*Odpowiedź*: — 1 gomuło-godzina.



*Pytanie:* — Jaka jest różnica pomiędzy Francją i Polską?

*Odpowiedź:* — Francja ma na czele de Gaulle'a, a Polska — Debila.



*Pytanie:* — Jaki jest najbardziej przekonujący dowód wyższości ustroju komunistycznego nad kapitalistycznym?

*Odpowiedź:* — Gdyby w ustroju kapitalistycznym był taki burdel, to dawno by się już rozleciał, a ustrój komunistyczny wciąż jeszcze trwa.



*Pytanie:* Dlaczego prezydent Meksyku przyjechał do Warszawy?

*Odpowiedź:* Chciał zobaczyć prawdziwy „meksyk”.



*Pytanie:* — Jakie będzie następne stadium reformy rolnej?

*Odpowiedź:* — Zrównanie chłopca z ziemią.



*Pytanie:* — Dlaczego na rynku odczuwa się brak ryb?

*Odpowiedź:* — Dlatego, żeby odwrócić uwagę konsumentów od faktu braku mięsa.



*Pytanie:* — Jaka jest różnica pomiędzy biorącymi udział w pochodach 1-go Maja przed drugą wojną światową a obecnie?

*Odpowiedź:* — Dawniej chodzili ci, którzy mieli odwagę, dzisiaj zaś ci, którzy się boją.



Chruszczow umarł. Jest pogrzeb. Szklaną trumną wnoszą do mauzoleum Lenina. Nagle rozlega się głos Lenina z sarkofagu: „Co to? Hotel!?”.



Mówią, że Nehru w czasie wizyty w Moskwie dlatego nosił białe spodnie, przypominające kalesony aby: podkreślić intymność

stosunków oraz zademonstrować światu, że Indie są już na drodze do socjalizmu.



### Slogan

Przestańmy się uczyć na błędach, zacznijmy się uczyć na uczelniach.



### Skróty

RWPG (Rada Współpracy i Pomocy Gospodarczej) —  
*Ruskim wsio, Polaczkom Gawno.*



Sklepy w Warszawie są otwarte tylko dwa dni w tygodniu: jednego dnia g... w nich sprzedają, a drugiego wietrzą.



### FRASZKI

Socjalizmu się nie lękaj,  
Mało pracuj — dużo stękaj,  
Nie usprawniaj, nie podskakuj,  
Siedź na d... i potakuj!



### O członku partii

„Członek to brzmi dumnie,  
ale nie u mnie”.

### ODPOWIEDZI RADIA ERYWAŃ

1) *Pytanie:* — Czy w alfabecie potrzebna jest litera M?

*Odpowiedź:* — Nie. Mołotowa nie ma, Malenkowa nie ma, maśla nie ma, mleka nie ma, mięsa nie ma, a dla samego Mikojana nie warto.

2) *Pytanie*: Czy w Armenii można szybko zbudować komunizm?

*Odpowiedź*: — Można, ale lepiej zrobić to w Azerbejdżanie.

3) *Pytanie*: Czy jest życie w kosmosie?

*Odpowiedź*: Także nie ma.

Za tę ostatnią odpowiedź speaker został wyrzucony z posady i dlatego przez najbliższe dwa miesiące nie będziemy mogli podawać odpowiedzi radia Erywań.

*Zebrała Zofia HERTZ*

## Nowoczesna polszczyzna

Andrzej Chciuk proponuje (*Kultura* nr 4/186) „aby w pismach emigracyjnych wprowadzono kącik językowy, gdzieby sygnalizowano co ciekawsze zmiany w polszczyźnie krajowej”. Niech żyje Chciuk! Chce wprowadzić trochę humoru między rubryki powstańcze, bohaterowiczowskie, rehabilitacyjne przygważdżające — jednym słowem do naszych emigracyjnych jęków, swarów, mędrkowań i kajań. Sami zachwasczeni „karami”, „hausami”, „mufowaniem”, „pejdą” itp. — już dzisiaj swobodnie w rozmowie między rodakami wygłaszani okropnościami — chętnie poszukamy dziur nad Wisłą — która przecież zdaniem Patriotów — jest Wrocznią, Jedynym-Miejscem-Na-Swiecie gdzie Polak JEST Polakiem. Do działa więc Rodacy: znad Tamizy, Tybru, Sekwany i Loary, znad Renu, Nilu, Jordanu, Tygrysu i Eufratu, Zambezi, Gangesu znad Kolorado, Huronu, McKenzie, Hudsonu, Rio Grande, Amazonki i bo ja wiem jakich jeszcze rzek nad które w naszym Rozproszeniu dotarliśmy i osiedlili się — tracąc nad nimi swoją polszczyznę — podczas gdy Ci nad Wisłą w niej trwają.

Gdyby Szanowny Pan Redaktor „Listom do Redakcji” dodawał tytuły — mój powinien nosić: „*Meblościanka Wielofunkcyjna*”. Na Boga — o co chodzi? Zaraz wyjaśnię.

Warszawski tygodnik „Stolica” (nr 8 z dn. 24 lutego br.) — moim zdaniem jeden z najlepiej wydawanych i redagowanych tygodników polskich — zamieścił sprawozdanie z wystawy projektów urządzeń wnętrz. Tytuł: „Meble do małych mieszkań”. Zainteresowałem się — jako że w Ameryce urządzenie mieszkań i meble do tego potrzebne interesują wszystkich. Szczególnie mieszkań małych, jako że wbrew złośliwym plotkom — na wielkie jeszcze nas nie stać. Przeczytałem więc sprawozdanie. Raz i drugi. I ryknąłem śmiechem — zdało mi się bowiem że czytam kochanego „Cyrulika” lub pocziwą „Muche”.

Ze sprawozdania tego wynika bowiem, że w Polsce Ludowej mieszkać się już nie dekoruje, nie ozdabia lub mebluje — lecz „wystraja” (człowiek uczy się na starość. Dotychczas znałem tylko „wystrojone kobiety”). Ale to

glupstwo. Sprawozdawca z wystawy każe skupić uwagę na „metodzie rozwiązania zasady mebli segmentowych” i twierdzi że „nikogo nie potrzeba przekonywać, że do aktualnych *normatywów* powierzchni mieszkaniowej” potrzebny jest „przemysłny typ sprzętów, które by swoim istnieniem nie ciążyły domowi”.

Zakląłem. Przeczytałem po raz wtóry i znowu zakląłem. Wreszcie mgła się rozwiła. Począłem rozumieć, że to nie chińszczyzna ale nasz własny język polski (niby, że my nie gęsi...) dostosowany tylko do *normatywów* naszej obecnej (polskiej) powierzchni *segmentowej*. Ale zaraz dalej przeczytałem że „wystawa pokazuje pięć udoskonalonych systemów aranżacji wnętrza” i złapałem się za głowę. I zacząłem się śmiać. I moje emigracyjne „mufowanie” przestało nagle ciążyć na moim polskim sumieniu.

A dalej? Czytam że „*temat składowania*” ma lub nie ma „nic wspólnego z *kombinatoryką*”, (a jakże, w szkole kombinowałem), że posługuje się *pojemnikami użytkowymi* (tak chyba za czasów przed-Ludowych nazywano pewne nocne naczynia), „*pólkami nośnymi*” (niechby nie nosiły!) i jest lub nie jest *stypizowany*...

Wreszcie jeden z pomysłów na wystawie „zasadza się na zmontowaniu *meblościanki wielofunkcyjnej!*”.

Tarzam się ze śmiechu. Łzy mi kapią na brodę. Moje meblościanki drgają kombinatoryjnie.

Ktoś powie, że przecież to fachowy język *wystrajający* Ludowe, małe mieszkania. *My foot!* odpowie Anglik. Bzdury — odpowie Polak. Raczej aranżacja zasadzająca się na wielofunkcyjnej głupocie.

Chcecie więcej? Proszę. W tym samym numerze „Stolicy” (po cóż szukać gdzieś indziej?) czytamy, że ściany frontowe nowego domu są „całe przeszklone” (jak gdyby znane nam od dawna „ściany oszklone” brzmiało źle), że za reakcyjnych może czasów tych, którzy domy budowali zwano „budowniczymi” ale dzisiaj, Ludowo awansowani zostali na *budowlanych* (był materiał budowlany — ale ludzie?), oraz że wyżej już wymieniony *wystrój* — może być również *wystrojem plastycznym* — co już, na Boga, nie wiem co oznacza.

Racz Szanowny Panie Redaktorze pokłonić się Andrzejowi, jak również nakłonić innych Rodaków (parskających już „ja” zamiast „tak”, lub mrużących „no” zamiast „nie”) by wytykali tamte — znad Wisły płynące okropności. To nam wszystkim doda otuchy. Namacalnie stwierdzimy, że nie jesteśmy znowu tak źli i język ojczysty znowu nie tak bardzo zapaskudzamy mimo że nad Tamizą czy też inną, podłą, emigracyjną rzeczką siedzimy. Bowiem nad naszą Wisłą wcale nie lepiej!

*Aleksander GROBICKI*

## Kronika kulturalna

### Wspomnienie o Kazimierzu Ajdukiewiczu

(12.1890 — 12.4.1963)

Gdy 12 kwietnia odszedł od nas Kazimierz Ajdukiewicz, polska filozofia i polska nauka poniosły stratę niepowetowaną. Można o nim powiedzieć bez przesady, iż w życiu, na katedrze uniwersyteckiej i w swych pracach naukowych był chlubą i ozdobą polskiej kultury umysłowej.

„Zdrowie jego było bardzo kruche po przebytej chorobie”, pisał mój szanowny i zacny korespondent w kraju powiadamiając o śmierci Kazimierza Ajdukiewicza, „jednak nikt nie spodziewał się tak rychłej katastrofy”. Nie myślałem o niej gdy żegnałem się z profesorem w Londynie przed kilku miesiącami. Chociaż przebyta choroba pozostawiła widome ślady i profesor mówił o tym, że było to nasze ostatnie spotkanie, trudno było ten fakt zaakceptować, gdyż tak silnie kontrastował z młodością umysłu, żywością temperamentu i bystrym tokiem rozmowy, w której znalazło się również miejsce na plany przyszłej działalności.

Kazimierz Ajdukiewicz był uczniem Kazimierza Twardowskiego, założyciela szkoły lwowskiej i ojca nowoczesnej polskiej filozofii. Kazimierz Twardowski był znakomitym nauczycielem i wychowawcą i te zalety wpajał wszystkim, którzy pod jego kierownictwem zaprawiali się do działalności filozoficznej. Kazimierz Ajdukiewicz łączył wrodzony talent z umiejętnościami dydaktycznymi, z czego słyhał w młodszym pokoleniu studiującym filozofię w Polsce niepodległej w okresie między dwoma wojnami. We Lwowie, w Poznaniu i w Warszawie, gdzie kolejno wykładał, wykształcił licznych uczniów, którzy krzewią rzetelną wiedzę

na katedrach filozofii w polskich i zagranicznych uniwersytetach. Jest on również autorem licznych podręczników logiki i filozofii, jakie należą do najlepszych w polskiej literaturze przedmiotu. Wyróżniają się te podręczniki jasnością konstrukcji, precyzją aparatu pojęciowego, prostotą i dokładnością języka. Do swej działalności nauczycielskiej był bardzo przywiązany i wielką do niej przykładał wagę. Toteż było to dla niego bolesnym ciosem, a stratą dla uczącej się młodzieży, gdy z ukończeniem 70-go roku życia musiał przejść na emeryturę.

Wspólnie z Kazimierzem Twardowskim i Romanem Ingardenem redagował Kazimierz Ajdukiewicz czasopismo *Studia Philosophica*, w jakim ukazywały się artykuły polskich filozofów w jednym z języków o światowym zasięgu. Właśnie w *Studia Philosophica* ukazała się w niemieckim tłumaczeniu praca Alfreda Tarskiego *Der Wahrheitsbegriff in dem formalisierten Sprachen*. Obok słynnego artykułu Kurta Gödela o istnieniu również w elementarnych częściach arytmetyki twierdzeń nierozstrzygalnych, dzieło Tarskiego było chyba najświetniejszą publikacją logiczną lat trzydziestych, która ma zapewnione trwałe miejsce w historii nauki. Po zakończeniu wojny Ajdukiewicz wznowił wydawanie *Studia Philosophica* w Poznaniu, dokąd przeniósł się ze Lwowa, lecz został zmuszony do poniesienia tej działalności przez władze komunistyczne. Gdy w 1953 roku pod auspicjami Polskiej Akademii Nauk powstały *Studia Logica*, Kazimierz Ajdukiewicz został ich redaktorem. *Studia Logica* są jednym z trzech czasopism w całym świecie poświęconych wyłącznie logice formalnej i matematycznej oraz metodologii nauk. Pozostałe dwa czasopisma, *Journal of Symbolic Logic* oraz *Notre Dame Journal of Formal Logic*, ukazują się w Stanach Zjednoczonych. Gdy w 1955 roku powstała *International Union of the History and Philosophy of Science*, Kazimierz Ajdukiewicz został wybrany zastępcą przewodniczącego sekcji logiki, metodologii i filozofii nauki. Wybór ten stanowił jednocześnie wyraz uznania dla wkładu polskiego zespołu do postępu wiedzy logicznej oraz dla osobistych zasług Kazimierza Ajdukiewicza.

Przez całe życie w działalności Kazimierza Ajdukiewicza wątek nauczycielski i organizatorski spletał się z pracą myśliciela. W pierwszym okresie jego samodzielnej działalności naukowej zainteresowania czysto logiczne przeważały nad innymi. Z tego okresu pochodzi rozprawa habilitacyjna *Z metodologii nauk dedukcyjnych*, w której znaleźć można szereg nowatorskich pomysłów przyjętych przez naukę dopiero później (między innymi, strukturalna definicja pojęcia wynikania, do jakiej nawiązuje tzw. teorem dedukcji), rozprawa *Założenia logiki tradycyjnej*

oraz podręcznik *Główne zasady metodologii nauk i logiki formalnej*. Choć prace te odznaczają się świetnym opanowaniem aparatury i techniki logiki formalnej oraz torują drogę do formalizacji systemów dedukcyjnych, ich doniosłości nie należy się chyba dopatrywać w odkrywczosci formalno-logicznej, a w dociekaniach nad podstawami myślenia logicznego. W Ajdukiewiczu filozof brał górę nad logikiem, nawet gdy przedmiotem badań były zagadnienia logiczne. Ale był to filozof w nowoczesnym znaczeniu tego słowa, tzn. umysł pozostający w stosunkach zażyłej znajomości z nowoczesną logiką. Pod tym względem Ajdukiewicz, uczeń Twardowskiego osobiście z mistrzem związany, nie jest przedstawicielem szkoły lwowskiej, a wywodzącej się z niej nieco późniejszej formacji umysłowej, tzn. szkoły warszawskiej, której cechą charakterystyczną były intymne związki między logiką i filozofią.

„Filozoficzne boje z nominalizmem Stanisława Leśniewskiego i z reizmem lub konkretyzmem Tadeusza Kotarbińskiego skierowały zainteresowania Ajdukiewicza zdecydowanie w kierunku filozofii. Rozprawa *W sprawie uniwersaliów* oraz recenzja dzieła Kotarbińskiego *Elementy teorii poznania, logiki formalnej i metodologii nauk*, którą autor *Elementów* ceni wysoko a ówczesna młodzież filozoficzna przyjęła z podziwem, zawierają najbardziej przemyślaną i precyzyjną krytykę programu nominalistycznego w polskim języku. Starcie filozoficzne Ajdukiewicza z Kotarbińskim było pamiętne z innych jeszcze przyczyn. Wywarło ono potężne wrażenie na młodych umysłach, które uczyły się z niego jak należy prowadzić spór filozoficzny. Albowiem w filozoficznym starciu przeciwne sobie strony są jednocześnie partnerami we wspólnym przedsięwzięciu. Gdy obie strony walczą z błędem i wspólnie szukają najlepiej uzasadnionych poglądów, w sporze filozoficznym nie ma ani zwycięzców ani pokonanych.

Lata trzydzieste są okresem największych osiągnięć intelektualnych Kazimierza Ajdukiewicza. W tych latach napisał szereg znakomitych artykułów z zakresu teorii i filozofii języka — *O znaczeniu wyrażenia, Język i znaczenie, Obraz świata i aparatura pojęciowa, Naukowa perspektywa świata, O spójności syntaktycznej* — które zapewniły mu reputację międzynarodową. W tym samym okresie w artykułach *O stosowalności czystej logiki do zagadnień filozoficznych* i *Problemat transcendentnego idealizmu* położył podwaliny pod swą semantyczną epistemologię. Do zagadnień teorii poznania powrócił w okresie powojennym w znakomitej rozprawie. *Epistemologia i semantyka*.

Lata powojenne są okresem dojrzałości i zbierania owoców lat wytężonej pracy nauczycielskiej i filozoficznej. Artykuły ogło-

szone po wojnie budzą podziw nie tylko swą liczbą i rozległym zakresem tematycznym, ale również techniczną wytrawnością, oryginalnością pomysłów i zapleczem zawartych w nich przemysłań. Oprócz wspomnianych prac z dziedziny epistemologii Kazimierz Ajdukiewicz ogłasza rozprawy analizujące stosunek logiki do doświadczenia i metodologii do metanauki; reformuje klasyfikację rozumowań wywodzącą się od Jana Łukasiewicza; snuje dociekania nad pojęciem definicji i zdania analitycznego; wreszcie odkrywa nowy zupełnie przedmiot zainteresowania — zawodne sposoby wnioskowania, to znaczy, wnioskowania które nie są szczególnym przypadkiem lub podstawieniem logicznie uznanych formalnych schematów rozumowania. Tężyzna umysłu i intelektualne nowatorstwo, techniczna perfekcja w posługiwaniu się narzędziami myślenia i zdolność dostrzegania istotnych zagadnień, stanowiły wielką atrakcję dla młodzieży studiującej i zapewniły mu wielki wpływ na młode umysły. Łącząc mądrość i doświadczenie, jakie wiek przynosi, z nieprzerwaną bujnością intelektualnego życia.

Ale z wiadomych przyczyn lata powojenne przyniosły również ciężkie próby i nowy rodzaj odpowiedzialności. Przyszłość życia umysłowego w kraju została poważnie zagrożona przez fanatyzm i obskurantyzm. Kazimierz Ajdukiewicz wywiązał się z nowych zadań jakie stanęły przed nim, jako uczonym wielkiego formatu i człowiekiem obdarzonym powszechnym autorytetem, z godnością, z filozoficznym umiarem i również z niezwykłą skutecznością. Zaczniemy od tego, iż jego artykuł *Zmiana i sprzeczność*, ogłoszony w *Myśli Współczesnej* w 1948 roku, z czasem zmienił całkowicie oblicze filozofii marksistowsko-leninowskiej w kraju i okazał się publikacją filozoficzną, która wywarła i wywiera doniosły i głęboki wpływ na rozwój filozofii sowieckiej. Z tego punktu widzenia można zaryzykować twierdzenie, iż ta rozprawa należy do najważniejszych publikacji ogłoszonych poza granicami Związku Sowieckiego. Na okres największego nasilenia stalinizmu przypada publiczna rozprawa między Kazimierzem Ajdukiewiczem a przywódcą frontu oficjalnej filozofii, w której przedmiotem sporu była na pozór filozofia semantyczna, a w rzeczywistości po prostu filozofia oraz prawa do samodzielnego i logicznego myślenia, jakie chciano podporządkować dogmatowi i doktrynie. W tym starciu zabłysły wszystkie talenty umysłu i zalety charakteru Kazimierza Ajdukiewicza, a charakteru trzeba było wówczas sporo, by stawić czoła naporowi terrorakcji. Aby zrozumieć przebieg tego starcia, trzeba przypomnieć to, co o Ajdukiewiczu powiedział kiedyś Kotarbiński. „Wystarczało wdać się w dyskusję z nim, aby człękowi

odeszła chęćka wypowiedania sądów niedość pogłębionych". Atakujący nie mógł podołać analitycznej przenikliwości i rzeczowej trafności Ajdukiewicza i szybko sam się znalazł w defensywie. Na starciu z Ajdukiewiczem marksizm-leninizm zyskał ogromnie, gdyż wyszedł z niego ucywilizowany oraz przekonany o konieczności, jaką miał niebawem urzeczywistnić, zrewidowania własnych przesłanek i metod myślenia.

Wreszcie trzeba przypomnieć piękny artykuł *O wolności nauki*, po raz pierwszy ogłoszony w 1946 roku i po raz drugi, w wersji ulepszonej, jedenaście lat później. Artykuł ten pozostanie w naszej literaturze klasyczną wypowiedzią uzasadniającą potrzebę wolności nauki. Będą do niego sięgać przyszłe pokolenia, by czerpać z niego siłę przekonania i umiejętność racjonalnej obrony tej wielkiej społecznej wartości.

Kazimierz Ajdukiewicz pozostawia nauce polskiej piękne naukowe dziedzictwo. Pozostawia nade wszystko wzór swego życia, który łączy cnoty prawego człowieka i obywatela z osiągnięciami myśliciela i nauczyciela. Poprzez jego uczniów na katedrach polskich uniwersytetów przemawiać będzie jego głos do tych, którzy go nie znali uświadamiając im najgłębsze wartości intelektualne i budząc w nich ambicje najszczytniejsze.

Zbigniew A. JORDAN

## Egzegeza " Piłsudskiego " Lechonia

Według powszechnie znanych opowiadań, po pierwszym przedstawieniu „Wesela” Kraków nie wiedział co myśleć. Boy świadczy, że we wrażeniach na plan pierwszy wybiły się elementy osobistoplotkarskie: Rydel, panny Pareńskie itd. Jeden z recenzentów teatralnych uwieńczył swe sprawozdanie słynnym frazesem: „Ochoczy oberek zakończył udaną całość”. I dopiero redaktor „Czasu” Rudolf Starzewski, w szeregu felietonów wyjaśnił ile w tej sztuce mieściło się historiozofii oraz ile zrywu polityczno-propagandowego.

„Wesele” jest oczywiście klejnotem, arcydziełem literatury polskiej ale znów „Piłsudski” jest także klejnotem i arcydzie-

łem poezji Lechonia. Jest to najpiękniejszy utwór tego genialnego pisarza. Toteż powyższe zestawienie z „Weselem” jest jak najbardziej właściwe.

Wiersz o „Piłsudskim” deklamowano na wszelkich obchodach i uroczystościach w całej Polsce. Pokolenie moich córek zna ten wiersz doskonale, o wiele nawet lepiej niż moje pokolenie, niż nawet renomowani piłsudscy. Sądzę, że redakcja „Kultury” nie będzie miała nic przeciwko temu, że wiersz ten przed jego omówieniem w całości przytoczę. Dużo ludzi po różnych Patagoniach, Australiach i innych miejscach, w których zagnało ich to że Beck nie raczył zastosować się do politycznych wskazówek Piłsudskiego, przeczyta ten wiersz w całości i kto wie, może zapłaczę. To zresztą, co nam pozostało i z czym jeszcze najbardziej nam do twarzy.

Ale deklamując i ucząc się na pamięć nie wniano w treść tego wiersza. Sam Lechoń nigdy go nie interpretował — przynajmniej do mnie i do wszystkich ludzi w moim wieku, których się o to pytałem, interpretacje takie nie doszły. Wiersz jest przepiękny i to ludziskom wystarczało. Nie żądamy interpretacji myślowej w stosunku do mazurków Szopena, którym jednak przypisujemy intencje i tęsknoty patriotycznie polskie. Nie pytamy się o treść rozumową ani kobierca perskiego, zachwycającego nas połączeniem swych barw, ani witrażu średniowiecznego przez harmonijne połączenie kolorów przepuszczającego słońce. Wiersz „Piłsudski” miał coś z muzyki Szopena i kolorów witrażu. Słyszeliśmy dźwięk klawiszy nie pytaliśmy się o polityczną wykładnię.

I oto, dopiero teraz, przyszło mi do głowy, że przecież ten wiersz to chronologicznie ujęta historia Piłsudskiego. Niepełna, niezupełna, ale jednak to uświadomienie odtworzenia nastrojów z czasu jego politycznej działalności, znanej autorowi w chwili napisania wiersza. Mam przed sobą wydanie z roku 1922.

„Czarna Rachel w czerwonym idzie szalu drżąca  
I gałęzie choiny potrąca idąca —  
Nikogo nie chce budzić swej sukni szelestem,  
I idzie wprzód jak senna, z rąk tragicznym gestem,  
I wzrokiem, błędnym wzrokiem gasi mgieł welony,  
I świt się robi naraz. I staje złękniiony.  
Pobladłe Robespierre, cisi, smutni, czarni,  
Wychodząc z hukami drzwiami trzasnęli kawiarni.  
Na rogach ulic piszą straszną ręką krwawą,  
Uśmiechają się dziwnie i giną na prawo.  
Tylko słysząc nóg tupot na ulicy pustej.  
I szept cichy. Trup jakiś z zbielełymi usty.

I gdzie kończy muzyka jakiś bal spóźniony.  
 Pod lila abazurem mrugają lampiony.  
 Białych sukni w nieładzie senność, ciepło, zmiętość,  
 I piersi, krągłych piersi obnażona świętość,  
 I mazur, biały mazur w oglupiałej sali:  
 Dziś, dziś, dziś. Wieś zaciszna i sznury korali.  
 Roztańczyła się sala tęgim nóg tupotem,  
 Hołubce o podłogę walą, biją grzmotem,  
 Białe panny i panny niebieskie, różowe  
 Przelotnie, a zalotnie przechylają głowę  
 I mówią czarnym frakom: „Przyjdźcie do nas jutro!”  
 I podają im usta za podane futro.

A kiedy świt różowy przez żaluzje wnika,  
 Dla siebie, nie dla gości, gra jeszcze muzyka.  
 Menuetem się cichym wiolonczela żali,  
 I białe margrabiny przychodzą z oddali.  
 Na liliowych oparach sptywają bez słowa,  
 I pannier rozłożyła markiza liliowa.  
 Kawaler poszedł bladej. Pani tańczyć każe!  
 I tańczą hafty, sprzączki, koronki, piiumaże.

A w klarnet, flet i skrzypce, w ukłony margrabin  
 Czerwoną, rozwichrzoną wpada nutą Skriabin.  
 Drze ciszę dysonansem, wali w okienice.  
 Muzykę wyprowadza przed dom, na ulicę,  
 Na place rozkrzyczane w potępieńcze ryki,  
 I rzuca w twarz akordom zgłodniałe okrzyki,  
 Na ziemię je obalił i kopie z rozpaczą:  
 Otworzyć wszystkie okna! Niech ludzie zobaczą!  
 Wielkimi ulicami morze głów urasta,  
 I czujesz, że rozpękną ulice się miasta,  
 Że Bogu się jak groźba położą przed tronem  
 I krzykną wielką ciszą... lub głosów milionem.  
 A teraz tylko czasem kobieta zapłacze —

.....  
 Aż nagle na katedrze zagrali trębacze!!  
 .....

Mariackim zrazu cicho śpiewają kurantem,  
 A później, później bielą, później amarantem,  
 Później dzielą się bielą i krwią i szaleństwem  
 Wyrzucają z trąb radość i miłość z przekleństwem  
 I dławią się wzruszeniem i płakać nie mogą,  
 I nie chrypią, lecz sypią w tłum radosną trwogą —

A raneek. Mroźny raneek sypie w oczy świtem.  
 A konie? Konie walą o ziemię kopytem.  
 Konnica ma rabaty pełne galanterii.  
 Lansjerzy bohaterzy. Czołem kawalerii.  
 Hej, kwiaty na armaty! Żołnierzom do dłoni!  
 Katedra oszalała! Ze wszystkich sił dzwoni.  
 Księża idą z katedry w czerwieni i złocie.  
 Białe kwiaty padają pod stopy piechocie.  
 Szeregi za szeregiem! Sztandary! Sztandary!  
 .....  
 A on mówić nie może! Mundur na nim szary.

Zacznijmy teraz naszą egzegezę.

Wiersz zaczyna się od wspomnienia Racheli, jako postaci z „Wesela”. Działalność Piłsudskiego, jego program niepodległościowy powstał przed wystawieniem „Wesela” w teatrze krakowskim w 1900 r. Ale Piłsudski działał w ograniczonym kole inteligenckim z Litwy i Królestwa, częściowo na emigracji w Londynie. Wpływ jego ideologii politycznej był bardzo mały, nie należy przesadzać ilości kółek robotniczych, które działały w Królestwie, w Warszawie i Łodzi. „Wesele” natomiast nadało zrywowi ku niepodległości rozgłos wśród całej polskiej inteligencji. Niewątpliwie zrobiło więcej, niż wszystkie „Przedświt” i inne socjalistyczne prasowe efemerydy razem wzięte. Zresztą Lechoń sam jest poetą, literatem. Nic dziwnego, że datuje procesy polityczne od chwili, kiedy przeświecił je promienie wielkiej poezji.

A więc pierwsze zdanie w wierszu „Piłsudski” związane jest z „Weselem”, to jest wydarzeniem, które można uważać za proklamację programu Piłsudskiego. Zaraz jednak przychodzi zdanie: „I gałęzie choiny potrąca idąca”. Dlaczego właśnie choiny? W „Weselu” nie figurują żadne choiny. Oczywiście powołanie się na choiny to nastroj Zakopanego, secesy, nastrój tych sfer artystycznych, bohemiastycznych, które otaczały Wyspiańskiego i poniekąd stanowiły jakiś łącznik ze środowiskiem Piłsudskiego. „Budzi mgieł welony” i „świt się robi naraz” to już przekształcenie nastrojów literackich w czyn polityczny. Oczywiście, że działalność PPS a później Frakcji Rewolucyjnej PPS, bojówek Piłsudskiego, które uruchomił do walki z caratem za czasów pierwszej rewolucji rosyjskiej, za czasów wojny z Japończykami, manifestacji na placu Grzybowskim itd, czerpie swe moralne, uczuciowe, poetyczne podniety w nastrojach tworzonych przez „Wesele” Wyspiańskiego. Mamy więc już trzy symbole w ustępie pierwszym wiersza o Piłsudskim, a więc Rachel, czyli samo „Wesele”, „choina” czyli atmosfera secesji,

czy jak kto woli Młodej Polski i wreszcie „świt” czyli przystąpienie do bojowych manifestacji na ulicach.

Całą tą ówczesną działalność bojową zbywa poeta w sposób raczej epizodyczny: „Poblądle Robespierre cisi, smutni, czarni — wychodząc z hukiem drzwiami trzasnęli kawiarni”. W tych słowach mieści się jakiś zgrzyt satyry. W każdym razie to nie jest upojenie i triumf, który panuje nad liniami ostatniego ustępu tego wiersza. Zgrzyt satyry... Tak. „Kawiarni”. Przecież wiadomo, że zarówno literatura tego okresu, jak polityczni bojowcy tego czasu zasiadywali się w kawiarniach. Kiedyś, już po śmierci Piłsudskiego, w kłótni ze starymi legionistami zawałem: „z kawiarni wyszłicie i do kawiarni wróćcie”. Niestety było trochę wizji proroczej w tej zapalczowości. Czy nie można by satyrycznie i symbolicznie wykrzyknąć: „Od Michalika do Daquise” — Michalik była to kawiarnia w Krakowie, do której chadzał sztab PPS i jej Organizacji Bojowej, kawiarnia pełna chwały artystycznej polskiej, a Daquise to kawiarnia na South Kensington w ponurym Londynie, w której się jeszcze chroniły rozbitki i rozważały o czasach przeszłych. W każdym razie w epoce, w której PPS i jej bojowa organizacja odgrywały wielką rolę trzaskano głośno drzwiami kawiarni.

Bilans jednak tej epoki Lechoń pomimo swej niewątpliwiej sympatii do tych czasów i tego ruchu wywodzi dość skromnie. „Piszą straszną ręką krwawą — uśmiechają się dziwnie i giną na prawo”. Czyżby tu chodziło o przypomnienie, że wielu socjalistycznych bojowców tej epoki łątko się „burżujowało”, odchodziło od życia wzniosłego do sztuki mięsa i zajęcia z buraczkami. „nóg tupot na ulicy puste”, „Szept cichy” Ten nóg tupot, to tupot wojska, piechoty, kozaków i policji rosyjskiej, która rozpedza manifestacje polityczne i maszeruje po pustych ulicach Warszawy, bo obywatele pochowali się po domach w obawie strzałów, aresztowań i innych tego rodzaju nieprzyjemności.

„Trup jakiś ze zbielełymi ustami” Zdanie jednocześnie litościwe, współczujące z tym trupem, ale nie masy, nie gromady, nie mnóstwa ludzi, a tylko „trup jakiś” odosobniony. Pierwsza walka Piłsudskiego z caratem jest przegrana.

Nie można z tego wnioskować, aby poeta w tych czasach nie miał uwielbienia i miłości do Piłsudskiego. Wiemy jednak wszyscy, że w tej bojowej epoce autorytet Piłsudskiego, aczkolwiek bardzo duży, nie może być obciążany całkowitą odpowiedzialnością za bieg wypadków. Towarzysze Piłsudskiego są wtedy jeszcze jego towarzyszami, a nie podkomendnymi. Zresztą tak czy inaczej: pierwszym po „Weselnym” zrywem niepodległościowym były wydarzenia w latach 1904-1906 i przyniosły zwycięstwo

policji rosyjskiej. Mnie pozostaje tylko stwierdzić, że Lechoń w ustępie pierwszym swego wiersza szkicuje nastrojowo czasy od premiery „Wesela” do manifestacji na placu Grzybowski.

Teraz ustęp drugi. Charakterystycznymi dla niego będą słowa w nim wypowiedziane: „Wieś zaciszna i sznury koralu”. Już Już Wyspiański w „Weselu” mówi: „byle polska wieś zaciszna, byle wieś spokojna”. Niewątpliwie w tym drugim ustępie poeta opowiada, że Polacy zamiast zrywu niepodległościowego woleli tańczyć. Zresztą taniec jest pięknym i wspinałością Polski. „I mazur, biały mazur w ogłupiającej sali. Dziś, dziś, dziś...”. Ta rzeczywistość polskiego beztróskiego balu. „I podają im usta za podane futro”. Jakże ta polska zaciszność, w której słychać było hołubce mazura była piękna i szczęśliwa. Cóż za różnica z dzisiejszą rzeczywistością! Pewien rotmistrz, za młodych czasów członek patriotycznych kółek polskich w gimnazjum carskim, za czasów kiedy drugi korpus Andersa był we Włoszech, mawiał: „gdyby Mikołaj II wrócił, wszystkie kasztany na cerkiew bym oddał” — I nie na kościół, lecz na cerkiew. Tutaj objaśnienie dla potomności: kasztanami nazywano wówczas złote monety, które szmuglowali z kraju Faruka do oswabdzanych Włoch oficerowie angielscy, a za ich przykładem niektórzy, wyjątkowi Polacy.

Teraz ustęp trzeci: „Dla siebie nie dla gości gra jeszcze muzyka”. — Cały ten ustęp to czasy literackie, porewolucyjne, kiedy literatura polska odwiedzała Parnas, kiedy nie interesowała się walkami politycznymi w Polsce. Lechoń widzi artystyczne piękno tego pięknoduchostwa. Ale jak widać z ustępu następnego obawia się, że ideowa pustka jest niebezpieczna, ułatwia energiczne uderzenie, obcy nacisk.

„Czerwoną rozwichrzoną nutą wpada Skriabin” „rzuca w twarz akordom zgłodniałe okrzyki” to oczywiście druga rewolucja rosyjska.

„Aż nagle na katedrze zagrali trębacz”. —

To zaczyna się gloria, zwycięstwo Piłsudskiego, przywrócenie niepodległości. Lechoń jest oczywiście tradycjonalistą, ośmielił się twierdzić, że przez całe życie swoje Lechoń był poświadomym konserwatystą, takim właśnie od Piłsudskiego, wznoszącego toast w Nieświeżu ze słowami: „To zamczysko”. Dlatego w jego głowie Piłsudskiego biorą udział dwa elementy; kościół i wojsko. Można powiedzieć, że w tym ostatnim ustępie geniusz Lechonia rozszalał się w swoich artystycznych możliwościach.

Wiersz „Piłsudski” to najpiękniejszy poemat polski w XX wieku.

## Komunikaty

### SUKCES POLSKICH KOMPOZYTORÓW

W dniach 14-26 maja odbył się w Monaco konkurs kompozytorski im. ks. Rainiera III na który nadesłano z 38 krajów — 319 partytur. Konkurs obejmował trzy działy: muzykę sceniczną (opery i balety), na który nadesłano 52 prace; muzykę symfoniczną (133 prace) i muzykę kameralną (134 prace).

W jury zasiadło 11 muzyków: Georges Auric (przewodniczący), Nadia Boulanger i Roland Manuel (Francja), Dag Wiren (Szwecja), Vagn Holmboe (Dania), Lennox Berkeley (Wielka Brytania), Conrad Beck (Szwajcaria), Zygmunt Mycielski (Polska), Virgilio Mortari (Włochy), Gail Kubik (USA) i Wolfgang Fortner (Niemcy).

Nagrody imienia ks. Monaco uzyskali:

w *dziale symfonicznym* — Andrzej Panufnik, zamieszkały w Londynie za „Sinfonia Sacra”, 10.000 F.

w *dziale kameralnym* — Kyoko Nukada, zamieszkały w Tokio — za kwartet smyczkowy, 5.000 F.;

w *dziale scenicznym* przyznano dwa „wyróżnienia specjalne” (men-tions spéciales). Uzyskali je:

Witold Rudziński za „Odprawę posłów greckich” do tekstu J. Kochanowskiego, 20.000 F. i Augustyn Bloch za balet pt. „Oczekiwanie”, 10.000 F. — obydwaj zamieszkali w Warszawie. W ten sposób została podzielona przez ks. Monaco nagroda 30.000 F., przypadająca w myśl regulaminu konkursu w tym dziale.

W wywiadzie udzielonym p. Paul Deila w Monte Carlo, Andrzej Panufnik tak się wyraził o swoim dziele:

„Sinfonia Sacra” została ukończona w 1963 r. Składa się ona z pięciu części i końcowego hymnu. Pobudką twórczą do napisania tego dzieła było milenium Państwa Polskiego i wprowadzenie chrześcijaństwa, kościoła katolickiego, do kraju z którego pochodzę. Obecnie jestem obywatelem brytyjskim i mieszkam w Londynie...

...W każdej części tej symfonii dominuje pewna grupa instrumentów. W pierwszej trąbki, w drugiej instrumenty smyczkowe, w trzeciej perkusja, w czwartej drzewo, w piątej wszystkie grupy się łączą. W hymnie orkiestra gra od pianissimo do fortissimo. Temat muzyczny tego hymnu zaczerpnięty jest ze starej polskiej modlitwy, która, zdaje się, pochodzi z czasów średniowiecznych. Jest to modlitwa do Matki Boskiej, o charakterze gregoriańskim.

O dwu pozostałych nagrodzonych w Monte Carlo dziełach brak nam na razie bliższych danych.

Jest bardzo charakterystyczne, że prasa krajowa podała bardzo lakoniczny komunikat o nagrodach — *nie wymieniając Andrzeja Panufnika*.

Ostatnio Polacy otrzymali dalsze dwie nagrody muzyczne, mianowicie nagrody „Tribune des compositeurs” — wybór rębony był w paryskim radio, w dziale muzycznym. Na około stu nadesłanych dzieł wybrano w tym roku trzy, w tym dwa polskie: Bairda i Twardowskiego.

### Z DZIAŁALNOŚCI „KONTYNETÓW”

#### TEILHARD DE CHARDIN

Pragnąc zaznajomić czytelnika polskiego z postacią francuskiego uczonego Teilharda de Chardin, którego wizja wszechświata w ewolucji stanowi bodajże najdonioślejszy przełom w myśli współczesnej, będąc próbą pogodzenia nauki o ewolucji z doktryną chrześcijańską — *Kontynenty* poświęcają genialnemu jezuitcie podwójny numer lipiec-sierpień. Autorami artykułów i materiałów bogato ilustrowanych są Ewa Gierat (N. Jork), Anna Morawska (Kraków) i Jeremi Malczewski (Francja). Cena numeru wynosi 3 szyl. lub 50 cent. Zamawiać: *Kontynenty*, 32 Victoria Crescent, London, S.E. 19.

#### NAGRODA POETYCKA

Dla uczczenia pamięci zmarłej młodo poetki Zofii Polkowskiej Szkaradzińskiej, matka jej, p. Maria Polkowska, ufundowała nagrodę w wysokości £ 50 dla poety do lat 29. Redakcja *Kontynentów* ogłasza więc konkurs na utwory poetyckie (drukowane i nie drukowane) w objętości ok. 1 arkusza, które należy przesłać do 1 października na adres: F. Śmieja, 32 Victoria Crescent, London S.E. 19. Do Jury konkursu weszli: Czesław Bednarczyk, Jan Darowski, Maria Polkowska, Michał Sambor i Florian Śmieja.

#### FLET I APOKALIPSA

##### Subskrypcja z premią

Nowa książka Aleksandra Janty ukaże się jeszcze w ciągu bieżącego roku drukiem Oficyny Poetów i Malarzy w Londynie. Okazały i piękny ten tom zawierać będzie cykl opowiadań — przekrój literackiego dorobku lat powojennych — a zarazem rozległą panoramę świata i czasu w jakim przypadło nam żyć.

W przedpłacie książka „Flet i Apokalipsa” kosztować będzie w Stanach Zjednoczonych, w Kanadzie i w Ameryce Południowej \$ 5.00 lub równowartość, płatnych na Polish Institute, 59 East 66th Street, New York 21, N.Y. — w Europie i innych częściach świata, poza Ameryką, 35s. lub równowartość, płatnych na „Wiadomości”, 67 Great Russel St., London W.C.1.

Po ukazaniu się cena książki będzie wynosiła \$ 6.50, 45 s. lub równowartość.

Wszystkim, którzy zamówią „Flet i Apokalipsę”, przekazując należność pod jednym z wskazanych adresów, przesłany zostanie *bezpłatnie*



najdalej w ciągu jednego miesiąca, *niesprzedany* egzemplarz specjalnego wydania sztuki Aleksandra Janty pt. *Linia Podziału*.

Ten tekst ukaże się staraniem Oficyny Poetów i Malarzy w pięknej szacie typograficznej, w nakładzie ograniczonym, każdy egzemplarz numerowany. Cały nakład — z wyjątkiem egzemplarzy bibliotecznych i prasowych — zarezerwowany będzie wyłącznie dla przedpłacicieli „Fletu i Apokalipsy”.

## BIOGRAFIA J. PIŁSUDSKIEGO

Komitet Wydawniczy Biografii Józefa Piłsudskiego piera Wł. Pobóg-Malinowskiego zawiadamia subskrybentów, że zamierzone przez Komitet wydawnictwo biografii Marszałka Józefa Piłsudskiego, poparte przez licznych subskrybentów, niestety nie może być doprowadzone do końca w zamierzonej formie.

Ambitny zamiar autora dania wyczerpującego dzieła biograficznego — przerwała śmierć. Wieloletnia uporczywa walka z nieuleczalną chorobą opóźniła ustalane terminy. Tym niemniej Wł. Pobóg-Malinowski, który całe swe życie poświęcił poszukiwaniu prawdy historycznej najnowszych dziejów Polski, a w nich w pierwszym rzędzie naświetleniu postaci Józefa Piłsudskiego i ustaleniu Jego roli i działania w walce o niepodległość i tworzenie Państwa — przepracował, opierając się na obfitej dokumentacji i licznych pracach i oddał do dyspozycji Komitetu część swej pracy obejmującą okres dzieciństwa, lat młodzieńczych, zesłania na Syberię, prac w P.P.S., budowy podstaw ideowych do walki o niepodległość, rewolucji 1905 roku i przygotowawczych prac tworzenia Związku Walki Czynnej. Praca ta zawiera szereg nie znanych i uprzednio nie publikowanych szczegółów.

Komitet postanowił pracę autora — przerwana przez Jego śmierć. opublikować w granicach opracowanego materiału. Zdajemy sobie sprawę, że nie dotrzymujemy pierwotnej obietnicy, dania subskrybentom całości biografii Józefa Piłsudskiego. Jesteśmy jednak przekonani, że to, co do rąk subskrybentów oddamy jest odpowiedzialną pracą sumiennego historyka, poważnym wkładem do najnowszej historii Polski i pełnym obrazem życia i działania Józefa Piłsudskiego w przedstawionym okresie.

Komitet Wydawniczy przewiduje dołączenie do pracy Wł. Pobóg-Malinowskiego przygotowane przez Niego najważniejsze dokumenty stanowiące zasadnicze momenty działania Józefa Piłsudskiego po okresie przez Autora przedstawionym, a sięgającym po kres życia Wielkiego Marszałka.

Mamy głęboką nadzieję, że subskrybenci, rozumiejąc powody zmiany pierwotnego planu i trudności stąd wynikłe — zaakceptują stanowisko Komitetu i przyjmą książkę, której wartość na pewno ocenią pozytywnie.

Komitet spodziewa się zakończenia tych prac i wysłania książki subskrybentom w pierwszych miesiącach 1964 roku.

## Książki

### Z zeszytu lektury

#### Rozpoznanie bólu

*Prix International de Litterature* otrzymał w tym roku na wyspie Korfu (gdzie areopag trzynastu wydawców i ich doradców przeniósł się z Formentor) siedemdziesięcioletni pisarz włoski Carlo Emilio Gadda za niedokończoną powieść *La cognizione del dolore* (Einaudi, Turyn 1963).

Gadda czyli *un capitolo a sé*, rozdział dla siebie. Przez lata doceniany we własnym kraju jedynie w szczupłym gronie *aficionados*, nieczytelny dla szerszej publiczności i całkowicie nieznamy zagranicą, dziś przeżywa spóźniony renesans. W ubiegłym roku wznowiono we Włoszech niemal wszystko co napisał, a jego najtrudniejsza (językowo) powieść *Quer pasticciaccio brutto de via Merulana* doczekała się nareszcie tłumaczeń we Francji, w Niemczech i w Jugosławii. Nikt jednak nie wznowił mu już młodości, strawionej między pracą zawodową inżyniera-elektrotechnika i dojutrkowaniem na marginesie literatury „oficjalnej”. I upłynie jeszcze zapewne sporo czasu, zanim wydobędzie go się z kręgu bałwochwalczego tańca „wtajemniczonych”, których zasługi, choć bezsporne, gubią się w mało wymiernych jednostkach hermetyzmu. Przekleństwo egzegetów, tracących powoli głowy z miłości do własnych komentarzy!

Także *Rozpoznanie bólu* (przekład niezupełnie ścisły, ale „rozpoznanie” przylega tu najlepiej) jest wznowieniem: Gadda drukował je w latach 1938-1941 na łamach nieistniejącego już czasopisma *Letteratura*. Powieść urywa się nagle po pierwszych paru

rozdziałach drugiej części: według samego autora „katastroficzne plagi które Europa poznała w latach 1939-1945, i które umysły mniej szalone powinny były przewidzieć już w latach 1934-1938, zmąciły do tego stopnia ducha piszącego, że krok po kroku uniemożliwiły mu uprawianie jakiegokolwiek prozy”. Jest to więc kadłub. Ale i w tej formie pozostanie przypuszczalnie *opus magnum* Gaddy, tak sugestywnym, że nawet czytelnik za słabo wprowadzony w sekrety oszałamiająco bogatej ekstrawagancji leksykalnej pisarza mediolańskiego (dialektalnej, historycznej i oryginalnie słowotwórczej) — a w tym położeniu znajduje się autor niniejszej noty — zamknie książkę z uczuciem euforii, jakiego doznaje się czasem w obliczu obrazu który uderza natychmiast, nim zaczęło się smakować i rozplątywać szczegóły. I niezależnie od nich.

Nazywają Gaddę, i on sam siebie nazywa, pisarzem „barokowym”. Etykieta wyjaśniona jest w przedmowie do *Rozpoznania bólu*: „Barok i groteska tkwią w rzeczywistości, w poszczególnych odkryciach zewnętrznej wobec nas fenomenologii... Barok i groteska zależne nie od świadomej woli lub tendencji ekspresyjnej autora, lecz związane z naturą i historią... Toteż okrzyk: barokowy jest Gadda! można by zastąpić bardziej rozsądnym i spokojnym twierdzeniem: barokowy jest świat, a Gadda uchwycił i odtworzył jego barokowość”. Subiektywna deformacja nie ma tu nic do rzeczy. Jest to barok przedmiotowy: świat zobaczony *obiektywnie* w gąszczu linii, w nieprzystomnej i rozrzuconej erupcji form. A także — bezsensownej: stąd niestanna groteskowość, podglądanie uniwersalnego „kretynizmu”. Z jakich pozycji? Klasycznego i wyważonego narratora. Styl żłobi sobie dwa łożyska i płynie nimi to równolegle, to łącząc się w nagłych zderzeniach fal. Z jednej strony nurt prozy gęstej, litej, ciężkiej jak roztopiony ołów, lecz krystalicznie czystej; z drugiej — bulgotanie wrzątku wulkanicznego, wielokształtne wzdęcia baniek, wytryski podziemnych gejzerów, kłęby pary układające się na wietrze w najbardziej fantastyczne figury. A zatem dwa języki: „auliczny”, potoczny, nieskazitelnie gładki; i inkrustowany bez końca coraz nowymi pomysłami i wariantami lingwistycznymi.

Historia dzieje się między wojnami w imaginacyjnym kraju Południowej Ameryki (gdzie Gadda przeniósł swoją rodzinną Lombardię). Bohater, inżynier Gonzalo Pirobutirro d'Eltino (w którym Gadda sportretował samego siebie), pogrąża się z roku na rok w nieuchwytnym bólu. Rozpacz po stracie ukochanego brata? „Niewidzialna choroba” cierpienia i samoudręki, zagnieżdżona w sercu od najwcześniejszego dzieciństwa? Nieodstępny

cień śmierci, „tej śmierci która nadchodzi z niczego, otoczona milczeniem jak ostatnią niemą kombinacją myśli”? Wszystko razem. Ale jego prawdziwe piekło — jakby powiedział Sartre — to są inni. „Smutny Gonzalo” nienawidzi świata i ludzi. Nie oszczędza nawet starej matki, zakochanej w rodzinnej willi obsesyjną miłością „posiadania” (jego stosunek do matki ma jednak również w sobie coś z edypowskiej fascynacji). Stoi oko w oko ze światem, patrzy nań nie zmrężając powiek, widzi dokoła orgię „idiotyzmu” i „szaleństwa”, chłoscze ją „barokowymi” inwektywami. „Obłąd interpretacyjny rzeczywistości” (znany w psychologii)? Patologiczne majaczenie mizantropa? Nie. „Wyspółecznienie” Gonzala jest niczym wobec „wyspółecznienia” innych: wobec błazeńskich podrygów świata zaludnionego przez imbecylów. On sam występuje w roli krytyka i zarazem ofiary; i „gasnącą wolę życia” podsyca dwoma specyfikami z „farmakologii prawdy”: samotnością i milczeniem.

Powiedzieć „historia dzieje się” jest przesadą. Nic się chwilowo na dwustu stronicach powieści nie dzieje z wyjątkiem ciągłych prób „rozpoznania bólu”. Na planie „uniwersalnym” udaje się to często, w niepojęty sposób, wybornie: takiego szyderczego, wściekłego i desperackiego śmiechu pod adresem świata nie słyszeliśmy w literaturze od dawna. Ale w kadłubie napoczęty jest ledwie pomysł, który w skończonej postaci mógłby być z Gaddy uczynić autora wielkiej książki, a *Rozpoznanie bólu* postawić obok *Człowieka bez właściwości* Musila. Chodzi o *Nistituos de vigilancia para la noche*, organizację nocnej straży ochronnej, której opiekę Gonzalo odrzuca mimo błagań matki i nacisków otoczenia. W tym groteskowym epizodzie tkwi, niestety tylko *in nuce*, zarys metafory międzywojennej burżuazji włoskiej, kapitulującej w złudnym poszukiwaniu bezpieczeństwa przed „ochronnymi” bojówkami faszystowskimi. Podobnie jak *Akcja Równoległa* w musilowskiej *kaiser-königlich* Kakanii, *Nistituos* w gaddowskim Maradagalu miały przypuszczalnie dać skrót epoki i powiązać „uniwersalne” z „historycznym”. Znamy planowany przez pisarza dalszy ciąg: Gonzalo opuszcza matkę, która w samotności zgadza się na opiekę straży nocnych; pewnej nocy willa zostaje zaatakowana i splądrowana właśnie przez powołanych do czuwania strażników; stara kobieta ginie ze straszliwym podejrzeniem w sercu, że organizatorem najścia był jej własny „smutny syn” Gonzalo. Przy takim epilogu osąd świata zamieniłby się w samoosąd sędziego, a „rozpoznanie bólu” stałoby się (na planie „historycznym”) rozpoznaniem współodpowiedzialności. I powieść Gaddy zyskałaby nowy wymiar najodważniejszego włoskiego rozrachunku z przeszłością.

Kult *phallusa*

W doskonałej książce Egon Naganowskiego o twórczości Joyce'a (*Telemach w labiryncie świata*, Warszawa 1962) znajduję taką opinię autora *Ulyssesa o Kochanku Lady Chatterley*: „Przeczytałem dwie pierwsze strony tego utworu pisanego wulgarną, niechlujną angielszczyzną i będącego propagandą czegoś, co poza ojczyzną D.H. Lawrence'a nie wymaga żadnej reklamy”. Można się co prawda spierać o „wulgarną i niechlujną angielszczyznę” *Kochanka*, można wątpić czy „dwie pierwsze strony tego utworu” wystarczają do wyrobienia sobie tak kategorycznego sądu o całości, ale trudno zaprzeczyć że druga część zdania Joyce'a zachowała po trzydziestu przeszło latach uderzającą trafność. Trzeba ją tylko uzupełnić: Lawrence'owi szło o coś więcej niż „reklamę”; propagowanie kultu *phallusa* uważał za swoje najszczytniejsze posłannictwo w literaturze.

Kiedy się powiedziało co należy bronić *Kochanka Lady Chatterley* przeciw jawnym i półukrytym paladynom *pruderie*, kiedy się nagrodziło rzesistymi oklaskami mądrą decyzję sędziów z Old Bailey która go uniewinniła po trzydziestu latach prześladowania cenzury (zrobiłem to w numerze 162 *Kultury*), kiedy się miało okazję zobaczyć go nareszcie na wystawach księgarń i w kioskach z gazetami, wolno sobie ulżyć i wyskandować z naciskiem słowa prawdy: jest to powieść słaba, miejscami nawet zła i śmieszna.

Po ukazaniu się w roku 1928 (najpierw nakładem autora we Florencji, potem w wydaniach pirackich w Anglii i w Ameryce) korzystała naturalnie z „taryfy ulgowej”. Oto fragment recenzji Edmunda Wilsona z roku 1929: „D.H. Lawrence wyrzucił na śmietnik konwenanse anglosaskie i zajmując się doświadczeniem seksualnym, postanowił nazwać rzeczy po imieniu. Wynik jest, na ogół biorąc, udany. Co nie znaczy że nieograniczona wolność, którą Lawrence po raz pierwszy zachłystuje się w pełni, nie uderza mu czasem do głowy: poetyczna szczerłość gajowego nie zawsze ocala jego miłosne rapsodie na temat pewnych potocznych i starych wyrazów angielskich od groteskowości w niewłaściwych momentach; i nie jest łatwo podzielać egzaltację autora w związku ze sceną, w której kochankowie ozdabiają sobie nawzajem stokrotkami te części ciała, gdzie rzadko zatyka się kwiaty”. Taryfa ulgowa posuwała się aż do zaliczania Lawrence'a w poczet wielkich angielskich pisarzy purytańskich. Jeszcze dwa lata temu, w Old Bailey właśnie, E.M. Forster „zeznał” w charakterze świadka obrony: „Myślę że

ten pogląd jest ścisły, mimo że wielu osobom wyda się paradoksalny. Rozważałem związek Lawrence'a z Bunyan'em. Byli obaj kaznodziejami. Wierzyli głęboko w to co głosili. Powiedziałbym, jeśli mogę mówić o wielkich nazwiskach przeszłości, o Bunyan'ie z jednej strony a Blake'u z drugiej, że Lawrence posiadał też tę namiętną ocenę świata i tego czym świat winien być a nie jest”.

Zarówno Wilson jak Forster mieli rację, gdy chodziło o wydarcie *Kochanka* ze szponów cenzury i hipokryzji moralnej. Ale w ciągu tych trzydziestu lat coś się zmieniło. Co, ujawnia nie bez sporej dozy zdrowego rozsądku eseista amerykański Eric Larrabee: „Stan niewinności pierwotnej, wolny od jakichkolwiek zahamowań seksualnych, jest raczej fantazją wyrafinowanych niż faktem realnym. Kiedy przed dwunastu laty Kinsey i jego współpracownicy zaczęli ogłaszać rezultaty swojej ankiety, rozpowszechniła się teoria że objawienie pociągnie za sobą odkupienie. Spodziewano się, że opublikowanie uroczystych statystyk na temat sytuacji seksualnej narodu przyspieszy nasz pochód w kierunku *sui generis* lawrencowskiego raj, w którym wszystkie nasze frustracje neurotyczne rozplyną się w ogniu zdrowia gruczołowego. Ten dzień, niestety, nie nadszedł. Spoglądając wstecz, możemy teraz dojrzeć że w problemie cenzury kryło się coś głębszego niż nam się wówczas wydawało. Większy liberalizm ustaw w dziedzinie nieprzystojności był wtedy dalekim celem. Dotarłszy doń, stwierdzamy że perspektywa gwałtownie się zmieniła. Przekonujemy się choćby o tym, że fakt obalenia zapór purytańskich nie jest sam przez się panaceum”. Skoro *Kochankowi* nie grożą już prześladowania, a „dobra nowina” jego „kazania” okazała się w dużym stopniu rozdmuchana, można z czystym sumieniem i bez oporów przygwoździć Lawrence'a do tak namiętnie przezeń głoszonej „filozofii”.

Nie żeby Forster mylił się, nazywając go kaznodzieją zrosniętym w jakiś sposób z wielką angielską tradycją moralistyczną. Przeciwnie — rzuca się to w oczy na każdej niemal stronie powieści. Zapomniał tylko (lub ze zrozumiałych względów nie chciał) dodać: kaznodzieją na skraju obłądu. Kto nie wierzy, niech przeczyta tytułowy szkic samego zainteresowanego z *A propos of Lady Chatterley's Lover and Other Essays* (Penguin Books, Londyn 1962). Wystarczą zresztą urywki.

„Gdyż krew jest istotą duszy i najgłębszej świadomości. Istniejemy dzięki krwi... We krwi wiedza, byt i uczucie są rzeczą nierozłączną: żaden wąż, żaden owoc nie dokonał rozszczepienia, toteż tylko gdy związek jest związkiem krwi, można uważać

małżeństwo za małżeństwo. Krew mężczyzny i krew kobiety są dwoma wieczniami odmiennymi strumieniami, które nigdy nie mogą się pomieszać. Wiemy o tym także z nauki. A zatem istnieją dwie rzeki otaczające całe życie, i w małżeństwie koło się zamyka, w stosunku płciowym obie rzeki dotykają się i nawzajem odnawiają, nie mieszając się nigdy i nie zamacając. Wiemy o tym. *Phallus* jest kolumną krwi, która wypełnia dolinę krwi kobiety. Wielka rzeka krwi męskiej zgłębia do dna wielką rzekę krwi kobiecej, a przecież żadna z nich nie występuje z brzegów. To jest najgłębsza ze wszystkich komunii, o czym wie w praktyce każda religia. I to jest jedna z największych tajemnic, co mówię? — największa!, jak dowodzi każde wtajemniczenie, kładąc nacisk na najwyższe spełnienie zaślubin mistycznych. I to jest sens aktu seksualnego: ta Komunia, to wzajemne dotykanie się dwóch rzek, Eufratu i Tygrysu, i zamknięcie między nimi Ziemi Mezopotamskiej, gdzie niegdyś był Raj lub Ogród Edenu, gdzie człowiek wziął swój początek. To jest małżeństwo, ten obwód dwóch rzek, ta komunია dwóch strumieni krwi, to i nic innego, o czym wiedzą wszystkie religie. Mąż i żona są dwiema rzekami krwi, dwoma odrębnymi i wiecznymi strumieniami które posiadają moc dotykania się, zespalandia i odnawiania, nigdy się nie mieszając i nie macąc, nigdy nie zrywając kruchych brzegów. A *phallus* jest ogniwem zespolenia między dwiema rzekami, daje obu strumieniom jedność, wydobywa z ich dwójakości jeden obwód na zawsze... Jedność strumienia krwi mężczyzny i kobiety w małżeństwie uzupełnia wszechświat, uzupełnia wpływ fal słonecznych i blask gwiazd... Ponieważ małżeństwo puszca nieuchronnie w ruch działalność seksualną, i ponieważ działalność seksualna jest i była zawsze w jakiś sposób wroga stosunkom mentalnym i personalnym między mężczyzną a kobietą, wolno uważać za prawie pewnik że małżeństwo między dwiema osobowościami musi się skończyć gwałtowną nienawiścią fizyczną... *Phallus* jest mostem zwróconym ku przyszłości, to wszystko. Ale nie mizerny, nerwowy i farbowany *phallus* miłości współczesnej. Nie, nie ten".

Pozostają jeszcze jakieś wątpliwości? Lawrence rozwiewa je natychmiast. „Jeśli Anglia ma się odrodzić, odrodzenie może wytrysnąć tylko z nowego kontaktu krwi, z nowego dotknięcia, z nowego małżeństwa. Będzie to odrodzenie raczej *phalliczne*, niż seksualne. Gdyż *phallus* jest jedynym wielkim symbolem boskiej żywotności człowieka... W starej Anglii związek krwi zspalał klasy. *Squires* mogli być aragancy, gwałtowni, niesprawiedliwi, a przecież w jakiś sposób stanowili jedną całość z ludem, byli częścią tego samego strumienia krwi. Czujemy

to w Defoe'm lub w Fieldingu. Potem, z nadejściem bezpłciowej Jane Austen, koniec zabawy".

Tako rzecze prorok krwi. Jest powód do zdziwienia, do przecierania oczu? Niezależnie od *Kochanka*, nie zauważyliśmy w *Sea and Sardinia* kilku idiotycznych dygresji na temat niezwykłych walorów *rasowych* krwi sardyńskiej w przeciwieństwie do lichej i „białej” krwi metysów i bękartów zaludniających resztę Europy? Mamy też na podporządku wizerunek Lawrence'a, naszkicowany przez Bertranda Russella w *Portraits from Memory*. „Ja wierzyłem głęboko w demokrację, gdy on rozwinął całą filozofię faszyzmu zanim wypracowali ją politycy. Nie wierzę — mówił — w kontrolę demokratyczną; myślę że robotnik zdolny jest wybrać rządzących nim ludzi tylko dla swoich bezpośrednich potrzeb i na tym koniec; z innych klas, gdy pną się ku górze, należy wybierać wyższych władców; żadnych głupich republik z głupimi prezydentami, ale wybrany król, coś w rodzaju Juliusza Cezara”. „Lawrence głosił mistyczną filozofię krwi, która budziła we mnie odrazę. Była to bzdura i odrzuciłem ją gwałtownie, chociaż nie wiedziałem wtedy że prowadzi prosto do Oświęcimia”. „Jego idee były typowe dla samozwańczego despoty, który pogniwał się na świat, bo świat nie chciał go usłuchać *hic et nunc*. Gdy uprzytamniał sobie że istnieją także inni ludzie, otaczał ich nienawiścią. Przeważnie jednak żył w samotnym świecie własnych widziadeł, zaludnionym zjawami wściekłymi na miarę jego własnej wściekłości. Jego przesadny nacisk na sprawę płci pochodził stąd, że tylko w dziedzinie stosunków seksualnych zmuszony był przyznać że nie jest jedyną istotą ludzką we wszechświecie. Ale dlatego właśnie że to przyznanie sprawiało mu taki ból, wykoncypował sobie obraz stosunków seksualnych jako nieustannej walki w której jeden partner stara się zniszczyć drugiego. Świat między wojnami grawitował ku obłądowi. Najjaskrawszym wyrazem tego ciężenia był hitlerizm. Lawrence był właściwym przedstawicielem tego kultu szaleństwa”.

Niewiele można dorzucić do jasnej i celnej diagnozy Russella. Gdyby nie przedwczesna śmierć w roku 1930, Lawrence palnąłby przypuszczalnie jakieś głupstwo nie do naprawienia w stylu Ezry Pounda. Jedyną rzeczą, która mogłaby go ewentualnie powstrzymać na krawędzi przepaści, była impotencja Hitlera. Tego defektu piewca *phallusa* nie wybaczał nikomu.



Choć nie w tak gwałtownej i paranoicznej formie, kult *phallusa* zdaje się przenikać również do najnowszej powieści.

Obserwujemy go w licznych odmianach, ale ich wspólną cechą jest niemal zawsze wyłączenie z miłości *osobowości* kochanków. Setki pisarzy głośnią się nad tym jakich zabiegów użyć, by doprowadzić do doskonałości absolutną depersonifikację aktu kopulacyjnego. W akwariach z przezroczystego plastiku oglądamy setki sprzężonych par, których zapamiętanie i skatalogowanie na czas dłuższy od trwania lektury nastęrcza niemało kłopotu. Na ogół gąbka amnezji ściera już nazajutrz serie rysunków technicznych, z takim trudem i nakładem pracy nanoszonych na papier przez kolejnych wirtuozów „odrodzenia *phallicznego*. Ubożęca z dnia na dzień wynalazczość nie powinna im wróżyć dobrej koniunktury na długie lata. Może stąd ten gorączkowy pośpiech. Nikt nie jest w stanie przewidzieć, kiedy publiczności znudzi się *w opisach* „most zwrócony ku przyszłości”. I kiedy rozpocznie się na skutek bezrobocia przymusowy i tłumny *exodus* kantorów *phallusa* z „Ziemi Mezopotamskiej, zamkniętej między dwiema rzekami”.

Tymczasem jednak *business at usual*, na trzy zmiany. Jednym z świeżych jego produktów jest włoska powieść *Un amore* (Mondadori, Mediolan 1963). Jej autor, Dino Buzzati, napisał kiedyś (w roku 1940) sugestywną kafkowską alegorię *Il deserto dei tartari*, która słusznym tytułem wysunęła go na czoło prozaików włoskich. I należałoby właściwie przemilczeć teraz, jako dowód chwilowej słabości, tę *Miłość* opisującą na trzystu pięćdziesięciu stronach nudne i smutne amory starzejącego się pana opętanego seksualnie przez młodziutką kurewkę, gdyby nie jej przejrzysta i zuchwała aluzja literacka. Buzzati nawiązuje do arcydzieła Italo Svevo *Senilità*. Widać naraz, dzięki temu nawiązaniu, całą nędzę dzisiejszej powieści *phallicznej*, która w opisie miłości nie umie wyjść poza jeden tylko wymiar. *Senilità* była potyskującym zagadkowo kamieniem o wielu załamaniach, wydobywała znowu poezję z wiecznego tematu „miłości niemożliwej”. *Un amore* jest monotonnym wykresem temperatury pałenta, chorego na seksualną *dementia senilis*.

#### Żart w saloniku literackim

W rzymskim saloniku literackim zbiera się od czasu do czasu grono admiratorów *école du regard*. Skromne libacje przeplatane są lekturą i interpretacją tekstów. Pewnego wieczoru zaproszono młodego historyka literatury, który zapowiedział że odczyta tekst „zupełnie wyjątkowy”. Sekta wyznawców „szkoły spojrzenia” zamieniła się w słuch. Gość otworzył książkę o zasto-

niętej okładce, nałożył na nos okulary i dodał sobie kurażu haustem *whisky*.

„Była sama, schodziła wolno na pierwszy taras, zatrzymała się koło jednej z fontann. A. śledził ją wzrokiem, zawieszony, odczuwając na widok każdego jej ruchu, każdego kroku, każdego gestu, drżenie, jakby ruch, krok, gest posiadały znaczenie, były językiem. Ruszyła dalej: znowu te schody, te tarasy, poprzetykane drzewami i krzakami. Jej postać zjawiała się i znikła to w całości, to od pasa, to z głową wystającą zza krzewu róż. Niekiedy płatanina gałązek zasłaniała ją na chwilę: widziało się tylko w przerzedzonych odstępach jej ciemną suknię, lub jasną słomę kapelusza. W miarę jak się zbliżała, jej krok stawał się wolniejszy, ociągała się koło płotów, przystawała by spojrzeć na cyprysy, schylała się by podnieść z ziemi garść opadłych liści. Z przedostatniego tarasu zamachała ręką do A., który czekał na nią wyprostowany na ostatnim stopniu”.

Czytający przerwał i zachęcił zebranych do konkursu ekspertyzy. Poproszono go o jeszcze jedną próbkę.

„Suknia składała się z wielu fałd, prostych i regularnych, które wybiegały spod ramienia. Szeroka miedziano-zielona wstążka, o bladeści zmatowiałego klejnotu, tworzyła pas i wisiała na biodrze jednym dużym węzłem. Bufiaste rękawy, miękkie, w gęstych fałdach na zapięciu, obcisłały przeguby. Inna miedziano-zielona wstążka, ale wąska, otaczała szyję zawiązana po lewej stronie na mały supełek. Taka sama wstążka podtrzymywała bujne włosy, wypadające spod słomianego kapelusza ozdobionego bukiecikiem hiacyntów”.

Tym razem uznano, że można zaryzykować ekspertyzę. Pa-dło kilka nazwisk, między innymi Robbe-Grilleta. Młody historyk literatury odczekał cierpliwie do końca, po czym ujawnił prawdziwego autora: okazał się nim Gabriele D'Annunzio.

Żart wydał się towarzystwu niesmaczny. Noga żartownisia nie przestąpi już nigdy progu saloniku.

#### Bawidamek literacki

Autor *Asów i dam* (Juliusz Sakowski, *Asy i damy*, Księgarnia Polska w Paryżu 1962), „wyznając zasadę że nie ma tak zawiłego zagadnienia o którym nie można by pisać jasno i po prostu, próbował dowieść w tej książce że można w sposób lżejszy pisać nawet o sprawach najbardziej dogłębnym. Wbrew tym, których wciąż jeszcze zwodzi lub uwodzi mętniactwo, nie jest to uproszczenie tematu, ani ułatwienie sobie zadania”.

Zachęcony tak miłą obietnicą, czytelnik szuka dowodów tej „jasności” i „lekkości”. Znajduje je na każdej niemal stronicy. „Jego (Tuwima) idee to był zgiełk błysków w gwieźdny zamęcie, srebrne płatki zawiei, myśl o niczym i wszystkim, w samo zamyślenie przedłużona”. „Poezja Pawlikowskiej to wachlarz rozpościerający się z drżeniem koronek i szumem szleszczących piór. W ostro zarysowanych konturach wiersza zamykała ona swój romantyczny świat, osnuwała go kaskadą pożytkliwie mieniących się wstążek, zawieszła nad tym światem migotliwe lampiony, ale kołysały się nad nim i prawdziwe gwiazdy”. „Może to i słuszne, że poeta nie powinien być ani mglistym i rozwichrzonym magiem, ani rozśpiewanym bardem, ale mędrce zdolnym do szału. Mędrce, który potrafi stracić głowę w dionizyjskim upojeniu i uderzać nią w gwiazdy”. „Poeci zapatrzeni są w gwiazdy, ale nie muszą w tym celu bujać w obłokach”. „Obłądana i cudowna jest logika zakochanych, którym wydaje się że jedno przeciągłe spojrzenie zmieni ruch gwiazd, że jeden dłuższy uścisk wstrzyma obroty planet. Ale ta logika powierza im również swój sekret rozumny i prawdziwy, że uczucie, na to by trwało i nie wygasło, trzeba podsycać, rozwijać i doskonalić, że nie może ono zaznać spoczynku i wytchnienia, bo miłość jest wiecznym podbojem”.

Jak widać, autor ma prawdziwą obsesję „gwiazd”, jest swego rodzaju astronautą naszej eseistyki. I to one zapewne, te nieszczęsne gwiazdy o które tak łatwo „w dionizyjskim upojeniu uderzać głową”, stanowią główny sekret jego „jasności” i „lekkości”. Skutek jest jednak trochę inny od zamierzonego: dionizyjski szal tautologii i pleonazmu. Nie ma w tej książce ani jednego zdania o literaturze, które nie byłoby uroczystym, „natchnionym” i „poetycznym” banałem, mniej więcej w stylu przytoczonych wyżej uwag o „logice zakochanych”. Nieustanny, uparty, w pocie czoła podejmowany wysiłek „przyozdobienia” i „upiększenia” tekstu, „dośćnięcia” poetów w pogoni za „ładnymi” słowami, budziłyby nawet chwilami ze strony czytelnika odrobinę pobłażliwości czy co najmniej wyrozumiałości, gdyby harce nie odbywały się na gruncie uklepanym już przedtem tysiącami nóg.

Na czym polega instytucja bawidamka literackiego? Można to wyjaśnić na przykładzie. Nikomu nie przyszłoby do głowy mówić o Conradzie w związku z występem świetnej pieśniarki Toli Korian. Nikomu, z wyjątkiem bawidamka literackiego: „Co liczy się w naszym życiu naprawdę? Jak pisał Conrad, chwila wizji, uśmiech, westchnienie”. Mamy więc zaraz, na skromnym recitalu w *Ognisku*, podwójny akompaniament: Kropiwnickiego

i Conrada. Panie w pierwszym rzędzie, falując piersiami, wzdychają pod adresem autora *Asów i dam*: „Jaki czarujący! I jaki głęboki!”. Hemar w tej promienistej konstelacji występuje w roli „Kordeckiego satyry”. Tylko na początku, bo światło zostaje natychmiast wzmocnione: „Nasz Rockefeller i Paganini satyry strzela niczym Wilhelm Tell — bez pudła trafia do celu... W rozchukanych inwektywach jego pobrzmiwa świst bicza. Wilhelm Tell satyry potrafi być i Atyllą, gdy się rozpędzi i poczuje żer”. Jest to swoisty rekord: Kordecki, Rockefeller, Paganini, Tell i Atylla. Tym samym sposobem można by — i znacznie bardziej *à propos*, zważywszy jaki ma cel na oku — pasować naszego bawidamka na „Casanovę krytyki literackiej”.

Upodobanie do „ładnych” słów wyraża się również w tytułach. Wspomnienie pośmiertne o profesorze Strońskim nosi nazwę „Ballada pożegnalna”. Trzy artykuły o Stanisławie Mackiewicz awansują do rangi „tryptyku”. Warto rzucić okiem na **środkowy człon** tego „tryptyku”: jest to jedna stroniczka o bezmyślnym „chłapięciu” Mackiewicza na temat wyższości Miłosa nad Proustem; napisana z taką powagą, z takim oburzeniem „konesera”, z takim brakiem poczucia humoru, jakby autorowi *Dostojewskiego* pierwszy raz w życiu kapnął z nieobliczalnego pira na papier podobny kleks.

Prócz komunałów, nie brak tu także twierdzeń bałamutnych. Wierzyński porównany jest z Eliotem (na zasadzie „rozmarzenia”). Kafka pisał swój dziennik, żeby zapełnić jakoś „bezsennie noce”. Virginia Woolf, żeby „notować plotki i drobiazgi towarzyskie”. Autorka *A Writer's Diary* określona jest ironicznie jako „westalka oderwanej od życia twórczości”, zagubiona „w swej niebotycznie wyniosłej sztuce”. „Niebotyczność” tej sztuki nie zdołała widocznie osiągnąć ulubionych przez naszego krytyka „gwiazd”.

Ton arystokratycznie pogardliwy, namaszczony i nadęty, daje się słyszeć ilekroć mowa o Rosji. Komedia Francuska, zaproszona do Rosji, „objawiła się na jedno mgnienie w moskiewskiej kniei”. Grubiński z *Między młotem a sierpem* pochwalony jest za to, że „padół nędzy ogląda przez szkła wieczności, patrzy na niewolę i barbarzyństwo z wyniosłym spokojem”. I żeby nie było wątpliwości: „W tym dystansie spojrzenia z obojętnych i niewzruszonych wyżyn mieści się bezmiar pogardy dla płazów”.

Autor *Asów i dam* jest zresztą jedynym bodaj epigonem autora *Kochanków* i *Pani Sapowskiej*: styl kokieterijny, krotkochwilnie rozmizdrzony, odnajdujemy na wielu innych kartach książki.

## Zagroda Matrjony

Dwa nowe opowiadania Sołżenicyna, *Matrjonin dwor i Stuczaj na stacji Krzczetowka*, potwierdzają doniosłość *Dnia Iwana Denisowicza* także na planie literackim. Nie ma dziś w prozie rosyjskiej pisarza o podobnej powadze, ostrości i uczciwości spojrzenia.

*Wypadek na stacji Krzczetowka* nie wykracza poza ramy „realizmu krytycznego”: mamy tu żywy opis chaosu na tyłach *otieczestwiennoj wojny* w pierwszej fazie ataku niemieckiego kulminujący w dramatycznym epizodzie stalinowskiej „czujności rewolucyjnej”, która przywoitemu z natury oficerowi („bohaterowi pozytywnemu”) każe posłać na śmierć niewinnego człowieka. Na pozór nic więcej, choć w naszkicowanej paroma tylko kreskami postaci magazyniera Czicziszewa, maniaka przekładania wszystkiego (łącznie z ludźmi) na język liczydeł, rozpoznajemy bez trudu spadkobiercę Cziczikowa z *Martwych dusz*. I przelotnie obserwujemy przy robocie Sołżenicyna drążącego w głąb, tego samego który pod powierzchnią jednego dnia w życiu sowieckiego łagiernika szukał starych korzeni carskiej ka-torgi.

Ale *Zagroda Matrjony!* Jest to właściwie, mimo procedury drobiazgowo realistycznej, przypowieść w najlepszym stylu literatury „parabolicznej”. Wszyscy krzywdzili zawsze i krzywdzą aż do śmierci starą i samotną wieśniaczkę Matrjonę: życie, dawny ustrój, nowy ustrój, krewni, sąsiedzi. (Jakże typowe dla Sołżenicyna jest zdanie: „Niegdyś kradło się drzewo na opał dziedzicowi, teraz kradnie się torf trustowi”). A przecież rzadko wyrwa się z jej ust słowo skargi. Pracuje, cierpi w milczeniu gdy ścina ją co pewien czas z nóg choroba, znosi co trzeba znosić, odgina się po każdym ciosie — pokorna, dobra, życzliwa otoczeniu. Cierpienie i krzywda wydają jej się czymś naturalnym: „Kiedy później powiedziałem jej sam że spędziłem wiele lat w więzieniu, ograniczyła się do milczącego skinienia głową, jakby już przedtem to podejrzewała”. Ginie w wypadku na przejeździe kolejowym, pomagając w zniszczeniu dla innych swojej własnej zagrody. „Nie zrozumiana i porzucona nawet przez męża, obca siostram i szwagierkom, śmieszna, gotowa do pracy dla innych bez zapłaty, ona która pogrzebała sześcioro dzieci ale nie swoje gromadzkie usposobienie, na dzień śmierci nie zdołała zebrać nic dla siebie. Brudnobiała koza, kulawy kot, fikusy... Żyliśmy koło niej wszyscy i nie widzieliśmy, że to ona była Sprawiedliwością bez której, jak mówi przysłowie, nie może istnieć wieś. Ani miasto. Ani cała nasza ziemia”.

Kto wie czy Sołżenicyn czytał piękną przypowieść Heinricha von Kleista *Michał Kohlhaas*? Jego Matrjona jest Anty-Kohlhaasem. Szesnastowieczny niemiecki handlarz koni bił się bez pardonu o swoją Sprawiedliwość (odepchnięty w końcu nawet przez Lutra), współczesna wieśniaczka rosyjska kultuwuje ją po cichu (lekceważona przez wszystkich w społeczeństwie sowieckim). Ale w oboju było to jedyne uczucie ludzkie, uczucie bez którego „nie może istnieć nasz świat”. Sołżenicyn budzi znowu wiarę w literaturę rosyjską.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

## „Ciurkiem czarnym graficznych strumieni”

Twardy ma żywot Ruskin. Od jak dawna mówi się o anachronizmie jego planów, o drukarni artystycznej przez niego już chyba ponad 100 lat temu założonej, gdzie książki wózkami wożono do Londynu, by ominąć transport znieawidzonymi kolejami, o książkach-rękodziełach, kulcie rzemiosła, gdzie wszystko co mechaniczne próbowano eliminować, bo wysokiego kunsztu drukarskiego niegodne.

Ale nie mielibyśmy może Prousta bez Ruskina, byłby w każdym razie *inny*, gdyby nie ten anachroniczny starzec, którego Proust czytał i przez 10 lat tłumaczył; zresztą sam Proust też był przez lata uważany za pisarza anachronicznego!

„Spotkałem w życiu paru prawdziwych rewolucjonistów” — pisał Bernard Shaw — „gdy pytałem ich: 'kto was na tę drogę skierował? Karol Marks?' — odpowiadali mi przeważnie, że to był Ruskin”.

Bądźmy więc ostrożni naklejając innym czy sobie nalepki awangardowe, rewolucyjne czy anachroniczne i reakcyjne.

Księga o apokalipsie „najdroższa na świecie”, która obejżda kontynenty — ręcznie kaligrafowana, ilustrowana przez Dalí’ego, Mathieux, Leonor Fini i innych, dziś najgłośniejszych, artystów, ta książka-klejnot, to jeszcze tradycja Ruskina.

Chcę mówić o książce również ruskinowskiego ducha, ale nieskończenie skromniejszej i niepomierne dla mnie ciekawszej, cieplejszej — ukazała się ona nakładem i drukiem Oficyny Stanisława Gliwy w Anglii. „SAMUEL TYSZKIEWICZ ARTYSTA TYPOGRAF” to hołd oddany mistrzowi Samuelowi, jak go nazywali przyjaciele, który jak Ruskin kochał piękną książkę-

rękodzieło, a Florencję, jak Ruskin, ubóstwiał, aż w niej osiadł i książce-klejnotowi życie całe poświęcił.

Ta księga pamiątkowa została cała ręcznie złożona przez Gliwę i jego żonę w godzinach wolnych od pracy zarobkowej. Dlaczego ręcznie? Ależ dlatego, pisze mi Gliwa, że między innymi „redukuje konieczności przełamania słów na końcu linijki (chyba najwięcej długich słów ma język polski i niemiecki)”, dlatego, że w ręcznym składzie jest łatwiej „wyeliminować rzeczki białe, pasemka w tekście, powstające z dużych odstępów między słowami w kilku kolejnych wierszach i w tym samym pionie”. Używając papieru czerpanego, wystrzępionego i niejednorodnej grubości, Gliwa miał wiele kłopotów technicznych, ale miało to na celu by „w efekcie książka *doniosła do czytelnika atmosferę ludzkiego dotknięcia*, nieosiągalnego w produkcji zmechanizowanej (taki papier nie może być użyty na maszynach automatycznych)”.

Któż z dzisiejszych czytelników książek interesuje się takimi problemami perfekcji i tak

„...woła

o łokieć z trzciny w rękę Pańskiego anioła”

To małe arcydzieło, „chyba ostatnie w epoce atomu”, jak pisze Gliwa (nieostatnie!), powstaje w roku, w którym Francja przeżywa rewolucję czytelniczą: nigdy w metrze, w pociągach nie widziałem tyłu czytających, już nie gazetową sieczkę, ale książki, i to jakie. Tę rewolucję kraje anglosaskie i Niemcy już dawno przeżyły, we Francji dopiero dziś za dwa do czterech franków kupić możemy Simone Weil i Heisenberga, Prousta i Pascala, Platona i Cervantesa, Henry Jamesa czy Robbe-Grilleta. Tę książkę tanią kupujemy na stacjach kolejowych, jak sandwicz, który się zjada natychmiast; rozlatuje się ona nieraz i któżby czytając ją w metrze czy pociągu myślał o „rzeczulkach!” Żyjemy przy tym, w epoce nieprawdopodobnej ilości książek luksusowych o kolorowych, nieraz świetnych, reprodukcjach, książek o sztuce, o historii, prehistorii, podróżach, nawet o kuchni, wydawanych na Zachodzie w ogromnych nakładach, bo tylko tak się *optacają*. W Polsce najświetniejszym twórcą takiej książki o sztuce, gdzie wykorzystane są ostatnie zdobycze techniczne, był tragicznie zmarły Rafał Glücksman\*).

Biorąc do rąk książkę o Samuelu Tyszkiewiczzu wchodzimy w świat zupełnie inny, ruskinowski, anachroniczny. Miałem zawsze żal do kolekcjonerów książki drogocennej, wydawanej umyślnie w szczyptach nakładach, bo znałem takich bibliofilów, którzy gdy raz ją kupili nie czytali jej nigdy i innym czytać nie pozwalali, by broń Boże piękna jej nie uszkodzić; to zaraziło mnie cieniem niechęci do książek zbyt cennych, niechęci z której mnie leczy właśnie książka Gliwy, ale *jego* książka musi być nie tylko obejrzana, ale *przeczytana*.

\*) Patrz „Kultura” nr 3/185 (1963).

Dumny wiersz Przyłuskiego: „Na śmierć typografa” poprzedza teksty:

*...ciurkiem czarnych graficznych strumieni  
płynie pieśń przetopiona na pomnik.  
W pergaminie zakłętym istnieniem  
wnukom wiek nasz przypomnisz.*

.....  
*Jednym małym kruchym kałamarzem  
wyznaczamy oddech stuleci.*

*My poeci — poeci drukarze,  
My drukarze — drukarze poeci. ...*

Potem idą wspomnienia, eseje K. Smogorzewskiego, J.A. Teslara, Aleksandra Janty, Tymona Terleckiego oraz samego Stanisława Gliwy. Trzeba je przeczytać wszystkie — co za niepospolity obraz Tyszkiewicza i jego pracy! Rzadki dar przyjaźni, który go cechował, dał mu równie wiernych i oddanych jak on przyjaciół — potrafili nam go w tekstach swoich przekazać. Samuel, Samkiem zwany, po raz pierwszy trafia do Paryża w 1913 roku; zwiedza Francję pedantycznie, uporczywie. W 1925 r. jedzie do Włoch. Obie podróże, do szczegółów naprzód obmyślane, opisuje ilustruje w swoistych tomach-unikatach. To mu daje pomysł tworzenia książek dla bibliofilów, ręcznie składanych, tłoczonych, oprawianych.

Między Florencją a Fiesole Tyszkiewicz zakłada swoją typografię i odtąd do śmierci tą pracą i dla tej pracy żyje. Dużą rolę w jego decyzji odegrali wówczas najbliżsi przyjaciele: J.A. Teslar i S.P. Koczorowski, kustosz Biblioteki Polskiej w Paryżu i namiętny bibliofil.

„Samek” zaczyna od monografii Bernarda Rossellino, rzeźbiarza i architekta renesansu, potem wydaje przez siebie prozą rytmiczną napisaną opowieść średniowieczną pt. „Fiorenza”; wspaniały Cennino Cennini — Rzecz o malarstwie, traktat piętnastowieczny, ukazuje się w 1933 r. Pierwsze 100 egzemplarzy wydane *in quarto*, ilustrowane są dwunastu iluminowanymi cynobrem inicjałami i oprawne w pergamin — w tak pięknej szacie nigdzie chyba ta księga się nie ukazała. Nie trudno odkryć jakim okiem i z jakim uczuciem mistrz Samuel czytał Cenniniego. Oddychając Florencją, tak wrósł w jej przeszłość, że styl tego „maluczkiego członka w cechu malarskim praktykującego” musiał zdawać się mu nieledwie wczorajszy; pragnął do nowego życia pobudzić świat tamtych przeżyć i tamtej hierarchii wartości.

„Adam pierwszy człowiek wygnany z raj — pisze Cennino Cennini — trudził się nie tylko motyką, ale uprawiał sztukę, która zwie się malarstwem, (to sztuka) wymagająca fantazji i rękoczynu, aby wynajdować rzeczy niewidziane, kryjąc się pod wygląd prawdziwych i utrwałać je ręką tak by udowodnić, że to czego nie ma — istnieje. I słusznie zasługuje, aby mu dać miejsce po wiedzy i poezją ukoronować”.



Tyszkiewicz człowiek o żelaznej woli Litwina, odziedziczył po matce Szwajcarce pedantyczny zmysł precyzji i ładu. Był on osobliwym połączeniem — jak pisze Terlecki — bezinteresowności artystycznej i zaradnej, gospodarnej, rzeczowości, był przy tym „demonem pracy”. Warszawianin z urodzenia, wnuk Sybiraka, lubił zaznaczać że nie ma ani kropli krwi polskiej. Urodzony na dalekiej Litwie, życie spędził między Paryżem, Niceą i Florencją, i tam dzieło swoje stworzył. Ożenił się z góralką toskańską, mądrą towarzyszką i współpracownicą, i w jej, przez niego odnowionej, górskiej chacie umarł. Ten „apatetyczny” artysta, florentyńczyk, na pierwszą wieść o wybuchu wojny, już 2 września, rzuca Florencję, swe prace zaczęte, rusza do Francji i otrzymuje wkrótce w Coëtquidan polską legitymację oficerską z numerem pierwszym. Dopiero po francuskiej katastrofie rozpoczyna nowy okres w okupowanej Nicei, tam, w klitce podobnej do kajuty okrętowej, pod okiem policji wichystowskiej i Gestapo wydaje z górą 20 tomików, od modlitewnika dla żołnierzy po zakazane tomiki wierszy, jak „Barbakan” Wierzyńskiego, „Z dymem pożarów” Łobodowskiego, „Psalmy” Janty.

Janta opisuje swoje z nim spotkanie w Nicei, styl pracy tego człowieka, który umiał się nie śpieszyć. „Produkcja rękodzieła — pisał Tyszkiewicz — nie psuje się zbyt długo czekaniem na rozejście”. Janta pisze również o książkach, którym ten artysta-typograf nie tylko „dawał ciało”, ale sam je napisał. Analizuje styl jego „Fiorency”, styl prozy rytmicznej, ukrytego białego wiersza, którym opowiada o swojej ojczyźnie wybranej — Florencji.

Mistrz Samuel po wojnie wraca do Florencji, do pracowni obronionej i zachowanej przez żonę i dalej wydaje książki. Jest przy tym „nadwornym” drukarzem Uniwersytetu Florenckiego; niektóre z jego książek ukazują się w kilkunastu egzemplarzach inne w 55, przeważnie w 125, wyjątkowo w 300 czy 500. Każdy tom to pretekst do nowych pomysłów. Do „Sonetów Krymskich”, jednego z najpiękniejszych jego wydań, daje kolorową przedkładkę, opartą na motywach tkanin tatarskich. Do wydania „Vita Nuova” Dantego w przekładzie Porębowicza posługuje się motywami z posadzki baptysterium we Florencji. Każda z książek ma inny format, inny układ stron, inne ujęcie. W ostatnim okresie życia zaczyna pracę monumentalną, największą jaką kiedykolwiek wykonał, zbiór dokumentów Powstania Warszawskiego, opracowany przez Andrzeja Pomiana. Już ciężko chory otrzymuje nagrodę Kompanii Wartowniczych w Niemczech za całokształt swej pracy — ponad 50 książek — i to daje mu radość, pewno większą jeszcze niż Grand Prix Wystawy Międzynarodowej w Paryżu w 1938 r. Pracuje do końca, póki mu starczy sił, w ostatnim liście do Janty pisze: „Zimno i deszcze czynią ten pobyt w celi pod kasztanami prawdziwym obcowaniem z Bogiem”.

Co daje książka Gliwy o mistrzu Samuelu nie tylko znawcom kunsztu typograficznego, ale ludziom jak my — czytelnikom, których stać tylko na *powierzchnową* ocenę jej zalet wydawniczych? Wchodzimy dzięki niej w świat zamknięty, jedyny, tego Polaka, który za swą ojczyznę obrał Florencję, budzi w nas świadomość, że nie byłoby sztuki bez tego *stosunku* do sztuki i piękna, gdzie czas i opłacalność się *nie liczą*. Taka książka zaraża, oglądając ją wstydzimy się każdej podskórnej interesowności, każdego pośpiechu, który ma na celu nie tylko jakość dzieła, ale jego sukces. Ta książka wprowadza nas w świat głębokiego oddechu sztuki, jej istoty i sensu. Jakże tu nie wspomnieć przyjaciela Tyszkiewicza, wielkiego malarza Brandla, który *dziesiątki* lat „dotyka” swym pędzlem, najczujniejszym z czujnych, tych samych małych kartonów-arcydzieł i o sukces nie tylko się nie troszczy, lecz się przed nim, jak może, broni.

Bądźmy wdzięczni Gliwie za godny swego mistrza Samuela wyraz hojnej wierności, wdzięczni nie platonicznie. W naszych dorywczo zbieranych, wciąż na nowo niszczonych, wiecznie z miejsca na miejsce przerzucanych bibliotekach — tej książki nie powinno brakować.

J. Cz.

## Nadesłane nowości wydawnicze

CZAPSKA (Maria). *Szkiełki Mieczysławskie*. Londyńska Biblioteka Literacka. Tom XVII. Str. 312, w tym Przypisy, Indeks nazwisk i Wykaz ilustracji. (Wyd. B. Świdorski — Londyn, 1963).

LEDNICKI (Wacław). *Pamiętniki*. T. I. Str. 656 oraz 19 wkładek ilustracyjnych. (Wyd. B. Świdorski, Londyn, 1963, cena 63/-).

GRUBIŃSKI (Wacław). *Listy Pogańskie*. Londyńska Biblioteka Literacka. Tom XXIX. Str. 175. (Wyd. B. Świdorski, Londyn 1963).

JURKIEWICZ (Mieczysław). *Naród na obczyźnie wobec tysiąclecia*. Str. 30 i 1 nlb. (Les Auteurs — Paryż, 1962/63).

ZAREMBA (Zygmunt). *Cel i droga*. Dwa dokumenty: 1. Deklaracja: Cele i zadania PPS, 2. Alternatywa socjalistyczna w krajach Środkowo-Wsch. Europy. Str. 60 i 4 nlb. (Wyd. „Światło”, Paryż 1963, cena F 2).

BOBROWICKI (M.) — tłumaczył i ułożył. *Powstanie w 1863 w komunikatach z „Le Moniteur Universel”*. (Powielacz, str. 186).

LA GUARDIA GLUCK (Gemma). *My Story*. Str. 116. Wydał i opatrzył przedmową S.L. Shneiderman. (Nakładem David McKay Company, Inc., New York cena dol. 2.95).

DYGAT (Stanisław). *Le miracle de Capri*. Roman polonais. Przekład Anny Posner. Str. 286 i 6 nlb. (Wyd. Stock, Paris, 1963).

- JORDAN (Zbigniew). *Logical Determinism*. Str. 38. (Odbitka z tomu IV, nr 1 „Notre Dame Journal of Formal Logic”, wyd. University of Notre Dame Press, Indiana University, 1963).
- GLIŃSKI (Mateusz). *O konferencji nieborowskiej szczyrych słów kłóro*. Str. 20 nlb. Odbitka z dwutygodnika „Ruch muzyczny”, 15-31 grudnia 1962, nr 24.
- Poland in the *British Parliament 1939-1945*. Documentary Material Relating to the Cause of Poland during World War II. Volume III. Summer 1944-Summer 1945. Opracował i wydał Waław Jędrzejewicz (professor of Slavic Studies Ripon College, Wisconsin) przy współpracy Pauline C. Ramsey. (Wyd. Józef Piłsudski Institute of America, New York 1962, cena dol. 15.-).
- Le Luth brisé. Poèmes du Ghetto des Camps de la révolte et de la survie*. Str. 119 i 1 nlb. Przełożyła z polskiego i z yiddisz Irène Kanfer. (Wyd. Presses du Temps Présent).
- SETON-WATSON (Hugh). *Między wojną a pokojem*. Walka o władzę w powojennym świecie. Tłumaczył B. Czaykowski. Str. 614, w tym Odnosińki, Indeks nazwisk, Indeks nazw geograficznych i Indeks rzeczowy oraz Wskazówki bibliograficzne. Ponadto 5 map. (Nakładem Księgarni Polskiej Orbis-Polonia, Londyn, 1963, cena sh. 52/6).
- Pierwszy ogólny zjazd Polaków w W. Brytanii*. 8-7 października 1962. Str. 76. (Wyd. Egzekutywa Zjednoczenia Narodowego. Londyn, 1963).

## « LA BOUTIQUE POLONAISE »

25, rue Drouot - PARIS-IX<sup>e</sup> - Tél. : PROvence 83-37R. C. M.E.D.C.A.P. Seine 57 B 126. 93 — C.C.P. : Paris 189-46-68  
poleca**„WIELKĄ ENCYKLOPEDIĘ  
POWSZECHNĄ”**

w 13 tomach wydaną przez Państwowe Wydawnictwo Naukowe

12.000 stron  
82.000 haseł  
12.000 ilustracji  
200 tablic barwnych  
120 map barwnych  
650 tablic jednobarwnychPierwszy tom (A — Ble) jest już do nabycia w cenie 45,40 fr.  
Z przesyłką pocztową 47,90 fr.

Drugi tom ukaże się już w czerwcu tego roku.

Przyjmujemy subskrypcję również na całość wydawnictwa.

Posiadamy znaczki pocztowe, karty pocztowe, wyroby artystyczne polskiej sztuki ludowej, książki, albumy, mapy turystyczne, płyty polskiej muzyki ludowej i klasycznej.

Wysyłamy też za zaliczeniem pocztowym.

Można zamawiać telefonicznie.

**Listy do Redakcji**

Stały Czytelnik z kraju. — Nie zamieścimy Pana listu. Nie drukujemy bowiem anonimowych napaści osobistych, graniczących ze zniesławieniem. W Pana zaś wypadku anonimowości inwektyw niesposób usprawiedliwić względami bezpieczeństwa.

REDAKCJA

Paryż, dnia 9 czerwca 1963.

Szanowny Panie Redaktorze!

Oto odpowiedź na dwa listy, ogłoszone w numerze czerwcowym „Kultury” i dotyczące, m.in. także mojego artykułu pt.: „Potwierdzona alternatywa” (nr 3/185 z marca rb.).

I) Uwagę p. Andrzeja Korbońskiego zwróciło następujące zdanie z mego artykułu: „...innymi słowy Europa finansuje amerykańskie inwestycje kapitałowe na swoim własnym terenie, co już wkracza w dziedzinę absurdu”.

P. Korboński żąda ode mnie, abym temu absurdowi przeciwstawił inną alternatywę, pyta, czy wypowiadam się przeciwko spłacaniu przez Europę pożyczek amerykańskich i czy zajmuję wrogą postawę wobec inwestycji amerykańskich. Jednocześnie, w tonie oszalałającej wyższości, zarzuca mi „bezkrytyczne przytaczanie angielskich publicystów” i posądza o „tanią antyamerykańskość”, „którą tak często znaleźć można w popularnej prasie europejskiej”.

Nie uważam zarzutów p. Korbońskiego za przemyślane, ani udowodnione.

Przed wszystkim, nie pisuję na tematy ekonomiczne, lecz polityczne, uwzględniając jedynie elementy ekonomiczne, bez których nie ma polityki. Nie można żądać od polityka, aby na temat każdego elementu, który czerpie z poważnej literatury specjalistycznej, pisał własne traktaty. Jest przyjęte, że się podaje źródło tezy, która służy za podstawę wniosku. Krytyk, posiadający metodę naukową, musi najpierw rozprawić się z tezą specjalisty, a dopiero później może zaatakować wnioski, oparte na tej tezie przez polityka. I to tylko wtedy, gdy potrafi udowodnić, że teza wyjściowa jest fałszywa. Pisarz, czerpiący z innych dziedzin, niż jego własna, jest w porządku, gdy wskazuje źródło, na którym się oparł. Ja moje źródło wskazałem, powołałem się bowiem na artykuł Lombarda w londyńskim „Financial Times”, przedrukowany zresztą w całości przez paryski tygodnik „L'Opinion Economique et Financière”. Zarówno wymienione nazwisko, jak czasopisma należą do najpoważniejszych w dziedzinie publicystyki europejskiej w zakresie spraw gospodarczych i finansowych. Widocznie jednak z perspektywy N. Yorku są to tylko organy popularnej prasy europejskiej, uprawiające tanią antyamerykańskość. I to pomimo, że Wspólnota Atlantycka jeszcze nie istnieje i Europa jest jednak czymś więcej, niż prowincją świata atlantyckiego.

Stwierdzając absurdalność określonej sytuacji, niekoniecznie jest się zmuszonym wskazywać zaraz alternatywę. Bywają sprawy, które trudno rozstrzygnąć szybko, tak z uwagi na ich naturę, jak z obawy wywołania ujemnych skutków na innym, czasami ważniejszym odcinku. Sytuacje absurdalne mogą trwać bardzo długo, można się nawet z nimi pogodzić. Nie jestem, podobnie jak dwa wspomiane przeze mnie pisma, przeciwnikiem spłacania przez Europę pożyczek amerykańskich, ani inwestycji amerykańskich w Europie, co nie przeszkadza, że powrót do Europy, w formie inwestycji amerykańskich, dolarów pochodzących z Europy jest swego rodzaju absurdem, a co najmniej paradoksem, upoważniającym do stwierdzenia, że Europa finansuje sama inwestycje amerykańskie na swoim terenie.

Nie sprzeciwiając się w zasadzie inwestycjom amerykańskim, mógłbym postawić pod ich adresem niejedną zarzut, m.in. spekulacyjny często ich charakter. Francuskie, lub niemieckie przedsiębiorstwo przemysłowe, znajdujące się w trudnościach, wyczerpie wszystkie sposoby, aż do fuzji z pokrewnym, a silniejszym przedsiębiorstwem włącznie, aby ocalić warsztat pracy, zatrudniający taką, czy inną ilość kadr i wykwalifikowanych robotników. Kapitalista amerykański, niezawsze, ale często, likwiduje po prostu przedsiębiorstwo, które się nie udało i wycofuje kapitał, nie troszcząc się o następstwa społeczne i gospodarcze swej decyzji. Niech mi wolno będzie wskazać, jako na ostatni przykład tej metody, likwidację zakładów francuskich Remingtona. Podobno kapitaliści amerykańscy stosują podobne metody na swoim własnym terenie, nie wywołując jakoby zdziwienia. Z punktu widzenia zachodnio-europejskiego, liczącego się z ustawodawstwem społecznym i z interesem państwowym, a coraz częściej z nakazami planistki (Francja), metody te przypominają kolonializm. Alternatywa dla absurdu o którym pisałem w marcu, zarysuje się w miarę konsolidacji Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej. Zagadnienie planifikacji, liberalnej, na wzór francuski, a może jeszcze łagodniejszej, zawsze jednak — planifikacji, weszło już w dziedzinę badań. Z chwilą gdy zostanie zrealizowane, wywrze wpływ także na politykę inwestycyjną kapitału amerykańskiego. Na pewno nie w sensie dyskryminacyjnym, ale przez reglamentację kontrolną, ochraniającą Europę przed wyzyskiem, spekulacją i lekceważeniem jej ustawodawstwa społecznego.

Konia z rzędem temu, a więc i p. Korbońskiemu, kto się dopatry w mojej publicystyce taniej, czy drogiej anty-amerykańskości. Cały cykl „Alternatywy” wyraża jak najbardziej rzeczową krytykę polityki amerykańskiej, usiłuje zainteresować ją polityką de Gaulle'a, która, moim zdaniem, stwarza możliwości uelastycznienia koncepcji stosunków między Wschodem i Zachodem, przy pomocy rozwiązań, które, w najgorszym wypadku, ranią może miłość własną doradców prez. Kennedy, ale na pewno nie interesy amerykańskie, przynajmniej — długofalowe. I wreszcie: słowo „anty...” nie istnieje w mojej metodzie myślenia politycznego. Wychodzę z założenia, że polityk, który opracowuje koncepcję i rozwiązania z punktu widzenia „anty...”, nie jest politykiem, a co najwyżej (lub co najmniej) ideologiem. Ideologia niezawsze idzie w zgodzie z wymaganiami polityki.

2) P. K. Zdziarski twierdzi, że interesuje się moimi artykułami, ale mnie się zdaje, że niezbyt uważnie je czyta. Moja interpretacja francuskiej polityki zbrojeń atomowych uszła uwadze mego oponenta. Powtarza on zużyte argumenty. Nie zna cyfr, ujawnionych niedawno przez Peyrefitte'a, ministra Informacji, z których wynika, że koszt francuskich zbrojeń atomowych będą niższe od kosztów wystawienia takiej armii klasycznej, jaką dla Francji przewidywał Traktat Atlantycki. Na jakiej podstawie p. Zdziarski wypowiada z taką pewnością siebie, porzuconą już przez specjalistów, opinię, że „Mirage IV” będzie przestarzały w chwili wejścia do służby? Nie jest już dla nikogo tajemnicą, że ten samolot przewyższa szybkością,

nowoczesnością i zastosowaniem instrumentów elektronicznych do mylenia radarów, będące obecnie w służbie bombowce „Strategic Air Command”, które przecież Amerykanie uważają za skuteczne i nie zamierzają ich wycofać z obiegu przed rokiem 1970. Ale wtedy już i Francja będzie posiadała (albo będzie bliska posiadania) trzy łodzie podwodne, wyposażone w pociski nuklearne typu „Polaris”, oraz w arsenał rakiet nuklearnych o dalekim zasięgu. P. Zdziarski wchodzi także na grunt moralności. Rola zapalnika, którą francuska broń atomowa będzie mogła odegrać w stosunku do arsenału amerykańskiego na wypadek, gdyby Stany Zjed. postanowiły uchylić się od interwencji nuklearnej i wydać w ten sposób swych sprzymierzeńców na zagładę, wydaje mu się niemoralna. Za przeproszeniem p. Zdziarskiego: nie zrozumiałem.

Mój sympatyczny oponent zapytuje wreszcie, „czy nie lepiej dla odparcia najazdu sowieckiego na Europę rzucić siły konwencjonalne NATO, wsparte przez amerykańską siłę atomową, jeśli tego będzie potrzeba?”. Nie, kochany Panie, nie lepiej. Właśnie jednym z zadań, głównym bodaj, francuskiej siły atomowej, i to dzięki roli zapalnika, która ona będzie mogła odegrać, jest niedopuszczenie do najazdu sowieckiego na Europę w ogóle, gdy tymczasem oparcie systemu obrony Europy na broniach klasycznych, wspartych amerykańską siłą atomową jeśli tego będzie potrzeba, może nie zapobiec najazdowi i konieczności, jakże tragicznej, „odpierania go”.

Proszę przyjąć, Drogi Redaktorze, wyrazy szacunku i uścisk dłoni.

Aleksander KAWAŁKOWSKI

Arlington, Va. 4 czerwca 1963 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

W numerze 4/186 „Kultury”, na kartkach Najnowszej Historii Polskiej, p. Janusz Machnowski stara się wyjaśnić sprawę płk. Gilewicza i towarzyszy rozstrzelanych z polecenia oddziału politycznego w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. Głównym akordem tych wyjaśnień wydaje się być próba przerzucenia rzekomego podejrzenia zdrady z osoby por. Józefa Domanieckiego na zastrzelonego, mniej więcej w tym samym czasie, w Warszawie dr. Bolesława Kuczbarę. Sylwetki Domanieckiego nie przypominam sobie, nie przypominam jej sobie także żaden z grona Oświęcimiaków, z którymi spotkałem się, specjalnie dla wyjaśnienia tej sprawy, w Nowym Jorku. Nową zupełnie hipotezą w tej sprawie, zajmie się prawdopodobnie jeden z uczestników wyżej wspomnianego spotkania.

Osobiście pragnąłbym wyłącznie sprostować kilka nieścisłości zawartych w artykule p. Machnowskiego. Będąc jednym z dwóch pozostałych przy życiu uczestników ucieczki czterech z *Arbeitseinsatz* (a nie pięciu jak pisze p. Machnowski) przypuszczam, iż posiadam pewne prawo do zajęcia stanowiska. W ucieczce udział wzięli: Nr 2 Otto Küssel, Nr 564 Jan Baras (nazwisko pod jakim przebywałem wówczas w obozie), Nr 711 Mieczysław Janiszewski oraz dr. Bolesław Kuczbara (numeru nie pamiętam). Ucieczka ta była starannie i długo planowana. Samo skompletowanie munduru SS zajęło nam ponad dziewięć miesięcy. „Organizował” go skrawkami, z pracowni krawieckiej SS, Kuczbara. Początkowo przechowywaliśmy części munduru w siennikach na strychu bloku 24, a później na zmianę, bądź Kuczbara, bądź ja we własnych siennikach.

Organizacją zewnętrzną ucieczki, kontaktami z podziemiem zajmował się Kazimierz Jarzębowski (później rozstrzelany) z *Bauleitung*. Kuczbara

nie mógł zegnać p. Machnowskiego, w przede dniu ucieczki, przebrany w mundur SS. ponieważ mundur ten ukryty był na szereg dni przed ucieczką poza terenem obozu, na terenie tzw. Neubau. Tam też po wyjeździe z obozu wozem naładowanym szafami, Kuczbara przebrał się w mundur SS. Trudno mi też przyjąć, bez przysłowiowej szczypty soli, opinii p. Machnowskiego na temat brawury Kuczbarę; mimo munduru SS, trząśnięcie się jak w febrze i szczekał zębami w obliczu kilku niebezpiecznych sytuacji, zanim udało nam się wyjechać poza teren wielkiej *Postenkette* (łańcucha straży). Za pośrednictwem Jarzębowskiemu otrzymaliśmy dokładnie opracowaną mapkę sytuacyjną, z oznaczonymi punktami spotkań. P. Machnowski pisze raczej z goryczą o kontaktach z podziemiem polskim. W naszym wypadku zaistniał jednak przykład wręcz przeciwny. Uciekaliśmy w dniu 29 grudnia 1942 r., w trzecim i ostatnim wyznaczonym nam przez podziemie terminie. Zgodnie z ustalonym planem dojechaliśmy wozem do wyludnionej już wówczas wsi Brożkowice, gdzie znajdowały się już ubrania a wkrótce także znaleźli się również ludzie podziemia, którzy przejęli konie a nas pojedynczo przeprowadzono do domu wójta w Libiążu Wielkim (nazwiska niestety nie pamiętam). Tam spędziliśmy około tygodnia. W tym czasie odwiedził nas pierwszy kontakt podziemia z Warszawy i przejął od nas zabrane przez Kuczbarę z *Arbeitseinsatz* dokumenty rozstrzelanych i zmarłych — w szczególności w odniesieniu do pierwszych transportów warszawskich. Ani przez chwilę podziemie nie pozostawiło nas samych i podawani byliśmy dosłownie z rąk do rąk. W Krzeszowicach rozdzieliliśmy się: Küssler i Kuczbara pojechali wprost do Warszawy. O dalszych losach Kuczbarę wiadomo mi już wyłącznie z opowiadań. Dodane razem, zdają się stwarzać najbardziej prawdopodobnym następujący przebieg zdarzeń. Kuczbara i Küssler znaleźli się w jednej z licznych warszawskich kawiarni podczas łapanki Gestapo. Kuczbara próbuje uciekać, strzela, wybiega na ulicę i próbuje wskoczyć do przejeżdżającego tramwaju i w tym momencie zostaje zastrzelony przez polskiego policjanta (tę wersję opowiadał mi w Garmish Partenkirchen b. więzień Oświęcimia, Franciszek Targosz, późniejszy kustosz Muzeum w Oświęcimiu). Teorię tę zdaje się także potwierdzać zdanie wypowiedziane przez SS-mana z oddziału politycznego, Lachmana, w kancelarii obozowej Oświęcimia: „jadę do Warszawy po herszta bandy Otto” (oświadczenie ówczesnego pracownika kancelarii obozowej Michała Preislera, obecnie Nowy Jork). Jest znany fakt, że Otto został aresztowany w kawiarni warszawskiej. Przywieziony później do Oświęcimia, nie słyszałem, by stawiał on zarzuty o zdradę Kuczbarze. Gdyby Kuczbara rzeczywiście sypał, represje skierowane byłyby przede wszystkim przeciw podziemiu, jako wrogowi aktywnemu i działającemu z wolnej stopy. Te osoby, które pomogły nam tak w ucieczce jak i w ukrywaniu, na pewno zostałyby aresztowane. Znając psychikę niemiecką, przekonany jestem, że przywieziono by je do Oświęcimia i rozgłoszono wśród więźniów za co zostali aresztowani i jak wspaniale pracuje niemieckie Gestapo w tropieniu zbiegów. Znane są liczne przykłady przywożenia do obozu robotników-cywili za pomoc więźniom.

Tyle w sprawie sprostowań. Dla uzupełnienia obrazu ucieczki wypada mi wspomnieć po krótko o losach pozostałych. Wraz z Mietkiem Janiszewskim zostałem zaaresztowany podczas łapanki na dworcu krakowskim. Przy wejściu do więzienia na Mantelupich próbowałem ucieczki i zostałem postrzelony w nogę. Janiszewskiego następnego dnia wysłano do Oświęcimia. Według wszystkich znanych mi wersji, nigdy tam nie dojechał; popełnił samobójstwo w wagonie kolejowym. Küsslera przywieziono do Oświęcimia. Był bity i pewien czas przebywał w bunkrze (jak mi opowiadano, bity szczególnie za to, że choć był Niemcem, podczas przesłuchów w oddziale politycznym odpowiadał wyłącznie po polsku). Przetwał i żyje dziś w Niemczech Zachodnich. Ja, jako ranny, pozostałem początkowo w szpitalu

więziennym, a później, wykorzystując swój zawód artysty-malarza, przedłużyłem o parę miesięcy pobyt w więzieniu. Do Oświęcimia wysłano mnie ponownie w początkach października 1943 r. Otrzymałem nowy numer 152884 na nazwisko Józef Nosek. Mimo okularów i brody rozpoznali mnie przy bramie starzy więniowie, Franciszek Targosz i „Bumbo” (karzeł, odźwierny przy głównej bramie, prawdziwego jego nazwiska nie pamiętam) i ci, sobie już tylko znanymi drogami, spowodowali że skierowany zostałem do Brzezinek a nie do obozu macierzystego, gdzie rozpoznanie byłoby tylko kwestią czasu. Z Brzezinek też wkrótce wyjechałem transportem do innego obozu. Tożsamość moja nie została nigdy przez Gestapo stwierdzona.

Łączę wyrazy głębokiego poważania i szacunku.

Jan KOMSKI

Nowy Jork, 10 czerwca 1963 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Nie zamierzam polemizować z tezą Londyńczyka jakoby Polacy dbali tylko o zmarłych, a nie żywych pisarzy. Niepotrzebnie jednak na jej poparcie przytoczył fałszywy przykład, powtarzając w ten sposób błąd popełniony przez jedno z wydawnictw krajowych o Żeromskim. Wbrew twierdzeniu Londyńczyka że dla Żeromskiego, póki żył, nie było „Polonia Restituta” i że dopiero w pośpiechu dekorowano trumnę, nazwisko Żeromskiego otwierało listę odznaczonych w dniu 3 maja 1925 r., a więc jeszcze za życia. Otrzymał on wtedy „Wielką Wstęgę Polonia Restituta”. Podobnie Żeromski uhonorowany był przez Państwo Polskie wyjątkowym zaszczytem kiedy mu przydzielono mieszkanie na Zamku Królewskim, który nie był jeszcze wtedy rezydencją Prezydenta Rzeczypospolitej. Wreszcie Żeromski był oficjalnym kandydatem polskim do nagrody Nobla i dopiero kiedy się okazało że w pewnych kołach szwedzkich zaszkodził mu uznany za „szowinistycznie” anty-niemiecki „Wiatr od Morza”, wysunięto kandydaturę Reymonta. Jeżeli Żeromski pod koniec życia ucierpiał w Polsce to nie od żadnych rządów, ale wskutek nagonki niektórych kół polityczno-partyjnych, które nie mogły mu wybaczyć „Przedwiośnia”.

Łączę wyrazy wysokiego szacunku.

Aleksander KORCZYŃSKI

Chicago, maj 1963 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z listem p. Mileny Rudnickiej (vide *Kultura* nr 3/185 1963 r. str. 169) pragnę skrócić parę następujących uwag.

Nie podoba się np. p. M. Rudnickiej, iż p. Vincenz określił wojnę polsko-ukraińską w 11. 1918/19 mianem wojny domowej. A dla uzasadnienia swego stanowiska ucieka się do ściśle prawnej definicji. Nikt chyba dzisiaj nie zaprzeczy, że to była *par excellence* bratnia wojna domowa.

P. Rudnicka, jako b. posłanka do sejmiku Rzpltej zgodzi się z mną, że na terenie województw południowo-wschodnich na pewno nie było rodziny polskiej, która nie miałaby w sobie domieszki krwi ukraińskiej.

Najwłaściwszą granicą na tym terenie — to było chyba łożo małżeńskie. Z uwagi na bardzo liczne małżeństwa mieszane, wedle ustalonej umowy między władzami kościelnymi, tj. kościołem rzymsko-katolickim i cerkwią grecko-katolicką, chłopcy w takich małżeństwach byli chrzczeni w obrządku ojca, natomiast córki w obrządku matki. Siłą faktu w takich rodzinach były obchodzone tak święta rzymsko-katolickie, jak też i grecko-katolickie.

Jesteśmy zatem bratnim narodem w najściślejszym tego słowa znaczeniu.

Osobiście znam takie wypadki, gdzie w czasie walk o Lwów — siostry walczyły po stronie polskiej, a rodzeni bracia po stronie ukraińskiej.

Uważam zatem, że użyte przez p. Vincenza określenie jest jak najzupełniej słuszne i uzasadnione.

Dalej pisze p. Rudnicka „Młodsze pokolenia, które nie znają tego okresu z własnych przeżyć, mogłyby dojść do szeregu fałszywych wniosków. Nieuświadomiony czytelnik mógłby przede wszystkim myśleć, że do końca pierwszej wojny światowej stosunki polsko-ukraińskie na terenie Galicji były idealne, czy najmniej poprawne. Nic podobnego”. I w dalszym ciągu swego artykułu wylicza po kolei punkty naprężenia, które wzmagaly się z roku na rok. Słowem to ziarno niezgody, rzucone wśród nas, przez wrogie nam czynniki, nie tylko że zakiełkowało, ale wydało owoce, których raczej winniśmy się wstydić i to tak jedna, jak i druga strona.

I po co dzisiaj nawracać do tych koszmarnych czasów? W imię czego te młode pokolenia, czy ten nieuświadomiony czytelnik ma być zatrutowany tym jadem nienawiści? Komu to potrzebne?

Skończmy z tym wreszcie! Przestańmy wypominać sobie wzajemnie wszelkie doznane krzywdy, czy urazy! Puśćmy to raczej w niepamięć. Zamknijmy na tym kartę naszej bolesnej historii, a zacznijmy nową erę w naszych wzajemnych stosunkach, opartą na prawdziwie wzajemnie szczerzej bratniej zgodzie, a to na pewne otworzy nam szeroko wrota do lepszego jutra.

Tak my, Polacy, jak i Ukraińcy winniśmy wreszcie zrozumieć, że musimy razem współżyć.

Dzisiaj, gdy jesteśmy świadkami zawarcia traktatu przyjaźni, opartego na bardzo szerokim wachlarzu, przez dwa państwa, pochodzące z różnych szczepów, państwa, od wieków wrogie sobie — to my tym bardziej, jako bratni szczep, w dodatku jak już wyżej wspomniałem, krwią związany — musimy sobie podać bratnią dłoń!

Ten mur wzajemnej nieufności i nienawiści musi zniknąć, a wówczas możemy być pewni, że tak bolesne błędy przeszłości więcej się nie powtórzą między nami.

Łączę wyrazy należnej czci.

Zbigniew KORNASZEWSKI

Monachium, czerwiec 1963

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Od wielu lat upieram się, że forma tzw. „gomulkiizmu” jest bardziej groźna od poprzedniej — „stalinizmu” czy „bierutyizmu”, po prostu dlatego, że jest dla celów komunistycznych bardziej — skuteczna. Dla tej też przyczyny cieszy się bezwzględny poparciem Chruszczowa, tzn. cen-

trali „Międzynarodowego Systemu Socjalistycznego” w Moskwie. Ponieważ jednak głos mój w polskim piśmiennictwie emigracyjnym uwzględniany jest mniej niż głos *outsider'a*, a raczej, jak to określił Adam Pragier: „dysydenta” — (zapewne nie bez trafności; nawiasem pisuję dziś więcej w emigracyjnej prasie rosyjskiej, jako że „wolę rosyjską kontrewolucję od polskiego NEP-u”), — zatem wystąpienia Witolda Jedlickiego na łamach „Kultury” można traktować za pierwszy, wielki wyłom w obowiązującej dotychczas legendzie o „Polskim Październiku”. Zaś „Kulturze” należy się wdzięczność i niski pokłon za drukowanie jego świętnych artykułów.

Jedlicki wychodzi z odmiennego, prawie przeciwnego mojemu stanowiska. Wydaje się być bowiem za „poprawianiem”, gdzie ja jestem za „obalaniem” ustroju. Niemniej pochlebiam sobie, że ujawniona przez niego naga prawda o sytuacji w kraju, w znacznym stopniu pokrywa się z moim przedstawianiem rzeczy. Są pisarze którzy tworzą „szkołę”. O Jedlickim można by powiedzieć z minimalną zaledwie przesadą, że tworzy „epokę” w prasie emigracyjnej. Epokę, która oby zastąpiła wreszcie poprzednią, zubożonego pseudorealizmu, w ocenie tego co się pod panowaniem komunistycznym w Polsce dzieje. Namalowany przez Jedlickiego obraz tego niby-społeczeństwa podgomulkiowskiego, jest ponury w swej wymowie. Dlatego raczej utwierdza mnie w dotychczasowym przekonaniu, że jedyną alternatywą może być „obalenie”, niczego w istocie zalecanymi przez Jedlickiego środkami „poprawić” się — nie da. Obiektywizm i uczciwość spostrzeżeń, które cechują Jedlickiego, zachęcałyby naturalnie do dyskusji z nim na ten temat, w odróżnieniu od zniechęcających publikacji na poziomie „społecznego zamówienia”, czy zgola „społecznego donosu”, jakie się u nas często ukazują. Na razie jednak chciałbym skorzystać z uprzejmości Pana Redaktora dla sprostowania niektórych wniosków Jedlickiego, dotyczących mojej książki „Zwycięstwo Prowokacji”, w artykule „Narodowy liberalizm”, w majowym numerze „Kultury”.

Jedlicki pisze:

„Mackiewicz interesuje nie celowość i użyteczność, lecz słuszność i etyczność politycznych poczynań”.

Wręcz przeciwnie. Interesuję mnie właśnie celowość i użyteczność, a nie interesuje moralna ocena. Powiedziałem to zresztą na początku książki, cytując: „Mamy za dużo ocen moralnych, za mało ocen faktów”. Książka moja jest próbą wyłamania niektórych problemów z ram obowiązującej „jednomysłowości” i przeniesienia ich w ramy wolnej „dyskusji”. W oparciu o fakty historyczne, mogące posłużyć do „celowej i użytecznej” nauki na przyszłość.

Jedlicki pisze:

„Książka Mackiewicz była by *curiosum* dopiero wtedy, gdyby wymagał on od Polaków w kraju wyrzeczenia się wszelkich kompromisów politycznych z komunistami, rezygnacji z granicy na Odrze i Nysie, etc... Ale tego Mackiewicz, o ile go rozumiem, wymagać nie ma za miaru”.

Jedlicki zrozumiał błędnie. Wprawdzie nie mam prawa od nikogo niczego „wymagać”, natomiast gorąco zachęcałbym Polaków, podobnie jak zachęcał Rosjan i wszystkich innych ludzi pod panowaniem komunistycznym, aby wyrzekli się wszelkich kompromisów politycznych z komunistami. — Co do „rezygnacji z granicy na Odrze i Nysie”, to nikogo oczywiście nie namawiam i namawiać zresztą nie mogę, gdyż w moim przekonaniu granicy takiej nie ma. PRL nie jest „państwem polskim”, a tylko wewnętrznym członkiem bloku komunistycznego. A zatem wszystkie granice PRL, łącznie z granicą na Odrze i Nysie, nie są zewnętrznymi granicami pań-

stwowymi, a tylko dowolnymi liniami wewnętrznego rozgraniczenia tego bloku. W danym wypadku linią rozgraniczającą PRL od NRD. — Namawiam natomiast zarówno Polaków jak Niemców do zaprzestania sporu o rzecz nieistniejącą.

Jedlicki pisze dalej:

„Mackiewicz szuka w polityce „prawdy”, wiedząc chyba dobrze, że naprawdę rządzi w niej korzyść i skuteczność a nie prawda”.

Sądzę, że możliwe rozpoznanie istniejącej prawdy (bez cudzysłowów) winno być właśnie nieodzownym warunkiem dla każdej polityki, która chce być korzystna i skuteczna. W chwili największego w dziejach zagrożenia globu ziemskiego, sprowadzanie polityki całego narodu, jego racji stanu i wszystkich jego sztanarów do teoretycznego tematu jednego odcinka granicznego niewyzwolonego jeszcze państwa, tematu który nie ma aktualnie żadnego praktycznego znaczenia i w niczym nie zmienia istniejącego *status quo*, — wydają mi się szczytem polityki niekorzystnej i bezskutecznej, jeżeli ma ona dążyć do uzyskania wolności. Natomiast jest to polityka niewątpliwie nader skuteczna w interesie tych, którzy do uzyskania tej wolności nie chcą dopuścić, a pragną odwrócić uwagę od groźby realnej, kierując ją ku groźbie fikcyjnej.

Józef MACKIEWICZ

London, 11 marca 1963 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

W załączeniu pozwalam sobie przesłać Panu odpis mego listu do Redaktora „Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza” w Londynie z uprzejmą prośbą o łaskawe ogłoszenie go w najbliższym numerze „Kultury”, gdyż ogłoszenia go w „Dzienniku Polskim” nie mogłem się niestety doczekać, mimo późniejszej interwencji.

Poruszona w moim liście kwestia wiąże się z przygotowaniem do obchodów Tysiąclecia Polski na emigracji, które są w pełnym toku, nie straciła więc nic na swej aktualności mimo upływu szeregu tygodni od chwili napisania listu. O tym zaś, że sprawa ta nie jest obojętna szerszemu ogółowi, miałem możliwość się przekonać, zabierając w niej głos na dwóch zebraniach przedstawicielskich, które odbyły się w swoim czasie w Londynie. List mój jest w pewnej mierze wyrazem poglądów tych, którzy wówczas z moim zdaniem się zgadzali. Nie twierdzą, że list mój wyczerpuje kwestię — przeciwnie, uważam, że sprawa wymaga szerszej dyskusji tak ze względu na jej wagę jak i niewątpliwą złożoność. Cieszyłbym się, gdyby list mój mógł ją wywołać. Od sztucznie wymuszonej jednomysłności ważniejsza jest wolność słowa, bo tylko ona może doprowadzić do jednomysłności prawdziwej i do istotnego zmierzenia się z realnością, w której żyjemy. Niestety wolność ta jest na emigracji o wiele bardziej ograniczona, niż się to wydaje „maluczkim”. Wniosłe „hasła” mają tu też często o wiele większe znaczenie od realnej akcji politycznej i jej wymagań. Widać to dobrze na przykładzie sprawy poruszonej w moim liście.

Proszę przyjąć Panie Redaktorze, wyrazy mego wysokiego poważania.

Jan OSTASZEWSKI

ODPIS

Londyn, dnia 28 stycznia 1963 r.

„Szanowny Panie Redaktorze!

W dwóch artykułach ogłoszonych w Pańskim poczytnym piśmie, w dniach 22 i 24 stycznia, prof. B. Hełczyński przedstawił organizację przygotowań do obchodów Tysiąclecia Polski na emigracji. Omawiając kwestię, czy przedmiotem tych obchodów ma być tylko 1000-lecie chrztu Polski, czy także 1000-lecie powstania Państwa Polskiego, autor wypowiedział zdanie że emigracja powinna „skoncentrować się” na obchodzie chrztu Polski, ponieważ obchodzenie 1000-lecia powstania Państwa Polskiego jest „niemożliwe, gdyż historia nie przekazała nam dokładnej daty powstania naszego państwa, a z najnowszych badań historycznych i archeologicznych wynika, iż powstało ono bądź w wieku IX, bądź nawet w wieku VIII”. Z treści obu artykułów dowiadujemy się jednak, że niewszystkie ośrodki emigracyjne podzielają to zdanie. Niektóre (Belgia, N. Zelandia) stawiają sobie za cel uczczenie tysiąclecia państwa obok tysiąclecia chrztu. Przyjmując, że autor artykułów, piastujący zarazem godność przewodniczącego Prezydium Komitetu Obchodu Tysiąclecia w W. Brytanii, nie jest w swym zdaniu odosobniony, widać, że w tej ciekawej i ważnej sprawie zarysowały się dwa sprzeczne stanowiska.

Acz nie jestem historykiem, zabieram głos w tej sprawie, bo kwestia obchodów narodowych nie jest kwestią ściśle naukowo-historyczną — a wydaje mi się, że racja jest po stronie potępionych emigracyjnych „provincjuszy”, którzy pojmując szerzej Tysiąclecie, dają tym wyraz uczuciom bardzo szeroko, jak mi się wydaje, rozpowszechnionym wśród ogółu emigracji.

Kwestia, kiedy powstało Państwo Polskie jest nie tylko kwestią historii — jest także kwestią społecznych konwencji na temat tego, od kiedy młode państwo tworzone przez pierwszych Piastów możemy uznać za Polskę i za Państwo Polskie. Prawda, że proces jednoczenia różnych szczepli, które weszły następnie — przejściowo lub na dobre — w skład Państwa Polskiego, sięga daleko wstecz poza wiek X, ale faktem jest również że przywykliśmy uważać Mieszka I za właściwego twórcę państwa, które jest już odtąd, i dopiero odtąd, Polską, choć nieraz jeszcze następcom jego przychodzi je od nowa jednoczyć.

Za słuszością tego bardzo powszechnego, jak mi się zdaje, przeświadczenia przemawia wiele faktów. Dopiero Mieszko jednoczy pod swą władzą szczyty i ziemie, które będą odtąd tworzyć etniczny i geograficzny ośrodek przyszłej Polski (w szczególności dorzecze Warty i Noteci oraz dorzecze Wisły i Bugu, łącznie z Mazowszem, Pomorzem i Grodami Czerwińskimi), trzon tej siły, która pozwoli sięgać po niepodległość i rozwijać od razu ekspansję we wszystkich naturalnych kierunkach, niezawsze niestety, skuteczną. Co więcej sam nawet chrzest Polski jest wprawdzie aktem woli już istniejącego państwa ale jest zarazem niezmiernie istotnym dopełnieniem dzieła jego utworzenia. Wszakże ten nieobeschly jeszcze zlepek tyłu różnych szczepli znajduje w Chrześcijaństwie prawdziwy początek swej świadomej jedności.

Prawda, nie ustaliła się jeszcze dotąd zupełnie dokładna data powstania Państwa Polskiego — ale bodaj teraz właśnie, po tysiącu lat bez ochyby, jest pora, aby tę kwestię rozstrzygnąć. Należy oczywiście konsultować historyków, ale w zasadzie jest to sprawa społecznej wyboru. Jeśli wybór jednej daty (np. daty chrztu) nie miałby uzasadnienia, wybrać można jakąś odpowiednią grupę dat lub okres.

Kończąc chęć raz jeszcze podkreślić, że tak słusznie w pewnych ośrodkach wyrażona chęć uczczenia 1000-lecia powstania Państwa Polskiego jest wypływem bardzo żywych i dobrze zorientowanych uczuć patriotycznych, które mają obecnie szczególną aktualność. Nasze obecne położenie jak i jakże niedawne zbrodnie i gwałty dokonywane na Polsce i Polskim Państwie tym silniej tylko wzmagają wolę i potrzebę uczczenia tej rocznicy tak wśród swoich jak wobec obcych. Organizowane przez władze komunistyczne w kraju obchody 1000-lecia Państwa Polskiego z pewnością nie są jakimś tylko ich wymysłem. Oczywiście podyktowane są przebiegłą chęcią zidentyfikowania się przy tej okazji z uczuciami patriotycznymi społeczeństwa. Ale to nie powód, aby pozostawiać im monopol obchodu tej wielkiej rocznicy.

Jeśli — jak w przysłowiu — diabeł się w ornat ubiera i ogonem na mszę dzwoni, nie racja to, by ksiądz nie miał mszy odprawić, choćby i bez ornatu. A jeżeli diabeł będzie się musiał częściej przed uczuciami narodowymi kłaniać, to w ostatecznym wyniku większą tym przysługę odda sprawie niż swoim własnym interesom.

Proszę przyjąć, Panie Redaktorze, wyrazy mego wysokiego poważania”.

Berkeley, 30 maja 1963 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

W majowym zeszycie *Kultury* ukazały się dwa listy do Redakcji, z których każdy porusza inną sprawę, ale oba zaczynają się od jednakowych stereotypów: „Czy wolno mi wyrazić zdziwienie, że *Kultura* wydukuwała...” itd. oraz „Zdziwiło mnie wielce, że zezwolił Pan na umieszczenie w *Kulturze*...” itd.. Brakowało tylko trzeciej odmiany stereotypu: „Dziwię się, że poważne pismo...” itd.

Osobiście też wyrażam zdziwienie, ale innego rodzaju. Wyrażam bardzo gorzkie zdziwienie, że są jeszcze czytelnicy zaczynający listy w podobny sposób. A dla *Kultury* wyrażam podziw i uznanie, bo jest chyba jedynym pismem na emigracji, które nie wprowadziło cenzury do działu korespondencji i drukuje nie tylko to, co może się nie podobać większości nawet czytelników, ale i to, co jest wyraźnie sprzeczne z ogólną „linią” pisma.

Nie chodzi mi o to, kto ma rację: autorzy skrytykowanych artykułów, czy autorzy listów. Chodzi o coś ważniejszego — o *wolność słowa*, którą autorzy listów „wyrażających zdziwienie” pragną spętać. Takie bowiem „wyrażanie zdziwienia” nie jest niczym innym jak podsuwaniem Redaktorowi projektów ograniczenia wolności słowa w tym lub innym kierunku.

Nie mam najmniejszych obaw, że się Pan Redaktor podda takim sugestiom, ale... wyrażam zdziwienie że tyloletni pobyt w wolnych krajach nie nauczył nas poszanowania dla cudzych poglądów. Poglądy te można krytykować — nawet bardzo ostro — ale, na miły Bóg, bez „wyrażania zdziwienia” pod adresem Redakcji!

(Dodam w nawiasie, że w tym samym numerze *Kulturzy* jest trzeci list, który mi się bardzo nie podoba zarówno z uwagi na treść jak na formę. List ten jednak nie „wyraża zdziwienia”, a po prostu rąbie to, co autor listu uważa za słuszne. Wobec tego wypada mi tylko podziękować autorowi za zerwanie ze stereotypem „wyrażania zdziwienia”).

Łączę wyrazy szacunku.

Michał K. PAWLIKOWSKI

Rzym, dnia 3 czerwca 1963 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

List pana K. Czarnomskiego w marcowym n-rze „*Kultury*”, w którym autor kwalifikuje uwagi p. Zbigniewa Grabowskiego o jego ojcu jako „falszywe i krzywdzące”, skłania mnie do zabrania głosu. Nie łączyły mnie wprawdzie ze śp. Bauer-Czarnomskim żadne bliskie stosunki, poza odległym wspomnieniem, że był on w Londynie, w okresie swych studiów, przed pierwszą wojną, korespondentem Naczelnej Komendy Polskich Drużyn Strzeleckich we Lwowie, przy których pełniłem rolę pewnego rodzaju referenta politycznego. Tak się jednak złożyło, że miałem z nim w 1942 r., jedyną rozmowę, której przebieg rzuci zupełnie inne światło na przypisywane mu poglądy na temat Anglii. Okoliczności i przedmiot tej rozmowy są tego rodzaju, że wydaje mi się, iż powinny być ujawnione. Stanowią one bowiem kapitalny przyczynek do ustalenia obiektywnej prawdy o tym kto z Polaków, których losy umieściły w tak przelotnym okresie na placówce londyńskiej — chociaż na diametralnie różnym poziomie odpowiedzialności — istotnie „ujmował trzeźwością sądów”, a kto ślepo wierzył nie tylko w potęgę Anglii, ale i w... lojalność zobowiązań jej kierowników.

Pierwsze miesiące 1942 roku wypełnione były rokowaniami W. Brytanii o sojusz ze Zw. Sowieckim. Rząd polski śledził z wielkim niepokojem te rokowania orientując się, że przyjęcie żądań sowieckich odnośnie uznania aneksji państw bałtyckich oraz Bukowiny i Besarabii przesądziłoby w przyszłości losy wschodnich ziem Rzeczypospolitej. W związku z zapowiedzianym przyjazdem Mołotowa do Londynu dla podpisania odnośnego traktatu, prasa, a zwłaszcza wyspecjalizowany w tej dziedzinie „*Times*”, nie ukrywała poglądu, że Polska anektowała bezprawnie Wilno, oraz, że polsko-brytyjski traktat wzajemnej pomocy z 25 sierpnia 1939 r. nie gwarantował wcale integralności wschodnich granic Polski.

Odnóżna wypowiedź „*Times*a” wywołała w opinii polskiej zrozumiałe zaniepokojenie. Szczególnie żywo przejawiało się ono w wojsku w którego oddziałach procent pochodzących z wschodnich województw był wyjątkowo duży. Dla uspokojenia nastrojów ambasada R.P. podjęła kroki mające na celu uzyskanie przez Foreign Office *dementi* szerzonych przez „*Times*” poglądów. Użyto w tym celu usłużnej pomocy jakiegoś członka Izby Gmin, który w interpelacji do rządu dawał wyraz zaniepokojeniu „naszych polskich przyjaciół” prosząc o wyjaśnienie, jakie jest istotne stanowisko rządu w danej sprawie. Odpowiedź min. Edena była krótka i kategoryczna: „*Times*” nie wyraża w poruszanej sprawie stanowiska rządu Jego Królewskiej Mości...”

Nazajutrz po odnośnym posiedzeniu Izby Gmin zjawił się u mnie w biurze, osobiście mi dotąd nie znany, p. Bauer-Czarnomski, o którym wiedziałem, że jako niezynny od wybuchu wojny korespondent „*Kuriera Warszawskiego*”, zatrudniony jest w referacie prasowym naszej ambasady. Zaczął od wyjaśnienia, że zdecydował się na wizytę u mnie, gdyż mam opinię ministra, krytycznie ustosunkowującego się do urzędowego optymizmu, jakiego siedzibą były nasza ambasada i biura MSZ w danej chwili pozostające pod tym samym kierownictwem, jak i mającego odwagę mówić swym kolegom w rządzie także i rzeczy mniej przyjemne. Następnie z grubo wypchanej teczki wyciągnął stare numery „*Times*a” z 1938 r. Zawierały one artykuły omawiające ówczesny kryzys w stosunkach między Niemcami a Czechosłowacją, kulminujący w żądaniu sudeckich hitlerowców przyznania im początkowo autonomii, a potem w ogóle prawa zjednoczenia z Trzecią Rzeszą.

Dla znalezienia wyjścia z tej sytuacji rząd Chamberlaina wysłał do Pragi misję Runcimana. W związku właśnie z tą misją „Times” zaczął przygotowywać opinię brytyjską do całkowitego zaakceptowania tez hitlerowskich. Wystąpienia jego w stosunku do rządu Czechosłowacji, a nawet osoby prez. Benesza były wyjątkowo ostre. Uprowadzały, że Czechosłowacja nie może liczyć na poparcie W. Brytanii i doradzały, by jej kierownicy sami — nim nie zostaną do tego zmuszeni — zaakceptowali żądania hitlerowskie czym się najlepiej przysłużą — oczywiście — sprawie uratowania pokoju Europy.

Poselstwo czechosłowackie w Londynie pod kierownictwem ustosunkowanego w kołach politycznych min. Masaryka podjęło przeciw tej kampanii kontrację. Postarano się więc o interpelację w Izbie Gmin, na którą przedstawiciel Foreign Office odpowiedział, że „Times” nie wypowiada w danej sprawie poglądu rządu J.K. Mości. Dalszy rozwój wypadków jest znany — oświadczył mi na zakończenie wizyty mój rozmówca, dodając „i z naszą sprawą powtórzy się kubek w kubek to samo; nie wolno nam się ludzić”...

Nie omieszkalem wykorzystać przedstawionego mi przez p. Bauer-Czarnomskiego materiału. Na najbliższym posiedzeniu Rady Ministrów — nie ujawniając oczywiście jego nazwiska, gdy nasi specjaliści od polityki zagranicznej unosili się nad naszym sukcesem, za jaki uważali fakt, że w traktacie brytyjsko-sowieckim z 26 maja 1942 nie było żadnej klauzuli terytorialnej, przypomniałem kręte koleje dyplomacji brytyjskiej w stosunku do Czechosłowacji, od zdementowania wystąpienia „Times’a” do Monachium. Wówczas usłyszałem z ust amb. Raczyńskiego i prof. Strońskiego zgodne zapewnienie, że co mogło się zdarzyć Beneszowi i rządowi czechosłowackiemu w ówczesnej koniunkturze międzynarodowej jest absolutnie nie do pomyślenia w stosunku do Polski...

Dalszy ciąg i finał nie wymagają przypomnienia.

W ich świetle wydaje mi się jednak, że jest moim obowiązkiem przyczynić się chociaż do tego, aby pamięci dobrego Polaka i rzetelnego dziennikarza, który okazał się obserwatorem trzeźwym i widział rzeczy jasno, nie obciążano zarzutami, które, jak to słusznie napisał jego syn, są dlań krzywdzące.

Zechce Pan Redaktor wraz z podziękowaniem za umieszczenie tych kilku słów przyjąć wyrazy prawdziwego szacunku.

Karol POPIEL

Toronto, 2-go maja 1963 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z listem p. Adama Jaworskiego z 5-go marca br. ogłoszonym w kwietniowym zeszycie *Kultury* (nr 4/186) pozwolę sobie zauważyć, że ustępy tego listu dotyczące rzekomo nadmiernie szybkiego tempa denacjonalizacji językowej grupy polskiej w Kanadzie wydają się z jednej strony przedwczesne, a z drugiej strony oparte na niedokładnej analizie materiału statystycznego.

Dominialne Biuro Statystyczne w Ottawie nie ogłosiło dotychczas zebranych w toku 10-go spisu ludności danych odnośnie języka macierzy-

stego członków poszczególnych grup etnicznych. Materiały już opublikowane zawierają jedynie cyfry pokrywające całą ludność kraju, bez jej rozbięcia na grupy etniczne, i wskazują ile osób powołało się na dany język jako na swój język macierzysty (pierwszy język poznany w dzieciństwie i ciągle jeszcze rozumiany). Otóż nieściele pisze dr Jaworski, że na 323,517 osób polskiego pochodzenia rozumie język polski tylko 161,720 osób; ta ostatnia cyfra wcale nie jest ograniczona do osób należących do polskiej grupy etnicznej. Podobną omyłkę popełnia autor listu przytaczając dane cyfrowe z r. 1961; spis ludności przeprowadzony w tym roku ujawnił, że na 219,845 osób polskiego pochodzenia powołało się w Kanadzie na polski język macierzysty tylko 120,603, a nie 129,845 osób. Powyższa różnica nie jest może znaczna przy ocenie stopnia wynaradawiania się grupy polskiej, ma ona jednak znaczenie przy analizie stanu panującego wśród innych grup narodowościowych z jakimi dr Jaworski porównuje w tym względzie Polaków kanadyjskich. Operowanie błędnymi cyframi prowadzi autora listu do błędnych konkluzji.

Zanik znajomości języka macierzystego nie można w żadnym razie oceniać globalnie, zestawiając cyfry dotyczące jednej grupy językowej z wszystkimi innymi grupami reprezentowanymi przez przeciętny dla członków tych grup odsetek znajomości języka macierzystego. Trzeba brać pod uwagę właściwości każdej grupy z osobna, zwłaszcza długość czasu w ciągu którego członkowie tej grupy przebywają w kraju osiedlenia (tzw. wiek grupy imigracyjnej) oraz nasilenie z jakim odnośna grupa uległa wzmocnieniu w drodze napływu nowych imigrantów w okresie dziesięciolecia między ostatnim a poprzedzającym go powszechnym spisem ludności. Cyfry zebrane w 1961 r. nie potwierdzają opinii p. Jaworskiego jakoby zanik znajomości języka macierzystego przebiegał szybciej w grupie polskiej niż w innych grupach etnicznych w Kanadzie. Mimo że, jak wspomniano, nie mamy jeszcze dokładnych danych określających siłę języków macierzystych poszczególnych grup ludności kanadyjskiej, już teraz możemy ustalić że w każdym razie stopień denacjonalizacji językowej takich grup jak holenderska, duńska, norweska, rosyjska albo szwedzka jest znacznie wyższy niż ten jaki widoczny jest między Kanadyjczykami polskiego pochodzenia. Jeżeli by nawet uznać, że odsetek 52,38% przyjęty przez Pańskiego korespondenta z Ottawy określa ściśle znajomość języka macierzystego dla wszystkich grup etnicznych (poza grupą polską, oraz brytyjską i francuską) a odsetek 49,99% obrazuje wiernie taką znajomość wśród członków grupy polskiej (jak widzieliśmy wyżej, cyfry te nie mogą być ściśle ponieważ nie ogłoszono jeszcze danych oficjalnych) — to różnicę dającą dr. Jaworskiemu powód do ubolewania musiałoby się przypisać przede wszystkim masowej imigracji, która w okresie dziesięciolecia 1951-1961 wzmocniła kilka większych grup etnicznych w Kanadzie znacznie silniej niż to miało miejsce z grupą polską. W okresie kiedy imigracja Polaków do Kanady objęła tylko 39,577 osób, grupa węgierska wzmocniła swe szeregi więcej niż w dwójnasób (126, 220 w porównaniu do 60,420) grupa niemiecka wzrosła o blisko 430 tys. (1,049,599 w porównaniu do 619,995) a Włosi niemal potroili swój stan posiadania (450,351 w porównaniu do 152,245). Jasne jest, że silny napływ imigrantów wzmacniający liczebność kilku wielkich grup ludności spowodował podwyższenie się przeciętnego odsetka znajomości języka macierzystego przypadającego na wszystkie grupy etniczne i jego wzrost ponad przeciętną charakteryzującą pojedynczą grupę, która z masowego napływu imigrantów nie korzystała.

Dążąc do wykazania, że sprawdziła się jego pesymistyczna przepowiednia z r. 1957 iż w 1961 r. znajomość języka polskiego spadnie w grupie polsko-kanadyjskiej poniżej 45%, dr Jaworski ucieka się do niespotykanego w badaniach demograficznych proceduru i liczbę członków grupy polskiej pomniejsza o ilość imigrantów, którzy do Kanady napłynęli w



okresie między 9-tym a 10-tym spisem ludności (1951 i 1961). Jeżeli ten proceder ma mieć jakikolwiek sens, to uzyskany przy jego pomocy niski odsetek znajomości języka polskiego powinien być zestawiany nie z odsetkiem 52,38% rzekomo reprezentującym przeciętną znajomość języka macierzystego u innych grup etnicznych, lecz ze znacznie niższym odsetkiem jaki powstałby przez pomniejszenie liczebności tych grup o wszystkich imigrantów przybyłych w okresie wspomnianego dziesięciolecia. Jasne jest, że rezultat takiego zestawienia byłby sprzeczny z wnioskami do jakich doszedł dr Jaworski.

Operując cyframi statystycznymi z lat 1951 i 1961, dr Jaworski nie kwestionuje ich wiarygodności w zastosowaniu do liczebności elementu polskiego w Kanadzie. Statystyczny wzrost tego elementu wykazany w 1961 r. (323.517) jest jednak tak duży, że powinien być wzbudzić podejrzenia co do jego prawdziwości, albo zachwiać wiarę autora listu w ścisłość cyfry 219.845 pochodzącej z r. 1951. Jeżeli bowiem do tej ostatniej cyfry dodamy około 40 tys. imigrantów i uwzględnimy przyrost naturalny (ponad 52 tys.) a potrącimy przypuszczalną liczbę emigrantów (według oceny D.B.S. — 7,714 osób) to otrzymamy tylko około 300 tysięcy jako statystyczną liczbę mieszkańców Kanady pochodzenia polskiego. Nadwyżka, tj. różnica między tą ostatnią cyfrą a stanem wykazany w 1961 r. wynosi około 20 tysięcy, i stanowi statystyczną zagadkę. Można ją tłumaczyć albo błędem w obliczeniach w r. 1951, albo niewłaściwym zaliczeniem do grupy polskiej osób niepolskiego pochodzenia w toku spisu ludności z r. 1961. Jeżeliby to ostatnie wyjaśnienie miało okazać słuszne, musielibyśmy przyjąć że odsetek nieznanomości języka macierzystego powinien dla grupy polskiej ulec dalszej redukcji. Z ostatecznym wyjaśnieniem wspomnianej zagadki statystycznej trzeba jednak się wstrzymać aż do ogłoszenia przez władze wszystkich danych zebranych w toku 10-go spisu ludności. Jest to dalszy argument wskazujący na to, że wszelkie ubolewania nad zanikiem polszczyzny wśród Polaków kanadyjskich uznać należy za przedwczesne.

Proszę przyjąć wyrazy szacunku i osobiste pozdrowienia.

Wiktor TUREK

Paryż, 12 czerwca 1963 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

W czerwcowym numerze „Kultury” ukazał się list p. Aleksandra Kawalkowskiego opisujący jego wystąpienie ze Związku Polskich Federalistów. — W związku z tym byłibyśmy wdzięczni za umieszczenie na łamach „Kultury” następujących uwag.

Pan Kawalkowski należy prawdopodobnie, jak każdy z nas, do wielu organizacji o różnym charakterze. Nie znaczy to, że każdy z członków każdej z tych organizacji musi być z nim solidarny w każdej sprawie. Tak jest i z członkami Związku Polskich Federalistów, z których ogromna większość nie była świadoma przynależności pana Kawalkowskiego do naszej organizacji, gdyż nie przejawiał na jej terenie żadnej działalności.

Zamiast uciec się do klasycznego wybiegu skreślenia go za nieplacenie składek odpowiedziliśmy grzecznie p. Kawalkowskiemu na jego list, w którym zgłasza swoją dymisję. Istotnie, nie ogłaszamy ruchu członków na łamach naszego pisma. — Nie chodziło w tym wypadku o „zwykle wystą-

pienie” — żali się p. Kawalkowski: wszystkich członków naszej organizacji traktujemy jednakowo, ani gorzej ani lepiej!

Co zaś do „deklaracji solidarności” z p. Kawalkowskim, którą miał złożyć telefonicznie jeden z podpisanych na liście, to stwierdzamy że do Jerzego Złobnickiego (nie zaś odwrotnie) zadzwonił p. Kawalkowski z wyrzutami w stosunku do „Polski w Europie”, ale nie padła w tej rozmowie żadna „deklaracja solidarności”. Drugą osobą podpisaną na liście był Jerzy Jankowski, który od dawna nie miał żadnych kontaktów z p. Kawalkowskim.

Na zakończenie stwierdzamy, że p. Kawalkowski nie prostuje żadnego zawartego w inkryminowanym artykule faktu. Gdyby to zrobił, list jego ukazałby się na łamach „Polski w Europie”. Że wolał się uciec do innej procedury, to już jego sprawa.

Za ZWIĄZEK POLSKICH FEDERALISTÓW

Jerzy ŻŁOBNICKI Jerzy JANKOWSKI

Każdy kto wysyła leki do Polski powinien przestudiować nasze katalogi

### KATALOG MEDYCZNY TAZABA

z a w i e r a

- 1) Wszystkie najnowsze leki przodujących światowych producentów, ze specjalnym uwzględnieniem najbardziej poszukiwanych i potrzebnych w kraju.
- 2) Przepisy celne, oraz podaje dokładną wagę każdego leku, co umożliwi wysyłkę **W O L N Ą O D C Ł Ą**
- 3) TAZAB jest jedyną światową firmą posiadającą poza Anglią własne biura i przedstawicielstwa w Ameryce, Francji, Niemczech i Szwajcarii i dzięki temu może wysłać natychmiast i z pierwszej ręki tamtejsze leki
- 4) Recepty są wykonane przez doświadczonych farmaceutów.
- 5) Klienci nasi są obsługiwani NATYCHMIAST, bez oczekiwania na nadejście należności

Największy Polski Dom Wysyłkowy

## TAZAB OF LONDON

Tazab House

LONDON, S.W.7.  
22, Roland Gdns.,  
Tel. FRE 3175-6

TAZAB & Co. Ltd

100 East, 10-th St.  
NEW YORK, 3 N.Y., (USA)  
ALgenquin 4-4161

# NOWOŚCI

## BIBLIOTEKI « KULTURY »

INSTYTUT LITERACKI

Adres Redakcji : 91, Avenue de Poissy - MAISONS LAFFITTE (S.-et-O.) France

Nowy „nielegalny“ rękopis  
sowieckiego pisarza

**ABRAM TERC**

# LIUBIMOW

Redakcja „Kultury” otrzymała w ostatnich dniach nową, sensacyjną powieść znanego już naszym czytelnikom pisarza, autora wydanych w BIBLIOTECE „KULTURY” książek **SĄD IDZIE** i **OPOWIEŚCI FANTASTYCZNE**, tłumaczonych na 25 języków.

Jest to już **DZIEWIĄTY** rękopis otrzymany ze Związku Sowieckiego w ciągu ostatnich lat.

Powieść ta ukaze się na jesieni rb. na łamach „Kultury”.

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI  
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CH1swick 1860

Wydawca : INSTITUT LITTERAIRE,  
91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)  
Directeur-gérant : Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal 3<sup>e</sup> trimestre 1963.

Witold GOMBROWICZ



Tom LXXXI  
Str. .... 274  
15 F (22/6; § 3,25)

**DZIENNIK TOM II (1957-1961)**

● „Pamiętnik intelektualny” najbardziej znanego i najbardziej dyskusyjnego z polskich pisarzy.

Milovan DŽILAS



Tom LXXXII  
Str. .... 142  
9 F (13/6; § 2,-)

**ROZMOWY ZE STALINEM**

● Wspomnienia rozczarowanego komunisty. Pierwsza książka o „kulcie jednostki”. Mimo rewelacji XXII Zjazdu autor nadal znajduje się w więzieniu jugosłowiańskim.



Tom LXXXIII  
Str. .... 200  
10 F (15/-; \$ 2,25)

## 6 LAT TEMU...

(KULISY POLSKIEGO PAŹDZIERNIKA)

(Seria „Dokumenty”. Zeszyt 11)

● Zbiór dokumentów dotychczas nieopublikowanych, dotyczących okresu 1956/57, których zdobycie wymagało dużego czasu i wysiłków. M.in. słynny artykuł Stefana Kurowskiego pt. „Apatia — czyli w poszukiwaniu celu”, który był wydrukowany w skonfiskowanym całkowicie przez cenzurę, ostatnim numerze „Po Prostu” z 7 września 1957 r.

Obecnie możemy ujawnić nazwisko autora książki: jest nim Jerzy Mond.

## ZESZYTY HISTORYCZNE

(Zeszyt 3-ci)

● Trzeci tom „Zeszytów Historycznych” zawiera relacje i wspomnienia z okresu Niepodległości i ostatniej wojny oraz szereg innych ciekawych opracowań.

Tom LXXXIV  
Str. .... 240  
15 F (22/-; \$ 3,00)

Józef WITTLIN



Tom LXXXV  
Str. .... 654  
34 F (50/-; \$ 7,-)

## ORFEUSZ W PIEKLE XX WIEKU

● Rozprawy, szkice, odczyty, wrażenia z podróży, wspomnienia i recenzje, pisane na przestrzeni ostatnich czterdziestu lat przez wrażliwego jak mimoza poetę, w których mijają obrazy krajów, miast, środowisk, czasów i ludzi z ich zagadnieniami.



Tom LXXXVI  
Str. .... 245  
13,50 F (20/-; \$ 3,00)

Zygmunt HAUPT

## PIERŚCIEN Z PAPIERU

● W naszych czasach sztuki abstrakcyjnej i konstrukcji słownych autor *Pierścienia z papieru* rozporządza rzadkim talentem utrwalania rzeczy widzianych, ukazując kolejno, w luźnej formie opowiadań, dawną Galicję Wschodnią, Francję z okresu wojennego i Stany Zjednoczone.

Nagroda Literacka „Kultury” za rok 1962.

Marek HŁASKO



Tom LXXXVII  
Str. .... 168  
12 F (18/-; \$ 2,50)

## OPOWIADANIA

● Pierwsza od 1958 r. książka Marka Hłaski, świadcząca o rozwoju i pogłębieniu talentu młodego pisarza. Tom obejmuje oprócz nowych opowiadań również nowele drukowane w głośnym tygodniku „Po Prostu”, a które nie ukazały się nigdy w wydaniu książkowym.

Maria CZAPSKA



## POLACY W ZSSR (1939-1942)

Antologia

● Na książkę składają się fragmenty prac pisanych na uchodźstwie, w ogromnej większości już dziś wyczerpanych, a przede wszystkim prawie nieznanymi, gdyż ukazywały się w czasie wojny lub zaraz po wojnie.

„Nie po to, żeby jątrzyć została wydana niniejsza antologia — pisze we wstępie Maria Czapska — ale by ujawnić, bo tylko ujawnienie zła może oczyścić polsko-sowieckie stosunki, zneutralizować trucizny. I została wydana także dlatego bo wielkich zbrodni, które napiętnowały XX wiek ery chrześcijańskiej nie wolno nam zapominać, bo każdy z nas ponosi za nie jakąś część odpowiedzialności, a pamięć — to ostrzeżenie”.

Tom LXXXVIII  
Str. .... 360  
16,50 F (24/6; \$ 3,50)



Witold JEDLICKI

**KLUB KRZYWEGO KOŁA**  
(Seria „Dokumenty”. Zeszyt 12)

● Perypetie trzystuosobowej grupy intelektualistów, którzy się zrzeszyli po to, żeby mieć możliwość spotkania się ze sobą co tydzień i dyskusowania na różne tematy. Z początku była to jedna z wielu takich grup czynnych w okresie „odwilży” i „października”. Ale w przeciwieństwie do większości innych grup tego rodzaju udało się jej przetrwać okres „stabilizacji” i dotrzeć aż do roku 1962. Autor, długoletni działacz Klubu i członek jego ostatniego zarządu, starał się możliwie obiektywnie zanalizować jego sukcesy i porażki i jego polityczną, społeczną i kulturalną rolę oraz opisać dość szczególne warunki, w jakich Klub się znajdował i działał. Niezależnie od strony faktograficznej książka jest swojego rodzaju przyczynikiem do zagadnienia granic wolności słowa w państwie dyktatorskim.

Tom LXXXIX  
Str. .... 176  
10 F (15/-; \$ 2,25)

**ZESZYTY HISTORYCZNE**  
(Zeszyt 4-ty)

● Zawiera, jak i poprzednie, relacje z okresu Niepodległości i ostatniej wojny, oraz szereg nowych działów. Czytelnik znajdzie w tym Zeszytce m.in. „Nieznana rozmowę Gomułki z dziennikarzami” w opr. Jerzego Monda; „Proces szesnastu w Moskwie” pióra oskarżonego w tym procesie Kazimierza Bagińskiego oraz wkładkę ilustracyjną ze współczesnym planem miasta Lwowa.

Tom XC  
Str. .... 240  
15 F (22/-; \$ 3,00)



**KULTURA**

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji : 91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

Telefon : 962 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Janusz Kruszynski, 54, 15th St., Parkhurst, Johannesburg .....	55 cent. (5 sh. 6 d.)	3,10 rand (31 sh.)	6 rand (60 sh.)
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires .....	5 sh. 6 d.	(31 sh.)	60 sh.
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney .....	7 sh. (a)	£.A.2.0.0.	£.A.3.15.0
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 116, rue Joseph-II, Bruxelles 4, Nr konta pocztowego 7315.20 .....	45 fr. b.	240 fr. b.	450 fr. b.
BRAZYLIA : Julia Barcinska, rua Maria Angelica 367, ap. 301 (Jardim Botanico), Rio de Janeiro; Seweryn A. Hartman, rua Barao de Itapetininga 221, s. 1203, Cxa Post. 6335, Sao Paulo. J. Orcluch; Moveis Cimo S/A, Departamento de Vendas, Caixa Postal 13, Curitiba, Parana .....		5 dol. am.	9 dol. am.
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w Księgarniach polskich w Paryżu .....	3,50 F	19 F	37 F
HOLANDIA : T. Szpilczyński, Ruysdaelkade 5 Amsterdam-Z, Tel. : 716080. Nr konta pocz. 13500 — t.b.v.S. 6538 .....	3 fl. hol.	18 fl. hol.	34 fl. hol.
IZRAEL : « Sifri-Holon », Stanisław Wytrzyć, Holon, Sokolow Nr. 40 .....	3,85 F	21 F	41 F
KANADA : M. Jaxa-Debicka, 221 Howard Park Av., Toronto 3, Ont. lub c/o Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto Ont., K. Krakowska, 2318 Hingston Ave. N.D. de G., Montreal/Queb., Tél. : HU 8-5224; H.R. Radomski, 55 Ridge Drive, Toronto 7, Ont. Tél. : HU 9-0829; M. Król, 1042 Manhattan Av. Winnipeg, Man.; « Zwiastkowiec », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél. : LE 1-2491; W.T. Drymmer, 31 Argyle Ave., Ottawa, Ont., Tél. : LE 33407 .....	1 dol.	5 dol.	9 dol.
NIEMCY : St. M. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1 .....	4.- DM	22 DM	40 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss. ....	5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél. : 33 34 20, Nr konta pocz. 1.14431 .....	3,50 fr. s.	22 fr. s.	40 fr. szw.
SZWECJA : Red Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV Stockholm .....	5 kor.	25 kor.	45 kor.
U.S.A. : Jerzy Bienkowski, 627 Tracy St., Utica, N.Y., S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y.; L. Dudarew Ossotynski, 143, 16-th street, Brooklyn 15, N.Y.; S. Dziarczykowski, 2402 Cheremoya Ave., Hollywood 28, Cal.; M.K. Dziewanowski, 41, Katherine Rd., Watertown, Mass.; T. Konopacki, 1242 Hathaway Av., Cleveland 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; Ch. M. Kretowicz, 6947 Oregon Ave., La Mesa-San Diego, Cal.; V.B. Kwast, 376 Wallingford Terrace, Union, N.J.; Polish Amer. Book Co, 1136 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; The Polish Book Importing Co, Inc., 156 Fifth Ave., New York 10, N.Y.; R.J. Sas-Babczynski, 14141 Deanann Place, Garden Grove, Cal.; Jan Wojcik, 24 Doris Street, New Britain, Conn.; A. Wisniewski, 1029 Cuba St., Toledo 17, Ohio, Jan Zych, 6428 Morse, Detroit 10, Mich. Tél. TA-5-6740 .....	1 dol.	5 dol.	9 dol.
W. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11 .....	5 sh 6 d.	31 sh.	60 sh.
WŁOCHY : Prosimy o przekazywanie prenumerat czekiem lub przekazem pocztowym .....	500 liras	2.800 liras	5.000 liras

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 2 F półrocznie i 4 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 F.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi, par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.) — C.C.P. PARIS 18.228-56

## BIBLIOTEKI «KULTURY»

TOM LXXXVII

MAREK HŁASKO

# OPOWIADANIA

Ulegając stałym prośbom naszych Czytelników wydajemy zbiór najlepszych — dawnych i nowych — nowel autora „Cmentarzy”. Nowele te nigdy dotąd nie ukazały się w wydaniu książkowym. W skład zbioru wchodzi głośny „Ósmy dzień tygodnia”, tłumaczony na wiele języków i sfilmowany.

Str. 192

Cena egz. 12 F. (18 sh.; dol. 2,50)



TOM LXXXVIII

# POLACY W ZSSR

(1939-1942)

ANTOLOGIA

W opracowaniu i ze wstępem Marii Czapskiej

Na książkę składają się fragmenty prac pisanych na uchodźstwie, w ogromnej większości już dziś wyczerpanych, a przede wszystkim prawie nieznanymi, gdyż ukazywały się w czasie wojny lub zaraz po wojnie.

„Nie po to, żeby jątrzyć został wydana niniejsza antologia — pisze we wstępie Maria Czapska — ale by ujawnić, bo tylko ujawnienie zła może oczyścić polsko-sowieckie stosunki, zneutralizować trucizny. I została wydana także dlatego bo wielkich zbrodni, które napiętnowały XX wiek ery chrześcijańskiej nie wolno nam zapominać, bo każdy z nas ponosi za nie jakąś część odpowiedzialności, a pamięć — to ostrzeżenie.

Nie wolno nam zapominać więzień i łagrów sowieckich, zagłady Żydów, niemieckich obozów śmierci, mordu katyńskiego i innych, nieodkrytych, mordów kulą w kark, a także gorzkiej prawdy degradacji człowieka — kłata i ofiary”.

Str. 360

Cena egz. 16,50 F. (24/6 sh.; dol. 3,50)